



C.C. Harris

Czego boją się anioły

PROLOG

*Miejsce choćby najświętsze nie jest od nich wolne
Ani kościół nie bardziej bezpieczny niż cmentarz
Próżno szukać schronienia u świętych ołtarzy
Głupiec spieszy, gdzie anioł stapać się nie waży
Fircyków znajdziesz i w miejscach najświętszych
Kościół nie bardziej od nich bezpieczny niż cmentarz
Nie chroń się u ołtarzy; głupcy tam zdążają,
Gdzie aniołowie stapać śmiałości nie mają.
Aleksander Pope, *Wiersz o krytyce*
Wtorek, 29 stycznia 1811*

Myślała, że to z powodu mgły. Zwykle nie była taka spięta i zalękniona. Ulice Londynu tonęły w cuchnącym żółtawym oparze, ale o tej porze zazwyczaj było już dawno po zmierzchu. Wokół panowały ciemność i styczniowy chłód, lecz mętne wyziewy jeszcze pogłębiały mrok, snując się widmowo wokół latarni. Rachel potknęła się na cmentarnej ścieżce.

Luźny kamień zagrzechotał pod miękką podeszwą skózanego buta, dźwięk odbił się głośnie echem w nocnym bezruchu. Rachel przystanęła i rzuciła przez ramię szybkie ukradkowe spojrzenie. W mroku tu i ówdzie majaczyły zamglone kontury pomników i nagrobków.

Z dala dobiegał brzęk żelaza i stłumiony głos strażnika oznajmiający godzinę. Rachel odetchnęła głęboko mroźnym powietrzem, w którym zapach mokrej ziemi i liści mieszał się ze zwietrzałą, ulotną stęchlizną śmierci, i pospiesznie podjęła wędrówkę.

Z ciemności wyłonił się kamienny masyw kościoła Świętego Mateusza. Rachel owinęła się szczelniej połami aksamitnego, podbitego satyną, wieczorowego płaszcza. „Powinam była wyznaczyć spotkanie na pół do dziewiątej”, pomyślała. Najpóźniej na dziewiątą. Zwykle spotykali się o pół do dziewiątej.

Tyle że to nie była zwyczajna transakcja. Rachel nie sądziła, że aż tak się zdenerwuje. Nie podobało jej się to uczucie. Lęk sprawiał, że czuła się ofiarą, a ona nie zgadzała się na tę rolę. Nigdy więcej. Obiecała to sobie, gdy miała trzynaście lat. Od owej fatalnej nocy, gdy wzięła życie w swoje ręce, upłynęły już trzy lata, i nie złamała przyrzeczenia ani razu. Teraz też nie zamierzała tego robić.

Rachel ponownie zatrzymała się na schodach, prowadzących do wejścia w północnym transepcie. Pod masywnym sklepieniem portalu panowała już niemal zupełna ciemność. Dziewczyna podniosła latarnię.

Wąski promień światła wydobył z mroku dębowe omszałe drzwi. Ciężki żelazny klucz ziębił dłonie przez cienką skórę rękawiczek. Ku irytacji Rachel jej ręce drżały, gdy wkładała klucz do zamka.

Mechanizm ustąpił z łatwością po jednym obrocie i drzwi uchyliły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Wielebny McDermott bardzo dbał o takie sprawy, ale nie miał innego wyjścia.

Rachel pchnęła drzwi mocniej. Starannie ułożony pukiel musnął policzek dziewczyny w nagłym podmuchu powietrza.

Otoczył ją znany kościelny zapach, mieszanka woni pszczelego wosku, wilgotnego kamienia i starego drewna. Wsunęła się do środka i ostrożnie przymknęła drzwi.

Wrzuciła klucz do mieszka. Przechodząc przez nawę, czuła na udzie jego solidny ciężar. Chłodna, mroczna przestrzeń zamknęła się wokół dziewczyny, latarnia rzucała wątki

blask na okopcone ściany, figury dawno zmarłych rycerzy i dam - zimne, nieruchome w cichej pustce.

Mówiono, że kościół Świętego Mateusza miał ponad osiemset lat. Sklepienia z piaskowca wspierały się na masywnych okrągłych filarach, a niewielkie okna, umieszczone tuż pod sufitem, wpuszczały już tylko ciemność. Ojciec Rachel interesował się takimi sprawami. Zabrał ją kiedyś do katedry w Worcester i godzinami opowiadał o arkadach, triforiach i tęczach. Ale ojciec od dawna nie żył; Rachel wyrzuciła to wspomnienie z pamięci, niepewna co mogło je wywołać w takiej chwili.

Kaplica Najświętszej Marii Panny - wykonany z białego marmuru czternastowieczny klejnot sztuki architektonicznej, o smukłych kolumnach i delikatnych płaskorzeźbach - znajdowała się na samym końcu absydy. Rachel odstawiła latarnię na stopień ołtarza. Przyszła za wcześnie; mogła się go spodziewać dopiero za dwadzieścia minut. Pustka, ciemność i chłód starego kościoła zdawały się ją przytłaczać. Spojrzenie dziewczyny wciąż powracało do poświęconych gromnic stojących na przykrytym śnieżnobiałym obrusem ołtarzu. Wahala się przez chwilę, ale w końcu zapaliła kolejno wszystkie świece. Jasne płomienie zlały się w ciepły złoty blask i Rachel poczuła się znacznie różniej.

Patrzyła na malowidło nad ołtarzem, utrzymaną w ciemnych barwach scenę wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny przedstawionej na tle triumfujących aniołów. Kiedyś Rachel zapewne wyszeptaby krótką modlitwę.

Teraz już nie.

Nie usłyszała odgłosu otwieranych, a następnie zamykanych drzwi - jedynie słabe echo kroków skradających się w prezbiterium. Przychodził wcześniej, niż oczekiwała.

Odwróciła się w jego stronę, odrzuciła kaptur i złożyła usta do uśmiechu, gotowa odegrać swoją rolę.

Widziała go już, niewyraźny cień, zarys płaszcza i kapelusza, ledwie widoczny przez delikatnie rzeźbioną ściankę kaplicy.

A potem wkroczył w krąg światła.

Cofnęła się szybko.

- To ty - wyszeptala i natychmiast zrozumiała, że popełniła fatalny błąd.

ROZDZIAŁ 1

Środa, 30 stycznia 1811

Sebastian usłyszał, jak dzwony miejskiego kościoła wybijają godzinę. Dźwięk tłumiała odległość i gęsta mgła, która nawet tutaj spowijała otwartą przestrzeń i nagie rozcapierzone konary klonów na skraju pola. Nadszedł świt, ale przyniósł niewiele światła i ciepła. Sebastian Alistair St. Cyr, wicehrabia Devlin, jedyny pozostały przy życiu syn i spadkobierca hrabiego Hendon, oparł się o powóz, skrzyżował ręce na piersi i pomyślał o łóżku.

To była długa noc, w oparach brandy i dymie z cygar; noc faro i blackjacka oraz przyrzeczenia danego smutnookiej kobiecie - obietnicy, że nie zabije, nawet jeśli człowiek, z którym miał się tu spotkać, zasługiwał na śmierć. Sebastian odchylił głowę i przymknął oczy. W oddali słyszał śpiew skowronka, a znacznie bliżej - szelest mokrej trawy. To sekundant, sir Christopher Farrell, przechadzał się skrajem drogi. Nagle kroki ucichły.

- Może się nie zjawi - powiedział sir Christopher.

- Zjawi się - odparł Sebastian, nie otwierając oczu. Farrell podjął wędrówkę. Obcasy zagłębiły się w wilgotnej ziemi.

- Jak nie będziesz uważał - powiedział Sebastian - to pobrudzisz sobie buty.

- Do diabła z butami. Jesteś pewien, że Talbot przywiezie doktora? Co to za doktor? Może powinniśmy byli przyjechać z własnym. Sebastian pochylił głowę i otworzył oczy.

- Nie zamierzam dać się trafić.

Sir Christopher obrócił się gwałtownie. Jego jasne włosy skrzyły się od wilgoci, w łagodnych zwykle oczach błysnął gniew. - Racja. To doprawdy pocieszające. Bez wątpienia lord Firth nie miał zamiaru dać się trafić, gdy stawał w zeszłym miesiącu przeciwko Maynardowi. Szkoda tylko, że dostał w szyję. Na wylot. Sebastian uśmiechnął się.

- Jestem zachwycony, że mogę wprawić cię w dobry nastrój. Spokojna wzdarda w obliczu śmierci to, zdaje się, kolejna cenna umiejętność zdobyta na wojnie? I, jak mi wiadomo, nieodmiennie fascynuje płęć piękną?

Sebastian wybuchnął głośnym śmiechem.

Christopher, szczupły i elegancki, w bryczesach z kozłej skóry i wyczyszczonych do połysku butach, też się uśmiechnął i wrócił do przerwane go spaceru. Po chwili rzekł:

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie wybrałeś szpady. Przy szpadzie trudniej o przypadkową śmierć. Podnosząc ramię w pozycji szermierza, zamarkował szybki cios w zimnej, wilgotnej mgle.

- Zgrabne, niewielkie cięcie w ramię, odrobina czerwieni na rękawie, krwawe draśnięcie i satysfakcja gwarantowana.

- Talbot zamierza mnie zabić.

Ramię Christophera opadło bezwładnie.

- Więc chcesz tak po prostu stanąć i dać mu się zastrzelić?

- Z dwudziestu pięciu kroków Talbot nie trafiłby nawet okrętu - ziewnął Sebastian. - Dziwne, że się na to zdecydował.

Tak stanowił kodeks pojedynkowy: Sebastian, jako wyzwany, wybrał broń, ale wskazanie dystansu należało do przeciwnika. Christopher tarł w zamyśleniu twarz.

- Słyszałem pogłoski...

- Nadjeżdża - przerwał mu Sebastian. Wyprostował się, zdjął płaszcz i rzucił go na siedzenie powozu. Christopher odwrócił się, mierzając wzrokiem mętny krajobraz.

- Niech to diabli, nawet ty nic nie zobaczysz w tej mgle.

- Nie. Za to mam uszy.

- Ja również. I nic nie słyszę. Przysięgłbym, Sebastianie, że masz w sobie coś z nietoperza. To aż nienaturalne.

Minutę lub dwie później z mgły wyłonił się wysoki faeton ciągnięty przez parę dorodnych karoszy.

Siedzieli w nim dwaj mężczyźni. W pewnej odległości za pierwszym powozem jechał drugi - prosty gig doktora.

Wysoki, chudy mężczyzna o rzednących brązowych włosach i orlim nosie wyskoczył z faetonu.

Spojrzenia kapitana Johna Talbota i Sebastiana na jedną długą chwilę skrzyżowały się w zamglonym powietrzu. Gdy chwila ta minęła, kapitan odwrócił się, by zdjąć płaszcz i rękawiczki.

- Zatem, panowie - rzekł sekundant Talbota, wąsaty żołnierz, zacierając ręce z udaną jowialnością. - Czy możemy zacząć?

- Wspominałem o pogłoskach - powiedział Christopher półgłosem, gdy on i Sebastian kierowali się w stronę przeciwników. - Ludzie mówią, że w ostatnim pojedynku Talbot wybrał dwadzieścia pięć kroków, ale odwrócił się i wypalił po dwunastu. Zabił. Rzecz jasna, on sam i jego sekundant przysięgli, że dystans ustalono na dwanaście kroków.

- A sekundant rywała?

- Talbot zamknął mu usta, grożąc, że wyzwie i jego - za oszczerstwo. Sebastian posłał przyjacielowi leniwy uśmiech.

- Zatem jeśli Talbot zyska okazję, by wyzwąć ciebie z tych samych powodów, sugeruję wybór szpady.

- Czy ma pan pistolety? - sekundant Talbota skierował pytanie do zbliżającego się sir

Christophera. Sekundanci wyjęli z pudła parę pistoletów, które następnie sprawdzili i załadowali. Talbot wybrał broń jako pierwszy. Sebastian sięgnął po drugi pistolet. Poczł znajomy chłodny ciężar w dłoni, wskazujący palec dotknął spustu.

- Jesteście panowie gotowi?

Sebastian i Talbot stanęli tyłem do siebie, po czym zaczęli odmierzać kroki w rytm wolnego odliczania.

- Raz, dwa...

Doktor odwrócił się ostentacyjnie, ale Christopher stał na posterunku, obserwując scenę czujnymi zmrużonymi oczami. Jego pobladła twarz była pełna niepokoju. Sebastian wiedział, że przyjaciela martwią nie tylko zamiary Talbota, że gryzie się czymś jeszcze. Christopher nie rozumiał, że istnieje wyraźna granica między szukaniem śmierci a obojętnością w jej obliczu. Granica, której Sebastian jeszcze nie przekroczył.

- ... trzy, cztery...

Nagle przypomniał sobie pewien mglisty letni poranek sprzed lat na porośniętym trawą wzgórzu nieopodal rodzinnej posiadłości. Obaj starsi bracia jeszcze żyli, podobnie jak matka. Powietrze pachniało świeżymi ciastkami przyniesionymi do herbaty, paprociami i morzem, a w pobliskiej zatoce fale rytmicznie uderzały o skalisty brzeg. Tego ranka bawili się w piratów i dragonów, cała czwórka, odliczając...

- ... pięć, sześć...

... gdy przemykali między sobą. Przed oczyma stanął mu obraz matki - z odrzuconą w tył głową, roześmianej, z blaskiem słońca na złotych włosach. Tylko siostra, Amanda, siedziała sztywno, jak zawsze, wyprostowana, pełna gniewu i dezaprobaty, z powodów, których Sebastianowi nigdy nie udało się dociec.

- ... osiem, dziewięć...

Sebastian pewnie trzymał palec na stalowym spuście. Na policzkach czuł wilgoć pędzonej wiatrem mgły. Zmusił się do koncentracji, wracając myślami do rzeczywistości. Znów zaśpiewał skowronek, gdzieś niedaleko podnóża góry. Sebastian słyszał szum dalekiego strumienia i trucht konia na odległej drodze.

- ... dziesięć, jedenaste...

To wahanie sekundanta między dziesiątym a jedenastym krokiem ostrzegło Sebastiana. Wahanie i szelest tkaniny, gdy Talbot się odwrócił.

- ... dwanaście...

Sebastian zrobił niespodziewany zwrot i przykucnął dokładnie w chwili, gdy John Talbot wystrzelił, dlatego kula, która miała trafić prosto w serce, zaledwie musnęła czoło. Potem, trzymając bezużyteczną już broń, Talbot nie miał innego wyjścia, jak tylko stać nieruchomo, z zaciśniętą szczęką i nozdrzami falującymi przy każdym oddechu, w oczekiwaniu na strzał Sebastiana.

Sebastian rozmyślnie powoli podniósł broń, wycelował i strzelił. Kapitan Talbot wrzasnął krótko i runął do przodu.

Doktor wyskoczył z powozu i podbiegł do niego.

- Niech to wszyscy diabli, Sebastianie, zabiłeś go - powiedział Christopher.

- Bynajmniej - Sebastian odrzucił broń. - Ale tuszę, że jeszcze przez jakiś czas siedzenie będzie mu sprawiać niejaką trudność.

- Doprawdy, panowie, doprawdy - wybuchnął sekundant Talbota, przygryzając wąsy. - To zachowanie niegodne dżentelmena. Anglicy stają do pojedynku i mierzą do siebie z pozycji stojącej. Ktoś powinien wezwać konstabli. Kogoś będą sądzić za morderstwo, zapamiętajcie moje słowa.

- Zmilczże, człowieku - odparł doktor, otwierając torbę na narzędzia. - Żaden z moich pacjentów jeszcze nie umarł od przestrzelonej dupy.

Sir Christopher ryknął śmiechem. Sebastian wstał i poszedł po drugi pistolet. Obiecał

Melanie, że nie zabije jej męża. Nie prosiła go jednak, żeby drań nie ucierpiał.

ROZDZIAŁ 2

Tem najpierw zobaczył krew za ołtarzem. I Oczywiście już wcześniej wiedział, że coś jest nie tak - od chwili, kiedy otworzył północne drzwi. Jem Cummings był kościelnym u Świętego Mateusza przeszło trzydzieści lat. To do jego obowiązków należało pilnowanie, żeby kościół był zamykany na noc i otwierany nazajutrz wczesnym rankiem. Dlatego Jem wiedział.

Nowy proboszcz, wielbny McDermott, który przejął parafię przed trzema laty, był niechętny idei zamykania kościoła na noc. Ale Jem opowiedział mu co się stało w '92, kiedy żądni krwi poganie, żabojady, przeprawiali się przez kanał. Pewnego ranka stary proboszcz zastał zdewastowany ołtarz i ściany zbryzgane świńską krwią. Gdy wielbny McDermott o tym usłyszał, szybko zmienił zdanie.

A teraz Jem przypominał sobie świńską krew, gdy kuśtykał w stronę nawy, z biodrem rwącym od zimnej wilgoci, wyciągając wzrok w światło poranka. Ale spokój wnętrza zdawał się być nienaruszony, główny ołtarz nietknięty, drzwi zakrystii broniły kościelnych skarbów, poświęcane naczynia spoczywały bezpiecznie w swoim zamknięciu. Serce kościelnego uspokajało się z wolna.

A potem ujrzał krew.

Z początku nie wiedział, co to jest. Tylko ciemne smugi, ledwie rozpoznawalny ślad męskich butów, który robił się coraz wyraźniejszy na wytartych płytach wiodących do kaplicy mariackiej. Chłód starych kamiennych ścian zdawał się przenikać do kości, oddech rwał się w ściśniętej piersi kościelnego, gdy, drżąc, z ustami zaciśniętymi, by powstrzymać szczekanie zębów, ostrożnie zbliżył się do transeptu.

Leżała na plecach, rozciągnięta nieprzyzwoicie na gładkich stopniach ołtarza. Zobaczył rozłożone nagie uda połyskujące białą w świetle latarni. Kaskada koronek bramowała coś, co kiedyś było falbaną z pierwszorzędnej satyny - teraz poplamioną, tak jak jej nogi. Szeroko otwarte szkliste oczy patrzyły prosto na niego, głowa o jasnych włosach leżała wygięta pod nienaturalnym kątem. Najpierw myślał, że przód sukni jest czarny, ale gdy przysunął się bliżej, zobaczył głębokie cięcia w poprzek szyi i zrozumiał. Pojął też skąd wzięło się tyle krwi. Jucha była wszędzie i to w o wiele większej ilości, niż owego pamiętnego dnia, gdy jakobińscy fanatycy zalali całe prezbiterium. Tyle, że to nie była krew świń.

To była jej krew.

Jem cofnął się w popłochu, boleśnie tłukąc łokieć o kamienny delikatnie rzeźbiony ekran. Zaciśnął powieki.

Ale nic nie mogło odgrodzić go od mdlącego zapachu krwi, woskowych świec i pierwotnej surowej woni spełnionej żądz.

ROZDZIAŁ 3

Zbliżało się południe, ale światło sączące się przez witraże w oknach absydy kościoła Świętego Mateusza wciąż było słabe i rozproszone.

Sir Henry Lovejoy, najwyższy sędzia pokoju urzędujący na Queen Square w Westminsterze, błędził wzrokiem po zbryzganym krwią ścianach kaplicy i głębokich kałużach krzepnącej cieczy, które odcinały się ostro od białych stopni ołtarza. Uważał, że liczba gwałtownych, wyjątkowo okrutnych przestępstw popełnianych w afekcie wzrastała, gdy żółta mgła trzymała Londyn w dławiącym śmiertelnym uścisku.

Tyle że Londyn dawno już nie był świadkiem podobnej zbrodni.

Obok kaplicy wciąż leżał drobny nieruchomy kształt owinięty tkaniną poplamioną i tak sztywną od krwi, że Lovejoy ledwo się zmusił, żeby doń podejść. Pochylając się, uniósł brzeg materiału i westchnął*

Kiedyś była piękną kobietą. Piękną i młodą. Każda przedwczesna śmierć to, rzecz jasna, tragedia. Ale żaden mężczyzna, który kiedykolwiek kochał kobietę albo obserwował z dumą i lękiem pierwsze niepewne kroki dziecka, nie mógł patrzeć na tę młodą piękność, nie czując głębokiego smutku i dotkliwego gniewu.

Lovejoy pochylił się na drżących kolanach jeszcze niżej, nie spuszczać wzroku z bladej, zakrwawionej twarzy.

- Wiadomo kim ona jest?

Pytanie skierował do jedynej osoby, która towarzyszyła mu w kaplicy - wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat, o jasnych, modnie potarganych włosach i fantazyjnie zawiązanym krawacie. Edward Maitland, starszy konstabl z Queen Square, był pierwszym liczącym się przedstawicielem prawa wezwanym na miejsce zbrodni i, jak na razie, jedynym śledczym.

- Aktorką - odpowiedział z rękami skrzyżowanymi na plecach, kołysząc się na nogach, jakby zniecierpliwiony powolnym, metodycznym postępowaniem sir Henry ego. - To panna Rachel York.

- Ach. Tak myślałem, wygląda znajomo. - Lovejoy przełknął ślinę, odsłonił ciało i zmusił się do patrzenia. Gardło dziewczyny zostało wielokrotnie okrutnie rozcięte długimi, gwałtownymi ruchami. Co, jak mniemał sir Henry, wyjaśniało bryzgi krwi na ścianach. Tyle krwi, wszędzie. Jednak Rachel York nie umarła ani szybko, ani łatwo. Pięści miała zaciśnięte, jak do walki, a na bladej skórze nadgarstków i przedramion widniały ciemne brzydkie sińce. Brutalny cios przeciął skórę na lewym policzku. Zmięta, podarta suknia z zielonej satyny i poszarpana aksamitna pelisa opowiadały własną historię.

- Postąpił z nią po swojemu, jak mniemam? - spytał Lovejoy.

Maitland odchylił się na obcasach drogich butów i zakołysał się, nie patrząc na dziewczynę, ale na błękitno-karminowe witraże wschodniego okna.

- Tak, proszę pana. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

„Rzeczywiście, nie ma” - pomyślał Lovejoy. W powietrzu, obok metalicznej woni krwi oraz pobożnej słodyczy kadzidła i wosku, wciąż można było wyczuć zapach nasienia, nie do pomylenia z żadnym innym. Sędzia dokładnie obejrzał starannie ułożone ciało dziewczyny i zmarszczył brwi.

- Leżała w tej pozycji, gdy ją znaleźliście?

- Nie, proszę pana. Była tam, przed ołtarzem. Nie można było jej tak zostawić, to nieprzyzwoite. W końcu to kościół, i w ogóle.

Lovejoy wyprostował się, jego spojrzenie wróciło do zakrwawionych marmurowych stopni. Wszystkie świece na ołtarzu wypaliły się i zgasty. „Musiała je pozapalać, zanim umarła”, pomyślał. Dlaczego? Była pobożna? Czy bała się ciemności? Głośno zapytał:

- Jak wam się wydaje, co mogła tu robić?

Brwi Maitlanda zbiegły się na moment, po czym natychmiast znieruchomiały. Grymas ów zdradził jednak, że nie zadał sobie tego pytania.

- Tego nie wiem, proszę pana. Kościelny znalazł ją rano, gdy przyszedł otworzyć. - Mężczyzna wyciągnął z kieszeni notes i otworzył go z ostentacją, która czasem działała Lovejoyowi na nerwy. - Niejaki Jem Cummings. On i wielebny - szelest przewracanych kartek - wielebny James McDermott twierdzą, że nigdy przedtem nie widzieli jej na oczu.

- Kościół jest zawsze zamykany na noc?

- Tak, proszę pana. - Maitland znów zerknął do notesu. - Punktualnie o ósmej.

Lovejoy pochylił się i starannie przykrył to, co zostało z Rachel York, zatrzymując się tylko, aby po raz ostatni spojrzeć na bladą piękną twarz. Jej wygląd zdradzał francuskie

pochodzenie; jasne kręcone włosy, szeroko rozstawione brązowe oczy i krótka górna warga były powszechnie spotykane w Normandii. Widział ją zaledwie tydzień wcześniej, gdy występowała z Kat Boleyn w wystawianym na Covent Garden *Jak wam się podoba*. Widział ją i podziwiał nie tylko za urodę, ale i za talent. Pamiętał dokładnie jej ostatni ukłon, razem z resztą obsady, ręce w uścisku kolegów z zespołu, błyszczące oczy, szeroki uśmiech triumfu i radości.

Narzucił tkaninę na nieruchomą zakrwawioną twarz i odwrócił się, zwięzonymi oczami mierząc wnętrze starego kościoła, nawę główną i szerokie nawy poprzeczne, prezbiterium i przestronną absydę.

- Ten pan Cummings... Czy zajrzał tu, do kaplicy, zanim zamknął kościół? Maitland potrząsnął głową.

- Kościelny twierdzi, że spojrzął tu zza ołtarza i krzyknął głośno, ostrzegając, że zaraz zamknie. Ale nie wszedł do wnętrza kaplicy, proszę pana. I nie zobaczyłby jej z obejścia. Sprawdziłem to osobiście. Lovejoy kiwnął głową. W wilgotnym chłodzie kościoła niektóre kałuże nie zdążyły jeszcze zaschnąć. Gęstniejąca krew połyskiwała w świetle latarni. Lovejoy starał się ją omijać, gdy przechadzał się po wnętrzu. Bezmyślna bieganina ostatnich kilku godzin uniemożliwiła odtworzenie wyglądu podłogi przed przyjściem kościelnego. Nonszalanckie deptanie po krwi zmarłej zdawało się być w pewien sposób brakiem szacunku, więc Lovejoy starał się tego unikać.

Zatrzymał się przed stopniami małego ołtarza z białego marmuru. Krew była tu najgęstsza, tu ją znaleziono. Latarnia leżała z boku, ze strzaskanym szkłem. Lovejoy odwrócił się i zmierzył wzrokiem konstabla.

- Macie jakiś pomysł, kto ostatni mógł korzystać z kaplicy?

Po raz kolejny Maitland zajrzał do notatnika. Lovejoy wiedział, że to działanie tylko na pokaz. Edward Maitland mógłby recytować zawartość notosu z pamięci; konstabl sądził jednak, że sprawdzanie wszystkich faktów i liczb dodaje mu powagi.

- Sprawa jest w toku - powiedział z namaszczeniem, znów dla efektu - ale prawdopodobnie była to pani Williamowa Nackery, wdowa po pasamoniku. Przychodzi tu co wieczór koło pół do piątej i modli się przez dwadzieścia do trzydziestu minut. Twierdzi, że kościół był pusty, gdy wychodziła, a uczyniła to tuż przed piątą.

Lovejoy spojrzął na zbryzgane krwią ściany. Wargi wykrzywił mu uśmiech, który nie miał nic wspólnego z dobrym humorem.

- Możemy chyba zaryzykować stwierdzenie, że została zamordowana w tym miejscu...

Maitland chrząknął ostrożnie. Zawsze czuł się nieswojo, gdy Lovejoy formułował oczywiste wnioski.

- Tak sądzę, proszę pana.

- ... co pozwala wstępnie określić czas morderstwa na między piątą a ósmą wieczorem.

- Tak ustaliliśmy, proszę pana - konstabl odchrząknął raz jeszcze. - Znaleźliśmy jej mieszek leżący dwie-trzy stopy od ciała. Był otwarty, a zawartość - w rozsypce. Jednak portfel znajdował się w środku, nietknięty, a dziewczyna ma na sobie naszyjnik i kolczyki z czystego złota.

- Innymi słowy: to nie był napad rabunkowy.

- Nie, proszę pana.

- Ale mówicie, że mieszek był otwarty? Ciekawe, czy po prostu otworzył się, gdy go upuściła, czy nasz morderca czegoś tam szukał? - Lovejoy po raz kolejny rozejrzał się po zimnej kaplicy. Wilgotny chłód kamiennej podłogi ziębił mu stopy mimo butów. Dłonie w rękawiczkach wcisnął do kieszeni płaszcza, żałując, że nie wziął szalika. - Czekam, konstablu.

Na szerokiej, przystojnej twarzy Edwarda odbiło się zaskoczenie.

- Nie bardzo rozumiem, proszę pana?

- Czekam, aż mi powiecie, dlaczego moją tu obecność uznaliście za niezbędną. Zaskoczenie na twarzy konstabla ustąpiło miejsca szerokiemu uśmiechowi satysfakcji.

- Wiemy, kto to zrobił, proszę pana.

- Doprawdy?

- To naprowadziło nas na ślad. - Maitland wyjął z kieszeni niewielki pistolet skałkowy i podał go sędziemu. - Nie ulega wątpliwości, że upuścił go morderca. Jeden z chłopców znalazł go w fałdach jej płaszcza.

Lovejoy chwycił broń i z namysłem zważył ją w dłoni. To była wyjątkowa robota, broń z wyborowej stali, z gładką mahoniową rękojeścią i mosiężnym spustem starannie wyrzeźbionym w kształt węża owiniętego wokół szpady. Pistolet, sygnowany „W. Reddell, Londyn”, miał gwintowaną lufę. „Wygląda mi na kaliber czterdzieści cztery”, ocenił sędzia. Na lufie było dosyć krwi, by zostawić ciemną smugę na wskazującym palcu skórzanej rękawiczki.

- Proszę spojrzeć na herb na spuście. Wąż i szpada? Lovejoy potarł płamę kciukiem lewej dłoni.

- Owszem, zauważyłem go, konstablu.

- To herb wicehrabiego Dewlinu, proszę pana.

Lovejoy mimo woli zacisnął broń w pięści. W Londynie mało kto nie słyszał o Sebastianie, wicehrabim Dewlinu. Albo o jego ojcu, hrabim Hendonu, kanclerzu ministra skarbu i zaufanym powierniku Spencera Percevala, premiera rządu torysów. Lovejoy obrócił pistolet kolbą do przodu, by przekazać go konstablowi.

- Ostrożnie. Wkraczamy na niepewny grunt. Nie warto wyciągać pochopnych wniosków. Maitland wytrzymał jego spojrzenie. Nie poruszył się, by wyjąć pistolet z ręki Lovejoya.

- To nie wszystko, proszę pana. Lovejoy schował broń do kieszeni płaszcza.

- Proszę mówić dalej.

- Rozmawialiśmy z pokojówką Rachel York, niejaką Mary Grant - tym razem Maitland nie udawał, że musi sprawdzić notatki. - Twierdzi, że jej pani wyszła wczoraj późnym wieczorem, żeby spotkać się z St. Cyrem. Powiedziała pokojówce, cytując: „Jego lordowska mość zapłaci szczerze, nie ma obawy”.

Konstabl przerwał, jak gdyby chciał nadać większą wagę swoim słowom, po czym dodał:

- Wtedy widziano ją po raz ostatni.

Lovejoy wytrzymał spojrzenie błękitnych oczu konstabla.

- Sugerujecie, że szantażowała wicehrabiego?

- Albo mu czymś groziła. Tak, proszę pana.

- Zakładam, że sprawdziliście co wicehrabia robił ubiegłej nocy.

- Tak, proszę pana. Służba mówi, że opuścił dom około piątej. Twierdził, że wybiera się do klubu. Ale przyjaciele Dewlina utrzymują, że dotarł do klubu Watiera dopiero po dziewiątej.

- Czym wicehrabia wyjaśnia tę rozbieżność?

- Nie byliśmy w stanie dotrzeć do wicehrabiego osobiście. W jego łóżku nikt nie spał tej nocy. W mieście mówi się, że rano miał się pojedynkować.

Lovejoy podniósł dłoń w rękawiczce do ust i, zamyślony, chuchnął na palce. Opuścił rękę.

- Ktokolwiek to zrobił, musiał być zlany krwią. Jeżeli Dewlin jest człowiekiem, którego szukamy, to musiał wrócić do domu, zmienić ubranie i wziąć kąpiel przed wyjściem do klubu.

- Zdaję sobie z tego sprawę, proszę pana. - I? Co na to służba Dewlina?

- Niestety, zanim wyszedł, dał wszystkim wychodne. Zdaje się, że jego hrabiowska

mość jest bardzo wspaiałomyślnym pracodawcą.

Ton tej ostatniej wypowiedzi - przeciąganie samogłosek, sznurowanie warg - zdradził uczucia, które Maitland zazwyczaj trzymał na wodzy. Nie był żadnym radykałem. Wierzył w hierarchię społeczną, w Wielki Łańcuch Bytów, i w to, że każdy człowiek ma w nim przynależne sobie miejsce. Nie powstrzymywało go to jednak od marzeń o bogactwie i pozycji społecznej, ani od zazdrości wobec tych, którzy, jak Dewlin, urodzili się ze wszystkim, do czego on sam nie miał nawet szans aspirować. Lovejoy odwrócił się i przeszedł po małej kaplicy.

- Służący wiedziałby, gdyby komplet ubrań zniknął z garderoby jego lordowskiej mości.

- Służący twierdzi, że niczego nie brakuje, ale wie pan do jakich granic lojalności potrafi posunąć się służba...

Lovejoy skinął głową w roztargnieniu. Jego uwagę zwróciło olbrzymie malowidło nad ołtarzem, przedstawiające wniebowzięcie Marii Panny. Sam miał protestanckie, reformatorskie sympatie - były to niebezpieczne skłonności, z których, rzecz jasna, nie zamierzał nikomu zdawać sprawy. Nie lubił witraży, kadzideł i poczerniałych, renesansowych malowideł w ciężkich złoconych ramach. Uważał je za grzeszną spuściznę papistów, która nie ma nic wspólnego z surowym Bogiem, obiektem jego czci. Zauważył jednak, że krew rozciętego po wielokroć gardła Rachel York trysnęła na nagie stopy Dziewicy w taki sposób, jaki widział na obrazach przybitego do krzyża Chrystusa. I znów zaczął się zastanawiać, po co młoda aktorka przyszła do na wpół zapomnianego, starego kościoła. To było dziwne miejsce, czy na schadzkę, czy też na szantaż.

Maitland odchrząknął.

- Mam rozkaz przekazać panu, że hrabia Jarvis chce się z panem spotkać. W Carlton House. Zaraz jak pan tu skończy.

To było delikatnie powiedziane. Lovejoy wiedział, że takiego wezwania żaden sędzia nie mógł zlekceważyć. Wszyscy urzędnicy, czy to z Bow Street, czy Queen Square, Lambeth Street lub Hatten Garden, mieli rozkaz niezwłocznie meldować hrabiemu Jarvisowi o przestępstwach, w które zamieszane były ważne osoby, takie jak kochanka księcia czy brat członka Izby Lordów, a także jedyny syn i spadkobierca wpływowego członka gabinetu.

Lovejoy westchnął. Nigdy nie zrozumiał dokładnie natury wpływów hrabiego Jarvisa. Oprócz wielkiego urzędu na Berkeley Square człowiek ten miał biura zarówno w St. James's Palace, jak i w Carlton House, mimo że nie miał rządowej teki. To prawda, więzy krwi łączyły go z rodziną królewską, ale było to tylko kuzynostwo. Lovejoyowi często wydawało się, że pozycję Jarvisa najlepiej oddaje niejednoznaczne średniowieczne wyrażenie „władza z za tronu”. Sposób, w jaki Jarvis doszedł do władzy i utrzymał ją, gdy król Jerzy pogroził się w swoim szaleństwie, pozostał dla sędziego tajemnicą. Lovejoy wiedział tylko, że księżę Walii był już zależny od Jarvisa w równym stopniu, co król. I że gdy Jarvis wzywał sędziego, sędzia stawiał się na wezwanie. Lovejoy odwrócił się do konstabla.

- Zawiadomiliście go już co tu się stało?

- Pomyślałem, że chciałby wiedzieć natychmiast. Ojciec Dewlina cieszy się dużym zaufaniem premiera, i w ogóle.

Lovejoy wypuścił powietrze z napiętych płuc. Oddech parował w chłodnym wnętrzu.

- Sytuacja jest delikatna, macie tego świadomość?

- Tak, proszę pana.

Lovejoy zmrugał oczy, obserwując nieporuszoną twarz konstabla. Dziwne, że dotąd nie zastanawiał się nad poglądami politycznymi Edwarda Maitlanda. Ale nigdy też nie miało to większego znaczenia. Lovejoy starał się przekonać samego siebie, że to wciąż nieistotne, że ich praca zaczyna się i kończy na tym, by przeprowadzić śledztwo i rozwiązać zagadkę tego morderstwa, a sprawcę przykładowo ukarać. A jednak...

A jednak hrabia Hendonu, podobnie jak Spencer Perceval i inni członkowie gabinetu króla, był torysem, podczas gdy książe Walii i ludzie z jego otoczenia - wigami. Oskarżenie syna i spadkobiercy prominentnego torysa byłoby cenną kartą przetargową. Fakt, że oskarżenie padło akurat teraz, gdy szaleństwo starego króla miało być lada moment podane do wiadomości publicznej, a książe szykował się do objęcia urzędu regenta, wywoływał daleko idące skutki. Nie tylko dla układu sił w rządzie, ale dla samej monarchii i jej przyszłego charakteru.

ROZDZIAŁ 4

Zamożni mieszkańcy modnych londyńskich dzielnic dopiero opuszczali łóżka, gdy Sebastian wstępował na niskie schody swojego domu na Brook Street. Ciszę południa przerywały tylko dalekie sflumione przez mgłę odgłosy ulicznego ruchu i krzyki dzieci bawiących się w berka pod opieką piastunek na pobliskim Hanover Square.

Sebastian był wyczerpany tym rodzajem zmęczenia, które przynosi ze sobą odurzenie i błogosławieństwo zapomnienia. W holu przywitał go kamerdyner Morey. Na twarzy zwykle opanowanego służącego widniał niepokój.

- Milordzie...

Spojrzenie Sebastiana padło na znajomą trzcinkę i kapelusz na stoliku. Nagle z bolesną wyrazistością uświadomił sobie, że ma zmięty krawat i krwawą szramę na czole, że jest znużony bezsenną nocą w oparach whisky.

- Zakładam, że jest tu mój ojciec?

- Tak, milordzie. Pan hrabia oczekuje w bibliotece. Sądzę jednak, że wasza lordowska mość powinien dowiedzieć się wpiery o wypadku, który zdarzył się dziś ra...

- Później - przerwał mu Sebastian i otworzył drzwi biblioteki.

Alistair St. Cyr, piąty hrabia Hendonu, siedział w skórzanym fotelu przy kominku, ze szklanką Sebastianowej brandy w dłoni. Na widok syna kilkakrotnie poruszył szczęką, jak zawsze, gdy był zdenerwowany. W sześćdziesiątym piątym roku życia wciąż był potężnym mężczyzną o szerokiej piersi, z gęstą siwą czupryną, wyrazistą twarzą i ciemnobłękitnych oczach. Sebastian nigdy nie spotkał człowieka o równie przenikliwym spojrzeniu. Jak sięgał pamięcią, błyszczące oczy hrabiego Hendonu na widok jego jedyne go syna, który został przy życiu, przybierały szczególny wyraz; młody St. Cyr nie potrafił go odczytać. Przez ostatnich piętnaście lat, a może dłużej, Sebastian patrzył, jak te uczucia gasną, ustępując miejsca aż nadto widocznemu bólowi i rozczarowaniu.

- A więc - spytał hrabia - zabiłeś go?

- Talbota? - Sebastian rzucił pelerynę na trzcinkowe krzesło, przy oknie w wykuszu. Kapelusz i rękawiczki poszły w jej ślady. - Niestety, nie.

- Podchodzisz do tego cholernie nonszalancko. Sebastian podszedł do stolika pod ścianą i nalał sobie szklankę brandy.

- Wolałbyś, żeby było inaczej.

Szczęką hrabiego poruszyła się gwałtownie.

- Życzę sobie, byś ujął w karby tę skłonność do nastawiania na życie ludzi z własnej sfery. To twój trzeci pojedynek w ciągu zaledwie pół roku, odkąd jesteś z powrotem w Anglii.

- Ściśle rzecz biorąc, jestem w Anglii od przeszło dziesięciu miesięcy.

- Niech diabli wezmą twoją impertynencję! - Hendon zerwał się na nogi. - Ten ostatni... Jak mu tam było?

- Danford.

- W rzeczy samej. Danforda mogłem zrozumieć. Pewnych zniewag nie sposób puścić płazem. Ale Talbot? Mój Boże! Pieprzyłś jego żonę! Gdybyś go zabił, trzeba by było słono zapłacić, tyle ci powiem. Sebastian opróżnił szklankę duszkiem. Wraz z brandy starał się

przełknąć dwadzieścia osiem lat pełnych pierwotnych, sprzecznych uczuć. Ścisłe rzecz biorąc, nie pieprzył Melanie Talbot. Ale nawet, gdyby Sebastian czuł się w obowiązku wytłumaczyć, nie miałoby to sensu: idea zwykłej przyjaźni między kobietą a mężczyzną była czymś, w co Hendon nie potrafił uwierzyć, czego po prostu nie rozumiał. Nie rozumiał także co Sebastiana może obchodzić fakt, że ktoś taki jak Talbot bije swoją młodą, łagodną żonę.

- Należałoby go zabić - powiedział Sebastian bez ogródek.

- Po co? Żebyś mógł wziąć sobie jego żonę? Sebastian odwrócił się i nalał sobie następnego drinka.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

- Potrzebna ci żona. Sebastian zamarł i ostrożnie odstawił karafkę.

- Znów do tego wracamy, tak?

- Jeżeli masz zamiar obstawać przy rozwiązłym życiu, jakie prowadzisz, mógłbyś chociaż zapewnić rodowi sukcesję, zanim zapijesz się na śmierć. Albo zanim nadejdzie pewien piękny poranek, kiedy to wyjdiesz z domu i dasz się zastrzelić.

- Nie doceniasz mnie.

Odwróciwszy się, zobaczył badawcze, zmartwione oczy ojca, wpatrzone w jego czoło.

- Tym razem mało brakowało.

- Chciał mnie zabić. Hrabia zacisnął szczęki.

- Masz dwadzieścia osiem lat. Najwyższy czas się ustatkować.

- Po co? Żeby przejąć majątek? - Sebastian zaśmiał się. Widząc przerażenie ojca podniósł szklanekę w udawanym toaście i mruknął: - *Touché*.

- Stołek reprezentanta okręgu Górnego Walford jest pusty. Sebastian zakrztusił się drinkiem.

- Żartujesz.

Ojciec wciąż na niego patrzył. Sebastian odstawił szklanekę.

- Dobry Boże. Nie żartujesz.

- Dlaczego nie? Miałbyś coś do roboty zamiast picia, polowań i uwodzenia cudzych żon. A w Izbie Gmin przydałby się ktoś taki jak ty.

Sebastian długo studiował twarz ojca.

- Boisz się, że Księżcunio wprowadzi tam wigów, jeśli zostanie regentem, czyż nie?

- O, księżę Walii zostanie regentem, nie ma wątpliwości. To tylko kwestia czasu i formy. Ale napotka zdecydowany opór, jeżeli spróbuje usunąć torysów i przywrócić Ministerstwo Wszelkich Zdolności. Albo i co gorszego.

- Najwyraźniej ów opór nie byłby aż tak zdecydowany, skoro starasz się mnie zwerbować.

Hrabia przeniósł wzrok na własną szklanekę. Obrócił ją w dłoni tak, że światło lampy, zapalanej nawet teraz, odbiło się w szlifowanych fasetach, rozjaśniając mgliste popołudnie.

- W dzisiejszych niepewnych czasach niektórzy uznaliby za obowiązek dołączyć do ludzi o właściwych poglądach w obronie interesu narodowego, własności i przywilejów.

- Nigdy nie przyszło ci na myśl, że jako członek rządu mógłbym w gruncie rzeczy rzucić wyzwanie uświęconym tradycjom własności i przywilejów, i zamiast tego torować drogę herezjom jakobinizmu, ateizmu i demokracji?

Hrabia Hendonu jednym łykiem przełknął resztkę brandy i odstawił szklanekę.

- Nawet ty, Sebastianie, nie byłbyś aż takim głupcem. - Nie czekając na kamerdynera, podszedł do drzwi, nacisnął klamkę, ale jeszcze odwrócił się i powiedział: - Przemyśl to.

Sebastian odsunął ciężką zasłonę z ciemnozielonego aksamitu i stanął przy oknie. Widział znajomą mocną sylwetkę ojca ginącą w oparach mgły. Może to z powodu światła, a może przez tę mgłę ojciec nagle wydał się Sebastianowi starszy i bardziej zmęczony. Poczul ukłucie żalu, nagły impuls, żeby pobiec za ojcem i zatrzymać go, naprawić jakoś ich wzajemne stosunki. Tyle że nic między nimi nie mogło się ułożyć, bo Sebastian nigdy nie

mógłby stać się tym, kim chciałby go widzieć ojciec, i obaj o tym wiedzieli.

Sebastian znów wrócił pamięcią do owego szczęśliwego poranka na wzgórzu nad zatoką. Alistaira St. Cyr nie było wtedy z nimi. Nawet wtedy hrabia większość czasu spędzał w Londynie. Następnego dnia wrócił jednak do domu z poszarzałą twarzą, trzymając w ramionach blade, pozbawione życia ciało najstarszego syna.

Po śmierci Ryszarda tytuł wicehrabiego Dewlinu, wraz z pozycją spadkobiercy przeszedł na drugiego syna, Cecila. Ale umarł i Cecil, zaledwie cztery lata później. Wtedy to wszystkie nadzieje, ambicje i marzenia ulokował Alistair St. Cyr w chłopcu, który nigdy nie miał zostać dziedzicem, najmłodszym i najmniej ze wszystkich do ojca podobnym.

Sebastian otrząsnął się z zamyślenia, puścił zasłonę i odwrócił się w kierunku schodów.

Prawie dotarł do sypialni, gdy drogę zastąpił mu kamerdyner.

- Milordzie, muszę z panem pomówić. Rano mieliśmy wizytę konsta...

- Nie teraz, Morey.

- Ależ milordzie...

- Później - powiedział Sebastian i stanowczym ruchem zamknął drzwi.

ROZDZIAŁ 5

Sir Henry Lovejoy szedł za lokajem, odzianym w liberię i w upudrowanej peruce, przez labirynt korytarzy Carlton House. W zziębniętych dłoniach miał nerwowo kapelusz. Kilka miesięcy wcześniej audyencja u hrabiego Jarvisa odbyłaby się w St. James's Palace, gdzie urzędował biedny szalony król Jerzy III. Fakt, że Jarvis przeniósł swoją kwaterę do pałacu księcia Walii, stanowił dla Lovejoya najważniejszą wskazówkę, że regencja była sprawą przesądzoną.

Gdy wszedł do komnaty, zastał w niej człowieka siedzącego przy stole i pochłoniętego pisaniem.

Krótkim gestem pulchnej, zdobnej w pierścienie dłoni dał znać, że zauważył gościa, nie podniósł jednak wzroku, a nawet nie zaprosił Lovejoya, by usiadł. Sir Henry zawahał się w progu i stanął przy kominku, w którym płonął ogień zbyt mały, by ogrzać przestronne pomieszczenie. Wyciągnął nad paleniskiem zziębnięte dłonie. Z oddali dobiegało rytmiczne stukanie młotka i brzęk; prawdopodobnie ktoś pracował na rusztowaniu. Księżę Walii zawsze coś remontował - jak nie tu, w Carlton House, to w letniej rezydencji w Brighton.

- A więc - przemówił w końcu Jarvis, odkładając pióro i rozsiadając się na krześle, by lepiej widzieć gościa. - Co ma pan mi do powiedzenia w tej przykrej sprawie?

Lovejoy cofnął ręce znad ognia, odwrócił się i wykonał sztywny ukłon. Potem opisał ze szczegółami miejsce zbrodni, ofiarę i zgromadzone dotychczas dowody.

- Tak, tak - przerwał Jarvis ze zniecierpliwieniem i wstał. Lovejoy urwał w pół zdania. - Już to słyszałem od konstabla. Oczywiście, hrabiego Dewlinu należy natychmiast aresztować. Doprawdy nie pojmuję, dlaczego nie wydano jeszcze nakazu.

Lovejoy patrzył, jak jego hrabiowska mość przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu wytwornej tabakiery z kości słoniowej. Jarvis był człowiekiem wyjątkowo potężnej budowy, wysokim na ponad sześć stóp. Ważył przeszło dwieście sześćdziesiąt funtów. Za młodu był przystojny. Lata obżarstwa i rozpusty zrobiły swoje, jednak szare, przenikliwie inteligentne oczy, orli nos o szlachetnym zarysie i zmysłowe, pięknie wykrojone wargi zdradzały dawną urodę. Lovejoy chrząknął.

- Niestety, wasza hrabiowska mość, sądzę, że zgromadzone dotychczas dowody są niewystarczające, by usprawiedliwić podjęcie w chwili obecnej takich kroków.

Jarvis poderwał głowę i wbił w sir Henry ego twarde spojrzenie. Jego mięsista twarz nabiegła krwią.

- NIEWYSTARCZAJĄCE? Wielkie nieba, człowieku, czego byś chciał? Naocznego świadka? Lovejoy wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Wasza hrabiowska mość, przyznaję, że dowody istotnie zdają się obciążać wicehrabiego. Na razie jednak wiemy o tej kobiecie bardzo niewiele. Nawet nie mamy pojęcia, jaki mógł być motyw zbrodni.

Hrabia Jarvis zręcznie otworzył tłustym palcem tabakierę i zażył szczyptę proszku.

- Została zgwałcona, czyż nie?

- Tak, wasza hrabiowska mość.

- Więc macie swój motyw.

- Możliwe, wasza hrabiowska mość. Jednakże okrucieństwo i brutalność ataku sugerują poziom agresji wykraczający poza zwykłą żądzę.

Jarvis zatrzasnął pudełko i westchnął.

- Niestety, takie wybuchy agresji nie są obce młodym dżentelmenom, którzy walczą na wojnie dla króla i państwa. Jak rozumiem, Dewlin zabił przynajmniej dwukrotnie od powrotu z kontynentu.

- Sprawy honoru, wasza hrabiowska mość. Przeciwnicy odnieśli rany. Nikt nie zginął.

- Tym niemniej tendencja jest oczywista.

Jego lordowska mość podszedł do okna. Przez chwilę patrzył na położony niżej taras, z rękami założonymi na plecach, nieporuszony, jakby pogrążony w myślach. Chwilę trwało, zanim przemówił.

- Mądry z pana człowiek. Bywały. Nie muszę wyjaśniać, co oznacza fakt, że syn prominentnego arystokraty, członka rządu, na miłość boską, jest zamieszany w podobną sprawę. Jeżeli zobaczą, że się wahamy - ramię w dobrze skrojonym rękawie objęło ulicę szerokim gestem - jeżeli tłuszcza zrozumie, że przyjście na świat w uprzywilejowanej rodzinie oznacza, iż Anglik może bezkarnie zgwałcić i zamordować kobietę, popełnić świętokradztwo...

Jarvis przerwał, jego ramię opadło, a głos przeszedł w głęboki szept.

- Wie pan, byłem w Paryżu w 1789. Nigdy tego nie zapomnę. Krew spływająca ryszotkami. Ucięte głowy, nadziane na piki. Arystokratki wyciągane z powozów, rozdierane żywcem przez wyjące tłumy.

- Urwał, patrząc ostro w twarz Lovejoya. - Chce pan to zobaczyć, tu, w Londynie?

- Nie. Oczywiście, że nie, wasza hrabiowska mość. - odpowiedział pospiesznie Lovejoy.

Wiedział, że Jarvis manipuluje jego uczuciami, że w sprawę wmieszane były siły, o których on, zwykły sędzia pokoju, nie ma i nigdy nie będzie miał pojęcia. Wiedział o tym, ale i tak poczuł zimny dreszcz, ściskające trzewia przerażenie. Najgorszym lękiem każdego Anglika była obawa, że nieskończona, gwałtowna, bezmyślna fala okrucieństwa Rewolucji Francuskiej pewnego dnia przekroczy kanał La Manche i zniszczy wszystko, co mu najdroższe.

- Jeżeli hrabia Dewlinu w istocie nie popełnił przestępstwa, o które się go podejrzewa - mówił Jarvis - to w toku postępowania zostanie oczyszczony z zarzutów i uwolniony. Ważne, aby ludzie widzieli działanie. Żyjemy w trudnych czasach. Z frontu napływają niepomysłne wiadomości. Lud jest niezadowolony i burzy się, zatem łatwo może paść łupem rozmaitej maści radykałów. Jako że stan jego królewskiej mości raczej nie ulegnie poprawie, Parlament zaś musi przegłosować ustawę o regencji, zagrożona jest stabilność państwa. Teraz nie czas na wahanie, wątpliwości czy opóźnienia. Księżę Walii chce, by Dewlin został aresztowany jeszcze dziś. - Jarvis przerwał. - Mam nadzieję, że mogę liczyć na takt i dyskrecję z pańskiej strony.

Wymierzanie sprawiedliwości członkom arystokracji nigdy nie było łatwe. Jednak czasem się zdarzało.

Niewiele czasu minęło od aresztowania, procesu i skazania na stryczek czwartego hrabiego Ferrersa za zamordowanie służącego. Wyrok został wykonany. Dla Sebastiana St. Cyr, spadkobiercy hrabiego Hendonu, tytuł wicehrabiego Dewlinu miał jedynie kurtuazyjne znaczenie. Tytułowano go „hrabią”, nie łączyły się z tym jednak żadne korzyści prawne przysługujące arystokracji. Do czasu, gdy miał zastąpić ojca jako hrabia Hendonu, Dewlin, formalnie rzecz biorąc, arystokratą nie był. Dlatego też miał być sądzony, jak każdy pospolity przestępca, przez Ławników Królewskich, a nie przez Izbę Lordów.

Rzecz jasna, jeżeli doszłoby do procesu.

Lovejoy skłonił się nisko.

- Tak jest, wasza hrabiowska mość. Dopilnuję tego osobiście. Zwycięski, prawie łagodny uśmiech rozjaśnił nagle oblicze hrabiego Jarvisa.

- Znakomicie. Wiedziałem, że można na pana liczyć.

Sir Henry Lovejoy z kapeluszem w kurczowo zaciśniętej dłoni opuścił w ukłonach komnatę wielkiego człowieka. Ale gdy oddalał się długim ozdobnym korytarzem rozbrzmiewającym echem jego kroków, z dziwnie ciężkim sercem zdał sobie sprawę, że ktoś próbuje go wykorzystać.

ROZDZIAŁ 6

Wciąż miewał sny o wojnie. Widział umierające dzieci, ich ciemne oczy pełne bólu i strachu, kobiety o złotawej skórze i wzdętych ciężarnych brzuchach rozpruwanych ostrzami bagnatów. Niegdyś to, czy bagnety należały do żołnierzy angielskich, czy francuskich, miało ogromne znaczenie. Później zrozumiał, że to tylko kwestia czasu i geografii, że żołnierze na wszystkich frontach robili takie rzeczy. Kiedyś myślał, że Anglicy byli narodem wybranym przez Boga, Anglia zaś ziemią wyniesioną nad wszystkie inne, chronioną boską opatrnością; siłą dobra, walczącą z wrogami, którzy zatem musieli być siłami zła. Kiedyś wierzył w sprawiedliwe wojny i słuszne sprawy. Kiedyś.

Sebastian otworzył oczy. Jego oddech był szybki i urywany, a dłonie, zaciśnięte w pięści, wilgotne od potu. W sypialni o szczelnie zasłoniętych oknach panowały ciemności, nie wiedział zatem, która jest godzina. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, gdzie się znajduje i dlaczego. Nie chciał zasypiać, zamierzał tylko odpocząć. Powoli zacisnął powieki, po czym znów je otworzył. Ale wspomnienie mrocznych obrazów prześladowujących pamięć nie chciało go opuścić.

Sir Henry Lovejoy zdecydował, że na Brook Street będą mu towarzyszyć starszy konstabl Edward Maitland, i jeszcze jeden - młodszy konstabl nazwiskiem Simplot, wybrany przez Maitlanda. Lovejoy nie spodziewał się oporu ze strony człowieka o pozycji społecznej Dewlina. W głębi duszy obawiał się jednak, że gdyby wybrał się sam, bez konstabli, wicehrabia mógłby go potraktować lekceważąco. O dziwacznych zwyczajach podejrzanego krążyły prawdziwe legendy. Lovejoy wyobrażał sobie, że mężczyzna tego pokroju mógłby po prostu roześmiać się dokonującemu aresztowania sędziemu prosto w twarz. Gdyby Lovejoy mierzył więcej niż cztery stopy i jednaście cali, może czułby się pewniej. Tak, czy inaczej, poczuł tajemną radość, widząc, że Simplot jest dobrze zbudowany i wyższy nawet niż Maitland.

- Poczekaj na nas - powiedział stangretowi, gdy zatrzymali się przed rezydencją Dewlina na Mayfair Street.

Był to elegancki budynek ze zgrabnym wykuszowym oknem i jońskim portykiem o pięknych proporcjach. Nie wytrzymał jednak porównania z rezydencją rodziny St. Cyr, masywną granitową budowlą na Grosvenor Square, która pewnego dnia miała przejść na własność Dewlina, wraz z tytułami ojca, nieruchomościami w Kornwalii, hrabstwach Devon i Lincolnshire oraz udziałami w kopalniach, stocznjach i bankach. Lovejoy patrzył na schludną,

zdobną w sztukaterie fasadę i zastanawiał się, jak fakt, że Dewlin zdecydował się zamieszkać tutaj, na Brook Street, zamiast w ojcowskim pałacu, świadczy o wzajemnych stosunkach hrabiego Hendonu i jego jedyne go następcy.

- Jego hrabiowska mość przekona się, że Newgate jest lokalem o zgoła odmiennym standardzie - powiedział półgębkiem Maitland, gdy kamerdyner o kamiennej twarzy wprowadził ich z ukłonem do holu. - Zaiste, bardzo odległym - dodał, kręcąc blond głową na wszystkie strony, by obejrzeć jak najwięcej lśniących białych i czarnych marmurów oraz rząd portretów oprawnych w złote ramy, zawieszonych wzdłuż krętych schodów prowadzących na piętro.

- Uprowadzacie fakty, konstablu. - syknął Lovejoy, gdy kamerdyner zapukał do biblioteki i usłyszał zaproszenie wicehrabiego.

- Milordzie - powiedział kamerdyner. - Osoby, które pragnęły się z panem zobaczyć dziś rano, powróciły. W towarzystwie.

Wicehrabia Dewlinu stał przy biurku, opierając się biodrem o jego krawędź. Po jego twarzy przemknął wyraz irytacji, gdy podniósł wzrok znad trzymany ch w ręce papierów. Był wysoki i szczupły, z ciemnymi włosami i wysokim czołem, na którym coś - lub ktoś - niedawno pozostawiło paskudną szramę.

- Tak? - spytał. - O co chodzi?

Lovejoy zaczął na wyjście kamerdynera, po czym skłonił się nisko.

- Jestem sir Henry Lovejoy, główny sędzia pokoju z Queen Square. Milordzie, wydano nakaz pańskiego aresztowania w związku z morderstwem Rachel York.

Lovejoy nie wiedział jakiej reakcji powinien się spodziewać - poczucia winy albo może gwałtownych zapewnień o niewinności. W ostateczności można było oczekiwać szoku i żalu spowodowanych śmiercią pięknej kobiety, która z pewnością budziła podziw Dewlina. Młody człowiek pozostał jednak nieporuszony, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji z wyjątkiem czegoś, co przypominało znudzenie.

Dewlin odłożył papiery na bok.

- Co to ma znaczyć? To jakiś żart?

- Niestety, milordzie. Zarówno ślady znalezione na miejscu zbrodni, jak i zeznania świadków obciążają pańską osobę.

Wicehrabia skrzyżował ręce na piersiach i zmienił pozycję, opierając się mocniej na biurku i wyciągając długie nogi przed siebie.

- Doprawdy? To ciekawe. Jakie ślady? Kim są owi świadkowie?

Lovejoy zrewanżował się młodemu mężczyźnie podobnym spojrzeniem. Dewlin miał niezwykle oczy, przenikliwe i żółte, przypominające południowe słońce. Lovejoy z trudem panował nad głosem.

- Najpierw muszę zapytać, milordzie, co pan robił wczoraj między godziną piątą a ósmą wieczorem?

- Byłem poza domem.

- Poza domem? - spytał Maitland z agresywnie wysuniętą szczęką. - To znaczy gdzie? Wicehrabia skierował uwagę na starszego konstabla, mierząc go przeciągłym zimnym spojrzeniem.

- Poza domem... Wszedłem na spacer.

Twarz Maitlanda pokryła się rumieńcem gniewu. Lovejoy zrozumiał, że towarzystwo konstabla było błędem. Maitland był za bardzo zaczepny i agresywny, zbyt porywczy i skłonny do gniewu, by poradzić sobie z człowiekiem tak wyniosłym jak Dewlin. Lovejoy posłał podwładnemu ostrzegawcze spojrzenie i powiedział cicho: - Zapominacie się, konstablu. Dewlina zaś spytał:

- Czy ktoś może potwierdzić pańskie zeznania, milordzie?

Wicehrabia przeniósł wzrok na Lovejoya. Te oczy naprawdę były nieludzkie. Dzikie i

złowrogie, jak ślepia wilków w ciemności.

- Nie.

Lovejoy poczuł rozczarowanie. O ileż prostsze byłoby życie, gdyby wicehrabia spędził owe fatalne godziny na kolacji z przyjaciółmi czy oglądając walkę na pięści.

- Obawiam się więc, że muszę prosić, milordzie, by udał się pan z nami na Queen Square. Niepokojące żółte oczy zwięzły się.

- Zastanawiam się, czy wolno mi będzie wysłać służącego po płaszcz i inne zimowe utensylia? Mniemam, że o tej porze roku w pomieszczeniach na... Newgate może być raczej chłodno? Dewlin odwrócił się w stronę Maitlanda, mierząc go ironicznym spojrzeniem.

Dreszcz przebiegł po plecach Lovejoya. Nie było mowy, żeby wicehrabia usłyszał uwagę Maitlanda wyszeptaną wcześniej w holu. To po prostu niemożliwe. A jednak... Lovejoy przypomniał sobie pogłoski, niemal legendarne historie, w które nigdy jakoś nie chciało mu się wierzyć, o niezwykle wyostrzonym wzroku i słuchu młodego wicehrabiego, nadludzkim niemal refleksie i kociej umiejętności widzenia w ciemności. Były to bezcenne talenty, śmiertelnie skuteczne w walce przeciwko Francuzom na Półwyspie, nim wicehrabia wrócił do kraju z powodów, które ginęły w pogłoskach i niedopowiedzeniach.

- Naturalnie może pan zabrać wszystko, co wedle pana najlepszego osądu stanowić będzie jak najlepszą ochronę przed zimnem - odpowiedział natychmiast Lovejoy.

Żółte oczy rozbłysły nieoczekiwanym w tej sytuacji rozbawieniem. Trwało to jednak krótko.

- Dziękuję - odpowiedział wicehrabia. I po raz kolejny tego dnia sir Henry Lovejoy poczuł, że błahe i pozornie nieistotne zdarzenia kryją w sobie daleko głębsze treści i znaczenia...

ROZDZIAŁ 7

Pół godziny później Sebastian stał na szczycie frontowych schodów, z ręką opartą lekko na balustradzie.

Zmrok przyniósł ochłodzenie, rzędzące opary mgły spowijały brudnym kokonem chodniki i wygaszone lampy. Sebastian odetchnął głęboko zimnym, ostrym powietrzem.

Nie był specjalnie zmartwiony. Znajomość z Rachel York była przelotna i na wskroś platoniczna. Jeżeli nawet jakiegokolwiek fakty obciążały go winą za jej śmierć, z całą pewnością zostaną szybko zrewidowane - nawet jeżeli nie miał zamiaru przyznawać nikomu jak spędził czas między piątą a ósmą ubiegłego wieczoru.

Jednakże schodząc po schodach poczuł dziwny stan umysłu, jakby przecucie. Wyraźnie słyszał za sobą wolne ciężkie kroki młodego konstabla, a z przodu dziwaczny piskliwy głos Lovejoya, który zawahał się przed otwartymi drzwiami powozu i powiedział coś do stangreta.

Powóz stał na ulicy - stare lando z niskim zaokrąglonym dachem i skórzanymi luźnymi pasami, woniejące stęchlizną. Starszy konstabl, Maitland, pochylił się nagle, chwycił ramię Sebastiana w mocny uścisk i zbliżył oblicze do jego twarzy.

- Śmiałem przypuszczać, że to znacznie gorszy pojazd niż środki lokomocji, którymi jaśnie pan zazwyczaj podróżuje. - powiedział, wykrzywiając wargi w szyderczym uśmiechu. - Nie mam racji? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsłaniając zaciśnięte zęby, i wbił palce w ramię Sebastiana. - Milordzie?

Sebastian spojrział w zuchwałe oczy konstabla z nikłym uśmiechem.

- Pogniecie mi pan płaszcz. - powiedział, zaciskając dłoń na nadgarstku Maitlanda. Był to prosty chwyt, jakiego nauczył się w górach Portugalii, naciśnięcie na nerw w odpowiednim miejscu. Konstabl gwałtownie wciągnął oddech, jego uścisk zelżał. Mimowolnie uczynił krok w tył.

Lepka, cuchnąca mgła pokryła kamienne schody śliską warstwą gołoledzi zmieszanej z sadzą. Stopa Maitlanda obsunęła się ze stopnia; konstabl obrócił się, walcząc o równowagę, uderzył plecami o żelazną balustradę i upadł na kolano. Obok wylądował jego kapelusz.

Maitland miał pretensje do elegancji graniczące wręcz z dandyzmem. Zdradzały je starannie ufryzowane, ułożone włosy, sztywny wysoki kołnierzyk koszuli i precyzyjnie zawiązany krawat. Konstabl nasadził kapelusz z powrotem na głowę i wyprostował się powoli. Nogawka drogich bryczesów była rozdarta.

- Ty cholerny draniu - Szczęki Maitlanda były kurczowo zaciśnięte, nozdrza falowały. Sebastian patrzył jednak na jego ręce. Londyńscy stróże prawa zazwyczaj nie nosili przy sobie noży, wyjątek stanowili ci najbardziej agresywni. Nóż Maitlanda miał małe, doskonale naostrzone ostrze, lśniące mimo mgły. Konstabl uśmiechnął się. - Spróbuj jeszcze raz tych swoich sztuczek, a nie zdążysz zawisnąć. Milordzie.

Sebastian wiedział, że to czcze pogroźki. Ale młody konstabl - ten o uczciwej, otwartej twarzy i potężnej sylwetce - rzucił szybkie, zmartwione spojrzenie na ulicę, gdzie Lovejoy stał odwrócony tyłem, z nogą na stopniu powozu.

- Na miłość boską, niech pan to odłoży, zanim sir Henry zobaczy.

Pochylił się, zapewne żeby zasłonić nóż przed wzrokiem sędziego. Był jednak wielki i niezgrabny, a mokre schody - zdradliwe. Również i on się poślizgnął, a potem z okrzykiem przerażenia runął do przodu, prosto na nóż Maitlanda. Sebastian widział, jak oczy młodzieńca rozszerzają się w zaskoczeniu, a twarz wiotczeje.

- Chryste - Maitland, z twarzą wykrzywioną przerażeniem, puścił rękojeść.

Młody konstabl zachwiał się i spojrzał na sterczący z piersi nóż. Z ust pociekła mu cienka strużka krwi.

- Zabiłeś mnie - wyszeptał ze wzrokiem utkwionym w Maitlandzie, i osunął się na ziemię. Sebastian chwycił młodzieńca, powstrzymując upadek. Krew zabarwiła jego dłonie, rozlała się po płaszczu. Złożył konstabla na ziemi, zerwał z szyi fular i przycisnął go do rany w piersi. Wytworna tkanina w jednej chwili przesiąkła krwią.

- Wielki Boże - wyszeptał Maitland, zbiegając z ostatniego stopnia z poszarzałą twarzą.

- Sprowadźcie doktora. Szybko - warknął Sebastian.

Maitland stał jak zamurowany, z ręką na balustradzie, chłonąc scenę szeroko otwartymi oczami.

- Do kroćset, sir Henry, czy mógłby pan...? Sebastian obrócił się na kolanie w stronę sir Henry'ego, stojącego na stopniach powozu. Na małej twarzy sędziego widoczny był szok.

- Milordzie - powiedział - Co pan uczynił?

- Co JA uczyniłem? - zdziwił się Sebastian.

Szeroko otwarte oczy Maitlanda, który wciąż trzymał się balustrady, przeniosły się z rannego konstabla na sędziego.

- Ugodził go! - krzyknął nagle. - Ugodził Simplota! Sebastian spojrzał na rannego mężczyznę. Z nieba zaczął padać zimny mżący kapuśniaczek, pokrywając ciemniejący bruk szklistą poświatą i zraszając poszarzałą twarz umierającego. Sebastian widział śmierć wystarczająco często, od Italii i Indii Zachodnich, aż po Portugalię, żeby trafnie rozpoznać jej zwiastuny. Ten człowiek umierał, a Sebastian miał być obarczony winą za jego śmierć, tak, jak oskarżono go o śmierć aktorki z West Endu, którą ledwo znał.

Z początku myślał że to nieporozumienie, chwilowe komplikacje, z którymi łatwo sobie poradzi. „Teraz to nie takie proste”, pomyślał. Sebastian wyjął ręce spod ramion konstabla i podniósł się na nogi. Brook Street, do niedawna opustoszała, teraz rozbrzmiewała echem zbliżających się kroków. Dwa oddziały straży pałacowej w szkarłatnych mundurach z żółtymi wyłogami, białych kamizelkach, bryczesach i czarnych getrach wyłoniły się zza węgła pobliskiej Davies Street.

- Hej, wy tam - krzyknął sir Henry Lovejoy z otwartych drzwi powozu, w geście oskarżenia wskazując drżącą ręką na Sebastiana. - Zatrzymajcie tego dzentelmena. Maitland! Weźcie się w garść!

Maitland potrząsnął głową, jakby chciał coś z niej strząsnąć, i niezdarnie odszedł od barierki. Sebastian zatrzymał go prawym sierpowym prosto w szczękę, który rzucił nieszczęsnego konstabla z powrotem na ozdobioną sztukateriami ścianę.

Deszcz padał coraz gęściej. Ktoś krzyknął, ktoś inny zaczął biec. Sebastian obrócił się, ocenił odległość od pudła powozu, po czym jednym skokiem umieścił się obok zdumionego stangreta z taką siłą, że stare lando zakołysało się niebezpiecznie na zużytych resorach.

- Ale, ale, jasnie panie - powiedział stangret, otwierając szeroko przekrwione oczy, osadzone w pomarszczonej, zszarzałej twarzy. - Jasnie panu nie wolno tu ze mną, na kozle, to nie uchodzi.

- Sugeruję zatem, byście zeszli - Sebastian chwycił lejce, z bezwładnej ręki stangreta wyjął bat i świsnął nim tuż nad uszami gniadoszy. Stary powóz gwałtownie ruszył.

- Niech mnie dunder świsnie - jęknął stangret i zeskoczył na bruk.

Sebastian obejrzał się za siebie. Gwardziści tłoczyli się wokół rannego konstabla, ale Maitland biegł co sił za powozem, a na jego twarzy widniał wyraz determinacji.

- Zatrzymać powóz! Ten człowiek jest mordercą!

- Do kroćset! - zaklął Sebastian i mocno zaciął konie.

Nie oglądając się więcej, skręcił w New Bond Street, mieszcząc się cudem między szeroką furmanką i gigiem na wysokich kołach, którym powoził tłusty mężczyzna w żółtym płaszczu. Mężczyzna szarpnął lejce, kasztan stanął dęba.

- Hej, ty! - Sebastian usłyszał krzyk Maitlanda. Odwracając się zobaczył, że konstabl wskakuje na kozioł gigu. - Oddawaj lejce.

- Olaboga, dlaczego - biadolili woźnica.

- Złaż - warknął Maitland i ściągnął lejce, odzyskując kontrolę nad koniem, po czym zepchnął woźnicę z siedzenia.

Daleko z przodu ulica była zatłoczona pojazdami. Sebastian zebrał lejce, oceniając odległość między stojącym barouchem wdowy i wózkiem zaprzężonym w osiołka, niespiesznie poruszającym się w górę zalanej deszczem ulicy.

- Milordzie! - krzyknął sir Henry Lovejoy, wychyliwszy się do połowy z otwartego okna landa na deszcz i waląc pięścią w starą budę powozu - W imieniu króla żądam, byś zatrzymał ten powóz NATYCHMIAST! „Do licha”, pomyślał Sebastian. Zapomniał o sędzi.

- Proszę schować głowę - krzyknął, unikając jego wzroku.

- Powiedziałem: żądam - sir Henry przerwał, patrząc szeroko otwartymi oczami, jak Sebastian zawraca wokół baroucha, i to tak blisko, że jedna z wiszących przy powozie lamp musnęła rondo sędziowskiego kapelusza.

- Wielki Boże - sapnął sędzia, gwałtownie chowając łysą głowę do wnętrza powozu.

Wisząc na lejcach, gwałtownym skretem w lewo Sebastian wprowadził lando na Maddox Street. Przerażony osioł, zaprzężony do wózka, który powóz minął w pędzie, zaczął szarpać się i kopać. Z wózka, prosto na bruk, wysypał się ładunek - stado gdaczących kurczaków.

- Zabierzcie z drogi ten przeklęty wózek! - wrzasnął Maitland, zatrzymując gig. Kasztan parskał i potrząsał łbem, gdy konstabl ściągnął lejce.

Gniadosze poszły pędem. Sebastian popuścił lejce, pędząc Maddox Street wzdłuż kamiennego gmachu kościoła Świętego Jerzego. Łagodny dźwięk kościelnych dzwonów rozbrzmiewał w rześkim wieczornym powietrzu. Elegantki w kolorowych sukniach i panowie z parasolkami pierzchali w popłochu przed rozpędzonym powozem.

- Zatrzymać ten powóz! - krzyczał Lovejoy, wygrażając pięścią, gdy Sebastian skręcił na rogu kościoła, pędząc w Mili Street. - W imieniu króla, stać!

Sebastian rozejrzał się pospiesznie, ale ulica była pusta. Nie dostrzegł nikogo poza latarnikiem i jego synem. Mężczyzna zawrócił tuż przed wylotem Conduit Street, w ostatniej chwili unikając zderzenia gniadoszy z potężnym karym wierzchowcem. Młoda dama, która go dosiadała, starała się odzyskać kontrolę nad rozszalałym koniem.

Gwałtownie ściągnął lejce. Gniadosze stanęły dęba, parskając, ich podkowy krzeszały iskry. Złącza starego landa skrzypnęły, usłyszał trzask pękającego drewna. Pudło powozu przechyliło się na bok i roztrzaskało o bruk.

- Dewlin - wrzasnął sir Henry, walcząc z drzwiami powozu.

- Do licha - szepnął Sebastian. Na twarzy czuł strugi deszczu. „Gdzieś po drodze musiałem zgubić kapelusze”, pomyślał. Ześlizgnął się z kozła, zachwiawszy na mokrym bruku i minął masztalera młodej damy, który zszedł z własnego konia, by złapać za uzdę przerażonego wierzchowca swojej pani.

Koń masztalera, dobrze ułożone, cierpliwe zwierzę, stał nieopodal, z ciężkim łbem zwieszonym nisko i wodzami wlokącymi się po mokrym bruku. Sebastian chwycił wilgotne rzemienie i wskoczył na siodło.

- Hej, ty tam! Stać! - pobladły masztalierz odwrócił się od spłoszonego karosza. - Stój, koniokradzie!

Sebastian spiął myszatego konia i pogalopował ściemniałą deszczem ulicą w stronę Covent Garden i mroków półświatka St. Giles.

ROZDZIAŁ 8

Charles hrabia Jarvis nie pamiętał dokładnie, kiedy uświadomił sobie, że większość jego pobratymców charakteryzuje niewiarygodna wręcz głupota. Przypuszczał, że owa konstatacja dojrzywała przez lata starannej obserwacji zachowań i procesów myślowych pokojówek, lokajów, prawników, lekarzy i panów na włościach, zaludniających świat jego dzieciństwa. Za to pamiętał dokładnie, kiedy zdał sobie sprawę z potęgi własnego intelektu i władzy, jaką mu ona daje.

Miał wtedy dziesięć lat i cierpiał pod jednym z szeregu guwernerów, których matka uparła się zatrudnić do nauczania jedyne syna i spadkobiercy zmarłego męża. Nie chciała narażać wątego zdrowia jedynaka (a i swojej pozycji, jako matki dziedzica) na potencjalnie śmiertelne rygory Eton. Wikary, niejaki pan Hammer, miał się za nie lada uczonego. Jedyne brutalna konieczność zmusiła go do przyjęcia nędznej posady wychowawcy; nie marnował też okazji, by uzmysłwić pupilowi ogrom jego ignorancji i ciasnotę horyzontów. Pewnego dnia dał Jarvisowi niewykonalne, jak mniemał, zadanie: problem matematyczny, nad którym sam biedził się w Oksfordzie ponad miesiąc. Jarvis rozwiązał je w dwie godziny.

Jego sukces tak rozwścieczył wychowawcę, że pod byle pretekstem spuścił chłopcu tęgie lanie. Jarvis uznał jednak, że było warto, ponieważ w owej chwili triumfu zrozumiał, że większość ludzi, nawet szlachetnie urodzonych i dobrze wykształconych, ma umysły, które błędzą i gubią się na manowcach.

Pojął także, że jego własna umiejętność szybkiego, sprawnego myślenia, analizy i odkrywania struktur oraz tworzenia precyzyjnych strategii i rozwiązań była nie tylko rzadkością, ale i bardzo potężnym narzędziem.

Najpierw myślał, że w Londynie będzie inaczej. Szybko jednak odkrył, że poziom głupoty i niekompetencji w najwyższych sferach, czy nawet w rządzie, nie różni się zasadniczo od spotykanych gdzie indziej, na przykład, na spotkaniu szczwaczy z Middlesex.

Człowiek, którym Jarvis zajmował się w tej chwili, hrabia Frederick Fairchild, mógł służyć jako przykład.

Był synem księcia, ale tylko młodszym, co oznaczało, że w życiu musi polegać na sobie. Radził sobie zresztą całkiem nieźle, nawet wedle standardów klasy społecznej, z której

się wywodził, chociaż uparta sympatia do wigów ograniczała mu dostęp do władzy pod rządami króla Jerzego. Teraz, gdy księżę Walii miał zostać regentem, hrabia Frederick ufał, że długotrwałe poparcie dla Księciunia zostanie wreszcie nagrodzone. Przybył tu, do komnat Carlton House, oddanych do użytku Jarvisa, w oczywistym zamiarze wybadania na jakie stanowisko może liczyć. Wysokie aspiracje Fairchilda, nawet i do stołka premiera, były w Londynie tajemnicą poliszynela.

- W przyszły wtorek członkowie obu Izb zbierają się na wspólne obrady - mówił Frederick. Jego łagodne szare oczy były czujne. - Jeżeli osiągniemy kompromis co do sformułowań, to nie widzę przeszkód, by zaprzysiężenie księcia odbyło się szóstego lutego - urwał i spojrzał wyczekująco na Jarvisa.

Mimo pięćdziesiątki na karku hrabia wciąż cieszył się opinią przystojnego mężczyzny: wysoki, szczupły, o szerokich ramionach i gęstwinie falujących srebrnych włosów. Był wdowcem i ulubieńcem dam; zawsze mogły liczyć na kolację w jego towarzystwie czy pomoc w przewracaniu nut. Przyjazne usposobienie hrabiego w połączeniu z obyciem towarzyskim owocowało stałymi zaproszeniami na przyjęcia w wiejskich rezydencjach i na zwykłe wydarzenia londyńskiego sezonu. Lecz hrabia Frederick miał kosztowne zwyczaje - kosztowne i niebezpieczne. One to przydały natarczywości pytaniu, zadanemu z wystudiowaną nonszalancją:

- Czy księżę podjął jakieś decyzje w sprawie stanowisk w jego nowym rządzie?

To było dyplomatyczne posunięcie. Wszyscy wiedzieli, że księżę Walii niewiele decyzji podejmuje samodzielnie, wyjąwszy sprawy tak wielkiej wagi, jak kolor nowych jedwabnych zasłon do salonu czy wybór architekta do nadzoru najnowszego projektu renowacji. Jarvis uśmiechnął się rozbajająco ze swojego miejsca przy oknie.

- Na razie nie.

Przez twarz hrabiego przemknęło stłumione rozczarowanie. Fairchild był dziś wyjątkowo niespokojny. Podskoczył nawet, gdy jeden z sekretarzy Janasa delikatnie zapukał do drzwi i zaanonsował:

- Sir Henry pragnie widzieć waszą hrabiowską mość. Mówi, że to ważne.

- Prosić - odpowiedział Jarvis, mając na uwadze hrabiego Fredericka. Warto byłoby sprawdzić, czy Fairchild słyszał o śmierci Rachel York. W samej rzeczy, byłoby to wręcz interesujące.

- Co się znowu stało? - zapytał na widok sędziego głosem, w którym celowo pobrzmiwało zniecierpliwienie.

Sir Henry zwrócił pytające spojrzenie na hrabiego Fredericka i zawahał się.

- Może pan mówić otwarcie - powiedział Jarvis, wykonując nieokreślony gest w stronę Fredericka. - Zakładam, że sprawa dotyczy hrabiego Dewlinu?

- Tak, wasza hrabiowska mość - sędzia urwał i Jarvis zrozumiał, że nie spodoba mu się to, co za chwilę usłyszy. - Uciekł.

Jarvis nigdy nie pozwalał sobie na luksus ujawniania emocji, choć nieraz pozorował wybuchy gniewu, gdy chciał osiągnąć zamierzony efekt - budzić lęk i umacniać w podwładnych determinację, by zadowolić swego chlebodawcę. Teraz odczekał kilka starannie odliczonych uderzeń serca, potem odezwał się lodowatym tonem, z odpowiednią dawką niedowierzania i usprawiedliwionej ciekawości:

- Uciekł, sir Henry? Mówi pan, że UCIEKŁ?

- Tak, milordzie. Ugodził nożem jednego z moich konstabli i ukradł powóz, który potem... Jarvis ścisnął dwoma palcami nos i natychmiast zamknął oczy.

- Proszę oszczędzić mi szczegółów - westchnął i opuścił rękę. - Rozumiem, że udało się ustalić miejsce jego pobytu?

Nieznaczny rumieniec zabarwił policzki sędziego. Nigdy nie czuł się bardziej niekompetentny, niż w sytuacjach, gdy przypisywano mu tę właśnie cechę.

- Jeszcze nie, wasza hrabiowska mość.

Hrabia Frederick zerwał się ze swojego miejsca przy kominku, chłonąc scenę szeroko otwartymi oczami.

- Czy mam rozumieć, że próbował pan aresztować syna hrabiego Hendonu? Na jakiej podstawie?

- Jest oskarżony o morderstwo - odpowiedział oględnie Jarvis.

- Morderstwo? Dobry Boże. Ale... rana Talbota wydała mi się co najwyżej godna pożałowania, lecz na pewno nie śmiertelna. Czyżby jednak umarł?

Odpowiedź padła tym razem ze strony sir Henry'ego, z tak dlań charakterystycznym nerwowym ukłonem.

- Ostatnia sprawa honorowa hrabiego Dewlinu nie była, o ile mi wiadomo, tragiczna w skutkach. Hrabia jest jednak zamieszany w śmierć młodej kobiety, której ciało znalezione dziś rano w kościele Świętego Mateusza, niedaleko opactwa. Ofiarą jest aktorka, niejaka Rachel York.

Jarvis patrzył z zainteresowaniem, jak szczęka hrabiego opada ze zdumienia. Zazwyczaj Fairchild lepiej ukrywał emocje.

- Aresztowaliście hrabiego Dewlinu za zabójstwo Rachel? Sir Henry zamrugał powiekami.

- Znał ją pan, milordzie?

- To za wiele powiedziane. To znaczy widziałem ją, rzecz jasna, w Covent Garden i, naturalnie, słyszałem o jej zabójstwie. Ale nie miałem pojęcia, że Dewlin... - Hrabia Frederick wyciągnął z kieszeni chustkę i przycisnął delikatne płótno do ust.

- Przepraszam - wybełkotał i wybiegł z komnaty. Sir Henry obserwował wychodzącego hrabiego ze zmarszczoną brwią.

- Chcę, by wszyscy pańscy ludzie, którzy nie mają nic innego do roboty, ruszyli w pościg za Dewlinem - powiedział Jarvis, skupiając na sobie uwagę sędziego.

- Tak, milordzie - odpowiedział sir Henry z ukłonem.

- Oczywiście bramy miejskie zostały obsadzone? Kolejny ukłon.

- Tak, milordzie. Chociaż ostatnio wicehrabia nie jest szczególnie mile widziany na kontynencie.

- Jest jeszcze Ameryka.

- Tak, milordzie.

Jarvis sięgnął po tabakierę. Mały sędzia zaczął go nudzić.

- Ufam, że rano otrzymam bardziej satysfakcjonujący raport.

- Mam nadzieję, milordzie. - powiedział sir Henry Lovejoy i wycofał się z ukłonem.

Jednak gdy sędzia wyszedł, Jarvis stał jeszcze przy zalanym deszczem oknie, z zapomnianą tabakierą w dłoni, i patrzył w ciemność. Mgła wreszcie opadła, mógł więc widzieć Mail Street, mokry bruk lśniący w chybotliwym żółtym świetle ulicznych latarni i świateł przejeżdżających powozów.

Nie obchodziło go, rzecz jasna, czy Dewlin odpowiadał za śmierć aktorki, czy też nie. W tej sprawie jedyne, co miało znaczenie, to jak najszybsze zakończenie oficjalnego śledztwa i zabezpieczenie rządu przed recydywą młodego wicehrabiego w tak przełomowej chwili. Jeżeli sytuacja będzie tego wymagała, ojciec wicehrabiego, hrabia Hendonu, powinien podać się do dymisji.

Tak naprawdę, im dłużej Janas myślał nad tą sprawą, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że z całego zamieszania może wyniknąć coś dobrego. Niewzruszona wierność partii torysów zjednywała Janasowi hrabiego Hendonu bardziej niż, powiedzmy, ludzi pokroju Fairchilda. Hendon jednakże nigdy nie był poplecznikiem Jarvisa. Stary głupiec wierzył jedynie, że polityka może kierować się zasadami fair play w równym stopniu, co mecz krykieta na błoniach Eton. Gdyby Janas zdołał pozbyć się Hendona, kierowanie

księciem byłoby znacznie łatwiejsze.

Ponadto widowiskowa ucieczka Dewlina przed wymiarem sprawiedliwości i atak na funkcjonariusza, przypuszczalnie fatalny w skutkach, z pewnością sugerowały nieoczekiwany poziom winy. Młodego człowieka powinno się złapać jak najszybciej. Albo zabić. Jarvis otworzył tabakierę i zażył szczyptę proszku. „Tak”, pomyślał, „byłoby lepiej, gdyby Dewlin zginął”.

ROZDZIAŁ 9

Odgłosy pościgu dawno ucichły w oddali. Sebastian ściągnął cugle, koń przeszedł w stęp. Szybko robiło się ciemno, deszcz znowu przeszedł w mżący kapuśniaczek, a wiatr wzmagął się. Sebastian podniósł kołnierz płaszcza, chroniąc się przed chłodem i wilgocią, i pożałował zgubionego kapelusza. Zaczął rozważać dalsze możliwości.

Nawet tu, z dala od modnych dzielnic Mayfair, ludzie odwracali się, gdy ich mijali, pokazując go palcami.

Sebastian był aż nadto świadom ubłoconych butów, zgubionego szalika, pokrytej krwią koszuli i rękawiczek. Przede wszystkim, zdecydował, trzeba zniknąć gdzieś, gdzie jego niechlujny wygląd nie będzie budził aż takiego zainteresowania. W zaułkach i alejach na tyłach Covent Garden czy w St. Giles, nikt nie będzie się przyglądał mężczyźnie bez kapelusza, w podartym płaszczu i zakrwawionych rękawiczkach.

Pod połami płaszcza czuł w kieszeni ciężar mieszka i pomyślał z wdzięcznością o własnej przeczności, która kazała mu wziąć go przed wyjściem z domu. Postanowił, że zatrzyma się w zajezdzie - w skromnym, ale suchym i ciepłym miejscu - a potem spróbuje skontaktować się z kimś, kto mógłby...

Sebastian poderwał głowę, gdy jego uwagę przykuł słaby dźwięk, ledwo słyszalny w hałasie drewnianych kół na bruku i monotonnym szumie deszczu.

Był teraz w biedniejszej dzielnicy wąskich uliczek, starych, chylących się ku upadkowi domów i małych sklepików z kratami w oknach. Tu nie było wystawnych powozów, a jedynie ciężkie furmanki i dwukółki w tłumie spracowanych, mocno zbudowanych ludzi: bednarzy i przewoźników, praczek i piekarzy, zachęcających do kupna gorących pasztecików. Ale teraz słyszał już całkiem wyraźnie rytmiczny odgłos końskich kopyt, i głos chłopca:

- Jak może pan szuka tego podejrzanego jegomościa na myszaty, to pojechał w tę stronę.

- Tam do kata! - szepnął Sebastian i popędził konia w ciemności.

Zostawił wierzchowca w ciepłej stajni na skraju St. Giles. Była to dzielnica przestępców, w której konstable prowadzący pościg znikali bez śladu. Funkcjonariusze władz Londynu unikali tego miejsca. Zajazd „Pod Czarnym Jeleniem” leżał w zaułku małej niebezpiecznej uliczki, znanej jako Pudding Row, w okolicy krzywych uliczek i pochylonych ze starości, wspartych o siebie nawzajem budynków, pamiętających jeszcze czasy średniowiecza. Piętra domów pochylały się nad pozbawionymi bruku ulicami, zalewanymi wodą z otwartych rynien. Zajazd, niski budynek z muru pruskiego, relikwint minionej epoki, miał oprawione w ołów szyby, przez które sączył się tylko wątki blask. Sebastian zatrzymał się w cieniu drzwi i obrócił głowę, nasłuchując.

Deszcz przestał padać, ale wraz z nadejściem ciemności temperatura gwałtownie spadła, zaganiając większość mieszkańców Londynu do domów. Sebastian słyszał daleki skrzyp okutych żelazem kół i monotony dźwięk dzwonów wieszczący czyjąś śmierć. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Uderzyła go ciężka woń zmieszanych zapachów piwa, tytoniu, gorzkiego dymu węglowego, rozgrzanego tłuszczu i kwaśnego potu. Główne pomieszczenie było ciemne,

kaganki słabo oświetlały ściany i niskie, poczerniałe ze starości, belkowane sufity. Mężczyźni w barchanach i sztruksie stali z łokciami na barze i okupowali rozstawione w nieładzie stoły i ławy. Gdy Sebastian wszedł, podnieśli wzrok. Rozmowy i śmiechy ucichły; zapadnięte oczy nabrały wyrazu podejrzliwości i czujności. Był obcy, a w takich miejscach obcy nigdy nie byli mile widziani.

Mężczyzna przepchnął się do baru, zamówił kufel piwa i kolację. Wiedział, że chleb będzie niesmaczny ze względu na zawartość kredy i ałunu, zaś wołowina nadpsuta i żyłasta, ale w tej okolicy niewiele więcej mógł się spodziewać, a od śniadania z Christopherem w gospodzie nieopodal Heath nie miał nic w ustach.

W rogu pomieszczenia znajdował się kominiek. Sebastian z kuflem w dłoni skierował się w jego stronę.

Szmer rozmów podniósł się na nowo, on jednak zdawał sobie sprawę z niechętnych spojrzeń, skierowanych w jego stronę, z atmosfery napiętej czujności. Wzdłuż ścian przepłynęły pochylone cienie, gdy dwóch czy trzech mężczyzn ukradkiem opuściło salę.

Sebastian pokonał połowę pokrytej kurzem podłogi, torując Sobie drogę w tłumie niemytych ciał, gdy obok przecisnął się ośmio-, może dziewięcioletni chłopiec.

- Zmyślny chłopak - zauważył Sebastian, a jego głos zabrzmiał niebezpiecznie wesoło, gdy wyjął swoją sakiewkę z zaciśniętej dłoni chłopca. Nieoczekiwana utrata zdobyczy tak zaskoczyła młodego złodziejzaka, że Sebastian, wrzuciwszy sakiewkę do wewnętrznej kieszeni, zdołał go chwycić za kołnierz i odwrócić nie tylko nie wypuszczając z ręki kufła, ale nawet nie roniąc kropli piwa. - Choć, obawiam się, nieszczęśliwie utalentowany.

Wszystkie oczy w pomieszczeniu były zwrócone w ich stronę i Sebastian o tym wiedział. Ale atmosfera była teraz bardziej przepelniona czujnym oczekiwaniem niż wrogością. Targowy bedel z Covent Garden, wielki, zwalisty mężczyzna z potrójnym podbródkiem, w poplamionej kapocie, wstał od pobliskiego stołu i otarł mokre usta wierzchem dłoni.

- Taa, ten tutaj jest anabaptystą.

Przez salę przetoczył się niski pomruk śmiechu. Była to bowiem nazwa nadawana młodym złodziejzacom przyłapanym na gorącym uczynku. W takim przypadku wymierzaną naprędce karą było pławienie delikwenta w najbliższym stawie.

- Ani chybi, trza go będzie przechrzczyć? Chłopiec trzymał głowę wysoko, a nerwy na wodzy, ale Sebastian czuł, jak jego ciało przeszył dreszcz. Dla bezdomnego dziecka wrzucenie do zamrożonego stawu w taką noc mogło się skończyć śmiercią.

- Bez wątpienia przydałaby mu się kąpiel - odpowiedział Sebastian, co wzbudziło jeszcze większą wesołość. - Ale nie zrobił nic złego. - Sebastian rozluźnił uchwyt cienkiej poszarpanej koszuli ulicznika. - No, dalej - skinął głową w stronę drzwi, widząc, że chłopiec się waha. - Wynoś się stąd.

Zamiast uciec, chłopiec stał w miejscu, wpatrując się w Sebastiana otwarcie badawczym spojrzeniem brązowych, zaskakująco błyszczących oczu.

- Nawiewa pan, co?

Sebastian zamarł z kuflem w pół drogi do ust.

- Co, proszę?

Chłopiec był starszy, niż mu się wydawało - miał pewnie koło dziesięciu lub dwunastu lat - i najwyraźniej na tyle spostrzegawczy, by zauważyć, że płaszcz Sebastiana, mimo pokrywającej go krwi i błota, jest znakomicie uszyty, w dodatku z materiału, który jeszcze kilka godzin temu był nowy.

- Co pan zrobił? Zgrał się pan do cna i nawiewa, nim pana przymkną? Czy wykończył pan kogo w pojedynku? - wyciągnął chudy, kościsty palec w stronę ciemnej znaczącej plamy na piersi Sebastiana. - Ja tam myślę, żeś pan kogo załatwił.

Sebastian łyknął piwa.

- Nie bądź śmieszny.

- Aha. A co niby taki paradny pan robi w takiej norze, jak „Czarny Jeleń”, co?

Młoda dziewczynka o chudych ramionach i prostych, mysich włosach wyszła z kuchni na zaplecze i postawiła tacę przed Sebastianem. Spojrzał na niewielki bochenek podejrzenie białego chleba, talerz mięsa nieokreślonego rodzaju, sownie podlanego tłuszczem, i poczuł nowy przyływ głodu.

- Lepiej niech pan schowa te swoje kiesę - powiedział chłopiec, gdy Sebastian usiadł przy stole. - Kapuje pan, nie? Jak wisi na płaszczu, to jest zaproszenie. W ogóle to uważam, że wystawianie uczciwych chłopców na taką pokusę jest przestępstwem.

Sebastian zerknął na wyrostka, zatrzymując widelec w pół drogi do ust.

- A od kiedy to jesteś uczciwym chłopcem? Dzieciak roześmiał się głośno.

- Pan da się lubić - powiedział, wbijając wzrok w talerz Sebastiana. Po jego twarzy przemknął szybko stłumiony, desperacki grymas. - Wie pan, mam propozycję. Jak będzie pan miły, mogę dać się wynająć za, powiedzmy, dziesięć centów dziennie? Pokażę rejony, nauczę jak tu przetrwać. Będę takim przewodnikiem. Taki można pan powinien tu mieć swojego człowieka.

- To prawda - odpowiedział Sebastian. - Ale ja jestem dziwakiem. Mam zdecydowaną awersję do służących, którzy próbują mnie oskubać.

Chłopiec pociągnął nosem.

- Dobra, skoro ma mi pan za złe - powiedział z wymówką w głosie i, powłócząc nogami, odszedł.

- Czekać chwilę.

Chłopiec odwrócił się błyskawicznie.

- Łap - Sebastian podniósł bochenek i rzucił go chłopcu, który bez problemu złapał go jedną ręką. - Łapiesz lepiej, niż kradniesz. A teraz idź już.

ROZDZIAŁ 10

Po raz pierwszy Kat Boleyn spotkała Rachel nad Tamizą w śnieżną grudniową noc przed trzema laty.

Rachel miała wtedy piętnaście lat. Była tak młoda i pełna rozpaczy, że ścisnęło się serce. Kat miała lat niespełna dwadzieścia, ale od kilku sezonów była już gwiazdą scen londyńskich, miała własne tajemnice i bolesną przeszłość ukrytą pod klejnotami i wyuczonym uśmiechem.

Więc teraz Kat poszła nad Tamizę, na London Bridge, wrzuciła do wody pęk żółtych róż i patrzyła suchymi oczami, jak odpływają i toną powoli w ciemnych falach rzeki. Potem odwróciła się i odeszła.

Chmury wciąż wisiały nisko nad miastem, ale wraz z nadejściem nocy deszcz ustąpił przed mgłą. Gdy Kat była mała, kochała mgłę. Mieszkała wtedy w Dublinie, w pobielanym domu, wśród pól obrzeżonych kasztanowcami i potężnymi dębami. Jeden z dębów, starszy niż inne, miał wielkie, mocne gałęzie, które sięgały ziemi. Ojciec nauczył Kat wspinać się na nie, jeszcze zanim poszła do szkoły. Zawsze myślała o nim jak o ojcu, mimo, że nim nie był. Był jednak jedynym ojcem, jakiego znała, i zachęcał ją do rzeczy, które nieraz przerażały matkę.

- Życie jest pełne niebezpieczeństw - mawiał do Kat. - Rzecz w tym, by strach nie przeszkadzał żyć. Cokolwiek będziesz robić, Katherine, żyj pełnią życia.

Kat próbowała to sobie powtarzać tego dnia, gdy przybyli angielscy żołnierze. Mgła ścieliła się nisko, a w powietrzu unosiła się kwaśna woń spalenizny. Stała w słabym świetle poranka i powtarzała słowa ojca, wciąż na nowo, gdy wywlekli jej matkę ze ślicznego białego domku. Kat musiała patrzeć, co z nią zrobili.

Ojciec też. A potem powiesili ich, jedno przy drugim, matkę i ojca, na wielkim dębie

na skraju łąki.

Te dni należały do innego życia, do innej osoby. Kobieta powożąca przez oświetlone ulice Londynu faetonem zaprzężonym w elegancką parę koni, znana była jako Kat Boleyn, jedna z najbardziej cenionych aktorek scen londyńskich. Jej aksamitna pelisa miała barwę głębokiej purpury, a nie przydymionej szarości, szyję zdobiły perły zamiast żałobnej opaski.

Wciąż jednak nienawidziła mgły.

Kat zatrzymała powóz przed miejską rezydencją monsieur Leona Pierrepona, oddała lejce służącemu i zeskoczyła z gracją z wysokiego siedzenia.

- Odprowadź je, George.

- Tak, proszę pani.

Zatrzymała się na podjeździe, patrząc na klasycystyczną fasadę oświetloną miękkim światłem naftowych lamp. Tak jak wszystko, czym otaczał się Leo Pierrepont, dom na Half Moon Street został starannie wybrany, by wywierać odpowiednie wrażenie: duży, ale nie za wielki, elegancki, ze śladami minionej świetności, jakiej oczekuje się od arystokraty na wygnaniu. Gdy żyje się kłamstwem, pozory są wszystkim.

Znalazła go w jadalni. Siedział samotnie przy stole zastawionym dla jednej osoby wytworną porcelaną, lśniącem srebrem i starymi kryształami. Był szczupłym mężczyzną o delikatnej budowie, który zdawał się bez wysiłku dźwigać ciężar minionych lat, jakkolwiek trudne były. Na jego twarzy widniało niewiele zmarszczek, jasnobrązowe włosy były lekko tylko przyprószone siwizną. Kat nigdy nie dowiedziała się, ile naprawdę miał lat, ale wzięwszy pod uwagę, że dobiegał trzydziestki, gdy rządy terroru wyгнаły go z Paryża, teraz pewnie zbliżał się do pięćdziesiątki.

- Nie powinnaś była przychodzić - powiedział, nie odrywając się od zupy. Kat rzuciła rękawiczki, mieszek, pelisę i kapelusz na najbliższe krzesło.

- Czyjej reputacji nie chcesz narażać na szwank, Leo? Mojej czy twojej? Podniósł wzrok. W szarych oczach czaił się wątpliwy uśmiech.

- Mojej, rzecz jasna. Ty nie masz już nic do stracenia, twoja reputacja dawno legła w gruzach. - odprawił służbę i rozparł się na krześle. Spoważniał. - Oczywiście wiesz już, co się stało z Rachel?

Kat oparła ciężar ciała na dłoniach ułożonych płasko na stole. Pod jedwabnym gorsetem czuła przyspieszone bicie serca. Gdy jednak przemówiła, jej głos był spokojny, pozbawiony drżenia.

- Czy to twoja sprawka?

Kat wiedziała, że gdyby tak było, i tak by się nie przyznał, ale chciała zobaczyć jego twarz, gdy będzie zaprzeczał.

Leo pograżył łyżkę w zupie i powoli uniósł ją do warg.

- Zastanów się, *ma petite*. Nawet gdybym chciał jej śmierci, to czy naprawdę uważasz, że zabiłbym ją w tak widowiskowy sposób? W kościele? Z tego, co słyszałem, ściany były zbryzgane krwią.

Kat patrzyła jak sięga długimi, wąskimi dłońmi po chleb.

- Jeden z twoich oprychów mógł się zapamiętać.

- Zbyt starannie ich wybieram.

- To kto ją zabił?

Po twarzy Francuza przemknął cień, nikły ślad zatroskania, Kat prawie - PRAWIE - uwierzyła, że mógł być szczery.

- Żebym to ja wiedział.

Kat odwróciła się i dwukrotnie przemierzyła pokój. Leo zmienił pozycję na krześle i patrzył na nią.

- Każ przynieść drugi kieliszek. Napij się wina.

- Nie, dziękuję.

- To przynajmniej przestań przechadzać się po pokoju w ten męczący sposób. To źle wpływa na trawienie.

Zawahała się, ale nie usiadła.

- Z kim Rachel miała się wczoraj spotkać?

Leo chwycił nóż i starannie rozsmarował masło na kromce chleba.

- O ile mi wiadomo, z nikim.

- Czy mam uwierzyć, Leo, że poszła tam, żeby się pomodlić?

- W tym celu zazwyczaj chadza się do kościoła.

- Nie ktoś taki jak Rachel. - Kat stanęła przed kominkiem i wpatrzyła się w żar niewidzącym wzrokiem. Oboje wiedzieli, że gra, którą prowadzą, jest niebezpieczna. Ale ktoś, kto spotkał się z Rachel zeszłej nocy był nie tylko niebezpieczny. Był zły. A to, co uczynił, mogło wystraszyć ich wszystkich.

- Będzie śledztwo w sprawie jej śmierci. Władze mogą coś wywęszyć.

- Ostrożnie, *ma petite* - powiedział Leo, sięgając po kieliszek. - Ściany mają uszy - wolno pociągnął łyk, po czym znieruchomiał. - Nie sądzę jednak, by władze dowiedziały się czegokolwiek, co może nas zaniepokoić. Dziś rano byłem obok jej domu, gdy tylko usłyszałem co się stało, ale konstable już tam byli. Wrócę tam dziś w nocy i upewnię się, że nie pozostawiła nic, co mogłoby nas obciążać.

- Może już być za późno. Mogli już coś znaleźć. Leo zaśmiał się pod nosem.

- Chyba żartujesz. To Londyn, nie Paryż. Anglicy są głupcami. Tak bardzo boją się zamachu na prawa obywatelskie, jakim byłoby utrzymywanie armii zaciężnej, że zamiast utworzyć policję z prawdziwego zdarzenia pozwalają, by ich miastem rządili złodzieje i mordercy. Ci konstable niczego nie znajdują. Ponadto - przeżuł i połknął kolejny kawałek chleba - wydaje im się, że już znają sprawcę. Kat odwróciła się w jego stronę.

- Mówiłeś, że nie wiesz, kto ją zabił.

- Nie wiem, kto ją zabił. Ale władze Londynu uważają, że wiedzą. Bez wątplenia został już aresztowany. To jakiś wicehrabia znany ze skłonności do zabijania ludzi ze swojego środowiska. Ma dziwne nazwisko. Coś jak Diabło... Devil?

- Dewlin?

Oddech Kat był dziwnie płytki i przyspieszony. Odeszła od kominka i podeszła do Leo, szukając spojrzeniem jego twarzy.

- Właśnie on, Dewlin. - Spojrzał na nią uważnie i zrozumiała, że się z nią bawi, od początku pamiętał nazwisko Sebastiana. - Ach. Teraz sobie przypominam. - powiedział, przekrzywiając głowę i uśmiechnął się do niej. - Dewlin był kiedyś twoim opiekunem, czyż nie? Zanim wyjechał na wojnę walczyć dla króla i kraju z siłami zła i cesarzem Napoleonem.

- To było dawno temu. - Kat odsunęła się i sięgnęła po pelisę. Nagle poczuła chęć ucieczki. Chciała być sama.

Leo odsunął krzesło, błyskawicznie wstał, zaciskając rękę na ramieniu dziewczyny, zatrzymał ją i siłą obrócił, wpatrując się badawczym wzrokiem w jej twarz. Był ospały, wątpy i sprawiał wrażenie zmanierowanego, łatwo więc było zapomnieć jak szybko potrafił się poruszać i jaka siła drzemie w jego długich, szczupłych palcach.

Patrząc wzrokiem, który nie wyrażał nic, przypomniała sobie naukę aktorstwa. Chciała tylko, by szybkie zdradzieckie bicie serca ustało.

Ale Leo znał ją dobrze. Znał jej talent i wiedział też o tej jednej, jedynej słabości, do której nie przyznawała się nawet przed sobą. Cierpki uśmiech wykrzywił kącik ust.

- Gdy ma się tylko dwadzieścia trzy lata - wyszeptał, dotykając jej policzka bynajmniej nie pieścizliwym gestem - nie ma jeszcze „dawno temu”.

ROZDZIAŁ 11

Sebastian spędził resztę nocy w małym pokoju nad oberżą. Jedno spojrzenie na łóżko wystarczyło, by zrzucił wysokie buty i położył się na wąskiej drewnianej ławie, przykryty płaszczem. Na szczęście nie było gorzej niż na wojnie, kiedy to niejednokrotnie sypiał na zimnych kamieniach. Nie zmrzył oka, słuchając jak karaluchy biegają po brudnej podłodze.

O wschodzie słońca podniósł się z zaimprovizowanego łóżka i podszedł do okna wychodzącego na zagracony dziedziniec. Ranek był pochmurny i przenikliwie zimny. Mimo to Sebastian otworzył okno na oścież i odetchnął głęboko kwaśnym powietrzem, rozmyślając o wydarzeniach poprzedniego wieczoru. W takich chwilach wydawało mu się, że każdy człowiek prędzej czy później staje w obliczu życiowej próby. Przypadkowy splot wydarzeń może w jednej chwili odebrać mu spokojną, zdawałoby się, przyszłość i zgotować niepewny los. Nie potrafił jednak stwierdzić, który moment okazał się przełomowy - nagły gniew konstabla i jeden niewłaściwy krok? Czy obietnica złożona poprzedniej nocy zdeterminowanej, przerażonej kobiecie? Sebastian ściągnął wargi i westchnął głęboko.

Mimo wszystko nie żałował swojego przyrzeczenia - nie chciał zdradzić kobiety.

Wyjął z kieszeni mały notes, wydarł kartkę i nabazgrał pospiesznie: *Proszę zapewnić Melanie, że nie zdradzę jej tajemnicy. Niezależnie od rozwoju wypadków nie może ujawnić swojej roli. Od tego zależy jej życie. D.*

Złożył kartkę, na zewnętrznej stronie napisał nazwisko i adres siostry Melanie, a potem włożył wiadomość głęboko do kieszeni.

Podczas bezsennej nocy spokojnie zastanowił się nad sytuacją i uznał, że ma trzy możliwości. Mógł stawić się u sir Henry'ego Lovejoya na Queen Square i zdać się na system sprawiedliwości, bardziej znany z ferowania wyroków niż skuteczności w ujawnianiu prawdy. Mógł uciec za granicę i mieć nadzieję, że w końcu zostanie oczyszczony z zarzutów, lub pogodzić się z życiem na obczyźnie, gdyby tak się nie stało.

Mógł też zniknąć w mrokach miasta i odnaleźć mordercę Rachel York na własną rękę.

Rachel była wyjątkowo atrakcyjną kobietą. Widywał ją często w wielu teatrach miejskich, zarówno na scenie, jak i na przyjęciach tylko dla wybranych. Można tam było spotkać wyłącznie kobiety pokroju Rachel i zamożnych, wysoko urodzonych mężczyzn, których chciały uwieść. Widywał ją i, musiał przyznać, podziwiał. Nigdy jednak nie została jego utrzymanką, nigdy też nie skorzystał z okazji, by poznać jej wdzięki, którymi najwyraźniej pragnęła go obdarować.

Nie wiedział, dlaczego uznano go za mordercę Rachel, ani nie mógł liczyć na zainteresowanie władz prawdziwą wersją wydarzeń. Gdy miejscy detektywi otrzymują czterdzieści funtów wynagrodzenia za każdy wyrok skazujący, sprawiedliwość najczęściej pada ofiarą chciwości.

Właśnie dlatego po długich nocnych rozmyślaniach Sebastian zdecydował w końcu, że nie ucieknie za granicę ani nie podda się, ufnie i łatwowiernie, wątpliwej brytyjskiej sprawiedliwości. W mieście ukrywał się człowiek, który zabił Rachel York. Jediną nadzieją Sebastiana było ustalenie, kim on jest.

Pięć lat służby w wywiadzie wojskowym nauczyło Sebastiana, że przede wszystkim potrzebuje informacji. Musi porozmawiać z kimś, kto znał Rachel, kimś, kto mógł wskazać jej wrogów, kto mógłby wiedzieć dlaczego w mroźną zimową noc wybrała się samotnie na spotkanie śmierci do małego kościoła na uboczu Westminster.

Zdecydował już, że nie będzie próbował kontaktować się z własną rodziną lub przyjaciółmi; z całą pewnością byli pod obserwacją, a on nie chciał ich narażać. Za to nikomu nie przejdzie przez myśl, by inwigilować aktorkę, której powierzono rolę Rozalindy, gdy Rachel grała Celię w *Jak wam się podoba* w Covent Garden. Kobieta, która przed sześcioma laty złamała Sebastianowi serce...

Wzeszło słońce, ale przez zasłonę brudnej mgły przedarło się jedynie słabe rozproszone światło.

Sebastian słyszał skrzypienie wozów i dwukółek toczących się w stronę Covent Garden, a także odgłos szlifiernego koła puszczanego w ruch na pobliskim placu.

Bliżej, w korytarzu prowadzącym do pokoju, rozległy się szybkie kroki.

Sebastian przywarł plecami do ściany przy drzwiach i czekał w napięciu. Potem ktoś zaskrobał w drewniane skrzydło i szepnął:

- Ej, szefie. To ja, Tom.

Był to poznany wieczorem ulicznik.

- Tom? - spytał niewinnie Sebastian - Nie wydaje mi się, bym znał kogoś o tym imieniu. Zza drzwi dobiegło niecierpliwe westchnienie.

- Ten, co chciał panu wczoraj zwędzić kiesę.

- Ach, tak. Spodziewasz się pewnie, że ci otworzę, fałszywy przyjacielu?

- Zmiłowania bożego, szefie! Nie pora na żarty. Psy z Bow Street zara tu będą. Pytali o pana - znaczy, o tego, co zadzgał konstabla na Mayfair i...

Drzwi otworzyły się tak szybko, że Tom, który opierał się o nie, runął do środka. W bladym świetle dnia chłopiec wyglądał na bardziej zabiedzonego i brudnego niż wieczorem.

- Mówią też, że załatwił pan jeszcze jakąś kobitkę w kościele na Great Peter Street. - Tom utkwiał w Sebastianie badawcze spojrzenie ciemnych oczu. - To prawda?

Sebastian odwzajemnił spojrzenie. - Nie.

Tom skinął głową w cichym, szybkim potwierdzeniu.

- Czuję, że coś tu śmierdzi. Ale na dole pyta o pana dwóch gości, właśnie teraz, a przed wejściem postawili tęgiego osiłka.

Sebastian schylił się pod ławę i założył buty.

- Jak mniemam, sugerujesz, że najlepszym wyjściem w tej sytuacji jest okno?

- Tak, szefie. I to szybko, chyba, że chce pan zatańczyć taniec szkieletów.

Sebastian zgarnął płaszcz, podszedł do okna i rzucił uważne spojrzenie na dziedziniec. Okno wychodziło na niski, pochyły dach przybudówki, w której zapewne mieściła się kuchnia. Ale dziedziniec był ogrodzony, z jedynym wyjściem przez bramę. Sebastian musiałby przejść po dachu przybudówki do miejsca, w którym ta stykała się z ceglany skrzydłem piętra, i wspiąć się jakoś na główny dach.

- Dlaczego właściwie przyszedłeś mnie ostrzec? - spytał Sebastian, zatrzymując się z jedną nogą za oknem i patrząc na chłopca.

- O rany, szefie, jeżeli ktoś tu jest bogaczem w opałach, to właśnie pan.

- Hmm... Twój altruizm, acz inspirujący, jakoś mnie nie przekonuje. - powiedział Sebastian i miękko wylądował na dachu.

Tom, lekki i zwinny jak kot, poszedł w jego ślady.

- Nie wiem, co pan ma na myśli. Ale moja oferta wciąż jest ważna: za szylinga dziennie jestem do waszej dyspozycji. Znam te strony bardzo dobrze, tak jest. Jak chce pan się tu przyczaić, to nie znajdzie pan lepszego przewodnika.

- Myślałem, że twoja cena wynosi dziesięć pensów. - zauważył Sebastian, gdy nisko pochylony przebiegał po dachu przybudówki.

- Tak było. Ale teraz, kiedy wiem, że węszą za panem psy z China Street, koszty wzrosły. Sebastian wybuchnął śmiechem. Właśnie wtedy z dziedzińca padł strzał.

ROZDZIAŁ 12

Sebastian obejrzał się błyskawicznie. Na dziedzińcu stał krępy, czarnobrody mężczyzna w obszernym płaszczu. Zadzierał głowę, wskazując oskarżycielsko na dach.

- Patrzcie, to na pewno on. Stać! Powiedziałem: STAĆ, w IMIĘ KRÓLA!

- Do kroćset! - zaklął Sebastian. Wyprostował się i puścił biegiem po dachu, czując, jak skórzane podeszwy ślizgają się niebezpiecznie na mokrej powierzchni. Chłopiec był tuż za nim.

Zajazd zbudowano na planie podkowy. Sebastian dobiegł do miejsca, gdzie kuchenny dach przylegał do skrzydła, i odwrócił się.

- Tutaj - powiedział, podnosząc szczupłe, kościste ciało chłopca. - Chwyć za krawędź dachu i podciągnij się.

Wyrostek znalazł oparcie dla zziębniętych palców.

- A pan jak wejdzie? - wysapał podrzucając nogi. Wylądował na brzuchu, a potem przetoczył się na plecy.

Ceglana ściana była pełna nierówności, które stwarzały dogodne oparcie dla rąk. Sebastian wdrapał się i wylądował obok chłopca, po czym pomógł mu wstać. Tom westchnął z podziwem.

- Byłby z pana wyborny akrobata.

Sebastian zaśmiał się, czujnym wzrokiem badając stromiznę dachu przed sobą. Zaczęła padać zimna, mrożąca do szpiku kości mżawka, a tymczasem ich czarnobrody prześladowca zniknął z pola widzenia.

Słyszeli krzyki i stłumiony odgłos kroków na drewnianych schodach.

Sebastian zerknął na chłopca; ostrzegając go Tom złamał prawo. Szlachcic kiwnął głową w stronę przerwy między dachami, szerokiej na trzy-cztery stopy.

- Dasz radę przeskoczyć?

Ku jego zdumieniu brudna twarz chłopca rozjaśniła się w szczerbatym uśmiechu.

- Taa. Patrz pan.

Zaciskając pięści z determinacją, Tom puścił się biegiem w stronę krawędzi, odbił się w ostatniej chwili i z łatwością pokonał dzielącą dachy przepaść. Wylądował lekko i po chwili złapał równowagę.

- Chyba sam trenowałeś akrobacje - powiedział Sebastian, idąc w jego ślady. Tom zapał z zachwytem. Razem pokonywali kolejne krzywe dachy, omijając rozpadające się kominy i chybotliwe okapy. Ich oddechy parowały w chłodnym powietrzu. Na końcu szeregu domów znaleźli rynną porośniętą spletanymi nagimi pędami glicynii i ześlizgnęli się na ziemię. Byli już daleko, zanim pierwsi konstable z Bow Street pojawili się, klnąc i sapiąc, na omszałym dachu „Czarnego Jelenia”.

Jak co rano wąskie uliczki wypełniał tłum kramarek i mleczarek, pasztetników i terminatorów od rzeźnika. Za rogiem Great Leicester Street Tom i Sebastian zwolnili krok, kierując się w stronę Charing Cross.

- Gdzie teraz pójdziemy? - spytał Tom, podbiegając, by dotrzymać kroku Sebastianowi.

Mężczyzna zawahał się, a potem wyjął z kieszeni wiadomość dla siostry Melanie, którą napisał rano.

- Chciałbym, żebyś przekazał tę wiadomość pewnej damie, pani Cecylii Wainwright, która mieszka na Berkeley Square. - Sebastian sięgnął po sakiewkę i wyjął garść monet. - Tu masz szylinga za odniesienie listu, i tygodniowe pobory.

Oczywiście nie miał pewności, że chłopiec rzeczywiście doręczy list, ale musiał zaryzykować. Tom spojrzał uważnie na monety, potem na Sebastiana. Nie sięgnął po pieniądze.

- Odprawia mnie pan?

Sebastian spojrzał w ciemne nieprzeniknione oczy chłopca.

- Przypuszczam, że tego nie rozumiesz, ale przedłużanie tej znajomości może cię zaprowadzić na szubienicę.

- Gdzie tam - prychnął Tom z lekceważeniem. - Co najwyżej na przejażdżkę. Jestem

tak mały i chudy, że mogę powiedzieć, iż mam tylko dziewięć lat. Uwierzą, a dzieci nie posyła się na szubienicę - jego twarz zachmurzyła się, jakby od złych wspomnień. - Przynajmniej nie zawsze.

- Zatem chcesz zwiedzić Botany Bay? Tom wzruszył ramionami.

- Wysłali tam moją mamę.

Zupełny brak emocji w głosie chłopca poruszył Sebastiana bardziej niż cokolwiek innego. Westchnął przeciągle. Wysyłanie matek do więzienia, powodujące, że pozostawione samotnie dzieci umierały z głodu na ulicach Londynu, było prawdziwą podłością. Sebastian wyciągnął pieniądze.

- Weź je.

Chłopiec wahał się jeszcze przez chwilę, zaciskając zęby. Potem chwycił monety i wsunął list do kieszeni koszuli.

- Gdzie pan teraz idzie?

- Muszę się z kimś spotkać.

Tom skinął głową i odwrócił się bez słowa. Powlókł się kilka kroków ze spuszczoneym wzrokiem. Na rogu zatrzymał się jednak, podniósł głowę i obrócił się znów do Sebastiana.

- Jak ma na imię dama, z którą tak chce pan się spotkać? Sebastian parsknął śmiechem, zaskoczony.

- Dlaczego myślisz, że to dama? Tom uśmiechnął się.

- Można to wyczytać z pana twarzy. Pewnie jest na co popatrzeć - urwał, przekrzywiając głowę. - To jak ma na imię?

Sebastian zawahał się, w końcu wzruszył ramionami.

- Kat. Ma na imię Kat.

- Kat? To nie imię dla damy.

- Nie powiedziałem, że jest damą.

ROZDZIAŁ 13

Lord Stoneleigh spał w jej łóżku, z twarzą zagrzebaną w poduszkach. Oddychał ciężko i równo, oczy miał zamknięte. Przedtem przewracał się w jej wytwornej pościeli, dręczony bezsennością. Kat Boleyn wsparła się na łokciu, a jej wzrok ślizgał się po szerokich nagich plecach i jędrnych pośladkach mężczyzny. Byłby przystojny, gdyby nie zdradzająca słabość linia podbródka. Rzadko gościła w łóżku takich młodych mężczyzn.

Kat oparła policzek na palcu. Od czterech miesięcy grała kochankę tego człowieka. Na początku jego młody wdzięk i prezenty, którymi ją zasypywał, miały urok nowości. Teraz zaczynał ją nudzić. Zresztą księżę miał wkrótce zostać regentem, więc zatwardziali torysi, tacy jak Stoneleigh, niedługo przestaną być użyteczni. Zastanawiała się, czy nie warto przenieść uwagi na Samuela Whitbreada. Wszyscy spodziewali się, że obejmie ważny urząd, gdy tylko ustawa o regencji pozwoli księciu na utworzenie nowego rządu wigów.

Kat ziewnęła cicho i wysunęła się z łóżka. Starsi mężczyźni przynajmniej rzadko zostawali na noc. Nie lubiła, gdy wylegiwali się w jej łóżku do świtu. Teraz, gdy się obudzi, znów będzie musiała grać kochankę - przynajmniej dopóki nie pozbędzie się go z domu. Poranne występy nie były jej specjalnością.

Przykryła się jedwabnym szalem i rzuciła ostatnie spojrzenie na potarganą blond głowę spoczywającą na jej poduszce. Stoneleigh sądził zapewne, że skoro płaci za dom, to ma do niego prawo. Nie wiedział jednak, że pośrednik, któremu co miesiąc wysyłał pieniądze, w rzeczywistości pracuje dla Kat. W ciągu ostatnich pięciu lat udało jej się wykupić hipotekę nie tylko na ten dom, ale i na trzy inne nieruchomości.

Mężczyźni byli takimi głupcami. Zwłaszcza mężczyźni z utytułowanych dumnych rodów ze starymi pieniędzmi.

Wymknęła się cicho z sypialni i zeszła na dół. W salonie było ciemno, w kominku nie płonął ogień, a satynowe zasłony w kolorze moreli wciąż były zaciągnięte. Starsza pokojówka, Gwen, najwyraźniej spodziewała się, że jej pani będzie spała aż do południa, albo i dłużej. Kat podeszła do okna, by rozsunąć ciężkie zasłony i usłyszała głos z przeszłości.

- Wcześniej wstałaś.

Odwróciła się błyskawicznie, szczelnie owijając się szalem. Tak, jakby nie znał kiedyś jej nagiego ciała równie dobrze, jak ona sama, jakby go nie pieścił ustami, językiem i wyjątkowo delikatnymi, mądrymi dłońmi.

Sebastian St. Cyr, wicehrabia Dewlinu, stał przy pustym palenisku, opierając ramię na gzymsie, zaś obcas na zimnym ruszcie. Obok, na krześle, leżał jego płaszcz.

W mglistym zimowym brzasku Sebastian wyglądał niechlujnie, lubieżnie i niebezpiecznie. Jednodniowy zarost ocieniał jego policzki, a na czole widniała paskudna szrama. Oczywiście, widywała go niejednokrotnie w ciągu tych dziesięciu miesięcy odkąd wrócił do Anglii - w tłumie, w teatrze i raz na New Bond Street. Ale tylko z daleka. Obydwoje starali się zachować dystans.

- Jak tu wszedłeś?

Odepchnął się od gzymsu i podszedł do niej. Zmarszczki wokół ust, na których nie było uśmiechu, były głębsze niż kiedyś. Wtedy nie wyglądał na takiego cynika, jak teraz.

- Nie pytasz, dlaczego tu jestem?

Niegdyś był jej sercem, duszą, sensem życia. Wtedy oddałaby dla niego wszystko. Wszystko. Ale to było przed sześcioma laty, a teraz nie była już tą młodą, usidloną przez miłość dziewczyną, tak jak nie była roześmianym dzieckiem wspinającym się na wielki dąb na skraju słonecznej łąki gdzieś w Irlandii. Zatrzymał się przed nią tak blisko, że widziała jego zarost i malujące się na twarzy zmęczenie. Blisko, ale nie za bardzo. Wciąż wydawało się, że muszą zachować dystans.

- Potrzebujesz pieniędzy? - spytała. - Czy tylko kontaktu z godną zaufania bandą przemytników, którym wszystko jedno, kogo wiozą na drugą stronę kanału La Manche?

Potrząsnął głową.

- Naprawdę myślisz, że zamierzam uciec?

Nie, nie zamierzał. Mogła nie wiedzieć, co przeżył na brutalnej wojnie, tyle jednak wiedziała. Wyglądał tak, jakby spał w ubraniu. Zgubił krawat, białe mankiety koszuli były splamione czymś, co wyglądało jak zaschnięta krew.

- Wyglądasz okropnie - zauważyła.

Sebastian, którego kiedyś znała, roześmiałyby się na takie dictum. Ale on tego nie zrobił. Spojrzał jej w oczy twardo, nieustępliwie.

- Opowiedz mi, co wiesz o Rachel York.

Jego spojrzenie było przerażająco drapieżne, takie jakie pamiętała.

Odsunęła się, usiadła przy wystygłym palenisku i zajęła się rozpalaniem ognia. Powtarzała sobie, że to naturalne, iż przyszedł, że pytał o Rachel Grały razem w *Jak wam się podoba* w Covent Garden. Wiedział o tym. Nie było powodu przypuszczać, że wiedział o czymś jeszcze.

- Podobno pokojówka Rachel utrzymuje, że jej pani miała spotkać się z tobą u Świętego Mateusza. - Kat zerknęła na Sebastiana. - Czy to prawda?

Potrząsnął głową.

- Ludzie mówią, że przy jej ciele znaleziono twój pistolet.

- Doprawdy? - jedyną reakcją były szerzej otwarte oczy. - To ciekawe. Zastanawiała się, kiedy tak dobrze nauczył się ukrywać uczucia.

- Mówią także, że konstabl, którego ugodziłeś nożem, wciąż żyje, choć pewnie już niedługo. Wiedziałeś o tym?

- Nie ugodziłem go.

- Oczywiście nie zabiłeś też Rachel? Kącik jego ust drgnął.

- Gdybyś naprawdę wierzyła, że zabiłem Rachel York, wbiłabyś pogrzebacz prosto w moją głowę.

Kat przysiadła na piętach. Pogrzebacz spoczywał beczynnie w jej dłoni. Utkwiła spojrzenie w stojącym przy oknie Sebastianie.

- Dlaczego chcesz się czegoś dowiedzieć o Rachel?

- Dlatego, że moja jedyną szansą na wypłatanie się z tego cholernego galimatiasu jest odnalezienie prawdziwego mordercy.

Podszedł do stolika, na którym trzymała karafkę brandy, nalał alkohol do szklanki i opróżnił naczynie jednym haustem.

- Masz jakieś podejrzenia, kto mógłby pragnąć jej śmierci?

Myślała o tym, oczywiście. Zastanawiała się kto, oprócz Leo Pierrepona i jego wspólników, mógłby być odpowiedzialny za morderstwo Rachel. Przyjaciółka nie cieszyła się wielką popularnością w środowisku teatralnym; była za bardzo oddana pracy i ambitna, a przy tym odnosiła zbyt duże sukcesy, żeby nie budzić niechęci wśród rywali. Jednakże Kat przychodził na myśl tylko jeden człowiek, który miał na tyle gwałtowne usposobienie, by zaatakować tak brutalnie, z taką pasją.

- Jest ktoś... - Kat umilkła, a potem dodała szybko: - Hugh Gordon. Dewlin rozejrział się zaskoczony.

- Hugh Gordon?

Wysoki, czarniawy, przystojny mężczyzna o głębokim głosie i sporym talencie, który jednym prostym gestem potrafił wzruszyć publiczność do łez; był najpopularniejszym londyńskim aktorem od czasu Johna Kemble.

- Gdy Rachel dołączyła do zespołu, od pierwszego dnia wpadła mu w oko. Rzecz jasna, to jej pochlebiało. Dzięki Gordonowi jej kariera nabrała rozpędu. Z tego, co wiem, mogła się w nim zakochać, mówiono nawet o małżeństwie. Ale potem stał się zaborczy. Kontrolował ją. Był bardziej... gwałtowny.

- To znaczy, że ją bił. Kat kiwnęła głową.

- Mniej więcej po roku znajomości odeszła od niego. Dewlin sięgnął po karafkę.

- Nie sądzę, by ktoś tak zapatrzony w siebie jak Gordon przyjął to ze zrozumieniem.

- Groził, że ją zabije.

- Myślisz, że byłby do tego zdolny?

- Naprawdę nie wiem.

Znów napełnił szklankę i przez dłuższą chwilę przyglądał się zawartości.

- Czy od czasu Gordona w jej życiu byli jacyś mężczyźni?

Węgłe na kominku rozżarzyły się ciepłym blaskiem. Kat nadal patrzyła w ogień.

- Flirtowała z wieloma mężczyznami, od hrabiego Grimesa do admirała Wortha. Ale nie przypuszczam, by któryś z nich ją utrzymywał.

Czuła, że ją obserwuje.

- Wiesz skąd pochodziła Rachel?

- Z jakiejś wioski w hrabstwie Worcestershire. Nie pamiętam nazwy. Jej ojciec był wikarym, ale zmarł, gdy miała około trzynastu lat, i znalazła się na utrzymaniu parafii. Miejscowy kupiec przyjął ją na służbę w charakterze pokojówki.

Urwała. Jedną z rzeczy, które je łączyły, była podobna przeszłość. Wspomnienia śladów bata na nagim młodym ciele, brutalnych dłoni miażdżących nadgarstki, daremnych prób wyrwania się z uścisku.

Ostrego bólu i stłumionego ciężaru upokorzeń i poniżenia.

Kat odłożyła pogrzebacz, który szczęknął głośno o kamienie, i wstała.

- Gdy Rachel miała piętnaście lat, uciekła. Sebastian obserwował ją uważnie. Znał część prawdy o tym co ją spotkało po śmierci rodziców. Wiedział więcej niż ktokolwiek inny.

- Wtedy przyjechała do Londynu?

- Oczywiście - odpowiedziała spokojnie Kat. - Jak wszystkie dziewczyny, które chcą rozpocząć nowe życie.

To była stara historia o młodych kobietach, czasem dziewczynkach niespełna ośmio-, dziewięcioletnich, które dostawały się w ręce sutenerek żerujących na ich niewinności i braku doświadczenia. Rachel wpadła w szpony jednej z nich, zanim jeszcze wysiadła z dylizansu.

- Poznałaś ją, gdy zaczynała pracę w teatrze?

Kat potrząsnęła głową. Na jej wargach zagościł przelotny smutny uśmiech.

- Spotkałyśmy się na London Bridge. To było, o ile dobrze pamiętam, w grudniu. Kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Przekonałam ją, żeby nie skakała.

- I załatwiłaś pracę w teatrze? Kat wzruszyła ramionami.

- Była bystra, miała dobry akcent i akurat ten rodzaj twarzy i ciała, które podobają się mężczyznom. Była stworzona na aktorkę.

- Co w takim razie robiła u Świętego Mateusza we wtorek w nocy? Wiesz? Kat potrząsnęła głową.

- Nie powiedziałabym, że była przesadnie religijna. Podszedł do niej. W dziwnych żółtych oczach czaiła się groźba.

- Co przede mną ukrywasz?

Kat parsknęła krótkim wyćwiczonym śmieszkiem.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej policzka, potem zmienił zdanie. - Boisz się czegoś. Czego? Powstrzymała drgnienie całym wysiłkiem woli.

- Oczywiście, że się boję. Miałyśmy wielu wspólnych przyjaciół i partnerów w interesach.

- Kat Boleyn, którą znałem, nie dawała się tak łatwo zastraszyć. - Patrzyła na jego usta, gdy przemówił.

- Może nie znałeś jej tak dobrze, jak ci się wydawało.

- Z całą pewnością nie - zauważył sucho i odwrócił się. - Jak dobrze znałaś Rachel?

- Prawdopodobnie byłam jej bliższa niż ktokolwiek inny, ale nawet ja nie wiedziałam wszystkiego - Kat urwała, starając się ująć w słowa część potrzebnej mu prawdy. - Rachel miała zaledwie osiemnaście lat, ale życie dało jej twardą szkołę. Zahartowało ją. Nauczyło kalkulacji. Potrafiła być zimna, a nawet bezlitosna, jeżeli musiała.

- Miałyście ze sobą wiele wspólnego, czyż nie?

Ból, jaki odczuła słysząc jego słowa, był tak nagły i niespodziewany, że niemal zabrakło jej tchu. Nie sądziła, że wciąż potrafi zranić ją prosto w serce; nie myślała, że ktokolwiek ma do niej dostęp. Zerknęła w stronę holu.

Dom był pogrążony w ciszy przerywanej jedynie echem końskich kopyt na ulicy i wołaniem handlarzy, którzy zachęcali do kupna swoich towarów.

- Nie powinieneś być tu przychodzić - powiedziała. Uśmiechnął się, mrużąc oczy w grymasie, który pamiętała aż nadto dobrze.

- O co chodzi? Boisz się, że hrabia Stoneleigh obudzi się i odkryje moją nieobecność? Nie przypuszczam, by poruszył się przynajmniej jeszcze przez godzinę lub dłużej.

- Skąd wiedziałeś...

- Że tu jest? Przy drzwiach stoi jego laska i cylinder.

Laska i cylinder mogły mu powiedzieć, że Kat ma towarzystwo, ale nie mogły zdradzić nazwiska właściciela tych przedmiotów, śpiącego w jej łóżku. Wiedziała, że tę informację musiał zdobyć wcześniej. To powinno być bez znaczenia. Starła się przekonać samą siebie, że jej to nie obchodzi. A jednak, o dziwo, obchodziło.

- Zatem wszedłeś głównym wejściem, przez drzwi, czyż nie? - spytała, siląc się na lekki ton. Odpowiedział pytaniem na pytanie, co nie uszło jej uwagi.

- Gdzie Rachel wynajmowała pokoje?
- W Dorset Court. Ale nie możesz tam pójść, bo, zdaje się, taki miałeś zamiar? -
dodała szybko.

- Czemu nie? Skoro pokojówka twierdzi, że Rachel poszła do kościoła, żeby się ze
mną spotkać, to muszę się dowiedzieć, skąd miała taką informację.

- Dom jest pod obserwacją.

Przechylił głowę, zaskoczony, i spojrzał jej w oczy.

- Skąd wiesz?

Wiedziała, ponieważ ubiegłego wieczoru, po przedstawieniu, powiedział jej o tym
Leo. Uznał, że w obecnych okolicznościach byłoby lepiej, gdyby go tam nie widziano.
Zasugerował więc, by to Kat upewniła się, że Rachel nie pozostawiła żadnych
kompromitujących materiałów - także przez wzgląd na własne dobro.

- Takie rzeczy się wie. Sama mogłabym tam pójść, pogadać z pokojówką, a nawet
rozejrzeć się trochę, zobaczyć, co uda mi się znaleźć. Rachel miała notatnik, w którym
zapisywała terminy spotkań. To może nam się przydać - dodała z wystudiowanym spokojem.

Stanął przed nią. - Ty?

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Przyszło jej na myśl, że Dewlin mógłby stać
się wartościowym sprzymierzeńcem, gdyż miał nawet więcej powodów niż ona, by odnaleźć
mordercę Rachel. Należało jedynie dopilnować, by nie dowiedział się niczego ponad to, co
pozwoli odkryć tożsamość zabójcy.

- Wiesz, że mogę to zrobić - powiedziała.

To było oczywiste. Wiedział, że młode lata spędziła w jednej z najbardziej szemranych
londyńskich dzielnic jako rzezimieszek, złodziejka i ulicznica.

- W porządku. Nie mogę się jednak nadziwić, dlaczego. Liczyła się z odmową, lecz
Sebastian zgodził się.

- W imię starej dobrej przyjaźni? - podpowiedziała.

- Możliwe. A może dlatego, że się boisz? Nawet jeśli nie mówisz dlaczego.

Myślała przez chwilę, że tym razem ją dotknie. Potem usłyszała słabe uderzenie nad
sufitem. Spojrzała w stronę holu.

- Musisz już iść - powiedziała pośpiesznie. - Wróc jutro, wczesnym rankiem. Powiem
ci, czego się dowiedziałam.

- Aha - cień rozbawienia pogłębił zmarszczki przy ustach Sebastiana.

- Sam cię odszukam. Pozwoliła sobie na leniwy uśmiech.

- Po co? Nie ufasz mi?

- A ty byś ufała na moim miejscu?

Uśmiech Kat zgasł. Powiedziała mu kiedyś, że kocha go bardziej niż samo życie i
nigdy, przenigdy go nie opuści.

A potem powiedziała, że to było kłamstwo, i zraniła go tak straszliwie, że jej własne
serce o mało nie pękło.

- Nie - odpowiedziała i odwróciła się w kierunku schodów, zostawiając go samego w
zimnym świetle poranka.

ROZDZIAŁ 14

Sir Henry Lovejoy bardzo poważnie traktował swoje obowiązki sędziego pokoju.
Często przychodził wcześniej do biura, by przejrzeć notatki dotyczące poszczególnych spraw
i orzeczenia kolegów po fachu.

Przypuszczał, że działo się tak z powodu wychowania, jakie odebrał, i nawyku
przedsiębiorczości.

Lovejoy pochodził z solidnej, szanowanej rodziny kupieckiej, zaś decyzję o obraniu

funkcji sędziego pokoju podjął w średnim wieku, dopiero wtedy, gdy wybił się na niezależność jako przedsiębiorca. Nie zdobył fortuny, ale zyskał samodzielność i wygodę.

Zmiana zajęcia nie przyszła Lovejoyowi łatwo, gdyż był człowiekiem metodycznym i nigdy nie podejmował pochopnych decyzji. Miał jednak wiele powodów, z których nie najmniej ważnym było przekonanie, że bezdzielny mężczyzna powinien pozostawić po sobie coś wartościowego, przysłużyć się społeczeństwu. A sir Henry Lovejoy nie miał już dziecka.

Siedział przy biurku, z grubym szalem owiniętym wokół szyi, gdyż poranek był chłodny. W otwartych drzwiach pojawił się Edward Maitland.

- Trzech konstabli z Bow Street osaczyło Dewlina w starym zajezdzie na Pudding Row, niedaleko St. Giles.

- I co? - spytał Lovejoy, podnosząc wzrok znad notatek.

- Wydostał się przez okno i uciekł po dachu. Lovejoy oparł się o krzesło i zsunął okulary z nosa.

- Wysłałem kilku chłopców na zwiad - powiedział Maitland - Chociaż wątpię, czy to coś da.

- Ciekawe - Lovejoy przygryzł w zamyśleniu oprawkę okularów. - Na jakiej podstawie przypuszczacie, że wciąż jest w Londynie?

- Sądzę, że nie ma dokąd uciec.

- Człowiek z jego możliwościami? - Lovejoy potrząsnął głową. - Nie sądzą. Jak się miewa konstabl Simplot?

- Wciąż żyje, proszę pana. Ale to już długo nie potrwa, nie przy tak rozjątrzonej ranie.

Lovejoy kiwnął głową. Nóż przebił płuco młodego konstabla i jego śmierć była tylko kwestią czasu. Lovejoy przysunął krzesło do stołu i przeszukał bałagan na biurku.

- Czego dokładnie udało wam się dowiedzieć o Rachel York?

- A czego tu się dowiadywać?

Lovejoy zacisnął wargi i powstrzymał się od uwagi, że gdyby znał odpowiedź, nie trzeba by było jej SZUKAĆ.

- Mam nadzieję, że sprawdziliście jej pokoje?

- Wczoraj wczesnym rankiem, gdy rozmawialiśmy z pokojówką - Maitland wzruszył ramionami. - Nic ciekawego nie znaleźliśmy. Postawiłem na straży jednego człowieka, tak jak pan rozkazał, żeby pilnował tego miejsca w nocy.

„Marnotrawstwo czasu i środków”, zdawał się sugerować jego ton, chociaż Maitland nigdy nie pozwoliłby sobie wygłosić podobnej uwagi.

Lovejoy zrezygnował z poszukiwań planu zadań na dzisiaj.

- O której mam być w sądzie?

- O dziesiątej, proszę pana.

- Zostało niewiele czasu - mruknął Lovejoy. - Będę musiał odwołać wokandę na dzisiejsze popołudnie.

- Jak to? - zdziwił się Maitland.

- W tej sprawie niepokoi mnie kilka faktów, konstablu. Należy zbadać ją dokładniej i zamierzam zacząć od osobistego przeszukania pokoi tej nieszczęsnej kobiety. Coś tu śmierdzi. Może jeszcze nie wiem, co tu się dzieje, ale wiem jedno - Lovejoy włożył okulary z powrotem na nos. - Nie podoba mi się to.

ROZDZIAŁ 15

Lady Amanda Wilcox dowiedziała się, że jej brat Sebastian jest poszukiwany za zamordowanie aktorki Rachel York, dopiero w dniu jego głośnej ucieczki przez Londyn.

Sezon jeszcze się nie rozpoczął, więc wolała spędzać wieczory w domowym zaciszu, w towarzystwie szesnastoletniej córki Stephanie. Ani jej syn Bayard, ani jego ojciec nie

pofatygowali się, by zawiadomić ją o skandalu, choć obydwaj prawdopodobnie słyszeli nowiny, spędziwszy wieczór na mieście. Dlatego Amanda dopiero w czwartek rano dowiedziała się o katastrofie towarzyskiej, która zawiła nad jej rodziną; przeczytała to w „Morning Post”. Gazeta leżała na stole, koło nakrycia do śniadania.

Pogrążona w lekturze, kończyła posiłek, popijając herbatę, gdy zaanonsowano jej ojca, hrabiego Hendonu.

Wpadł do pokoju śniadaniowego, wciąż w płaszczu i kapeluszu, przynosząc ze sobą nieprzyjemne zapachy marznącego deszczu i przesyconej dymem mgły. Jego nalana twarz zmizerniała, usta zwiotczały, oczy były podkrążone i zaczerwienione. Wbił w Amandę pełen desperacji wzrok i zapytał bez wstępu:

- Kontaktował się z tobą? Tak czy nie?

- Jeżeli masz na myśli Sebastiana - odpowiedziała Amanda i niespiesznie upiła herbaty - to raczej nie. Hendon pochylił głowę, zasłaniając oczy ręką. Westchnął tak rozdzierająco, że Amanda zawstydziała się za niego.

- Mój Boże. Gdzie on jest? Dlaczego nie szuka pomocy u przyjaciół ani rodziny? Amanda zwinęła gazetę i odłożyła ją na bok.

- Prawdopodobnie dlatego, że zna swoją rodzinę. Odwrócił się do niej i powoli opuścił rękę.

- Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

- Więc jesteś głupcem. Spojrzenie niespokojnych błękitnych oczu wbiło się w źrenice Amandy.

- To mój syn. Amanda pierwsza odwróciła wzrok.

- Oczywiście - powiedziała sucho. - O to chodzi. Odsunęła krzesło i wstała.

- W tej całej sytuacji widzę tylko jedną jasną stronę. Zawsze wiedziałam, że w końcu nas zniesławi, ale przynajmniej miał na tyle taktu, żeby zrobić to w tym roku. Miejmy nadzieję, że skandal zdąży przycichnąć przed kolejnym sezonem, kiedy Stephanie zadebiutuje.

- Nic więcej cię nie obchodzi?

- Stephanie jest moją córką. Czym jeszcze mam się przejmować? Obserwował ją z namysłem przez długą, pełną napięcia chwilę.

- Zawsze wiedziałem, że ty i Sebastian nie jesteście sobie szczególnie bliscy. Przypuszczam, że to nieuniknione, zważywszy na różnicę wieku między wami. Ale aż do dzisiaj nie miałem pojęcia, jak bardzo go nienawidzisz.

- Wiesz dlaczego - odpowiedziała ostro.

- Tak. Ale jeżeli ja mogę o tym zapomnieć, to czemu, na Boga, ty nie możesz? - odwrócił się. - Pozdrów ode mnie moje wnuki - rzucił przez ramię i wyszedł.

Amanda czekała, dopóki nie usłyszała, że drzwi frontowe zamknęły się za ojcem. Potem podniosła poranną gazetę i poszła na górę do mężowskiej garderoby.

Ród Wilcoxów był stary, starszy nawet niż St. Cyrowie. Cieszył się powszechnym szacunkiem i uznaniem. Martin, dwunasty baron Wilcox, odziedziczył wygodną posiadłość ziemską. Zamiast trwonić majątek na zakłady i karty, jak wielu ludzi z jego sfery, dzięki przemyślanym inwestycjom w kompanię handlową i spekulacjom wojennym dorobił się pokaźnej fortuny.

Niektóre kobiety byłyby przerażone i zdegustowane handlową działalnością męża, lecz Amanda do nich nie należała. Córka hrabiego Hendonu rozumiała dobrze, że pretensje do szlachectwa opierają się na majątku ziemskim, jednak stabilizacja finansowa i przyszły dobrobyt kryją się gdzie indziej. Amanda poślubiła hrabiego Wilcoxsa pod koniec swojego drugiego sezonu. Nigdy nie miała powodów, by żałować tej decyzji.

Siedział przed lustrem pochłonięty poważnym zajęciem, jakim było wiązanie krawata. Martin Wilcox miał około pięćdziesięciu lat, szpakowate, przeredzające się włosy i sumiaste

wąsy nad wąskimi ustami, ale podobnie jak większość ludzi z otoczenia księcia ubierał się bardzo starannie. Jeden rzut oka na twarz żony wystarczył, by odesłał służącego krótkim skinieniem głowy.

Rzuciła otwartą gazetę na blat toaletki.

- Mogłeś mi powiedzieć.

Wilcox nie odwracał spojrzenia od swojego odbicia.

- Wcześniej poszłaś do łóżka - odpowiedział, jakby to wszystko tłumaczyło. I rzeczywiście tak było, bo od przeszło piętnastu lat Amanda nie pozwalała mężowi przestąpić progu swojej sypialni. Nie mógł jej zarzucać, że nie dopełniła obowiązków żony. W ciągu sześciu lat od zawarcia małżeństwa dała mu najpierw Bayarda, potem córkę, a potem jeszcze jednego syna. Dopiero wtedy, gdy Amanda zapewniła dziedzica rodu i drugiego syna na zapas, zabroniła mężowi dostępu do łóża.

Najmłodszy syn zmarł w wieku siedmiu lat, ale Amanda nie zamierzała zmieniać swojej decyzji, a Wilcox, który nigdy nie miał wygórowanych żądań w tej materii, nie naciskał. Bayard był dość zdrowy - jeżeli nie na umyśle, to przynajmniej na ciele.

- Był tu dziś mój ojciec - powiedziała, stając w kącie pokoju z rękami założonymi na piersi.

- I co? - Wilcox pochylił się, studiując swoje odbicie i zaczął starannie poprawiać fular. - Wie, gdzie jest Dewlin?

- Nie. Myślał, że może ja wiem. Wilcox prychnął.

- Jeżeli twój brat ma odrobinę rozsądku, to jest już za granicą. Paskudna sprawa, o ile mi wiadomo. Zawsze wiedziałem, że potrafi być porywczy, ale to... - urwał, oglądając swoją głowę ze wszystkich stron. - Muszę powiedzieć, że nigdy czegoś takiego nie oczekiwałem. Skandale, na jakie naraził nas w przeszłości, są niczym w porównaniu z obecnym.

Amanda prychnęła z pogardą.

- Nie bądź śmieszny. Sebastian nie zabił tej kobiety. Podniósł wzrok i spojrzał w lustro, odszukując jej wzrok.

- Skąd ta pewność, moja droga?

- Wiesz, kim była ta aktorka, czyż nie?

Wilcox otworzył szkatułkę z chińskiej laki, przejrzał jej zawartość, w końcu wybrał diament i dwa złote breloki. Martin zawsze nosił za dużo biżuterii.

- A powinienem? - spytał, wieszając jeden z breloków na dewizce.

- Mógłbyś, gdybyś baczniej przyglądał się swojemu synowi i spadkobiercy. Rachel York to kobieta, dla której Bayard robił z siebie pośmiewisko jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Wilcox wsunął pierścień na palec.

- I co z tego?

- A jeśli oskarżenie przeciwko Sebastianowi upadnie i władze zaczną dochodzenie w sprawie śmierci tej kobiety? Co wtedy?

- Nawet gdyby, to co? - spytał znowu. - Nie ma nic złego w tym, że zdrowy, młody mężczyzna podziwia piękną kobietę. Zwłaszcza, gdy rzeczona kobieta handluje swoją urodą i wykorzystuje ją do usidlania dżentelmenów. Jeżeli władze mają podejrzewać każdego londyńskiego młokosa, który pożądał tej kobiety, to, uwierz mi, lista będzie bardzo długa.

Amanda chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

- Ponadto - ciągnął - jeżeli ktokolwiek zapyta, to wystarczy, że powiem, iż we wtorek wieczorem Bayard był ze mną.

Amanda wpatrzyła się w jowialną, beztroską twarz męża.

- A jeżeli on naprawdę to zrobił, Martinie? Boisz się skandalu wywołanego przez mojego brata. A co będzie, jeśli okaże się, że to Bayard?

Wilcox wstał z pociemniałą twarzą.

- Co dokładnie chcesz powiedzieć? Myślisz, że twój własny dwudziestojednoletni syn jest zdolny do zbrodni, o jaką nie podejrzewasz swojego żalosego brata?

Amanda spojrzala w jego gniewne oczy i zacisnela zęby.

- Obydwoje wiemy, jaki jest Bayard.

- Mówilem ci - powiedział Wilcox, głośniejsz niż zazwyczaj. - Bayard był ze mną.

- Doprawdy, co za ulga. W takim razie nie ma powodów do zmartwień - odpowiedziała sucho i wyszła.

ROZDZIAŁ 16

Wciągu długich lat służby w armii Sebastian odkrył, że ma talent aktorski, umiejętność naśladowania różnych akcentów, zachowań i postaw. Było to niezwykle pomocne, gdy musiał wcielić się w kogoś innego i uzyskać potrzebne informacje. Wiedział też, że ludzie najczęściej widzą to, co chcą zobaczyć, a ktoś, kto szuka zbiegłego arystokraty nie zwróci uwagi na pokornego wikarego czy zwykłego kupca w tanim ubraniu i źle skrojonym burym płaszczu.

Dlatego gdy opuścił elegancki niewielki dom Kat Boleyn, udał się na targowisko szmat na Rosemary Lane, gdzie kupił komplet używanej odzieży: szary płaszcz i obszarpany czarny kapelusz. Odwiedził kilka małych sklepów, gdzie dokonał paru innych zakupów. Potem, owinięty w płaszcz, z okrągłym kapeluszem nasuniętym nisko na żółte oczy, wynajął pokój w skromnym, ale porządnym zajeździe „Róża i Korona”, gdzie dokończył swojej przemiany.

Obejrzał się dokładnie ze wszystkich stron w małym lusterku zainstalowanym nad miednicą. Będzie odtąd panem Simonem Taylorem, zdecydował. Pan Taylor nie miał wyczucia stylu - nosił źle obcięte włosy, staromodny płaszcz i niedbale przewiązany krawat.

Wprawnie nałożył pył kredowy na świeżo obcięte włosy. Uzyskał w ten sposób kilka siwych pasm. Po miesiącach bezcelowej wegetacji, życia pełnego wygod, lecz przewidywalnego i nieuchronnie nudnego, poczuł słaby przeblask zainteresowania, ożywienie, jakiego nie zaznał od powrotu z wojny dziesięć miesięcy wcześniej.

Znalazł Hugh'a Gordona w kącie „Zielonego Ludka”, starego pubu z czerwonej cegły, popularnego wśród teatralnego światka od czasów panowania królowej Elżbiety.

Aktor - wysoki, elegancki mężczyzna - siedział samotnie przy prostym obiedzie i kuflu piwa. Z jego postaci emanowały arogancja i pycha; widać było, że nie życzy sobie niczyjego towarzystwa.

Sebastian przepchnął się do stołu, zdjął kapelusz i przycisnął go do piersi skromnym, pełnym pokory gestem.

- Przepraszam, czy to pan Hugh Gordon? Gordon podniósł wzrok, marszcząc brwi. Nawet poza sceną jego sposób bycia kojarzył się z grą, a głos był stentorowy.

- Słucham pana? Sebastian zacisnął dłonie na rondzie kapelusza.

- Proszę mi wybaczyć śmiałość. Pozwoli pan, że się przedstawię: jestem Taylor. Simon Taylor? - Sebastian zawiesił głos, jak ktoś tak niepewny siebie, że każda jego wypowiedź przypomina pytanie. - Z Worcestershire? Powiedzieli w teatrze, że tu pana znajdę. Gordon wyciągnął rękę po kufel i pociągnął tęgi łyk piwa.

- O co chodzi?

Sebastian ostentacyjnie przełknął ślinę, by ruchy jego jabłka Adama były dobrze widoczne.

- Staram się odnaleźć młodą powinowatą mojej żony, pannę Rachel York. Miałem nadzieję, że pan będzie mógł mi powiedzieć, gdzie mogę na nią natrafić.

- Chce pan powiedzieć, że o niczym nie słyssał? - tembr głosu Gordona był głęboki i bogaty, a intonacja nieskazitelna. Mógłby z łatwością uchodzić za dżentelmena.

Sebastian udał zmieszanie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Ona nie żyje.

- Nie żyje? - Sebastian zachwiał się, jakby przytłoczony nowiną, i usiadł ciężko naprzeciwko aktora. - Wielkie nieba! Nie miałem pojęcia... Kiedy to się stało?

- Znaleźli ją w starym kościele na Great Peter Street, niedaleko opactwa. Wczoraj rano. Ktoś poderzwał jej piękną szyjkę.

W ostatnim stwierdzeniu nie było żalu, jedynie słabe echo wrogości, które zaintrygowało Sebastiana, choć dołożył wszelkich starań, by tego nie okazać.

- Ależ to okropne! Kto mógł to zrobić?

- Jakiś arystokrata. - Gordon podniósł do ust kolejny kawałek wołowiny. - Tak przynajmniej mówią.

- Tak mi przykro... To musiał być dla pana nie lada cios. Gordon znieruchomiał z widelcem w pół drogi do ust.

- Dla mnie? Cóż to ma znowu znaczyć?

- Miałem wrażenie że pan i Rachel... - Sebastian chrząknął znacząco. - No, wie pan...

Gordon prychnął.

- Przyjacielu, twoje informacje są co najmniej nieaktualne. Zapewniam cię, że od moich czasów niejedyn mężczyzna zwiedził jej pałac rozkoszy.

Była to bezpośrednia deklaracja, jakiej trudno oczekiwać od kochanka. Sebastian zaczerpnął powietrza i westchnął przeciągle.

- Moja matka zawsze się bała, że ta dziewczyna skończy jak zwykła nierządnicą z Haymarket. Gordon zachnął się na te słowa.

- O, Rachel nie była pospolita, w żadnym wypadku. Tam, do kata! Ostatnio żeby przekroczyć jej bramy z kości słoniowej trzeba było być hrabią, a przynajmniej cholernym jaśnie panem.

I tu, pomyślał Sebastian, kryje się źródło niechęci Gordona do byłej kochanki. Gdy była młoda i dopiero zaczynała karierę aktorki, jego status jednego z tytanów sceny pewnie robił na niej wrażenie niemal boskiej potęgi. Gdy jednak Rachel zdobyła sławę, zwróciły się na nią oczy najzamożniejszych arystokratów Londynu. Z całą pewnością uznała wtedy, że stać ją na więcej niż związek ze zwykłym aktorem, a zwłaszcza z takim, który nadużywał pięści. Gordon pociągnął tego piwa.

- Często mawiała, że pewnego dnia szlachetnie urodzone głowy skończą na pikach, a ryszutki spłyną cenną błękitną krwią - parsknął krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem.

- Szybko zmieniła śpiewkę, gdy zaczęli obsypywać ją klejnotami i stroić w złotogłów.

„A zatem Rachel York miała radykalne sympatie i popierała cele Rewolucji Francuskiej. Ciekawe”, pomyślał Sebastian. Potrząsnął głową w zamyśleniu.

- W końcu któryś ją zabił?

- Tak mówią. Ja tam uważam, że władze powinny przyjrzeć się lepiej temu cholernemu Francuzowi.

- Miała francuskiego kochanka?

- Kochanka? - Gordon wpakował do ust ostatni kawałek chleba, chwilę przeżuwał i przełknął głośno. - Nie wiem czy można go tak nazwać, ale na pewno płacił za jej pokoje.

- Co to za człowiek?

- Jeden z tych przeklętych imigrantów. Twierdzi, że jest synem hrabiego, albo coś takiego - przez chwilę w nienaganej wymowie aktora pobrzmiwał dialekt Newcastle. Gordon odsunął talerz, rozparł się na krześle i strzepnął okruchy z palców. - Nazywa się Pierrepont. Leo Pierrepont.

ROZDZIAŁ 17

Sir Henry Lovejoy miał w życiu dwie pasje. Jedną były sprawiedliwość i prawo, a drugą - nauka. Gdy tylko mógł, uczęszczał na otwarte wykłady Królewskiego Towarzystwa Naukowego, czytał kwartalnik naukowy i bardzo się starał stosować „metodę naukową” w dochodzeniach i sprawach sądowych.

Niekiedy jednak po prostu zdawał się na instynkt.

Intuicja ostrzegła go i tym razem. Sir Henry miał przeczucie, że w sprawie morderstwa Rachel York kryje się coś więcej, niż sugerują dotychczasowe odkrycia konstabla Maitlanda. Dlatego późnym czwartkowym popołudniem w klubie Brooksa na St. James odszukał przyjaciela i niedawnego sekundanta wicehrabiego Dewlinu, sir Christophera Farrella. Chciał dowiedzieć się czegoś o kłopotliwym synu hrabiego Hendonu, Sebastianie.

- Niech mi pan opowie o wczorajszym pojedynku między hrabią Dewlinu i kapitanem Johnem Talbotem - poprosił Lovejoy, gdy sir Christopher dołączył do niego w dyskretnym niewielkim pokoju na piętrze, który klub oddał do ich dyspozycji.

Ku zaskoczeniu sędziego sir Christopher okazał się wyjątkowo otwartym człowiekiem, o szarych oczach i swobodnym sposobie bycia. Lovejoy nie oczekiwał tego po przyjacielu kogoś tak mrocznego i zgryźliwego jak Dewlin. Sir Christopher otworzył szeroko oczy i zapytał tonem sztucznie niewinnym.

- Pojedynku? Jakim znów pojedynku?

W pokoju stał duży mahoniowy stół i kilka krzeseł obitych błękitnym brokatem, takim samym jakim wyłożono ściany. Lovejoy wstał i utkwiał wzrok w siedzącym naprzeciwko Farrellu.

- W ten sposób nie pomoże pan przyjacielowi. Nie interesują mnie w tej chwili prawa zabraniające pojedynków. Dwa dni temu ktoś brutalnie napadł i zamordował młodą kobietę, niejaką Rachel York, a pewne dowody i zeznania świadków obciążają hrabiego Dewlinu. Dlatego im więcej zdołamy się dowiedzieć o działaniach jego hrabiowskiej mości w ciągu ostatnich kilku dni, tym bliżsi będziemy prawdy o tej sprawie. Jeżeli wie pan o czymś, co może okazać się pomocne w ustaleniu faktów, lepiej niczego nie zatajać. Pytam więc ponownie: kto rzucił wyzwanie? Hrabia Dewlinu?

Sir Christopher wahał się przez chwilę, a w końcu potrząsnął głową.

- Nie. Talbot.

- Dokładnie gdzie i kiedy?

Farrell wyjrzał przez okno, z rękami założonymi na plecach. Chwilę trwało, zanim odpowiedział: niechętnie, z wahaniem, jakby żałował każdego wypowiedzianego słowa.

- We wtorek wieczorem. W klubie u White'a. Sebastian stał niedaleko wejścia do pokoju gier, z winem w ręku. Talbot potracił go tak, że wino zachlapało mu buty. Zażądał satysfakcji.

Lovejoy kiwnął głową ze zrozumieniem.

- To było publiczne usprawiedliwienie pojedynku. A teraz proszę mi podać rzeczywisty powód. Farrell obrócił się gwałtownie i podniósł brew w udanym zdziwieniu.

- Chyba się przestyszałem?

Lovejoy uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

- Są tacy, którzy utrzymują, że hrabia Dewlinu miał romans z żoną kapitana Talbota.

Sir Christopher spojrział w oczy sędziego. Lovejoy pomyślał, że hrabia Farrell musi być fatalnym graczem. Wszystko, nad czym się zastanawiał, każda myśl i uczucie, natychmiast odbijało się na jego twarzy. Lovejoy wiedział dokładnie, kiedy Farrell zaniechał oporu. Westchnąwszy przeciągle, sir Christopher usiadł przy stole.

- Talbot z pewnością tak uważał - powiedział, opierając łokcie na stole, a brodę na łokciach. - Ale to nieprawda. Stosunki między Dewlinem a Melanie Talbot nigdy nie

wykroczyły poza przyjaźń.

- Pan w to wierzy?

Sir Christopher posępnie pokiwał głową.

- Ubiegłej wiosny, na balu w Devonshire House, Sebastian usłyszał płacz w ogrodzie. On ma najbardziej wyczulony słuch, jaki można sobie wyobrazić. Dość powiedzieć, że poszedł sprawdzić co się stało. Okazało się, że to żona Talbota. Draniowi nie spodobało się jak patrzyła na jednego ze skrzypków, więc dotkliwie ją pobił, a potem wybiegł, wściekły. Sebastian odwiózł ją do domu.

- Ale na tym się nie skończyło. Farrell opuścił ręce i oparł się o krzesło.

- Nie. Potrzebowała przyjaciela, i został nim Dewlin. Zawsze myślałem, że się w nim podkochiwała, ale Sebastian nie wykorzystuje cudzych słabości.

Lovejoy zmierzył wzrokiem młodego hrabiego.

- Jak dobrze pan go zna?

Leniwy, niespodziewanie chłopięcy uśmiech rozjaśnił twarz sir Christophera.

- Lepiej niż dwóch rodzonych braci. Sebastian i ja byliśmy razem w Eton. Potem w Oksfordzie.

- Ale nie zaciągnął się pan do wojska razem z nim? Uśmiech hrabiego zgasł.

- Nie. Nawet nie wiedziałem, że to zrobił. Dowiedziałem się dopiero w przeddzień jego wyjazdu z Anglii.

- Wiadomość ta była zapewne sporym zaskoczeniem, czyż nie?

Zapadła niezręczna cisza. Sir Christopher wyglądał tak, jakby zastanawiał się nad słowami. Wreszcie wyznał:

- Mniej więcej rok po powrocie z Oksfordu Sebastian zakochał się w kobiecie, której hrabia Hendonu nie aprobował. Zagroził, że jeżeli Sebastian ją poślubi, zostanie wydziedziczony.

- Hrabia Hendonu miał zastrzeżenia co do pochodzenia młodej damy? Farrell potarł garbek nosa.

- Była jedną z cór Koryntu.

- Ach, tak - powiedział Lovejoy. Trudno było sobie wyobrazić, że młody arogant, którego po raz pierwszy spotkał w bibliotece na Brook Street, mógłby zrobić coś tak głupiego i niewłaściwego, jak zakochać się w osobie niewiadomego pochodzenia. Ale w końcu to musiało być już dawno temu. Można było co najwyżej domniemywać, ile z tego impulsywnego, romantycznego młodzieńca przetrwało w chłodnym, twardym mężczyźnie, jakim był teraz hrabia Dewlinu.

- Sebastian przysiągł, że i tak ją poślubi. Tyle że owa dama nie miała zamiaru zostać żoną biedaka. Gdy zdała sobie sprawę, że Hendon nie żartuje, zakończyła związek.

- A Dewlin wyjechał na wojnę, żeby dać się zabić.

- Nie jestem pewien, czy jego zamiary były aż tak poważne. Powiedzmy, że na jakiś czas chciał opuścić Anglię.

- To zrozumiałe - odrzekł gładko Lovejoy. - Jednak, o ile mi wiadomo, zgłaszał się do dość niebezpiecznych zadań.

- Był w wywiadzie, jeżeli o tym pan mówi. Miał do tego talent.

- Tak słyszałem. Jednak, jak rozumiem, w ubiegłym roku zrezygnował ze służby w dość niejasnych okolicznościach. Zastanawiam się, co mogło być tego przyczyną?

Pytające spojrzenie Lovejoya natrafiło na uparty wzrok hrabiego.

- Nic o tym nie wiem. - odpowiedział sir Christopher, i wyglądało na to, że w tej kwestii postanowił zachować milczenie. Lovejoy zmienił taktykę.

- Czy widział się pan z hrabią Dewlinu w ostatni wtorek wieczorem?

- Oczywiście - sir Christopher nadal badawczo mrużył oczy. „Ten człowiek jest otwarty”, pomyślał Lovejoy, „ale nie jest głupcem”. Szlachcic wiedział wokół jakiego tematu

krąży sędzia.

- Byliśmy u Watiera całą noc, do wschodu słońca następnego dnia, kiedy to pojechaliśmy do Chalk Heath.

Lovejoy uśmiechnął się nerwowo.

- Tak. Ale, widzi pan, nas interesują wcześniejsze działania hrabiego Dewlinu. Zgodnie z naszą informacją hrabia dotarł do Watiera dopiero po dziewiątej, mimo że opuścił dom mniej więcej cztery godziny wcześniej, koło piątej. Jego hrabiowska mość twierdzi, że spędził owe cztery godziny spacerując ulicami Londynu. Niestety, twierdzi też, że był sam.

Sir Christopher zacisnął szczęki.

- Jeżeli Dewlin mówi, że spacerował, to znaczy, że tak było.

„Młody hrabia ma zbyt szczerą twarz i zbyt dużą predylekcję do uczciwości - pomyślał Lovejoy - żeby kiedykolwiek stać się dobrym kłamcą”. Następnych dziesięć minut upłynęło na próbach nakłonienia sir Christophera, by wyznał prawdę. W końcu jednak sędzia musiał się poddać. „Może będę miał więcej szczęścia - pomyślał - z nieszczęśliwą mężatką, Melanie Talbot”.

ROZDZIAŁ 18

Rachel York wynajmowała pokoje na pierwszym piętrze w niewielkim schludnym domu na Dorset Court, niedaleko miejskiej rezydencji Kat. Ale nim ta ostatnia pozbyła się Stoneleigha i dotarła do mieszkania Rachel, było już późne popołudnie i z wolna zaczynało zmierzchać. Gdy wspinała się na górę długimi schodami, rozpadało się. Ciężki, zimny deszcz ze śniegiem uderzył niczym lawina małych kamyków w okno na końcu szerokiego korytarza.

- Nikogo tam nie znajdziesz, tyle ci powiem - Kat już miała zapukać do drzwi mieszkania, gdy usłyszała płynący z drugiego piętra płaczliwy głos kobiety. Przeszła przez hol i wychyliła głowę za balustradę.

- Przepraszam? Nad sobą ujrzała drobną twarz w aureoli siwych włosów, pokrytą siecią głębokich zmarszczek.

- Ona nie żyje. Zamordowana w kościele, niech spoczywa w spokoju.

- Chciałam się zobaczyć z Mary Grant, pokojówką. Jeżeli szuka nowej pani, chętnie ją przyjmę.

- Hmm... Aaa, tej to już dawno nie ma. Dziś rano wzięła, co się dało i zabrała się stąd, ot co. Kat zaczynała drętwieć szyja, więc przekreśliła głowę. Teraz lepiej widziała swoją rozmówczynię. Staruszka była tak drobna, że musiała stać na palcach, by oprzeć ramiona na szczytce balustrady. Jej suknia z purpurowej satyny była skrojona według mody z ubiegłego stulecia, ale sprawiała wrażenie nowej.

Także sznury pereł, szmaragdów i rubinów na szyi i nadgarstkach wyglądały na prawdziwe - przynajmniej w tym świetle.

- Spakowała manatki?

- Zabrała wszystko - odpowiedziała kobieta. Akcent zdradzał, że pochodziła ze szkockich Highlandów. - Wyniosła od razu. Co nie było zbyt trudne, zważywszy, że jej pani była już przygotowana do wyprowadzki.

- Rachel chciała zmienić mieszkanie? - to była nowina.

- Ja tam myślę, że raczej opuścić Londyn.

- Wyjechać?

- Tak mi się wydaje, chociaż nie była specjalnie rozmowna. W tym tygodniu była całkiem do niczego: to w skowronkach, to znów bała się własnego cienia. Coś mi się widzi, że dorwała trochę pieniędzy - stara kobieta mruczała pod nosem. - I na co jej przyszło?

- Ale... Myślałam, że był tu konstabl. Jak Mary Grant mogła wszystko zabrać bez jego wiedzy? Zainteresowanie Kat szczegółami zdawało się zupełnie nie dziwić starej kobiety.

Zamyśliła się i znów zamruczała.

- On? Powiadam, że wyszedł o pierwszym brzasku. A i tak miał nie lada zagwozdkę. Ile ludzi przewinęło się przez te schody... Więcej niż za jej życia.

- Pewnie władze... - Kat zawiesiła głos zachęcająco.

- Taa, trzykrotnie. Przynajmniej myślę, że to władze. A potem młody z kluczem.

Ciekawość Kat szybko wzrosła. Młody człowiek, który miał klucz? Żaden z kochanków Rachel, o ile było Kat wiadomo, nie był młody, poza tym Rachel nigdy im nie dawała kluczy do mieszkania.

- Może to któryś z jej... kuzynów?

Staruszka zaśmiała się na cały głos, aż po ciemniejącej klatce schodowej poszło echo.

- Jeden z jej kochanków, chcesz powiedzieć. Nie musisz przy mnie owijać w bawełnę, młoda damo, z niejednego pieca chleb jadłam.

Kat uśmiechnęła się do niej.

- Przychodził regularnie, czy tak? Kobieta prychnęła.

- Ten nie. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Ten uśmiech Kat zachowała dla siebie. Nie wątpiła, że staruszka pełniła straż na schodach z wielkim staraniem, zapisując w pamięci wszelkie wizyty bez wyjątku.

- Ja tam uważam - powiedziała kobieta - że czegoś szukał. Szukał i nie znalazł.

- Naprawdę?

- Taa. Słyszałam go przez dobrych pięć minut, jak chodził z pokoju do pokoju. I myślę sobie, że pewnie przeszukuje mieszkanie. A potem pierwsze, co robi, to przychodzi tutaj, puka do drzwi i prosto z mostu pyta, czy może mam jakieś podejrzenia, dokąd udała się pokojówka. A skąd niby miałabym wiedzieć? - stara kobieta wbiła w Kat taksujący wzrok. - Też pewnie jesteś aktorką.

- No, cóż - odpowiedziała pospiesznie Kat. - Jeżeli Mary Grant rzeczywiście odeszła, chyba nie mam tu czego szukać. Dziękuję pani za pomoc.

Kat czuła na plecach jasne, zaciekawione spojrzenie, gdy schodziła wolno na dół. Dopiero na parterze usłyszała szcęk zamykanych drzwi.

Ściągnęła botki i powoli wspięła się na piętro, opierając ciężar ciała o ściany, by schody nie zaskrzypiały.

Zamek w drzwiach mieszkania Rachel był prostym mechanizmem, nie stanowił przeszkody dla osoby znajdującej się na rzeczy. Kat wślizgnęła się do środka i bezszelestnie zamknęła drzwi.

W ciągu trzech lat od wejścia na scenę Rachel dorobiła się niezłego majątku. Pokoje o ścianach wyłożonych drogą boazerią miały szlachetne proporcje, w oknach wisiały sute, aksamitne zasłony. Stara kobieta miała jednak rację: tam, gdzie wcześniej stały lśniące politurowane meble i sofy obite satyną, teraz pozostały jedynie niewielkie kupki śmieci.

Od posadzki wiało chłodem. Kuląc gołe palce, Kat przekradła się miękko przez pusty salon i przylegającą doń jadalnię. Pokojówka Rachel zostawiła niewiele. Na tyłach domu leżał pokój o ścianach wybitych pięknym różowym jedwabiem, w którym Rachel urządziła sypialnię. Tam właśnie udała się Kat. Przeszła po pustej podłodze w stronę okna i ostrożnie rozsunała zasłony, wpuszczając do pokoju gasnące światło dnia. Potem, drżąc z zimna, stanęła przy kominku.

Gzyms był starannie wykończony rzeźbionym drewnem pomalowanym tak, by przypominało marmur.

Kat przyjrzała się smukłym pilastrom i wolutom na zwieńczeniu. Dotknęła najpierw jednego segmentu, potem następnego, popychała, przekreślała kolejne elementy zdobienia. „Musi gdzieś tu być, pomyślała”, i wtedy właśnie mała część architrawy oddzieliła się od reszty konstrukcji.

Kat zanurzyła rękę w czeluści skrytki i wyjęła mały notatnik o złoconych brzegach w

przewiązanej rzemykiem czerwonej skórzanej okładce. W tej książeczce Rachel zapisywała umówione spotkania. Kat sprawdziła ponownie skrytkę, ale nic więcej nie znalazła.

Rozwiązała skórzany rzemień i przekartkowała notatnik. Zdała sobie sprawę, że będzie musiała wyrwać niektóre strony, zanim odda zapiski Sebastianowi. Gdyby trafił na jakikolwiek ślad prowadzący do Leo, znaleźliby się w niebezpieczeństwie. Mogła jedynie mieć nadzieję, że informacje z notatnika wystarczą, by naprowadzić Sebastiana na ślad zabójcy Rachel.

Kat poderwała głowę. Z holu dobiegły odgłosy otwieranych drzwi.

- Matko Boska - szepnęła i wrzuciła książeczkę do mieszka. Usłyszała ostry, wysoki głos mężczyzny, przepełniony gniewnym niedowierzaniem.

- Co tu się dzieje, na Boga? Wydałem rozkaz, by pilnowano tego miejsca.

Zamknawszy tajną skrytkę, Kat przemknęła przez boczne drzwi do spiżarni na tyłach, z której wychodziło się na wąskie, strome schody dla służby.

- Trzymamy straż nocą, proszę pana - usłyszała inny, młodszy głos. Mężczyzna mówił zdecydowanie ugodowym tonem. - Nic pan nie mówił, że trzeba pilnować i później.

Podsakując na jednej nodze, w pozie bynajmniej nie eleganckiej, Kat założyła kolejno oba buty. Na chwilę straciła równowagę, zachwiała się i uderzyła łokciem o drzwi prowadzące na schody.

- Co to było? Kat rozejrzała się gwałtownie, gdy nagłący, wysoki głos rozniósł się echem po pustych pokojach.

- Ja tam nic nie słyszałem. Pierwszy głos zbliżał się.

- Ktoś tu jest. Na tyłach. Szybko!

Kat nie czekała na dalszy ciąg wydarzeń. Zbiegła po dudniących schodach, z mieszkami w zaciśniętej dłoni.

ROZDZIAŁ 19

Przebranie prostego kupca, Simona Taylora z Worcestershire, nie zwiódłoby mężczyzny pokroju Leo Pierreponta. Sebastian i Pierrepont nie obracali się w tych samych kręgach, ale Francuz znał z widzenia hrabiego Dewlinu, zaś źle skrojony płaszcz i trochę siwizny na skroniach raczej nie wystarczyłoby jako przebranie. Pierrepont cieszył się reputacją niezwykle bystrego obserwatora.

Sebastian złożył zatem wizytę w niewielkim sklepie na Strandzie, w którym zaopatrzył się w zgrabny niewielki pistolet skałkowy francuskiej firmy Cassaignard, z armatnią lufą i dwustopniowym zamkiem.

Mieścił się łatwo w przedniej kieszeni płaszcza. Potem, gdy nad miastem zapadał zmierzch, a latarnicy zmagali się z uporczywym deszczem i ostrym styczniowym wiatrem, udał się w stronę Half Moon Street.

Leo Pierrepont zbiegł po frontowych schodach. Postawił kołnierz płaszcza i naciągnął kapelusz głęboko na oczy, by chronić je przed wiatrem i deszczem.

- Cavendish Square - rozkazał stangretowi, zatraskując drzwiczki fiakra.

- Beau zawsze twierdził, że dżentelmeni nie powinni jeździć wynajętymi powozami - zauważył rozparty w kącie Sebastian. - Powodów jest więcej, niż można by przypuszczać.

Francuz natychmiast ukrył zaskoczenie.

- Najmocniej przepraszam - odpowiedział, zerkając w stronę drzwi. - Nie zauważyłem, że ten powóz jest już zajęty.

Pierrepont cieszył się reputacją sprawnego fechmistrza. Mimo czterdziestki, może nawet pięćdziesiątki na karku, jego szczupłe ciało było sprawne i pełne energii. Sebastian wyjął rękę z kieszeni i spokojnie wycelował pistolet w pierś Francuza.

- Myślę, że pan rozumie sytuację.

Leo Pierrepont wyciągnął nogi, rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął.

- Obawiam się zatem, że przecenia pan siłę mojej wyobraźni.

- Wie pan jednak kim jestem.

- Naturalnie - Pierrepont uniósł brwi w bardzo francuskim grymasie niesmaku. -

Gdzie pan znalazł ten szkaradny płaszcz?

Sebastian uśmiechnął się.

- Na targowisku szmat na Rosemary Lane.

- Wygląda na tego rodzaju nabytek. Przypuszczam, że na swój sposób to efektowne przebranie. Ale jedynie tak długo, dopóki władze nie wpadną na pomysł, by szukać swojego zbiega wśród fatalnie ubranych, hmm?

- Nie martwi mnie to. Przypuszczam, że ma pan własne powody, by nie wchodzić w drogę władzom. Przynajmniej gdy sprawa dotyczy Rachel York.

- Przypuśćmy, że pańskie przypuszczenia są jednak błędne...

- Oczywiście, istnieje takie ryzyko. Ciekawi mnie jednak fakt, że to właśnie pan płacił czynsz za jej pokoje?

Obok nich przetoczył się powóz, blask latarni zatańczył na ostrych rysach Francuza. W tym świetle przypominał drapieżnego ptaka.

- Kto panu o tym powiedział?

Sebastian z nonszalancją wzruszył ramieniem.

- Łatwo uzyskać informacje... gdy ktoś dysponuje odpowiednimi środkami. Francuz przyglądał mu się przez chwilę.

- Czy mam zgadywać, dlaczego nagabuje mnie pan w tej sprawie?

- Wydaje mi się, że powód jest oczywisty. Pierrepont otworzył szeroko oczy.

- Dobry Boże! Sugeruje pan, że zabiłem Rachel? Jaki był, pańskim zdaniem, motyw tej zbrodni? Z całą pewnością nie żądza. Zważywszy na szczegóły, które pan odkrył, jest oczywiste, że mogłem mieć tę dziewczynę, kiedy tylko chciałem. Dlaczego miałbym ją gwałcić w kościele?

Sebastian obserwował spokojną twarz rozmówcy. Czy Rachel została zgwałcona?

- Wydaje się jednak, że dzielił się nią pan z innymi - powiedział beznamytnym tonem.

- Zastanawiam się, czy pańska szczodroblowość była dobrowolna, czy też nie?

- Wyobraża pan sobie, że zabiłem Rachel w szale zazdrości? - Pierrepont machnął przecząco wąską, delikatną dłonią. - Zazdrość to bardzo męczące uczucie, ponadto prymitywne i plebejskie. Widzi pan, milordzie, nie jestem typem posiadacza. Układ między mną a Rachel, jakkolwiek dziwny dla osób postronnych, odpowiadał nam obojgu.

- Są inne powody, by zabić.

Gwałtowny podmuch zakołysał powozem. Szyby zadrżały, gdy skręcili w New Bond Street.

- Są powody, owszem. Ale żeby poderżnąć kobiecie gardło, i to głęboko, okrutnie, tak że głowa jest niemal oddzielona od ciała? Kto tak postępuje?

- Pan mi to powie.

Pierrepont siedział cicho przez chwilę, z głową opuszczoną na piersi, najwyraźniej zatopiony w myślach.

- Gdy byłem młody, widziałem jak głowa mojego ojca toczy się po placu de la Concorde. Czy wie pan, że człowiek, któremu ścięto głowę, zachowuje świadomość jeszcze przez około dwadzieścia sekund po dekapitacji? Dwadzieścia sekund, proszę sobie wyobrazić. Długo, prawda? Myśli pan, że Rachel zaznała podobnego horroru?

Sebastian słuchał turkotu kół na bruku i dźwięku dzwonek. Tego również nie wiedział o jej śmierci. Pomyślał o młodej, pięknej kobiecie, o jej strachu i samotności w kościele, gdy zegnała się z życiem.

- Nie zapytał pan, ale i tak panu odpowiem. - powiedział Pierrepont z hardym,

zimnym uśmiechem. - We wtorek wieczorem wyprawiałem proszoną kolację dla kilku ogólnie szanowanych obywateli, którzy mogą zaświadczyć pod przysięgą, że przez cały wieczór nie opuściłem domu. Widzisz zatem, przyjacielu, że musisz szukać mordercy gdzie indziej - o ile, rzecz jasna, sam nim nie jesteś.

Powóz zwolnił, wjeżdżając na plac Henrietty. Sebastian chwycił za klamkę. Nie wątpił, że Francuz wie więcej, niż chce przyznać, ale byli już prawie przy Cavendish Square, a nie chciał, by go tam widziano. Zaczynał rozumieć jak niewiele mu wiadomo o śmierci i życiu Rachel York. Wiedział, że została zamordowana w kaplicy mariackiej małego kościoła niedaleko Opatwa Westminsterskiego, po tym, jak powiedziała pokojówce, że wybiera się na spotkanie z nim, i że w fałdach jej sukni znaleziono jeden z jego pistoletów. Ale miał tylko słowo Pierrepointa, że została zgwałcona, i że jej gardło wielokrotnie okrutnie przecięto. Nie wiedział nawet, kto ją znalazł i kiedy dokładnie umarła. Musiał się tego wywiedzieć, jeżeli chciał mieć choćby cień szansy na schwytanie prawdziwego mordercy. I nagle zdał sobie sprawę, że zna kogoś, kto mógłby mu pomóc.

ROZDZIAŁ 20

Zanim dotarł do wąskiej średniowiecznej uliczki u podnóża Tower Hill, wiatr wzmógł się tak bardzo, że drewniane szyldy łomotały o ściany w ostrych, wściekłych podmuchach. Deszcz zaczął ukosem. Ukryty w cieniu łukowato sklepionej bramy, Sebastian obserwował zmrużonymi oczami kompleks budynków po drugiej stronie ulicy. W klinicy było ciemno, ale w domku na tyłach płonęły lampy.

Rzucił szybkie spojrzenie na ulicę. Marznący deszcz zapędził większość przechodniów do domów. Nikt go nie widział, gdy przeszedł przez ulicę i zapukał do omszałych drzwi.

W oddali zaszczeakał pies. Sebastian usłyszał odgłos nierównych kroków w korytarzu. Potem zapadła cisza. Wiedział, że jest obserwowany. Mądry człowiek nie otwierał nocą nieznanym, nawet jeżeli był chirurgiem.

Zasuwa szczęknęła i drzwi uchyliły się do środka. W wąskim holu o niskim suficie stał młody, niespełna trzydziestoletni mężczyzna - ciemnowłosy Irlandczyk z uśmiechem czającym się w kącikach oczu i zawadiackim dołkiem w policzku.

- Ach, to ty - powiedział Paul Gibson, otworzył szerzej drzwi i cofnął się do środka. - Miałem nadzieję, że do mnie przyjdiesz.

Sebastian nie ruszył się z miejsca.

- Słyszałeś, co ludzie mówią?

- Naturalnie, ale chyba nie przypuszczasz, że wierzę we wszystko co usłyszę? Sebastian zaśmiał się i wszedł do środka.

Paul Gibson zaryglował drzwi, a potem, utykając, poprowadził przyjaciela korytarzem. Kiedyś był wojskowym chirurgiem, i pozostał na służbie, nawet gdy kula armatnia urwała mu część lewej nogi.

- Chodź do kuchni. Tam jest cieplej i bliżej do jedzenia.

Sebastian zjadł rano kupioną na ulicy kiełbasę, nie zatrzymał się jednak na obiad, a pora kolacji właśnie mijała. Otoczyły go kuchenne zapachy i ciepło. Uśmiechnął się.

- Jedzenie? To brzmi zachęcająco.

- Mam kilku znajomych - powiedział Paul Gibson jakiś czas później, gdy zasiedli przy kuchennym stole, niedaleko paleniska, do kolacji złożonej z szynki na zimno, bochna świeżego chleba i butelki wina. - Handlują brandy. Wiesz do czego zmierzam, i jestem pewny, że chętnie zgodziliby się na...

- Nie. - odpowiedział Sebastian i sięgnął po kolejny plaster szynki. Paul Gibson urwał ze szklanką w pół drogi do ust.

- Nie?

- Nie. Dlaczego wszyscy próbują mnie przedstawić znajomym przemysłowcom z sąsiedztwa? - Sebastian spojrział w zdumione oczy przyjaciela. - Nie mam zamiaru uciekać.

Paul wziął głęboki oddech i sapnął, zaciskając wargi.

- Rozumiem. Jak więc mogę ci pomóc?

- Możesz mi powiedzieć, co wiesz o śmierci Rachel York. Czy ty robiłeś sekcję zwłok?

W ciągu dwóch lat, jakie upłynęły od czasu jego odejścia z armii, Paul Gibson prowadził niewielką praktykę w londyńskim City. Zasadniczo jednak większość czasu i energii poświęcał na badania naukowe i pisanie oraz na nauczanie studentów medycyny. Służył także ekspertyzą w zgłoszonych przez władze przypadkach przestępstw.

- Nie było sekcji.

- Co takiego?!

Paul wzdygnął się i nalał resztkę wina do kieliszka Sebastiana.

- Wiesz, że nie zawsze się je przeprowadza. W tym przypadku tak naprawdę nie było powodu. Wiadomo jak zmarła.

- Widziałeś ciało?

- Nie. Wezwano mojego kolegę. - Paul Gibson wstał i pokuśtykał po następnej butelkę wina. - Z tego co słyszałem, to był brutalny atak. Została pobita i zgwałcona, a jej gardło wielokrotnie przecięto.

Opis zgadzał się z tym, co Sebastian usłyszał od Pierrepointa, jednak szlachcic miał nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej.

- Myślisz, że udałoby ci się ją zobaczyć? Gibson potrząsnął głową.

- Za późno. Ciało zostało już oddane do pochówku. Zajmie się tym teatr. Sebastian w zamyśleniu zakołysał kieliszkiem.

- Co zamierzasz zrobić, hmm? - Gibson oparł drewnianą protezę o ławę naprzeciwko i, zachwiał się, usiadł. - Znaleźć prawdziwego mordercę?

- Kto to zrobi jak nie ja?

- Rozpracowanie morderstwa nie jest proste. Sebastian spojrział w zmrużone zatroskane oczy przyjaciela.

- Wiesz czym się zajmowałem w czasie służby.

- Owszem. Jest jednak różnica między szpiegowaniem a wytropieniem zabójcy.

- Nie aż tak wielka, jak mogłoby się wydawać. Dołek w policzku doktora pogłębił się.

- A więc? Masz już jakichś podejrzanych? Sebastian uśmiechnął się.

- Ściśle rzecz biorąc, dwóch. Aktora, niejakiego Hugh Gordona...

- A, tak. Widziałem go w zeszłym miesiącu. Bardzo przekonujący jako Hektor.

- To on. Zdaje się, że Rachel York była jego kochanką, gdy zaczynała pracę w teatrze. Źle zniósł jej odejście.

Paul Gibson zamarł.

- Kiedy to było?

- Ze dwa lata temu. Doktor potrząsnął głową.

- To zbyt długi okres. Gdyby odeszła niedawno, można by go było podejrzewać. Ale emocje z upływem czasu stygną.

- Możliwe. On jednak wciąż wydaje się być dziwnie rozgoryczony. Odniosłem wrażenie, że pan Gordon ma republikańskie sympatie, które, jego zdaniem, Rachel nigdy nie dzieliła. Rzekłbym, że zgłaszał liczne zastrzeżenia do błękitnej krwi ostatnich kochanków Rachel. Irlandczyk opróżnił kieliszek.

- To kto był jej ostatnim kochankiem? Sebastian sięgnął po butelkę i dołał wina przyjacielowi.

- Najwyraźniej utrzymywała związki z wieloma dżentelmenami, a przynajmniej

stwarzała tego pozory. Ale jedyną znaczącą, jak na razie, osobą jest Francuz, który opłacał jej pokoje. Emigrant, niejaki Leo Pierrepont.

- Francuz? To ciekawe. Co o nim wiesz?

- Niewiele. Ma pod pięćdziesiątkę. Przyjechał tu w dziewięćdziesiątym drugim. Ponoć jest dobrym szermierzem, ale nigdy nie słyszałem niczego, co mogłoby świadczyć na jego niekorzyść.

- Stawiam na Francuza. Sebastian wybuchnął śmiechem.

- To dlatego, że Francuzi odstrzelili ci nogę. Poza tym ma alibi: w noc śmierci Rachel wydawał proszoną kolację, a przynajmniej tak twierdzi. Oczywiście mógł zmyślać, ale łatwo to będzie sprawdzić.

- Co za pech - Gibson poprawił się na krześle. Gdy poruszył nogą, jego twarz wykrzywił skurcz bólu. - Nie wygląda mi na obiecującego podejrzanego. To najlepsze na co cię stać?

Na zewnątrz wiatr wzmagał się, uderzając w tylną ścianę domu. Płomienie na palenisku zamigotały. Paul Gibson odwrócił się do ognia, blask tańczył na jego zamysłonej twarzy. Po chwili otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, potem je zamknął, wreszcie wyrzekł z pośpiechem:

- Wiesz, mógłbym znaleźć sposób... Sebastian przyjrzał się profilowi przyjaciela.

- Sposób na co?

- Żeby rzucić okiem na ciało Rachel York. Zrobić dokładną autopsję. - Jak?

- Możemy kogoś wynająć, żeby ukradł ciało jutro w nocy, po pogrzebie.

- Nie - zaprotestował Sebastian. Gibson odwrócił się do niego.

- Znam ludzi, którzy podejmą się tego bez...

- Nie - powtórzył Sebastian. Doktor zacisnął usta, zniecierpliwiony - Takie rzeczy robi się cały czas.

- Ach, tak. Dwadzieścia funtów za długie, piętnaście za półdługie, a osiem za krótkie. Długie, to mężczyzna, półdługie - kobieta, a krótkie - dziecko. Ale to, że inni robią takie rzeczy, nie znaczy wcale, że i ja muszę.

Irlandczyk wbił w Sebastiana nieruchome spojrzenie.

- Jak myślisz, co wybrałaby Rachel? Żeby pozwolić jej zgnić w grobie, czy żeby człowieka, przez którego przedwcześnie się tam znalazła, oddać w ręce sprawiedliwości?

- No cóż, nie możemy jej o to zapytać, prawda? Paul Gibson wyprostował się i położył dłonie na stole.

- Sebastianie, zastanów się: kimkolwiek ten człowiek był, może znów zabić. Tak naprawdę, niemal na pewno znów zabije. Wiesz o tym, prawda? Jak długo jednak władze ścigają ciebie, nie robią nic, by go odnaleźć.

Sebastian milczał.

Gibson oparł się na dłoniach i pochylił do przodu.

- Sebastianie, ona nie żyje. Kobiety, którą była Rachel York, już dawno nie ma. Została tylko powłoka, skorupa, w której kiedyś mieszkała. Za miesiąc zmieni się w gnijącą maź.

- To tylko usprawiedliwienie i dobrze o tym wiesz.

- Doprawdy? To, co moglibyśmy jej zrobić, nie jest gorsze od tego, co zrobi z nią czas. I nic na to nie poradzisz.

Sebastian pociągnął długi, gorzki łyk wina. Powtarzał sobie, że Paul ma rację, że schwywanie zabójcy Rachel jest ważniejsze niż pozostawienie jej zwłok w spokoju. Tłumaczył sobie, że pozostawiony na wolności morderca mógłby znów zaatakować. Ale i tak to było złe. Spojrzał w oczy przyjacielowi.

- Jak szybko możesz to zorganizować? Paul Gibson wydał zduszone sapnięcie.

- Im prędzej, tym lepiej. Z samego rana dam znać Skocznemu Jackowi.

- Skocznemu Jackowi?

Doktor uśmiechnął się przelotnie.

- Skoczny Jack Cochran. Pracuje w branży zmartwychwstania. Mam powody, by go znać.

- Nie zapytam, jak się poznaliście. Gibson wybuchnął śmiechem.

- Otrzymał swoje przezwisko, gdy sztywniak, którego właśnie grzebał, nagle wstał i zaczął z nim rozmawiać. Jack wyskoczył z grobu nader szybko.

- Zmyślasz - nie dowierzał Sebastian.

- Ani trochę. Pomagierzy Jacka chcieli walnąć nieszczęśnika łopata i dobić go na miejscu, ale Jack się nie zgodził. Zawłókł biedaka do aptekarza, i nawet zapłacił rachunek, gdy ten jednak wyzionął ducha.

- Charakter tego dżentelmena budzi mój najwyższy podziw - uśmiechnął się Sebastian i wstał. Na twarzy doktora odbiła się troska.

- Ale chyba u mnie zostaniesz? Sebastian potrząsnął głową.

- Przychodząc tu już i tak naraziłem cię na niebezpieczeństwo. Mam pokój w „Róży i Koronie”, niedaleko Tothill Fields. Znają mnie tam jako pana Simona Taylora z Worcestershire.

Gibson odprowadził go do drzwi.

- Dam ci znać, gdy wszystko będzie gotowe - urwał, przypatrując się w zamyśleniu, jak Sebastian zapina niezgrabny płaszcz pod szyją. - Zdajesz sobie sprawę, oczywiście, że możemy przez to przejść i niczego się nie dowiedzieć?

- Tak.

- Zakładasz jedynie, że zabójca tej biednej dziewczyny był jej znany. Wiesz, że tak być nie musi. Mogła po prostu znaleźć się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwej porze. Możesz nigdy nie odnaleźć sprawcy. Sebastian znieruchomiał z dłonią na klamce. Odwrócił się i spojrzał na przyjaciela.

- Masz rację. Ale przynajmniej będę wiedział, że próbowałem. Gibson zajął mu w oczy, z twarzą ściągniętą zmartwieniem.

- Możesz jeszcze uciec.

- I mam umykać przez resztę życia? - Sebastian potrząsnął głową.

- Nie. Odzyskam dobre imię. Nawet jeśli będę musiał umrzeć przy tej próbie.

- Możesz zginąć a i tak przegrać.

Sebastian wcisnął kapelusz głęboko na oczy i odwrócił się w podmuchu zimnego powietrza.

- Cóż, będę musiał zaryzykować.

ROZDZIAŁ 21

Sebastian stał samotnie w mroku i patrzył, jak Kat Boleyn odchodzi od grupy roześmianych, pięknych kobiet i gorąco krwistych mężczyzn - zdobywców, zebranych wokół sceny.

Mokra ulica tonęła w złotawym blasku latarni. Wiatr wzmagął się. Ostry podmuch wypełnił powietrze zapachami świeżej farby i przepoconej wełny oraz ciężkim, oleistym aromatem pomady; wonie teatru przywodziły na myśl dawne czasy, gdy wierzył - naprawdę wierzył - w takie idee, jak prawda i sprawiedliwość. Albo miłość.

Miał dwadzieścia jeden lat, właśnie ukończył Oksford i wciąż zachwycał się filozofią Platona, Tomasza z Akwinu i Kartezjusza. Kat miała zaledwie siedemnaście lat, lecz, na swój sposób, była o wiele starsza i mądrzejsza od niego. Zakochał się w niej beznadziejną, dziką miłością. Naprawdę wierzył, że i ona go kocha.

Ach, jak bardzo wierzył! Powiedziała, że zawsze będzie go kochać. Uwierzył. Zaufał

jej i poprosił, by została jego żoną. Zgodziła się.

Nadal padało, chociaż słabiej. Patrzył, jak spieszy w jego stronę, z postawionym kapturem i spojrzeniem utkwionym w postoju powozów na końcu ulicy.

- Powinnaś być ostrożniejsza - powiedział, gdy go mijała. - Samotne spacerowanie mogą być niebezpieczne.

Nie okazała zaskoczenia, zerknęła tylko z ukosa spod kaptura.

- Nie będę żyć w lęku - odpowiedziała. - Myślałam, że mnie zapomnisz. Zresztą - uśmiechnęła się delikatnie - czy naprawdę sądziłeś, że cię nie widzę?

Prawdopodobnie widziała, zdecydował. Zapamiętał i to, że o ile większość ludzi była w ciemności beznadziejnie, paraliżująco ślepa, to Kat widziała nocą wyjątkowo ostro. Nie aż tak dobrze, jak on sam, ale dość wyraźnie. Kat podeszła do najbliższego fiakra. Sebastian chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę ulicy.

- Przejdźmy się.

Szli w kierunku West Endu w tłumie innych melomanów wracających do domu przez pograżone w ciemności miasto. Światła lamp i śmiechy ginęły w zamykanych pospiesznie bramach tawern i kafeterii, sal koncertowych i burdeli. Zza pociemniałych od mroku drzwi gwizdnęła na niego ulicznica. Z jej oczu wycierały zuchwałość, desperacja i udręka. Sebastian odwrócił wzrok.

- Co wiesz o Leo Pierreponcie? - spytał.

- O Pierreponcie? - deszcz przestał padać. Kat odrzuciła kaptur. - Co on ma z tym wspólnego?

- Płacił za pokoje Rachel.

Chwilę milczała, a on przypomniał sobie kolejną rzecz: zawsze, nim przemówiła, starannie ważyła słowa.

- Skąd wiesz?

- Od Hugh'a Gordona. Pierrepont nie zaprzecza.

- Rozmawiałeś z nim?

- Jechaliśmy razem fiakrem - odpowiedział Sebastian i uśmiechnął się pod nosem, widząc na twarzy Kat dobrze sobie znany grymas, brwi zmarszczone w zamyśleniu. - To dziwny układ, chyba się zgodzisz?

Mężczyzna płacił za mieszkanie kobiety, chociaż wie, że inni mężczyźni składają jej tam wizyty? Chyba, że tylko udaje jej opiekuna.

Znowu milczenie, jakby chciała przemyśleć to, co usłyszała, i zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Niektórzy lubią patrzeć.

Sebastian poczuł napływ nieoczekiwanych przykrych uczuć. Chciał zapytać, skąd Kat zna to upodobanie Pierreponta, czy zabawiała go, pozwalając obserwować, jak kocha się z innym mężczyzną? Zamiast tego powiedział:

- No cóż, to wytłumaczenie z pewnością nie przyszłoby mi do głowy. Twoje doświadczenie w tej materii jest cenniejsze, niż można by przypuszczać.

Zatrzymała się raptownie, poderwała głowę. W jej oczach błysnął gniew. Już miała się odwrócić w kierunku teatru, gdy Sebastian chwycił ją za ramię.

- Przepraszam. To, co powiedziałem, było niewybaczalne.

Spojrzała mu w oczy. Sebastian nie mógł odczytać, jakie emocje kryją się w jej spojrzeniu.

- To prawda - Wysunęła ramię spod jego ręki. Nie stawiał oporu, a Kat podjęła spacer. W ciszy, która teraz nastąpiła, słychać było tylko delikatne stukanie botków dziewczyny o mokry bruk i szepty dawnych wspomnień.

Błądził wzrokiem po boleśnie znajomym profilu, linii szyi i podbródka. Jej nos był mały i lekko zadarty, jak u dziecka, usta zaś - szerokie, zbyt szerokie - wyróżniały pełne,

zmysłowe wargi. Uwodzicielskie połączenie niewinności i występku.

W życiu Sebastiana były po niej inne kobiety, piękne i inteligentne. W pewnej Portugalce mógłby się nawet zakochać, gdyby przez cały czas wspomnienie Kat Boleyn nie kładło się cieniem na jego sercu.

Zastanowił się nagle, czy przyszedł do niej rano dlatego, że знаła Rachel York i mogła udzielić mu informacji, których potrzebował, czy też z zupełnie innych powodów, do których sam przed sobą nie chciał się przyznać.

- Nie spytałeś, czy udało mi się porozmawiać z pokojówką Rachel - zauważyła Kat.

Obok przejechał powóz, herb na drzwiczkach lśnił od wilgoci. Powietrze wypełnił zapach gorącej nafty z powozowych lamp. Sebastian patrzył, jak ich migoczące na tle nocnego nieba płomienie gasną w oddali.

- Udało ci się?

- Nie. Znikła. Dosłownie rozplynęła się w powietrzu, razem ze wszystkim, co dało się wynieść z mieszkania Rachel.

Spojrzenie Sebastiana powróciło do twarzy Kat.

- Wspominałaś, zdaje się, że dom jest pod obserwacją konstabli?

- Szkotka, która mieszka piętro wyżej twierdzi, że tylko nocą. Mówiła też, że rankiem, po śmierci Rachel, do jej mieszkania przyszedł młody człowiek.

- Młody człowiek?

- Tak. Miał własny klucz. Najwyraźniej czegoś szukał. Chodził po pokojach, a potem wszedł na górę i spytał dociekliwą sąsiadkę, czy wie, gdzie jest Mary Grant.

- Ciekawe czego szukał...

- Może tego - Kat przystanąła w migoczącym świetle latarni ulicznej, wyciągnęła coś z mieszka i podała Sebastianowi.

Przedmiot okazał się małym oprawnym w czerwoną skórę notatnikiem przewiązanym skórzanym rzemieniem.

- Myślałem, że mieszkanie zostało ogołocone - powiedział Sebastian. Chwycił notatnik i poluzował węzeł rzemienia.

- Trzymała go w tajnej skrytce w kominku.

Nie powiedziała, skąd wie o skrytce. Spojrzał na nią, potem na notatnik. Był całkiem nowy, zapisano mniej niż piątą część stron.

Większość zapisków została wyrwana.

- Ktoś usunął pierwsze strony - powiedział Sebastian, przesuając palcem wzdłuż poszarpanych brzegów.

Chmury nad ich głowami sunęły nisko, popychane wiatrem. Deszcz oczyścił miasto ze stale zalegającej je warstwy żółtawej mgły, odsłaniając rzadki widok: daleki księżyc w pełni. W jego mżącym blasku twarz Kat sprawiała wrażenie bladej i nieco zatroskanej.

- Tak jakby Rachel wiedziała, że coś się wydarzy.

- O ile to ona je wyrwała - Sebastian przekartkował kilkanaście ocalałych stron. Zapiski obejmowały tydzień, lub może nieco więcej, przed śmiercią Rachel York. - Myślisz, że kogoś kryła?

- Nie wiem. To wyjaśnienie chyba ma sens, jak ci się wydaje?

Było, rzecz jasna, jeszcze inne wyjaśnienie: Kat Boleyn sama wyrwała owe strony. Jeżeli jednak kryły się tam zapiski, o których Sebastian nie miał się dowiedzieć, to po co w ogóle pokazała mu notatnik? Dlaczego po prostu go nie zniszczyła, udając, że go nie znalazła?

Czemu w ogóle zaproponowała, że rozejrzy się po mieszkaniu Rachel? Żeby nie odkrył tajemnicy zapisanej na brakujących stronach? Ale dlaczego? Dlaczego?

- Przejrzałaś to, co ocalało? - spytał. Kiwnęła głową.

- Zaznaczyłam znane nazwiska. Większość jest w ten czy inny sposób związana z

teatrem.

- Czy któraś z tych osób miała powód, by źle życzyć Rachel?

- Nie o tym nie wiem. Zresztą akurat mieliśmy występ, gdy została zabita. Wszyscy byli w teatrze. Ten akurat aspekt morderstwa uszedł jego uwagi.

- Wszyscy z wyjątkiem Rachel. Dlaczego nie grała?

- Zastąpiła ją dublerka. W ostatniej chwili Rachel przysłała wiadomość, że jest chora.

- Często jej się to zdarzało?

- Nie. Nie pamiętam takiej sytuacji. Rachel nigdy nie chorowała.

Sebastian przekartkował pobieżnie pozostałe strony. Były tam głównie wpisy o spotkaniach z fryzjerkami i szwaczkami. Natomiast jedno imię pojawiało się każdego dnia.

- Kim jest Giorgio?

- Pewnie chodzi o Giorgia Donatellego. Pomagał w projektowaniu i malowaniu dekoracji do zeszłorocznego przedstawienia „Szkoły obmowy”. Ale od tego czasu zyskał uznanie jako portrecista. Miał zamówienia od burmistrza i kilku osób z najbliższego otoczenia księcia Walii. Nie wiem, dlaczego Rachel się z nim spotykała.

- Wiesz coś o nim?

- Niewiele, poza tym, że jest młody i wygląda dość romantycznie. Jest Włochem.

- Czyżby nasz młodzieniec z kluczem?

- Nie wiem. Rachel nie była typem osoby, która dałaby jakimkolwiek mężczyźnie klucz do swojego mieszkania.

Sebastian już miał włożyć notatnik do kieszeni, ale Kat wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ramienia.

- Nie sprawdziłeś wpisów dotyczących wtorkowego wieczoru w kościele Świętego Mateusza.

Z oddali dobiegło głębokie, przenikliwe miauczenie kota, pierwotny, zwierzęcy zew. Sebastian spojrzął w oczy swojej towarzyszki.

- Coś zapisała? - Tak.

Strona była założona wszytą w grzbiet wstążką. Notatnik otworzył się na ostatnim wpisie. W lewym górnym rogu Rachel York wykaligrafowała starannie datę: „wtorek, 29 stycznia 1811 r.”. Sebastian przejrzał zapiski. Lekcja tańca o jedenastej, spotkanie w pobliżu teatru o trzeciej. A potem ujrzał słowa: „kościół Świętego Mateusza” i obok nazwisko „St. Cyr”.

ROZDZIAŁ 22

Deszcze tej nocy w niewielkim pokoju w „Róży i Koronie” Sebastian zapalił świecę, wyjął z kieszeni związany rzemieniem notes i zasiadł do lektury.

Wyrwano wszystkie zapisane strony sprzed piątku osiemnastego stycznia. Sebastian wpatrzył się w datę na szczycie pierwszej ocalałej kartki. To był bardzo zimny tydzień, przypomniał sobie, przeglądając staranne zapiski Rachel z ostatnich dni jej życia, wpisy o próbach i występach, lekcjach i spotkaniach z handlarzami. Przeglądał notkę za notką i dopiero gdy dotarł do wtorku, dwudziestego czwartego, zdał sobie sprawę, że brakuje jeszcze jednej strony - czwartkowego wieczoru i następnego ranka, który musiał też tam być.

Zamyślony, wrócił do pierwszych zapisków. Czy usunięte strony miały znaczenie? Co takiego wydarzyło się w życiu Rachel York w dwa kolejne piątkowe poranki i czwartkowe wieczory, że nie chciała, by ktokolwiek się o tym dowiedział?

Chyba, że ktoś nie chciał, by dowiedział się o tym Sebastian.

Przeczytał ponownie wpisy z piątkowego popołudnia, dwudziestego piątego. Potem zapiski były prowadzone regularnie aż do wtorku, dwudziestego dziewiątego - dnia śmierci Rachel. Dnia, w którym umówiła się na spotkanie w kościele Świętego Mateusza z kimś o

nazwisku St. Cyr.

Znów wrócił do pierwszej strony. Tym razem więcej uwagi poświęcił poszczególnym wpisom i komentarzom, wpisanym ołówkiem przez Kat. Nie było tam nic szczególnego: lekcje śpiewu i spotkania ze szwaczkami, przypomnienie, by odebrać od szewca parę pantofelków do tańca. Oczywiście, nie należało niczego lekceważyć, jednak Sebastian skupił się przede wszystkim na dwóch nazwiskach.

Malarz, Giorgio Donatelli, pojawiał się często. Za każdym razem figurował jako „Giorgio”, wraz z godziną spotkania. Ale jeszcze bardziej zaintrygował Sebastiana tajemniczy inicjał „F”. Kat zakreśliła go kółkiem w każdym miejscu, ze znakiem zapytania.

Sebastian znów przejrzał wpisy. Kimkolwiek była owa osoba, „F” pojawiło się dwukrotnie w ciągu dwunastu dni opisanych w notesie: we środę wieczorem, dwudziestego trzeciego, i jeszcze raz w poniedziałek, dwudziestego ósmego. Innymi słowy, Rachel spotkała się z nim lub z nią wieczorem przed brakującym czwartkiem i jeszcze raz na dzień przed śmiercią. Zbieg okoliczności, zastanawiał się Sebastian, czy niekoniecznie?

„F” mógł być, rzecz jasna, kochankiem - kimś tak bliskim i drogim, że inicjał wystarczył. Ale mogła to również być osoba, której obecność w swoim życiu Rachel chciała utrzymać w sekrecie. Dlaczego? Z tych samych powodów, dla których ukrywała notatnik?

Osobliwie rzucała się w oczy nieobecność w terminarzu Rachel mężczyzny, który płacił za jej mieszkanie, Leo Pierrepona. Jeżeli ani on, ani „F” nie byli kochankami Rachel, to kto nim był? Sebastianowi trudno było uwierzyć, że taka kobieta nie miała kochanka.

Dlaczego jednak nie pojawiał się w zapiskach? Dlatego, że stałe spotkania były oczywistością? A może następowały tak nieregularne, że Rachel nigdy nie wiedziała, kiedy kochanek się zjawi?

Wiatr wzmagął się. Załomotał okiennicami, zachwiał płomieniem świecy, a potem ucichł niemal zupełnie. Z pokoju na dole dobiegły stłumione wybuchy śmiechu. W holu zaskrzypiało stare drewno.

Sebastian podniósł się cicho i zdusił w palcach płomień świecy. Pokój pograżył się w ciemnościach.

Sebastian wyjął z kieszeni płaszcza kupiony rano francuski pistolet i przywarł plecami do ściany, a potem jednym ruchem przekręcił gałkę w drzwiach i otworzył je na oścież.

- O żeż ty, w życiu - jęknął Tom, podnosząc szeroko otwarte oczy. Siedział po turecku na gołej podłodze, naprzeciwko drzwi do pokoju Sebastiana. - Szefie, niech pan nie strzela.

Sebastian opuścił broń.

- Co ty tu, u diabła, robisz?

W ciemnym świetle kaganka zwisającego na łańcuchu przy schodach chłopiec wyglądał na zmarzniętego.

- Nawet największego gościa można czasem zrobić na szaro. Chronię tyły.

- Tyły, powiadasz?

Tom wzruszył ramionami.

- No, w każdym razie pilnuję pana drzwi.

- Dlaczego?

Chłopiec zacisnął szczęki.

- Zapłacił mi pan za cały tydzień, tak jest. Odpracowuję swoją zapłatę. Sebastian schował pistolet do kieszeni płaszcza.

- Wyjaśnijmy sobie jedno. Nie masz oporów przed kradzieżą cudzego mieszkania, ale odmawiasz przyjmowania pieniędzy, których nie zarobiłeś?

- Otóż to - odpowiedział Tom, zadowolony, że go zrozumiano. - Honorny jestem, mam swoją dumę.

- Oraz dość niezwykły kodeks zasad moralnych - dodał Sebastian. Odpowiedziało mu tylko zdumione spojrzenie.

Podmuch wiatru wstrząsnął zajazdem, zagwizdał w szczelinach ścian. Lodowate powietrze wtargnęło do korytarza. Tom zadrżał i objął kolana chudymi ramionami, by lepiej uchronić się przed zimnem. Sebastian westchnął.

- Trochę tu za zimno na rozmowę. Lepiej wejdź do środka. Tom wahał się przez chwilę. Potem wstał.

- W ogóle to jak mnie tu znalazłeś? - spytał Sebastian, zamykając drzwi przed zimnem. Chłopiec podszedł do kominka.

- Nic trudnego - wyrostek wzruszył ramionami. - Trza mi było tylko wywiedzieć się, gdzie mieszka młoda artystka o imieniu Kat.

- Szedłeś za mną z Covent Garden? Tom wyciągnął brudne ręce nad ogniem. Wciąż wstrząsały nim dreszcze.

- Taa.

Sebastian przyjrzał się z boku twarzy chłopca. Tom był bystry, pomysłowy i, zdawało się, zdecydowany zapracować na „tygodniówkę”. Sebastian przypomniał sobie wszystkie nazwiska i daty z czerwonego notatnika, a w jego głowie zrodziła się pewna idea.

Otworzył starą szafę, pogrzebał w niej chwilę, wyciągnął koc i dodatkową poduszkę.

- Masz - powiedział, rzucając je chłopcu. - Możesz przespać się przy kominku. Jutro zobaczę, czy uda mi się załatwić ci miejsce nad stajnią.

Tom złapał poduszkę, potem koc.

- To znaczy, że mnie pan bierze?

- Doszedłem do wniosku, że przyda mi się wspólnik o twoich talentach.

Twarz chłopca rozjaśniła się w szerokim szczerbatym uśmiechu.

- Szefie, nie będzie pan żałował. Nie musi się pan bać żadnych złodziejasków i bandytów, kiedy jestem w pobliżu, ani konstabli czy innych ogonów.

- Prześpij się trochę - powiedział Sebastian, odwracając się z uśmiechem. - Jutro z samego rana będę miał dla ciebie zadanie. Chciałbym, żebyś się dowiedział, gdzie mieszka pewien dżentelmen z Włoch.

- Włoch?! - powtórzył Tom tonem, którego śmiało mógłby użyć dowiedziawszy się, że Sebastian pragnie zawrzeć przyjaźń z karaluchem.

- Tak jest. Włoch. - Sebastian wyjął pistolet z kieszeni i włożył go pod poduszkę obok notatnika. - Dokładniej mówiąc, malarz. Nazywa się Giorgio Donatelli. *Sny rzadko się powtarzają. Sen i czas wypaczają pamięć; wydarzenia tracą sens. Przelotnie widziane twarze i obrazy, które nas prześladowają, łączą się z wydarzeniami bez związku, budzą grozę i lęk. W górskiej, otulonej mgłą wiosce wznoszą się proste kamienne ściany, odrapane i zniszczone. Sebastian wyciąga rękę, odwraca na plecy zmasakrowane ciało kobiety i widzi wpatrzona w siebie martwe błękitne oczy Kat. Krzyczy, a z jej rozciętego gardła tryska świeża, jaskrawoczerwona krew. Jej usta ruszają się. „Aidez moi” - mówi. Pomóż mi. „Je suis mort” - umarłam. Ale nóż tkwi w jego dłoni, i to on rozcina jej gardło, on ją zabija, a żądza krwi płynie gorącym, słodkim strumieniem w jego własnych żyłach...*

- Hej, szefie. Wszystko w porządku?

Sebastian otworzył oczy i zobaczył chudą sylwetkę Toma na tle płonących węgli.

- Tak. Po prostu... miałem zły sen - szlachcic przewrócił się na plecy i zakrył dłonią oczy. - Śpij.

ROZDZIAŁ 23

Następnego ranka Sebastian odesłał chłopca z pełnym brzuchem i w ciepłym ubraniu, odzianego w płaszcz i nowe buty. Miał nadzieję, że ulicznik zniknie bezpowrotnie w dzielnicy slumsów, z której przyszedł. Ale niecałe trzy godziny później Tom zjawił się z powrotem w „Róży i Koronie” z wiadomością, że włoski malarz, niejaki Giorgio Donatelli mieszka w

Westminsterze, na Almonry Terrace, pod numerem trzydziestym drugim.

- Co to jest? - zdziwił się Tom, gdy zobaczył, że Sebastian krępuje tułów grubą tkaniną. Rankiem Sebastian ponownie odwiedził kilka sklepów na Rosemary Lane. Teraz przyszpilił koniec materiału i sięgnął po nową, znacznie większą koszulę.

- Dziś wystąpię jako pan Silas Beaumont, tęgi, zamożny, ale niezbyt dobrze wychowany kupiec z Hans Town, który chce zamówić portret córki. Gdy będę rozmawiał z panem Donatellim na temat ewentualnego angażu do tak odpowiedzialnego zadania, ty rozejrzysz się po okolicy i dowiesz się, co o naszym drogim Giorgio mówią sąsiedzi - Sebastian umieścił okulary na nosie i przybrał poczciwy, choć nieco tępy wyraz twarzy. - Oczywiście jak najdyskretniej.

Tom prychnął.

- Ma mnie pan za gadułę, co?

- Bynajmniej. - Sebastian zamotał wokół szyi dwa krawaty, dzięki czemu sprawiała wrażenie dwa razy grubszej, niż była w istocie. Włosy miał siwe jak starzec, a twarz w zmarszczkach, który to efekt uzyskał dzięki umiejętnie nałożonym kosmetykom do charakteryzacji, jakimi posługują się aktorzy teatralni. - Przy okazji spróbuj dowiedzieć się czegoś o kobiecie, która składała panu Donatellemu regularne wizyty. Była młoda, ładna, miała jasne włosy. Niejaka Rachel York.

Tom spojrział na niego w zamyśleniu.

- Chodzi o tę kobitkę, co to ją zaszlachtowali u Świętego Mateusza kilka dni temu? Sebastian zerknął na chłopca, zaskoczony.

- Zgadza się.

- To ta, co psy myślą, że pan ją wykończył?

- Jeśli to pytanie, którego znaczenia nijak nie potrafię dociec, oznacza, że chodzi o kobietę, o której śmierć władze podejrzewają mnie, odpowiedź brzmi: „tak”. - Sebastian założył nowy, bardzo obszerny płaszcz.

- Myśli pan, że załatwił ją ten Włoch?

- Nie wiem, możliwe. A może zdoła mi udzielić wskazówek, gdzie szukać prawdziwego sprawcy.

- To pana plan, tak? Myśli pan, że jak znajdzie tego, kto naprawdę załatwił Rachel, to psy przestaną za panem węszyć?

- Zasadniczo, tak.

- To jak pan myśli, kto jeszcze mógł ją załatwić?

Sebastian, którego szacunek dla umiejętności i spostrzegawczości Toma rósł z każdą chwilą, pokrótce streścił swemu pomocnikowi wyniki rozmów z Leo Pierrepontem i Hugh Gordonem.

- Huh - westchnął Tom, gdy Sebastian skończył. - Ja tam obstawiam któregoś z tych zagranicznych.

- Możesz mieć rację - odpowiedział Sebastian, sięgając po nową laskę. - Ale sędzę, że najlepiej nikogo nie wykluczać.

Schludny dwupiętrowy budynek z cegły na Almonry Terrace pod numerem trzydziestym drugim nie wyglądał Sebastianowi na lokum artysty zmagającego się z przeciwnościami losu. Na parterze znajdowały się pokoje mieszkalne, a zewnętrzne schody prowadziły na piętro do pracowni, o czym informował niewielki ręcznie malowany szyld. Jak na kogoś, kto zaledwie przed rokiem trudnił się malowaniem dekoracji teatralnych, Donatelli najwyraźniej radził sobie znakomicie. Sebastian wstąpił na schody z wysiłkiem, jakiego tego rodzaju akrobacja wymaga od grubego, pobłażającego łakomstwu kupca. Na szczycie schodów przeszklone drzwi bez kotary ukazywały widok na duży pokój, niezwykle jasny dzięki wielkim oknom pozbawionym zasłon. Na środku pokoju stał młody człowiek z paletą i pędzlem w dłoni. Wpatrywał się w wielkie płótno na stelażu, a jego postawa zdradzała pełne

namysłu skupienie. Sebastian zapukał raz, potem drugi. Młody człowiek nadal patrzył na płótno. Zapukawszy po raz trzeci, Sebastian po prostu otworzył drzwi i wszedł w krąg ciepłego powietrza przesyconego zapachem terpentyny i farby olejnej.

- Witam, witam - zawołał jowialnie, zacierając ręce jak ktoś, kto przebywał w chłodzie. - Żem pukał, ale nikt nie odpowiadał.

Młody człowiek obrócił się w stronę przybysza. Pukiel ciemnych włosów opadł na twarz. Malarz podniósł rozkojarzony wzrok.

- Tak?

„Romantyczny”, mówiła o nim Kat. Sebastianowi opis wydał się dziwny, ale teraz zrozumiał, co miała na myśli. Wysoki, o szerokich ramionach, Włoch był jak przystojny pasterz czy trubadur z obrazów weneckich mistrzów sprzed dwustu lat. Kręcone kasztanowate włosy okalały twarz o dużych aksamitnie brązowych oczach, klasycznym nosie i pełnych, wygiętych wargach anioła z obrazu Botticellego.

- Szukam pana Giorgia Donatellego - powiedział Sebastian. W pokoju, jak zauważył, płonął nie jeden, lecz trzy piecyki węglowe. Donatelli najwyraźniej tęsknił za ciepłem Italii. Sebastian już żałował drugiego szalika i wypchanego tułowia.

Malarz odłożył pędzel i paletę na stojący w pobliżu stolik.

- Donatelli to ja.

- Nazywam się Beaumont - Sebastian wypiął wydatną pierś i przybrał pozę napuszonej godności, jak ktoś, kto myśli, że jest niezwykle ważny. - Silas Beaumont. Z Transatlantyckiej Kompanii Przewoźniczej Beaumonta - wbił w malarza wyczekujące spojrzenie. - Słyszał pan o nas, oczywiście.

- Tak mi się wydaje - odpowiedział z namysłem Donatelli. Najwyraźniej nie chciał urazić miłości własnej potencjalnego mecenasa. - Czym mogę służyć?

Sebastian zauważył, że malarz bardzo dobrze włada angielskim, zaś naleciałości obcego akcentu potęgują jeszcze jego romantyczną aurę. Najwyraźniej od dość dawna mieszkał w Anglii.

- Widzi pan, sprawa jest następująca. Niedawno w rozmowie z burmistrzem wspominałem, że szukam kogoś, kto namalowałby portret mojej córki, Sukie, która ma już szesnaście lat. No i burmistrz polecił mi pana.

- Nie musiał pan fatygować się do mnie osobiście - powiedział Donatelli, rozglądając się niespokojnie, jak gospodyni przyłapaną na nieporządku.

Sebastian zbył sugestię jednym machnięciem dłoni.

- Chciałem obejrzeć kilka pańskich prac, a nie tylko jeden czy dwa obrazki, które mógłby pan wybrać jako przykłady. Zanim kupisz konia, rozejrzyj się po stajni, oto moja dewiza - rozejrzał się pytającym wzrokiem po pomieszczeniu. - Mam nadzieję, że ma pan tego więcej?

Donatelli sięgnął po szmatę i wytarł dłonie.

- Naturalnie. Proszę za mną - wciąż wycierając dłonie poprowadził Sebastiana przez otwarte drzwi do sporego pokoju na zapleczu. Pomieszczenie było puste, jeżeli nie liczyć dziesiątków płócien, małych i dużych, ustawionych wzdłuż ścian.

- Aha - powiedział Sebastian, zacierając ręce. - Właśnie o to mniej więcej mi chodziło.

Malarz był utalentowany, nawet bardzo, ocenił Sebastian, przechadzając się wolno po pokoju. Zamiast sentymentalizmu i pochlebnego formalizmu Reynoldsa czy Lawrence'a, tu widziało się żywiołowość i opalizujące kolory. Sebastian zwolnił tempo, a jego szacunek dla malarza rósł z każdym krokiem, gdy oglądał portrety i szkice, dramatyczne, monumentalne sceny i niewielkie studia. Potem podszedł do grupy obrazów obróconych licem do ściany. Zaciekawiony, sięgnął po pierwsze z brzegu płótno.

- Nie sądzę, by szukał pan akurat czegoś takiego - powiedział Donatelli, podchodząc szybko. Sebastian wyciągnął rękę i zatrzymał malarza. Patrzył na portret Rachel York - nie

aktorki, ale nagiej, zmysłowej Wenus wynurzającej się z morza. Krągłe kontury ciała zostały oddane tak realistycznie, że zmysłowość żywej kobiety przyćmiła ideę bogini.

- Nie, ale podoba mi się. Jest bardzo... - Sebastian urwał. „Erotyczny”, chciałoby się rzec. - ... sugestywny. Donatelli, który obserwował go z zaniepokojeniem, odetchnął.

- Czekaj pan - powiedział Sebastian, celowo nadając swemu głosowi ton zaskoczenia. Pochylił się, jakby chciał dokładniej obejrzeć obraz. - Wielkie nieba, czy to nie ta aktorka? Ta, którą ostatnio zamordowano?

- Owszem. - oddech malarza był płytki i świszczący.

- Przykra sprawa, bez dwóch zdań. - Sebastian potrząsnął głową i zacmokał z przyganą, jak stary pan Blackadder, aptekarz, wzywany przez ojca ilekroć zachorował ktoś ze służby. - Bardzo przykra. Człowiek zastanawia się dokąd zmierza dzisiejszy świat.

Odsunął płótno na bok i ujrzał kolejny obraz Rachel York, tym razem w roli tureckiej odaliski, okrytej jedynie szkarłatną satynową tkaniną spływającą z obnażonych ramion. Kobieta zanurzała stopę w kąpeli.

- No, proszę, następny jej portret. O, i jeszcze jeden - powiedział, przeglądając kolejne płótna - i kolejny. Pewnie często panu pozowała?

- Tak.

- Wyjątkowo piękna kobieta - skonstatował Sebastian.

Donatelli wyciągnął dłoń i zatrzymał ją tuż przed wyrazistą twarzą na płótnie, jakby chciał dotknąć policzka żywej, oddychającej kobiety. Jego ręka drżała. Widząc to, Sebastian pomyślał: „Aha, czyli zależało mu na niej”. Ale jak bardzo? Aż tak, by zabić ją w szale namiętności?

- Była nie tylko piękna - szepnął Donatelli. Zacisnął pięść i opuścił ją bezwładnie.

Sebastian spojrział na obraz. To płótno różniło się od pozostałych tonacją utrzymaną w złocistych wibrujących odcieniach zieleni i błękitu, z wyrazistym światłocieniem charakterystycznym dla dzieł Tiepola. Krajobraz odcinał się żywo od oświetlonego słońcem nieba. Rachel siedziała na skąpanym w wiosennym blasku zboczu, z nogami podciągniętymi pod fałdzistą spódnicą, w niemal dziecinnej pozie, z odrzuconą do tyłu głową, uśmiechnięta, jakby przyłapana w chwili beztrudnej wesołości.

Patrząc na portret tej młodej, pełnej życia kobiety Sebastian poczuł nieoczekiwane ukłucie smutku przemieszanego z gniewem.

- Była taka młoda - powiedział. - Młoda i pełna życia - podniósł wzrok na stojącego obok mężczyznę. - Trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł pragnąć jej śmierci.

Skurcz bólu, mroczny i trudny do zniesienia, wykrzywił przystojną, udreconą twarz młodego mężczyzny.

- To podły świat. Podły świat i podli ludzie.

- Przynajmniej władzom wydaje się, że wiedzą, kim jest sprawca. Jakiś synalek hrabiego, czy tak? Niejaki Dewlin?

Usta Donatellego wykrzywił pierwotny grymas nienawiści, goryczy i bezsilnego gniewu.

- Niech gnije w piekle przez całą wieczność.

- Znała go, prawda? Malarz potrząsnął głową.

- Nic o tym nie wiem. Gdy usłyszałem, co się z nią stało, myślałem, że to ten drugi.

- Ten drugi?

Donatelli wziął głęboki oddech. Jego pierś podniosła się niespokojnie, nozdrza drgnęły.

- Łaził za nią tygodniami, może nawet miesiącami. Wystawał przed teatrem. Gdy tylko przychodziła, był zawsze po drugiej stronie ulicy. Obserwował ją. Gdziekolwiek poszła, on tam był.

- Nie złożyła skargi? Donatelli potrząsnął głową.

- Chciałem, by powiadomiła władze, ale powiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Wie pan, jacy są ci *aristos*. Dla nich nie jesteśmy lepsi od zwierząt. Jesteśmy rzeczami, które można wykorzystać, a potem wyrzucić.

Gwałtowność jego słów zaskoczyła Sebastiana. Pamiętał, co powiedział Hugh Gordon o głowach nabitych na piki i rynsztokach spływających krwią. Zaczął się zastanawiać, czy Gordon miał rację twierdząc, że Rachel porzuciła radykalne poglądy. Poglądy, które Donatelli najwyraźniej podzielał.

- Jak się nazywał ów arystokrata? - spytał Sebastian.

Przez chwilę myślał, że artysta nie odpowie. Potem Donatelli zadrzał i wysunął szczękę. Ledwo panował nad emocjami.

Wymienił nazwisko.

- Wygląda pan, jakby go piorun strzelił - powiedział Tom, gdy spotkali się w pobliskiej tawernie przy ciemnym piwie i placku z wołowiną i cynaderkami. - Co mówił ten cały Włoch?

- Wygląda na to, że Rachel York często mu pozowała - Sebastian przepchnął się przez tłum wokół baru, torując im drogę do pustego stołu w kącie. - A tobie jak poszło?

Tom wsunął się na ławę naprzeciwko i sięgnął po placek, wzruszając beztrząsramionami.

- To cudzoziemiec. Sząszedzi nie mają z nim wiele do szynienia. Choczaż zaufażyli dziewczynę. Chyba było na czym zawiesić oko.

- Istotnie - Sebastian przez chwilę jadł w milczeniu, potem spytał: - Czy do pracowni przychodziły często jakieś inne kobiety?

- Nikt nie zauważył. - Tom odgryzł wielgachny kęs placka. - Myszli pan, że ją chędożył?

- Możliwe, nie jestem pewien. Nie mów z pełną buzią. Tom przełknął z wysiłkiem, otwierając szeroko oczy.

- Czyli nic się nie dowiedzieliśmy?

- O, czegoś się dowiedzieliśmy - Sebastian pociągnął tęgi łyk piwa i oparł plecy o ścianę. - Nasz malarz twierdzi, że jakiś mężczyzna chodził za Rachel od miesiący. Ściślej rzecz biorąc, arystokrata.

Tom skończył placek i zaczął wylizywać palce do czysta.

- Powiedział, jak ten gość się nazywa?

- Tak. To Bayard Wilcox.

Coś w tonie Sebastiana na tyle przykuło uwagę chłopca, że zastygł z palcem w pół drogi do ust.

- Zna go pan, prawda?

Sebastian opróżnił kufel i gwałtownie wstał.

- Szczerze mówiąc, nawet całkiem dobrze. Bayard jest moim siostrzeńcem.

ROZDZIAŁ 24

Charles, lord Jarvis, zatrzymał się w drzwiach książęcego salonu i patrzył, jak jego wysokość Jerzy, książę Walii, obraca się w tę i we w tę przed ciągiem oprawionych w złoczone ramy luster zdobiących wybite jedwabiem ściany. Najbliżsi przyjaciele księcia, w tym hrabia Frederick Fairchild, przechadzali się niespiesznie po przestronnym, purpurowo-złotym pokoju, rozmawiając o wszystkim i niczym, poczynając od wykorzystania szampana do czyszczenia i pielęgnacji obuwia, po plotki o najnowszych tancerkach z opery, które raczyli obdarzyć względami. Kilkanaście zmiętych fularów leżało rozrzuconych na tureckim kobiercu o pięknych, nasyconych barwach, natomiast służący księcia stał w gotowości z naręczem wykrochmalonych białych chustek, na wypadek gdyby kolejna próba dobrania

stroju wypadła niepomyślnie. Mimo że książe Jerzy potrzebował pomocy dwóch służących, by wcisnąć swą korpulentną osobę w płaszcz, i specjalnej maszyny, by dosiąść konia, zawsze upierał się, że fular zawiąże sam.

- A, Jarvis, tutaj jesteś - powiedział, podnosząc wzrok.

Jarvis, który ostatnie pół godziny spędził starając się ukoić wzburzenie rosyjskiego ambasadora, tylko się uklonił:

- Wasza książęca mość?

- Ten hrabia Frederick twierdzi, że Spencer Perceval i jego przekłęci torysi chcą ograniczeń dla naszej regencji - okrągła, nabita twarz księcia przybrała gniewny wyraz. - O co im znowu chodzi? Jarvis zdjął z połączanego krzesła zmiętą koszulę i porwaną jedwabną kamizelkę w kwiaty lotosu, po czym usiadł.

- Jedynie o tymczasowe ograniczenia - powiedział oględnie - które zostaną uchylone po upływie roku.

- Roku!

- Doktorzy utrzymują, że stan zdrowia jego królewskiej mości stale się poprawia - powiedział hrabia Frederick napiętym, zaniepokojonym głosem. Wigowie najbardziej obawiali się, że stary, szalony król Jerzy III odzyska zdrowie, nim zdołają przejąć władzę. - W Izbie Gmin niektórzy twierdzą, że koniec końców może obejdziemy się bez regencji.

- Co o tym sądzicie? - spytał Jerzy, obracając się przodem do przyjaciół. W tej krótkiej chwili Jarvis zorientował się, że pytanie nie dotyczyło stanu zdrowia ojca księcia, ale ostatniej próby zawiązania fularu w skomplikowany, nowy węzeł.

Sir John Bethany, podstarzały hulaka o pełnych, rumianych policzkach i brzuszysku wielkością niemal równym księżęciu wyciągnął monokl i poddał przyjaciela długim, uważnym oględzinom. Książe z niecierpliwością czekał na werdykt.

- Sam Brummell nie wyglądałby lepiej - zawyrokował w końcu Bethany, wypuszczając monokl z oczodołu.

Twarc księcia rozciągnęła się w szerokim uśmiechu, który niemal natychmiast znikł.

- Tylko tak mówisz - z niecierpliwym westchnieniem książe Walii zerwał z szyi swoje ostatnie dzieło i zaczął operację od nowa, jednym okiem łypiąc na Jarvisa. - Nasza władza będzie, oczywiście, równa królewskiej?

Jarvis odchrząknął.

- Niezupelnie, wasza książęca mość. Ale wasza książęca mość będzie mógł utworzyć rząd...

- No, ja myślę - przerwał książe.

- ... chociaż trzeba będzie podać do wiadomości jego skład, zanim wasza wysokość zostanie zaprzysiężony przez Tajną Radę Królewską.

Książe często zachowywał się jak bufon, łatwo więc było zapomnieć, że w jego żyłach płynęła krew władców francuskich, hiszpańskich, angielskich i szkockich, od Wilhelma Zdobywcy i Karola Wielkiego, aż po Henryka Drugiego i Marię, królową Szkotów. Jednak gdy chciał, Jerzy potrafił przybrać imponująco królewską pozę.

- Tylko znów nie zaczynaj, Jarvis - powiedział, nagle książe w każdym calu. Jarvis skłonił się bez słowa.

Poza władcy zniknęła niemal natychmiast. Jerzy westchnął.

- Gdyby tylko Fox był wciąż wśród nas. To bardzo nierozważne z jego strony, tak umrzeć jak gdyby nigdy nic.

- Jak gdyby nigdy nic - powtórzył Jarvis. Odczekał chwilę, po czym dodał: - Chociaż Perceval mógł sądzić...

- Do diabła z Percevałem - wybuchnął książe. - Ten człowiek każdego przyprawiłby o palpacje - urwał niespodziewanie, zbliżając palce jednej ręki do nadgarstka drugiej. - Nasz puls przyspiesza. Jeszcze nabawimy się przez niego skurczów żołądka.

Jarvis sądził, że przyczyną dolegliwości żołądkowych jego książęcej wysokości był raczej półmisek raków w maślanym sosie, którym uraczył się ubiegłego wieczoru, i dwie butelki porto, którymi podlał ów posiłek, ale zachował tę myśl dla siebie.

- Za wcześnie na takie dyskusje - powiedział książę, zbliżając dłoń do brzucha. Jego nabrzmiała twarz wykrzywił skurcz niepokoju. - Mają zły wpływ na trawienie. Położę się na chwilę.

- A co ze spotkaniem waszej książęcej mości z ambasadorem Rosji? Książę był autentycznie zdumiony.

- Jakim znów spotkaniem?

- Spotkaniem, które miało się rozpocząć pół godziny temu. Ambasador nadal czeka.

- Odwołać - książę zakrył dłonią oczy, jakby światło nagle stało się zbyt rażące. Podreptał w stronę stojącej nieopodal sofy w kształcie krokodyla, obitej szkarłatną satyną. - Niech ktoś zasłoni okna. I przynieście mi laudanum. Doktor Heberden mówi, że muszę przyjmować dawkę, gdy tylko odczuwam niepokój, żeby uniknąć niebezpieczeństwa alteracji i wzburzenia krwi.

Jarvis, nadal nie zdradzając, co o tym myśli, osobiście zasunął zasłony. Jeżeli stary, szalony król nie ozdrowieje w cudowny sposób w ciągu następnego tygodnia, rząd przyjmie ustawę o regencji, a bezwolny, rozkochany w przyjemnościach, rozrzutny książę zostanie regentem.

O ile jednak owa wizja pochlebiała księciu Walii, to jego brak doświadczenia w meandrach i intrygach polityki dorównywał niemal brakowi zainteresowania tym tematem. Jarvis był pewien, że w końcu - w odpowiednich okolicznościach - książę chętnie da się prowadzić cudzej mądrości.

Starannie pogasił lampy, wyprosił kompanów księcia i cicho zamknął drzwi. Wigowie sądzili, że długie lata politycznego wygnania wreszcie się kończą. Ludzie pokroju Fredericka Fairchilda byli jednak idealistami. Nie mogli przewidzieć, do czego posuną się przeciwnicy, którzy nie chcą dopuścić ich do władzy. Brakowało im też niezbędnej w polityce bezwzględności.

Rządzenie wymaga bezwzględności. Bezwzględności i wielkiej, wielkiej mądrości.

Sir Henry Lovejoy przeglądał raporty ze spraw przy swoim zniszczonym biurku, gdy do gabinetu wszedł hrabia Hendonu z pudełkiem z politurowanego orzechowego drewna pod pachą.

Za nim truchtał spocony łysy urzędnik. Jego małe oczka były szeroko otwarte i okrągłe ze zdumienia, a okulary zsunęły się na koniec nosa.

- Chciałem zaanonsować, sir Henry, naprawdę próbowałem...

- W porządku, Collins - Lovejoy odesłał urzędnika, oczekując gniewnej konfrontacji z wpływowym ojcem podejrzanego. Sędzia podjął już decyzję, jak się zachowa: będzie układny, grzeczny i pełen szacunku, ale stanowczy.

Wstał i wyciągnął dłoń w stronę krzesła obitego wytartą brązową skórą.

- Proszę, wasza hrabiowska mość raczy spocząć. Czym mogę służyć?

- To nie będzie konieczne - hrabia odłożył pudełko na biurko Lovejoya i stanął na szeroko rozstawionych nogach, splatając dłonie za plecami. - Oddaję się w ręce sprawiedliwości.

- Jak to, wasza hrabiowska mość? - Lovejoy potrząsnął głową, zdziwiony. - Nie rozumiem dlaczego? Hendon spojrzał na niego z pogardą.

- Niech pan nie będzie takim cholernym idiotą. Chodzi o zabójstwo tej aktorki, Rachel York, oczywista. To ja ją zabiłem.

ROZDZIAŁ 25

Ile lat ma ten pana siostrzeniec? - spytał Tom. Szli wzdłuż Haymarket. W powietrzu czuć było chłód, wilgotny i dotkliwy, który ziębił do szpiku kości. Kłęby brudnej mgły snuły się nad brukiem, owijały wokół na wpół umarłych platanów na pobliskim skwerku. Przed nocą żółtawa mgła miała powrócić - gęsta, gryząca i gorzka.

- Dwadzieścia, może dwadzieścia jeden - odpowiedział Sebastian. - Jego matka jest moją starszą siostrą. Tom zerknął na niego.

- Nie bardzo go pan lubi, mam rację?

- Był chłopcem, którego ulubiona zabawa polegała na urywaniu głów żywym żółwiom, i nie tylko - Sebastian wzruszył ramionami. - Może jestem uprzedzony. Może z tego wyrósł.

- Zwykle nie wyrastają - zauważył Tom, zaciskając szczęki, jakby chciał odgrodzić się od wspomnień zbyt trudnych, by do nich wracać. A Sebastian znów zadał sobie pytanie, jakie życie prowadził ten wyrostek, nim spróbował zwęździć jego mieszek w oberży „Pod Czarnym Jeleniem”.

Kapiel, nowe ubranie, kilka dobrze przespanych nocy i pełny żołądek zdumiewająco odmieniły chłopca. Z tego, czego Sebastian zdołał się dowiedzieć, Tom żył samotnie na ulicy przynajmniej przez dwa lata. Chłopiec rzadko mówił o swoim wcześniejszym życiu.

- Dlaczego? - zapytał ni stąd, ni zowąd Sebastian, wpatrując się w piegowatą twarz o ostrych rysach. Zatrzymali się na chwilę. - Dlaczego, na miłość Boską, postanowiłeś związać swoje życie z człowiekiem w moim położeniu? Nie mogę uwierzyć, że robisz to za szylinga dziennie, skoro mógłbyś zarobić o wiele więcej, po prostu sprzedając informacje o mnie tym z Bow Street.

- Nigdy bym tego nie zrobił!

- Dlaczego nie? Niejeden by tak postąpił. Może większość. Chłopiec sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Na świecie jest dużo złego. Dużo złych rzeczy się dzieje i dużo ludzi źle robi. Ale jest też dobro. Dużo dobrego. Mama, nim ją wsadzili na statek do Botany Bay, powiedziała, żebym nigdy tego nie zapomniał. Powiedziała, że takie rzeczy, jak honor, sprawiedliwość i miłość są najważniejsze na świecie, i że każdy powinien starać się być najlepszym człowiekiem, jak się da - Tom podniósł wzrok, a jego oczy, niemal pozbawione rzęs, były szeroko otwarte i uczciwe. - Niewielu jest takich, co w to wierzą. Ale pan wierzy.

- Nic podobnego - odpowiedział ostro Sebastian, w głębi duszy przerażony podziwem w oczach chłopca.

- Tak, wierzy pan. Tylko myśli pan, że nie powinien, to wszystko.

- Mylisz się - powiedział Sebastian, ale chłopiec tylko się uśmiechnął i podjął przerwany marsz. Skręcili w ulicę Grange, zatopieni w swoich myślach. Sebastian rozmyślał, wciąż na nowo, o wszystkim, czego się dowiedział o kobiecie, o której morderstwo został oskarżony. Miał wrażenie, że wciąż mu umyka to, co najważniejsze w Rachel York. Tak, jakby każdy z mężczyzn, którzy o niej mówili - Gordon, Pierrepont, Donatelli - mógł rzucić światło jedynie na fragment jej życia. Sebastian widział Rachel jako młodą aktorkę z zapałem głoszącą hasła o rewolucji i prawach człowieka, Rachel - kochankę, uwodzicielską i uległą, wreszcie Rachel - modelkę artysty, piękną, lecz nieuchronnie dwuwymiarową, jak obraz, który patrzącemu mógł służyć do projekcji własnych fantazji i złudzeń.

Jedynie od Kat Sebastian dowiedział się, co faktycznie kryło się za znaną twarzą i zmysłowym ciałem.

Rachel York była kiedyś małym dzieckiem - samotnym, przerażonym i wykorzystywanym przez społeczeństwo, które nie troszczyło się o słabych i bezbronnych. A jednak perspektywa Kat także była niepełna i zniekształcona, przedstawiała obraz Rachel

widziany z dystansu. Musiał spojrzeć na nią obojętnym wzrokiem kogoś, kto znał dokładnie, ze szczegółami, wszystkie strony jej życia, w tym rozkład dnia i codzienne zwyczaje.

Doszedł do wniosku, że musi porozmawiać z Mary Grant.

Zatrzymał się nagle i odwrócił do Toma.

- Chcę, żebyś dla mnie odnalazł pewną kobietę, niejaką Mary Grant. Była pokojówką Rachel, ale po śmierci swojej pani ogołociła jej mieszkanie, więc może teraz prowadzi dość wystawny tryb życia. Tom kiwnął głową.

- Jak wygląda ta Mary Grant?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Chłopiec zaśmiał się, w jego oczach błysnęło oczekiwanie. Sebastian zdał sobie sprawę, że Tom nie tylko lubi swoje zajęcie, ale i jest w nim niezły.

- No dobra - powiedział, wbijając kapelusz mocno na głowę. - To lecę. A pan niech uważa na tyły - krzyknął, gdy odbiegł kawałek. - Jasne?

Kat owinęła się szczelniej czarną opończą i przyspieszyła kroku. Powietrze było zimne i wilgotne, szare chmury wisiały nisko nad dachami domów. „Trzeba było jechać fiakrem”, pomyślała. W tej właśnie chwili ujrzała przed sobą niewyraźną sylwetkę mężczyzny w ciemnym płaszczu. Westchnęła, zaskoczona, i natychmiast znieruchomiała.

Leo, to do ciebie niepodobne - zauważyła lekkim tonem. - Jeżeli chodzisz samotnie po Londynie, to znaczy, że się boisz.

Leo Pierrepont zrównał się z nią.

- Udało ci się dostać do mieszkania Rachel?

- Byłam tam ubiegłej nocy.

- I co?

- Tak jak mówiłeś, nie znalazłam nic obciążającego. Czoło Francuza przecięła wąska pionowa zmarszczka.

- Sprawdziłaś skrytkę w kominku sypialni?

- Oczywiście. Znalazłam tylko notatnik Rachel, nic więcej.

- Jesteś pewna? Szukałaś wszędzie?

- Nie było czego szukać, pokojówka Rachel ogołociła mieszkanie. Wyniosła wszystko, co tylko się dało.

- Pokojówka? - w głosie Pierrepona zabrzmiała dziwna nuta. Kat spojrzała na Francuza. - Jak nazywa się ta kobieta?

- Mary Grant. Dlaczego pytasz? Co, twoim zdaniem, mogłam tam znaleźć? Nie odpowiedział.

- Miałem wczoraj wieczorem nieprzyjemną rozmowę z twoim młodym wicehrabią. Zdołał się jakoś dowiedzieć, że to ja płaciłem za pokoje Rachel.

- Hugh Gordon mu powiedział.

- Gordon? Skąd, u diabła, miałby o tym wiedzieć?

- Możemy się tylko domyślać. Zapewne od samej Rachel. Leo spojrzał na nią uważnie, mrużąc szare przenikliwe oczy.

- Kontaktuje się z tobą, czyż nie? Mówię o Dewlinie. Kat wzruszyła ramionami i przyspieszyła kroku.

- Można powiedzieć, że jest zainteresowany wykryciem mordercy Rachel.

- A ty mu pomagasz? - Leo zatrzymał dziewczynę, chwytając ją za ramię. - Uważaj, *mon amie*. Może dowiedzieć się rzeczy, których wolałabyś mu nie zdradzać.

Kat stanęła przodem do niego.

- Zawsze jestem ostrożna.

Uśmiech przemknął przez długie, wąskie usta Francuza.

- Chyba, że w sprawach sercowych. Kat stała nieruchomo.

- Zwłaszcza w sprawach sercowych.

W Londynie było wiele miejsc, w których młody człowiek pokroju Bayarda mógł spędzać zimne, mgliste popołudnie.

Sebastian w końcu znalazł siostrzeńca w „Skórzanym Bukłaku”, tawernie niedaleko Islingtonu, popularnej wśród rzezimieszków, bandytów, a także znudzonych bogatych młodzieńców, którzy lubili obracać się w ich towarzystwie, uczyć złodziejskich piosenek i udawać przez kilka zakrapianych dzinem godzin, że ich życie, choć pozbawione sensu, jest emocjonujące i pełne wyzwania.

Było dość wcześnie, tawerna jeszcze nie zdążyła się zapelnąć. Gdy Sebastian wszedł do środka, kilku mężczyzn podniosło wzrok, ale odpowiednie przebranie uspiło ich czujność. Za wzór posłużył tu szlachciowi młody śmiałek, który kilka miesięcy wcześniej próbował dokonać napadu na powóz Sebastiana nieopodal Houndslow Heath.

Roześmiany Bayard stał przy barze i prowadził zbyt głośną rozmowę z dwoma czy trzema zbójkowatymi młodzieńcami, z jakimi zwykle przestawał. Był nieodrodnym synem swego ojca: miał brązowe włosy, cofnięty podbródek i już w młodym wieku zdradzał skłonności do tycia.

Sebastian zamówił drinka, pochylił się w stronę siostrzeńca i wycelował lufę cassaignarda prosto między jego żebra. Bayard zamarł.

- Tak jest - wyszeptał Sebastian niskim, schrypniętym głosem. - To jest pistolet, który wypali, jeżeli zrobisz cokolwiek, powtarzam, cokolwiek, głupiego.

Oczy Bayarda w panice omiatały pomieszczenie.

- Nie, nie odwracaj się. I przestań wyglądać, jakbyś obsrał własne portki, czy co. Nie chcemy niepokoić twoich przyjaciół, prawda? Uśmiechnij się!

Bayard wydał z siebie zduszony chichot, bardziej przypominający zdławione histeryczne łkanie.

- Kim pan jest? Czego pan chce ode mnie?

- Pójdziemy razem, powoli, do tamtego stołu w rogu. Ty usiądziesz pierwszy, ja zajmę miejsce naprzeciwko, a potem utniemy sobie małą pogawędkę. - Sebastian sięgnął po szklankę, ale wciąż celował w Bayarda. - Idź, Bayardzie.

Bayard ruszył na niepewnych drżących nogach.

- Usiądź.

Bayard posłuchał. Sebastian usiadł na koślawym krześle o twardym oparciu.

W pomieszczeniu panował półmrok, niewielkie okna przesłaniała gruba warstwa brudu. Łojowe kaganki dawały niewiele światła, za to aż nadto mdlącego smrodu palonego tłuszczu. W powietrzu unosiła się ciężka woń potu, tabaki i rozlanego ginu.

- A teraz - powiedział Sebastian z uśmiechem - postaraj się nie zapomnieć, że mam broń i celuję prosto w twoje krocze.

Bayard kiwnął głową. Otworzył szeroko oczy i po raz pierwszy przyjrzał się dokładnie Sebastianowi.

- Dobry Boże, to ty! Co tu robisz? Wyglądasz jak jakiś cholerny rzeźnik. Sebastian uśmiechnął się.

- Nie sądzisz, że to odpowiedni strój dla kogoś, kto podrzyna gardła dla zabawy? Patrzył w rozbawieniu, jak lęk Bayarda powoli ustępuje miejsca głębokiej wściekłej furii.

- Słyszałem, że to twoja sprawka - powiedział siostrzeniec przez zaciśnięte zęby. - To ty ją zabiłeś.

- Zapominasz o broni - odpowiedział Sebastian, widząc, że siostrzeniec powoli podnosi się z miejsca. Bayard opadł z powrotem na krzesło, wlepiając spojrzenie w twarz wuja.

- Zrobiłeś to? Zrobiłeś?! Zabiłeś Rachel?

- To samo pytanie chciałem zadać tobie.

- Mnie? Ja ją KOCHAM - forma czasu teraźniejszego nie uszła uwagi Sebastiana. -

Poza tym to twój pistolet znaleźli obok jej ciała.

- Ale to ty od tygodni prześladowałeś tę nieszczęsną kobietę.

Bayard otworzył szeroko oczy. Przez chwilę błysnął w nich gniew, ale szybko ustąpił miejsca lękowi.

- Prześladowałem? O czym ty mówisz? Nie tknąłem jej nawet palcem! Nawet nie miałem odwagi ZBLIŻYĆ się do niej. Gdy raz stanąłem z nią twarzą w twarz, byłem tak onieśmielony, że zapomniałem języka w gębie.

- Nigdy z nią nie rozmawiałeś?

- Nie! Nigdy.

Sebastian odchylił się na krześle.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni? Bayard przygryzł dolną wargę.

- Chyba w poniedziałek wieczorem. Poszedłem na jej występ. Ale to wszystko!

Przysięgam.

- Jesteś pewien?

- Tak, oczywiście.

Sebastian spojrzął nad stołem na siostrzeńca. Jako dziecko Bayard był nie tylko zepsuty i okrutny, ale także niebezpiecznie, wręcz notorycznie, mijał się z prawdą. Sebastian zastanawiał się czy, i w jakim stopniu chłopiec się zmienił.

- Gdzie byłeś we wtorek wieczorem?

Bayard może i był pozbawionym charakteru, nadmiernie pobłażliwym wobec własnych zachcianek bawidamkiem, ale na pewno nie był głupcem. Otworzył szerzej oczy.

- To znaczy wtedy, gdy zamordowano Rachel?

- Zgadza się.

- Planowaliśmy wieczór w klubie u Cribba - machnął głową w kierunku swoich towarzyszy wciąż okupujących bar. Cała ich uwaga koncentrowała się na olbrzymich piersiach karczmarki serwującej zza lady dzin. - Robert, Gili i ja. Większość popołudnia spędziliśmy tu, w „Skórzanym Bukłaku”, więc gdy wychodziliśmy, byliśmy już dobrze podcięci.

- Spędziliście tam cały wieczór?

- Szczerze mówiąc, nie - Bayard potarł dłonią twarz, jakby chciał zatrzeć nieprzyjemne wspomnienie. - Źle się poczułem.

- Innymi słowy, puściłeś pawia. Twarz młodzieńca poróżnowiała od gniewu i upokorzenia.

- Dobrze już, dobrze. Tak właśnie było. Robert i Gil wyprowadzili mnie stamtąd, i wtedy właśnie natknęliśmy się na mojego ojca. Sytuacja była co najmniej niezręczna, tyle ci powiem. Ojciec uparł się odwieźć mnie do domu. Musiałem zasnąć w powozie, bo następane, co pamiętam, to że znalazłem się we własnym łóżku, a on ściągał mi buty i zrzędził, że mam szczęście, iż matka mnie nie widzi w tym stanie.

- Kiedy to było?

- Co dokładnie?

- Kiedy zasnąłeś?

Bayard wzruszył ramieniem.

- Nie jestem pewien. Wcześniej. Przypuszczam, że koło dziewiątej.

Sebastian przyjrzał się czerwonej, ponurej twarzy siostrzeńca. Odtworzenie czynności Bayarda w ostatnim dniu życia Rachel York, acz czasochłonne, nie powinno następczą trudności. O ile mówił prawdę.

- Chwileczkę - rzekł nagle Bayard i usiadł prosto. - Widziałem Rachel we wtorek po południu, gdy przechodziłem obok teatru. Miałem nadzieję, że uda mi się ją zobaczyć, no i zobaczyłem.

- W teatrze? - Sebastian zamarł, próbując przypomnieć sobie rozkład zajęć Rachel

owego popołudnia przed jej śmiercią. - Mieli próbę?

- Nie, nie. Właściwie to nie była w teatrze, ale u złotnika, naprzeciwko. Nawet bym jej nie zauważył, gdyby nie to, że on krzyczał...

- On?

- Ten aktor. Wiesz który? Grał Ryszarda III w Covent Garden, w czasie pożaru.

- Masz na myśli Hugh Gordona?

- Tak, właśnie jego.

- Jesteś pewien? - spytał Sebastian i zamarł w oczekiwaniu. Co Hugh Gordon powiedział w „Zielonym Ludku”? „Nie rozmawiałem z nią od ponad pół roku”.

Bayard energicznie przytaknął.

- Poznałbym go po głosie, nawet gdybym go nie widział.

- Klócili się?

- Tego nie wiem. Ale widziałem, że trzymał ją za ramię i pochylał się nad nią, jakby grożąc. Już chciałem podejść i spytać, co u diabła sobie wyobraża, że traktuje damę w ten sposób, ale właśnie wtedy potrząsnął nią lekko i puścił.

- Nie słyszałeś, co mówił?

- Nie pamiętam, z wyjątkiem ostatnich słów, zanim się odwrócił i odszedł. Powiedział... - Bayard zawahał się, a na jego twarzy zagościł dziwny wyraz, szczęki zacisnęły się kurczowo, oczy zaś zwężyły w szparki.

Z odległego kąta pomieszczenia dobiegł ostry brzęk tłuczonego szkła i głośny wybuch śmiechu.

- Co? - spytał Sebastian, nie spuszczając wzroku z twarzy siostrzeńca - Co powiedział Gordon?

- Powiedział, że „zapłaci mu za to”.

ROZDZIAŁ 26

Sir Henry Lovejoy wpatrywał się w stojącego na środku pokoju mężczyznę. Hrabia Hendonu był wysoki i potężnie zbudowany, miał szeroką pierś i wyrazistą twarz o szerokim, płaskim nosie i ciężkich rysach. Jeżeli między hrabią a jego synem było jakieś podobieństwo, Lovejoy go nie dostrzegał.

- Pan, panie hrabio? Przyznaje się pan do zamordowania Rachel York?

- Tak jest. Poszła do kościoła, żeby się ze mną spotkać - hrabia wbił w Lovejoya przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu, jakby chciał zmusić sędziego, by mu uwierzył - a ją ją zabiłem.

Lovejoy usiadł tak szybko, że krzesło stuknęło lekko o podłogę. Spodziewał się kłopotów ze strony wpływowego ojca wicehrabiego Dewlinu, ale rzeczywistość przerosła jego najśmielsze oczekiwania. Potrząsnął głową, a gdy w końcu przemówił, jego głos był jeszcze wyższy, niż zwykle.

- Ależ... dlaczego?

Tego pytania hrabia najwyraźniej się nie spodziewał.

- Jak to, dlaczego?

- Dlaczego spotkała się z panem w kościele Świętego Mateusza?

Hendon ściągnął wargi i westchnął głęboko. Pierś uniosła się w oddechu, nozdrza drgnęły.

- To nie pańska cholerna sprawa.

- Milordzie, pan wybaczy, ale jeżeli mam przyjąć pańskie oświadczenie, to jest to zdecydowanie moja sprawa.

Hendon odwrócił się i dwukrotnie przemierzył pokój.

- A jak się panu wydaje, dlaczego chciałem się z nią spotkać? - zmarszczył brwi, jakby

chciał wyzywać sędziego, by zarzucił mu kłamstwo. - Z taką dziewczyną?

Sugestia była równie oczywista, co niewiarygodna. Lovejoy wytrzymał spojrzenie hrabiego bez mrugnięcia okiem.

- W kościele, wasza hrabiowska mość?

- Zgadza się - Hendon oparł dłonie płasko na biurku i pochylił się na nich. - Co pan na to? Powie pan, że mi nie wierzy?

Lovejoy siedział nieporuszony. Intencje hrabiego były aż nadto jasne. Nie po raz pierwszy sędzia stanął twarzą w twarz z zaniepokojonym ojcem, gotowym na wszystko, by ocalić ukochanego syna. Gdy w grę wchodziły uczucia ojcowskie, Lovejoy przypuszczał, że fakt, iż ojciec jest kowalem lub arystokratą, nie ma znaczenia - miłość do syna mogła być u obu równie gorąca. Pierś sędziego uniosła się w ciężkim oddechu.

- Jest jeszcze sprawa pistoletu wicehrabiego Dewlinu, znalezione w pobliżu ciała.

- Otóż to. To nie jest pistolet Sebastiana, tylko mój. Hendon sięgnął po stojące na biurku pudełko i uchylił wieka. Lovejoy zdał sobie sprawę, że był to futerał na pistolety do pojedynków. Wewnątrz, na zielonej wyściółce, leżał pistolet skałkowy identyczny z tym, który konstabl Maitland znalazł przy Rachel York. Wgłębienie na drugi pistolet było puste.

- Dał mi je ojciec - powiedział Hendon - czwarty hrabia, na krótko przed śmiercią. Kiedy to ja byłem wicehrabią Dewlinu.

Do pudełka przytwierdzona była mała mosiężna tabliczka. Lovejoy pochylił się, by odczytać wygrawerowany napis. Dla mojego syna, Alistaira Jamesa St. Cyr, wicehrabiego Dewlinu. Lovejoy zaniepokoił się przez chwilę.

- To żaden dowód - odparł wolno. - Mógł je pan dać synowi w dowolnej chwili w czasie ostatnich co najmniej dziesięciu lat.

- Syn ma własne pistolety do pojedynków - wargi hrabiego wykrzywił hardy uśmiech.

- Z których, nawiasem mówiąc, korzystał następnego ranka po morderstwie tej dziewczyny.

- Słyszałem o tym - Lovejoy wstał i podszedł do okna wychodzącego na bezlistne platany na Queen Square. Ani przez chwilę nie wierzył w opowieść hrabiego. Jeżeli jednak Hendon zamierzał upierać się przy swojej wersji wydarzeń, twierdząc, że to on, a nie jego syn, popełnił owo okrucieństwo w kościele Świętego Mateusza we wtorek wieczorem... Lovejoy odwrócił się gwałtownie w stronę hrabiego.

- Proszę opisać wygląd ciała. - Co?

- Ciała Rachel York. Twierdzi pan, że ją zabił. Zapewne potrafi pan opisać, jak wyglądała, gdy ją pan zostawił. Gdzie leżała i jak mogła wyglądać, gdy ją znaleziono.

Lovejoy patrzył, zafascynowany, jak twarz hrabiego zdaje się zapadać w sobie, blednie i niemal krzywi się z przerażenia, jakby zmuszono go, by znów patrzył na skrwawione, zmasakrowane ciało.

- Była w kaplicy mariackiej - powiedział Hendon, cichym, pełnym napięcia głosem. - Na stopniach ołtarza, na... na plecach. Kolana miała uniesione do góry i wokół była krew - przełknął głośno, napinając z wysiłkiem gardło. - Krew była wszędzie.

Lovejoy chwycił oburącz blat biurka i mocno ścisnął. - W co była ubrana, milordzie?

- W suknię. Satynową. Koloru nie pamiętam - hrabia urwał. - Miała też pelisę. Chyba z aksamitu. Obie w strzępach. I ciemne od krwi - zacisnął powieki, jakby chciał odciąć się od straszliwej wizji, i przycisnął zaciśniętą pięść do ust.

Lovejoy patrzył na hrabiego. Stróże prawa bardzo pilnowali, by najbardziej drastyczne szczegóły zbrodni nie trafiły do gazet. Hendon mógł je znać tylko wtedy, gdyby widział ciało Rachel na własne oczy... albo gdyby ktoś mu je opisał. Ktoś, kto widział ją martwą. Ktoś, kto ją zabił. Lovejoy odsunął krzesło i usiadł.

- Twierdzi pan, że był umówiony na spotkanie z panną York w kościele Świętego Mateusza?

- Zgadza się.

Lovejoy przysunął sobie kartkę papieru i sięgnął po pióro.

- Na którą godzinę wyznaczone było spotkanie?

Hendon nawet się nie zawahał.

- Na dziesiątą wieczorem. Lovejoy podniósł wzrok.

- Na dziesiątą? Jest pan pewien, milordzie?

- Oczywiście, że jestem pewien. Przyszedłem kilka minut później, ale niewiele.

Lovejoy odłożył pióro i złączył końce palców.

- A zatem przyszedł pan, panie hrabio, do kościoła Świętego Mateusza parę minut po dziesiątej? I wszedł do środka, żeby spotkać się z Rachel? To jest pańskie zeznanie?

Ciężkie brwi Hendona zbiegły się nad czołem w zdumieniu.

- Owszem.

Lovejoy uśmiechnął się smutno, niemal z boleścią, zaciśniętymi ustami.

- Milordzie, obawiam się, że to niemożliwe. Panna York została zamordowana między piątą a ósmą wieczorem, o której to godzinie kościół Świętego Mateusza jest zamykany na noc.

- O czym pan mówi? - wyrazista twarz hrabiego pociemniała z wściekłości, a jego głos rozniósł się po posterunku z taką siłą, że zaniepokojony urzędnik Collins podbiegł do drzwi. - Umówiłem się z tą kobietą na spotkanie u Świętego Mateusza o dziesiątej, a gdy tam dotarłem, drzwi do północnego transeptu z pewnością nie były zamknięte. Lovejoy stał nieruchomo.

- Z całym szacunkiem, wasza hrabiowska mość, odnoszę wrażenie, że usiłuje pan chronić syna, biorąc na siebie winę za morderstwo Rachel York - Lovejoy pochylił się nad biurkiem, zamknął wieko pudła na pistolety i przesunął je w stronę hrabiego. - Oczywiście rozumie pan, że musimy je zatrzymać. Bez wątpienia okażą się cennym dowodem... - Lovejoy zawahał się, a potem dodał: - na procesie pańskiego syna.

ROZDZIAŁ 27

Zanim Sebastian dotarł do domu Kat Boleyn na Harwick Street, mgła zgęstniała tak bardzo, że latarnie uliczne były jedynie sugestią ciemnego blasku, a zimne wieczorne powietrze przepełniał znajomy gorzki swąd. To miała być dobra noc dla przemytników i włamywaczy.

A także dla hien cmentarnych. Wypchnął tę myśl z umysłu. Spotkanie ze „Skocznym Jackiem”

Cochranem i jego ekipą wyznaczone było dopiero na północ, przedtem miał jeszcze sporo roboty.

Sebastian podniósł kołnierz płaszcza dla ochrony przed wilgocią i obserwował dom naprzeciwko. Było dość wcześnie, Kat jeszcze nie poszła do teatru. Widział jej szczupłą, elegancką sylwetkę na tle oświetlonego okna salonu, obok cienia figurki przypominającej dziecko. Zaciekawiony przeszedł przez ulicę.

- Zapowiem się sam - powiedział chudej kobiecie o mysich włosach, która otworzyła drzwi.

Wbiegał już na piętro po dwa stopnie naraz, gdy kobieta otrząsnęła się z zaskoczenia na tyle, by powiedzieć - Ależ proszę pana! Pan nie może!

Zanim dotarł do drzwi salonu, usłyszał niski głos Kat.

- Powiadają, że dobry rzeźmieszek musi mieć umiejętności sprawnego chirurga: wzrok jastrzębia, rękę damy i serce lwa. Jastrzębi wzrok, żeby ustalić dokładne położenie mieszka, rękę damy, żeby zagłębić ją delikatnie, z wyczuciem w kieszeni mężczyzny, a lwie serce - urwała, i usłyszał śmiech w jej głosie - by nie bać się konsekwencji.

- Niesamowite! Jak pani to zrobiła? - zapytał drugi głos należący, jak zauważył

Sebastian, do Toma, jego młodego protegowanego.

Widział ich teraz w najdalszej części pokoju, odwróconych plecami do wejścia. Kat miała na sobie suknię z czarnego jedwabiu zapiętą wysoko pod szyją, ze skromnymi rękawami z krepy. Dziewczyna zapewne niedawno wróciła z pogrzebu Rachel. Powodów obecności Toma nawet się nie domyślał.

- Spróbujmy jeszcze raz - powiedziała, podając chłopcu mały jedwabny mieszek. - Tym razem zamknę oczy, a ty schowasz mieszek do wybranej kieszeni. Staraj się wyczuć, kiedy go wyciągnę - zacisnęła powieki.

Tom wcisnął mieszek głęboko do kieszeni.

- Gotowe.

Sebastian oparł się o drzwi i patrzył, jak Kat przemknęła koło chłopca raz, potem drugi, wyciągając mieszek wyćwiczonym, pewnym ruchem. Była dobra, nawet bardzo dobra. Ale w końcu zanim ją poznał, zanim została jedną z najbardziej znanych aktorek Covent Garden, tym właśnie się trudniła na ulicach Londynu. Tym i innymi rzeczami, o których rzadko mówiła.

- Kiedy go pani wyjmie? - Tom czekał cierpliwie.

Kat zaśmiała się i machnęła mieszkiem przed nosem chłopca.

Twarz Toma zaświeciła blaskiem podziwu i zachwytu.

- Jejku! Pani jest dobra!

- Jedna z najlepszych w branży - powiedział Sebastian, odchodząc od drzwi. Kat obróciła się do niego. Na jej ustach wciąż igrał rozbawiony uśmiech.

- Tym razem przynajmniej zapukałeś - powiedziała, a on zastanowił się, czy od początku wiedziała, że na nich patrzył.

Spojrzał na Toma.

- Myślałem, że chciałeś poświęcić wieczór na poszukiwania Mary Grant? Tom kiwnął głową.

- Uznałem, że obecna tu panna Kat może będzie mogła wskazać, gdzie mógłbym szukać. Sebastian zdjął zawadiacki kapelusz bandyty i rzucił go na pobliskie krzesło.

- Chyba nie ośmielę się zapytać, jak przeszedłeś od tego zadania do lekcji podwędzania mieszkań. Tom pochylił głowę, by ukryć uśmiech.

- To ja już pójdę.

Sebastian patrzył, jak chłopiec wychodzi, gwizdząc przez zęby wyjątkowo nieprzyzwoitą piosenkę. Kat stanęła obok niego.

- Tom powiedział mi, że zatrudniłeś go jako wywiadowcę. Sebastian uśmiechnął się.

- Szczerze mówiąc, jest pomocny w bardzo wielu sprawach.

Spojrzała na niego, przechylając głowę.

- Ufasz mu?

Sebastian wytrzymał jej badawczy wzrok.

- Znasz mnie. Ufam ludziom do granic głupoty.

- Tego bym nie powiedziała. Wręcz przeciwnie, sądzę, że w kwestii charakterów jesteś wyjątkowo dobrym sędzią.

Sebastian uśmiechnął się ironicznie kącikiem ust i odwrócił, by zdjąć okrycie.

- Byłaś na pogrzebie - powiedział, rzucając na krzesło płaszcz i rękawiczki. Kat podeszła do dzwonka na służbę i mocno szarpnęła za sznur. - Tak.

Na jej twarzy widać było napięcie ostatnich kilku dni. Kat może nie była bardzo zżyta z Rachel York, ale śmierć młodej kobiety dotknęła ją w oczywisty sposób, zaś pogrzeb był ciężkim przeżyciem. Sebastian zastanawiał się, co by powiedziała, gdyby wiedziała, że o północy miał wyznaczone spotkanie z ekipą od „zmartwychwstania”.

Zjawiała się zmieszana pokojówka, jękając przeprosiny za niedopilnowanie drzwi. Kat rozkazała jej podać herbatę i ciastka.

- Hugh Gordon też był na pogrzebie - powiedziała Kat, gdy pokojówka wyszła.
- Naprawdę? - Sebastian stanął tyłem do kominka. Nie spuszczał wzroku z twarzy kobiety, którą kochał kiedyś tak bardzo, że myślał, iż nie może bez niej żyć. - To ciekawe. A Leo Pierrepont?

Usiadła na sofie obitej jedwabiem w kremowo-morelowe pasy.

- Syn francuskiego hrabiego na pogrzebie zwykłej angielskiej aktorki? Chyba żartujesz. Sebastian uśmiechnął się.

- A Giorgio Donatelli?

- Był i tonął we łzach. Nie zdawałam sobie sprawy, że on i Rachel byli tak blisko. Ale to Włoch, może po prostu łatwo mu płakać - oparła się o jedwabne poduszki. Złotawy blask świec z kinkietów na ścianie zamigotał na gładkiej odsłoniętej szyi. Spojrzała na Sebastiana. - Miałaś okazję porozmawiać z Hugh? Sebastian chciał jej dotknąć, przesunąć opuszki palców po krzywiznie szyi w stronę piersi. Zamiast tego utkwiał wzrok w płonących na kominku węglach. Zauważył, że gzyms wykuto z kararyjskiego marmuru, a stojące na nim unikalne naczynia pochodziły ze słynnej manufaktury w Sevres, zaś olejny obraz nad kominkiem wyglądał na dzieło samego Watteau. Kat świetnie sobie radziła w ciągu ostatnich sześciu lat. Jemu zaś ledwie udało się przeżyć.

- Miałaś rację - powiedział głosem, który nawet jemu wydawał się napięty. - Hugh Gordon jest nadal wściekły, że Rachel go zostawiła. Może nawet tak bardzo, że mógłby ją zabić.

- Myślisz, że to zrobił?

- Myślę, że coś ukrywa. Widziano go, jak kłócił się z Rachel w pobliżu teatru. Po południu, w dniu jej śmierci.

- Wiesz, o co się kłócili?

- Nie. Ale powiedział, że Rachel mu zapłaci. - Sebastian odwrócił się, gdy pokojówka pojawiła się w drzwiach z pełną tacą w rękach. - Chciałbym wiedzieć, dokąd poszedł później.

- Gra Hamleta w „Steinie” - Kat sięgnęła po dzbanek. - Ale premierę zapowiedziano dopiero na najbliższy piątek.

Sebastian zaczekał, aż służąca się oddali, a potem powiedział:

- Miałem również okazję zawrzeć znajomość z malarzem, Giorgiem Donatellim. Wygląda na to, że Rachel mu pozowała.

Kat zerknęła znad nalewanej herbaty.

- Nie ma w tym nic zdrożnego.

- Możliwe. Chyba, że też z nim sypiała.

- To bardzo piękny mężczyzna. Rachel takich lubiła.

Sebastian wyjął filiżankę z ręki Kat. Bardzo uważał, by nie dotknąć jej palców.

- Donatelli twierdzi, że Bayard Wilcox chodził za Rachel krok w krok jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Czy on nie jest przypadkiem twoim siostrzeńcem?

- Owszem, jest. Nigdy ci o tym nie mówiła?

- Wspominała raz czy drugi, że śledzi ją jakiś arystokrata, ale nie wymieniła nazwiska. Chciała to obrócić w żart, lecz pomyślałam wtedy, że trochę się oszukuje, że tak naprawdę się go bała - Kat sięgnęła po drugą filiżankę. - Myślisz, że byłby zdolny do czegoś takiego? Do tak okrutnego przestępstwa, tak silnych emocji?

Sebastian upił łyk herbaty i kiwnął głową.

- Bayard twierdzi jednak, że tuż przed dziewiątą wieczorem był gdzieś z kolegami, upił się i padł nieprzytomny, a ojciec musiał go zabrać do domu.

- Ale ty mu nie wierzysz - to było stwierdzenie, nie pytanie.

- Dawno nauczyłem się nie wierzyć Bayardowi. Jednak w tym przypadku można łatwo sprawdzić, czy mówi prawdę, czy też nie.

Kat odchyliła się do tyłu, patrząc na trzymaną w dłoni filiżankę z nietkniętą herbatą.

- Bierzesz pod uwagę, oczywiście, że Rachel nie musiała znać swojego zabójcy? To mógłby być każdy. Absolutnie każdy.

- Nie sądzę. Gdyby znaleziono ją na ulicy, czy nawet w mieszkaniu, wtedy mógłbym w to uwierzyć. Ale poszła do tego kościoła specjalnie po to, żeby się z kimś spotkać. Wiem, że nie ze mną, więc z kim?

- Nie masz jakichś kuzynów o nazwisku St. Cyr? Sebastian potrząsnął głową.

- Nie - Dla St. Cyrów prokreacja nigdy nie była priorytetem. Ojciec miał kilku kuzynów, których wyjątkowo nie znosił, ale wszyscy mieszkali na północy, w Yorkshire i okolicach. Nazwisko zaś było rzadko spotykane. - Wciąż nurtuje mnie sprawa notatnika. Ktokolwiek wyrwał te strony, zrobił to, żeby coś ukryć. A jednak pozostawił książkę, żeby można ją było znaleźć. Dlaczego?

- Przecież była ukryta!

- Owszem. Ty jednak wiedziałaś, gdzie jej szukać. Ktoś inny też mógł wiedzieć... Chociażby Pierrepont. Płacił za jej pokoje. Mógł mieć własny klucz.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, jakby ważąc jego słowa.

- Kobieta z drugiego piętra twierdziła, że mężczyzna widziany rankiem po śmierci Rachel był młody. Pierrepont ma pewnie koło pięćdziesiątki.

- Mógł kogoś wysłać.

Kat odstawiła filiżankę i wstała.

- Sądzisz, że to Pierrepont zabił Rachel? Sebastian patrzył, jak podchodzi do okna, by poprawić jedną z zasłon. Taka krzątanka nie była w jej stylu.

- Dlaczego nie? Byli razem. Dla niektórych mężczyzn fakt, że kobieta chce odejść, jest wystarczającym powodem do zbrodni. Tak jak zauroczenie pięknym włoskim malarzem.

Kat odwróciła się do niego.

- Kiedy byłam w mieszkaniu Rachel, Szkotka z góry powiedziała, że miała wrażenie, jakby Rachel chciała opuścić Londyn.

- Myślisz, że to prawda?

- Nie wiem. Rachel na pewno o tym nie wspominała. Ale sąsiadce wydawało się, że Rachel nadarzyła się okazja, by zdobyć dużo pieniędzy.

- Pieniądzy? - Sebastian odstawił pustą filiżankę. - Ciekawe, czyżby kogoś szantażowała?

Gdy tylko wypowiedział te słowa, w jego umyśle zakiełkowało tak straszliwe podejrzenie, że zaparło mu dech w piersiach. W szeroko otwartych oczach Kat wyczytał, że i ona zdała sobie sprawę z tej możliwości.

- Nie - powiedział, zanim otworzyła usta.

- Ale...

- Nie - powtórzył, podchodząc do niej. - Mylisz się. Znam swojego ojca. W pewnych okolicznościach mógłby zabić, ale nie w ten sposób. Nie jest do tego zdolny.

Podniosła głowę, wpatrując się w jego twarz. Jej wielkie, piękne oczy wyrażały troskę.

To nie była tylko czcza deklaracja, Sebastian naprawdę wierzył, że Hendon nigdy nie zgwałciłby Rachel York na stopniach ołtarza, ani nie zostawił jej umierającej w morzu własnej krwi. A jednak...

A jednak w małym, czerwonym notatniku zmarłej widniało nazwisko: „St. Cyr”. Mężczyzna zaś, który chodził za nią krok w krok od miesiący, był nie tylko siostrzeńcem Sebastiana.

Był także wnukiem hrabiego Hendonu.

ROZDZIAŁ 28

Sebastian spotkał się ze „Skocznym Jackiem” Cochranem i jego dwuosobową ekipą w ciemnym zaułku za Highfield Lane. Zimny wiatr szarpał bezlistnymi gałęziami klonów. Na tle pędzących po niebie chmur, nad krytymi łupkiem dachami pobliskich domów majaczył cień kościelnej iglicy.

- Nic nie kumam, co się wam tak śpieszy - powiedział Skoczny Jack, splunawszy siarczyście z wiatrem. - Zaczny dochtór to wi, że my nigdy nie zawalim z dostawą towaru.

Jack był wyjątkowo wysokim, żyłastym mężczyzną, między czterdziestką a sześćdziesiątką. Miał głęboko osadzone wąskie oczy, kościstą twarz i szpakowaty dwutygodniowy zarost na brodzie i policzkach. Był za to schludnie ubrany, wokół szyi związał czerwoną chustkę; na spodniach w prążki ślad błota widniał jedynie przy nogawkach. Profesja „zmartwychwstańców” przynosiła spore zyski.

Sebastian odwzajemnił spojrzenie, nie próbując ująć swoich motywów w słowa. Ten człowiek zarabiał na życie, wykradając zwłoki z grobów. Nigdy nie potrafiłby pojąć siły, która zmusiła Sebastiana do przyjścia tutaj, zrozumieć jego przekonania, że odpowiedzialność za zbezczeszczenie grobu Rachel York w dziwny sposób nakazywała mu obecność, jako świadka, przy tej operacji.

Zostawili konia i wóz „zmartwychwstańców” pod opieką podrostrka i wyruszyli wąską pograżoną w mroku aleją. Stąpali ostrożnie, narzędzia o długich trzonkach trzymając owinięte w worki, by nie dzwoniły. Na pobliskim podwórzu zaszczekał pies, głębokie, gardłowe ujadanie niesło się z wiatrem.

Poszli dalej.

Rachel York złożono na wieczny spoczynek na cmentarzu Świętego Szczepana, w starej kwaterze z piaskowca. Setki lat pochówków tak bardzo podniosły ziemię, że jej nadmiar utrzymywał w miejscu wysoki na trzy stopy mur. A jednak zwały przepelnionej zarazą ziemi i tak zaczynały się przesywać.

Mur wieńczył żelazny płot, zakończony złowrogim rzędem kolców, lecz na końcu alei znajdowało się wąskie boczne wejście na wpół zarośnięte bluszczem, a komuś zapłacono, by zostawił je otwarte. Ta sama osoba zapewne została wynagrodzona za naoliwienie zawiasów. Żaden zdradziecki zgrzyt nie zakłócił nocnej ciszy, gdy wślizgiwali się do środka.

W powietrzu wisiał ciężki, mdląco słodkawy fetor. Mężczyźni poruszali się niemal na oślep, od czasu do czasu tylko krótko błyskając zasłoniętymi latarniami, gdy skradali się przez ciemną bezksiężycową noc.

Sebastian widział jednak, niemal aż za dobrze, rozgrzebane, poszarzałe nagrobki i majaczące w mroku bryły grobowców, lśniące blado w ciemności czaszki i długie, wystające z błotnistej ziemi piszczele.

Zimne nocne powietrze wypełniały odgłosy wiatru w bezlistnych gałęziach drzew, ostrożnych kroków na błotnistej ścieżce i stłumionych pełnych napięcia oddechów niespokojnych ludzi.

- To będzie tu - szepnął Skoczny Jack, oświetlając przez chwilę pryzmę gołej, świeżo usypanej ziemi. Dwaj mężczyźni odwinęli narzędzia i zabrali się do kopania. Łopaty poskrzypywały, zagłębiając się w miękką ziemię.

Mdlący odór był tu bardziej wyraźny. Sebastian podniósł głowę i zdał sobie sprawę, że smród płynie z ledwo widocznej w odległym kącie cmentarza długiej, wypełnionej do połowy dziury, do której wrzucano biedaków. W oddali wciąż szczekał pies, bliżej słychać było rytmiczne ciurkanie wody. Brzęk szpadla o drewno poniósł się echem wokół cmentarza. Skoczny Jack wydał pełne satysfakcji sapnięcie.

- Mamy ją.

Sebastian zmusił się, by spojrzeć w głąb wykopu. „Zmartwychwstańcy” byli

mistrzami w swoim fachu. Zamiast odgrzebywać całą trumnę, poprzestali na odsłonięciu jej przedniej części. Skoczny Jack podważył szpadłem wieko. Potem jego młody pomocnik - krępy szesnastolatek imieniem Ben - wskoczył do dziury. Klnąc pod nosem bez trudu wyciągnął z trumny sztywne, odziane w biel ciało Rachel York, widmowo blade w panującej wokół ciemności.

Skoczny Jack wylądował obok chłopca, wyciągnął z kieszeni nóż i płynnym, wyćwiczonym ruchem zaczął ciąć i rozdzierać jej suknię. Sebastian chwycił go za ramię.

- Co robisz?

Skoczny Jack splunął do jamy. Jego blade oczy zalśniły w ciemności.

- Nie ma zakazu nosić zwłok po ulicach. Ale możesz zarobić siedem lat na Botany Bay, jak cię przyłapią z umarlakiem w trumiennych łańchach.

Sebastian kiwnął głową i cofnął się o krok.

Ściągnęli z niej wszystko, z wyjątkiem bandaża wokół głowy, trzymającego podbródek. Potem, porzuciwszy nagie ciało na zabłoconej ścieżce, wrzucili suknię z powrotem do trumny, zatrzasnęli wieko i szybko zasypali pusty grób.

- Hej, ty, Ben - powiedział Skoczny Jack, pochylając się, by chwycić nagie, białe ramiona trupa. - Łapaj za stopy.

Sebastian zebrał łopaty i latarnię, gdy dwaj pozostali ponieśli ciało w stronę bramy. Nagie ramię opadło bezwładnie w błoto.

Z daleka dobiegło wołanie strażnika: „Pierwsza w nocy i wszystko jest w porządku”.

Zanieśli ciało Rachel York do małego kamiennego budynku na tyłach kliniki Paula Gibsona i położyli je na płaskim granitowym postumencie z dziurami wokół zewnętrznych krawędzi. Obiekt ten budził w Sebastianie nieprzyjemne skojarzenia ze starożytnym ołtarzem ofiarnym, widzianym ongi w Anatolii.

Zapłacił Jackowi piętnaście funtów, aktualną cenę za „półdługie”. To było więcej, niż dobra pokojówka mogła zarobić w ciągu roku. Gdy turkot wozu „zmarłychwstańców” ucichł w oddali, Paul Gibson zaryglował drzwi wejściowe. Potem podszedł, utykając, do stołu i zawiesił nad nim lampę naftową.

Pokój nappełnił się złotym światłem, rzucając wysokie, nienaturalnie cienkie cienie dwóch mężczyzn na gipsową ścianę.

- Paskudna robota - powiedział po chwili Gibson. Sebastian zmusił się, by spojrzeć na leżące przed nimi zwłoki. Rachel York była piękną kobietą o smukłym, długonogim ciele, szczupłej talii i biodrach oraz pełnych, dobrze rozwiniętych piersiach. Teraz jej ciało było śmiertelnie blade i umazane ziemią z grobu. Ale widział też inne ślady: sine odciski twardych palców, wbijanych w nadgarstki. A także brzydkie cięcia w poprzek szyi, tak głębokie, że można było sobie wyobrazić, iż morderca chciał oddzielić jej głowę od tułowia. Paul Gibson przeciął opaskę wokół brody i szczeka Rachel opadła. Sebastian odwrócił wzrok.

- Byłoby lepiej, gdybym mógł przeprowadzić autopsję, zanim ją wykąpano, ubrano i wrzucono do ziemi - powiedział Paul. - W ten sposób usunięto wiele śladów.

Sebastianowi nie podobał się zapach panujący w niewielkim kamiennym pomieszczeniu. Ani wrażenie, jakie pozostawiał. Poczul nagłą, przemożną potrzebę, by stąd wyjść.

- Jak długo to potrwa?

Paul Gibson sięgnął po fartuch, jakie zwykle noszą rzeźnicy, i zawiązał go wokół szyi i pasa.

- Rano będę w stanie coś powiedzieć, choć, oczywiście, właściwa sekcja potrwa dłużej.

Sebastian przytaknął. Zapach śmierci wypełniał jego nozdrza tak szczelnie, że każdy oddech stawał się wyzwaniem. Zdał sobie sprawę, że Paul Gibson dziwnie na niego patrzy.

- Przypuszczam, że nie słyszałeś? - zapytał doktor.

- O czym?
- Dziś po południu twój ojciec poszedł na posterunek na Queen Square i przyznał się do zamordowania Rachel York.

ROZDZIAŁ 29

Sebastian miał około dziewięciu lat, gdy zdał sobie sprawę, że różni się od innych, iż większość ludzi nie słyszy rozmów prowadzonych szeptem w odległych pokojach i nie potrafi odczytać tytułów na grzbietach książek nocą, w ciemności albo z najdalszego kąta pokoju.

Czasami myślał, że może każdy człowiek odbiera świat trochę inaczej, że wspólnota doświadczeń jest po prostu iluzją. Raz spotkał człowieka przekonanego, że żółty pies jest tego samego koloru, co świeże, zielone źdźbła trawy, w której się bawi. Człowiek ten mógłby przysiąc, że jego szary strój jest niebieski.

Dopiero jedna z uwag siostry, Amandy, uświadomiła Sebastianowi, że większość ludzi nie widzi kolorów nocą, że dla nich ciemność sprowadza wszystko do odcieni szarości, wśród których poruszają się niemal na oślep.

Umiejętność widzenia w ciemnościach okazała się szczególnie użyteczna przy wszelkiego rodzaju specjalnych zadaniach na wojnie. Przydała się i teraz, gdy przekradł się przez mur ogrodu rezydencji St.

Cyrów na Grosvenor Square i wślizgnął na taras.

Alistair St. Cyr, piąty hrabia Hendonu, sypiał w ogromnym łóżu z epoki Tudorów. Swego czasu łóżo to było własnością prapradziadka pierwszego hrabiego. Piąty hrabia budził się powoli, zaciskając usta, uchylił powieki, znów je zamknął, wreszcie całkiem otworzył oczy. Zerwał się w popłochu z gwałtownym jękiem, otworzył usta i wytrzeszczył oczy, wpatrując się w zapalone świece na nocnym stoliku i gzymsie kominka. Podniósłszy wzrok, ujrzał Sebastiana opartego o kolumnę łóża, z rękami założonymi na piersi. Westchnął z ulgą.

- Sebastianie! Dzięki Bogu... Miałem nadzieję, że do mnie przyjdiesz. Sebastian odepchnął się od kolumny i ujął pod boki, rozgniewany.

- Co sobie, do ciężkiej cholery, myślałeś, idąc na posterunek, żeby przekonać tych ludzi, iż to ty zabiłeś Rachel York?!

Wyraz twarzy hrabiego, smutek i troska przemieszane z czymś, co bardzo przypominało poczucie winy, był dla Sebastiana nowością.

- Ponieważ to ze mną miała się wtedy spotkać. Wtorek, u Świętego Mateusza, St. Cyr.

- O, Chryste... - szepnął Sebastian, zakrywając dłonią oczy.

Hendon odrzucił pościel i wstał. Mimo nocnej koszuli i szlafmicy jego postać emanowała godnością i dostojeństwem.

- Ale przysięgam ci, że gdy ją znalazłem, już nie żyła. Sebastian stłumił śmiech i opuścił luźno ręce.

- Myślałeś, że uwierzę, iż na starość zabrałeś się za gwałty i morderstwa?

Odwrócił się przodem do kominka, kucnął i nagarnął węgli do paleniska. Czuł, jak ciepło rozgrzewa mu policzki, liże ukryty głęboko cmentarny chłód. Splot dziwnych, sprzecznych okoliczności nabrał nagle przerażającego sensu.

- Więc to twój pistolet znaleźli przy Rachel - powiedział Sebastian ze wzrokiem utkwionym w płomieniach.

Starszy mężczyzna zaniósł się kaszlem.

- Zabrałem go ze sobą na wszelki wypadek. Nawet nie wiedziałem, że mi wypadł, dopóki nie wróciłem do domu. Chciałem po niego wrócić, poszukać, ale... - zawahał się. - Nie miałem odwagi. Chyba chciałem wierzyć, że zgubiłem go gdzieś indziej.

Sebastian dorzucił do ognia jeszcze jedną szufelkę węgla i patrzył, jak czarne bryły zaczynają się tlić.

- A dlaczego właściwie miałeś się spotkać z Rachel w kościele westminsterskim, samotnie i w środku nocy?

- Nie mogę ci powiedzieć. Sebastian odwrócił się na kolanie.

- Co takiego?

Ojciec wpatrywał się w niego bez słowa. W błyszczących niebieskich oczach odbiły się sprzeczne uczucia.

- Szantażowała cię? O to chodziło? - Nie. Sebastian odrzucił szufelkę i wstał.

- W co jeszcze mam uwierzyć?

Hrabia przetarł twarz, bezgłośnie ruszając szczęką, jak zawsze, gdy nad czymś rozmyślał. Najwyraźniej zastanawiał się, co powiedzieć Sebastianowi, a co zachować dla siebie.

- Skontaktowała się ze mną we wtorek rano - powiedział w końcu. - Miała coś, co, jak sądziła, będę chciał kupić.

- Więc cię szantażowała.

- Nie. Jak już mówiłem, miała coś na sprzedaż. Coś, co chciałem kupić. Uzgodniliśmy cenę i powiedziała, że spotka się ze mną u Świętego Mateusza, w kaplicy mariackiej, o dziesiątej.

- Dlaczego akurat tam?

- Mówiła, że tam jest spokojnie. Że są mniejsze szanse, iż ktoś nas znajdzie czy przeszkodzi w transakcji - w nogach łoża stał okrągły stół o lśniącem wypolerowanym blacie. Hendon podszedł do niego i usiadł na krześle z oparciem w kształcie lutni. - Ten mały wścibski sędzia pokoju Lovejoy twierdzi, że kościół zamknięto o ósmej wieczorem, ale to nieprawda. Gdy przyszedłem, drzwi w północnym transepcie były otwarte, tak jak zapowiedziała.

- Widziałeś tam kogoś?

- Nie - Hendon splótł palce tak mocno, że zbielały mu kłykcie. - Ani żywej duszy. Myślałem, że jesteśmy sami. Zapaliła wszystkie świece na ołtarzu. Widziałem złoty blask płomieni, gdy szedłem obejściem za ołtarzem głównym. Potem ją zobaczyłem.

Przetarł dłonią oczy, jakby chciał zatrzeć wspomnienie tego, co ujrzał.

- To było potworne, jak leżała na stopniach z rozłożonymi nogami... - jego głos przeszedł w szept. Wysięk, z jakim wydobywał z siebie słowa, był niemal namacalny. - Na jej udach widoczne były krwawe ślady jego rąk. Tyle krwi, wszędzie...

Sebastian spojrział przez pokój na poszarzałą, zatroskaną twarz ojca. Nikt nie opisałby hrabiego Hendonu jako wrażliwego człowieka. Był twardy, wybuchowy, flegmatyczny, potrafił być brutalny. Ale nigdy nie był na wojnie, nigdy nie widział poczerniałych, gnijących ciał dzieci w ruinach ich dawnych domów. Nie widział co artyleria, czy nawet kilku pijanych żołnierzy potrafi zrobić z delikatnym, gładkim ciałem kobiety.

Głos Sebastiana był spokojny, beznamiętny: - A ta rzecz, którą poszedłeś kupić... Miała ją przy sobie?

Piers Hendona uniosła się w przeciągłym oddechu. Potrząsnął głową.

- Szukałem jej - przycisnął pięść do ust. Sebastian pomyślał, że wie, ile to musiało kosztować jego ojca, żeby podejść do zakrwawionego, zmasakrowanego ciała i metodycznie, bezwzględnie je przeszukać. - To wtedy musiałem zgubić pistolet. Miałem nadzieję, że zostawiłem go w kieszeni płaszcza. Wyrzuciłem go, to znaczy płaszcz. Wepchnąłem do ścieku na Great Peter Street. Był cały we krwi, nigdy nie zdołałbym się wytłumaczyć przed Copelandem. Umyłem buty najlepiej, jak potrafiłem, ale i tak musiałem wymyślić jakąś bajeczkę o pomocy rannej ofierze wypadku, potraconej przez powóz - jego spojrzenie zamglilo się, jakby spoglądał w przeszłość. - Tyle krwi...

Sebastian stanął przy drugim końcu stołu, ze wzrokiem utkwionym w twarzy ojca.

- Musisz mi powiedzieć, co chciałeś kupić. Hendon odchylił się na krześle i zacisnął

szczęki.

- Nie mogę.

Sebastian uderzył otwartą dłoń w stół między nimi.

- To, co poszedłeś kupić, najprawdopodobniej jest przyczyną śmierci Rachel York! Jak, do ciężkiej cholery, mam się dowiedzieć, kto ją zabił, skoro nawet mi nie powiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

- Mylisz się. Moje interesy z tą kobietą nie mają nic wspólnego z jej śmiercią.

- Nie możesz tego wiedzieć.

Sebastian pochylił się nad stołem, po czym cofnął.

- Do kroćset! Czy nie rozumiesz o co toczy się gra? Hendon wstał z pociemniałą twarzą.

- Zdajesz się zapominać, kim jesteśmy. Kim ja jestem. Czy naprawdę myślisz, że pozwolę na to, by mojego syna oskarżono o morderstwo jak pospolitego przestępcę?

Sebastian nie podniósł głosu.

- Nic tu nie poradzisz, ojczu. Ta kobieta nie żyje.

- To zwykła dziwka - Hendon machnął ręką. - Z jej śmiercią mogę sobie poradzić. Ale chcę wiedzieć, co sobie, u diabła, myślałeś? Żeby zadźgać konstabla i uciekać władzom przez całe miasto?

- Ten człowiek poślizgnął się i wpadł na drugiego konstabla. To nawet nie był mój nóż.

- Oni twierdzą inaczej.

- Kłamią.

Sebastian wytrzymał spojrzenie ojca. Hendon westchnął ciężko.

- Ranny konstabl jeszcze żyje, ale z tego co słyszałem, to tylko kwestia czasu. Będziesz musiał wyjechać z kraju, dopóki tego nie załatwię.

Sebastian uśmiechnął się.

- A Jarvis? Nie powiesz mi, że bardzo zajęty kuzyn księcia nie stoi za gorliwością władz w kwestii mojego aresztowania.

Sposób, w jaki hrabia zaczął ruszać szczęką, upewnił Sebastiana, że ma rację. Obu arystokratów mogła łączyć nienawiść do Francuzów, republikanów i katolików, ale Hendon zbyt sobie cenił zasady moralne i przyzwoitość, by zjednać sobie sympatię makiawelicznego manipulantą, jakim był Jarvis.

- Zostaw go mnie.

Sebastian zacisnął usta i nic nie powiedział.

- Poczyliłem pewne przygotowania - powiedział Hendon, podnosząc się od stołu. - Kapitan...

- Nie ucieknę.

Hendon podszedł do biurka przy łożu i otworzył niewielką szufladę.

- To żaden wstyd usunąć się na jakiś czas, żeby nie stało się nic złego.

Wielki stary dom zdawał się rosnać między nimi, boleśnie znajomy i nagle, nieoczekiwanie drogi w cichej pustce nocy.

- Nie mam zamiaru uciekać - powtórzył Sebastian. - Zostanę i dowiem się, kto i dlaczego zabił tę kobietę. Hendon odwrócił się. W jego oczach zamigotało coś, co mogło być lękiem. Zawahał się.

- Masz. Weź chociaż to.

Sebastian zerknął na banknoty w potężnej dłoni ojca.

- Nie potrzebuję pieniędzy.

- Nie bądź przeklętym głupcem. Oczywiście, że ich potrzebujesz.

Była to prawda. Liczne zakupy na targowisku ze szmatami i Haymarket poważnie nadszarpnęły fundusze Sebastiana, a miał w planach kolejne wydatki.

Wziął pieniądze i odwrócił się do okna. Zatrzymała go niespodziewana myśl. - Leo

Pierrepoint utrzymuje, że urządził przyjęcie tego wieczoru, kiedy zabito Rachel York. Możesz to sprawdzić?

- Pierrepoint? Ten francuski *etnigre*. Co on, u diabła, ma z tym wspólnego?

- Może nic. Może wszystko. Możesz to sprawdzić? Na twarzy ojca znów pojawił się wyraz, którego Sebastian nigdy nie umiał odczytać.

- Na litość boską, Sebastianie, to szaleństwo! Jeżeli nie chcesz opuścić kraju, przynajmniej nie wystawiaj się na cel, dopóki sprawa nie przycichnie. Zatrudnię najlepszych detektywów z Bow Street, wytropią prawdziwego zabójcę. Ty tylko zadbaj o własne bezpieczeństwo.

Sebastian zaśmiał się cicho i odsłonił firankę.

- Obawiam się, że najlepsi detektywi z Bow Street mają już zajęcie - przerzucił nogę przez parapet i zatrzymał się, by rzucić ostatecznie spojrzenie na napiętą, zatroskaną twarz ojca. - Wszyscy są w terenie. Szukają mnie.

Następnego ranka ciężkie chmury wisiały nisko nad miastem, a w powietrzu czuć było zapowiedź śniegu.

Sebastian postawił kołnierz płaszcza i pomaszerował raźnie, żeby nie zmarznąć, w stronę City. U podnóża Tower Hill kupił od staruszki torebkę pieczonych kasztanów, ale w końcu prawie całą jej zawartość rozdał gromadce stłoczonych nieopodał obdartych dzieciaków, przytupujących i rozcierających ręce.

Wiedział, że w tej okolicy zawsze można znaleźć mnóstwo na wpół zagłodzonych uliczników, a także pogrążonych w desperacji matek z umierającymi dziećmi na rękach, oraz bezdomnych, bezradnych starców i staruszek. Tyle że teraz miał poczucie, jakby nigdy przedtem ich nie dostrzegał. A może po prostu nigdy przedtem nie był, tak jak oni, samotny i bezbronny, nie dzielił ich lęku?

- Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spał - powiedział Paul Gibson, gdy młoda służąca wprowadziła Sebastiana do kuchni. Irlandczyk właśnie kończył szybkie śniadanie, złożone z owsianki i ciemnego piwa.

Sebastian przesunął dłonią po nieogolonym policzku.

- Bo nie spałem. Gibson uśmiechnął się.

- Ja też nie - z wysiłkiem przerzucił drewnianą nogę przez ławę i wstał. - Chodź, pokażę ci kilka rzeczy, które mogą cię zainteresować.

Sebastian podążył za przyjacielem zarośniętą chwastami ścieżką. Po raz ostatni odetchnął zimnym powietrzem, schylił głowę i wszedł do małego kamiennego budynku, gdzie Gibson robił sekcję. W pomieszczeniu stał zaduch, jakiego nie pamiętał z poprzedniej wizyty, oraz wilgoć przepełniona mdlącą wonią śmierci i rozkładu.

- Ponad godzinę zmywałem z niej błoto - powiedział Gibson, kuśtykając w stronę ciała leżącego bezwładnie na przypominającym katafalk kamieniu. Sebastian cieszył się, że chirurg nie zaczął jeszcze operacji. - Cięcia na szyi zadano obosiecznym ostrzem, prawdopodobnie takim, jakie dżentelmeni noszą ukryte w trzcinie lub lasce.

Sebastian kiwnął głową. Sam miał taką łaskę. Jego ojciec także.

- Zadano je w ten sposób... - Gibson zamarkował poziome cięcie, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. - Twój zabójca ciął w prawo i na odlew, wielokrotnie - jego ramię opadło. - Kaplica musiała tonąć we krwi.

- Tak słyszałem - Sebastian przyjrzał się głębokim ranom na szyi Rachel York i przypomniał sobie, jak ojciec mówił, że musiał wyrzucić zakrwawiony ponad miarę płaszc. Morderca, kimkolwiek był, wyszedł z kościoła, ociekając krwią. Leo Pierrepoint twierdził, że atak prawie oddzielił głowę od tułowia. Sebastian zastanawiał się skąd Francuz o tym wiedział.

- Taki sposób cięcia - mówił Gibson - zostawił rany, które zaczynają się z prawa i z lewa. Ale jeżeli przyjrzesz się dokładnie, zobaczysz, że cięcia idące od lewej są dłuższe i

głębsze, co znaczy, że mężczyzna, którego szukasz, jest praworęczny.

- A także dość silny? Gibson wzruszył ramionami.

- Rachel była drobną kobietą. Każdy mężczyzna średniej postury mógłby dać jej radę, chociaż stawiała opór. Bardzo chciała żyć - delikatnie podniósł bladą, nieruchomą dłoń leżącą na granitowym postumencie. - Popatrz, jakie ma połamane paznokcie, tu i tutaj - powiedział, wskazując palcem. - Co więcej, znalazłem ślady naskórka za paznokciami dwóch palców prawej ręki.

Sebastian podniósł wzrok, zaskoczony.

- Chcesz powiedzieć, że go podrapała?

- Tak, na to wygląda. Przypuszczam, że jeszcze nim zaczął ją ciąć. Na jej rękach nie ma ran ciętych. Sebastian dokonał w myślach przeglądu mężczyzn, z którymi rozmawiał; żaden nie miał śladów zadrapań - przynajmniej tam, gdzie mogłyby być widoczne.

- Zatem prawdopodobnie podrapała go, gdy ją gwałcił.

- Obawiam się, że nie - Paul Gibson położył dłoń Rachel z powrotem na kamieniu. - Została zgwałcona po śmierci. Nie wcześniej.

- Co TAKIEGO?! Skąd możesz to wiedzieć? Irlandczyk pochylił się nad ciałem.

- Spójrz na sińce wokół nadgarstków i na przedramionach. Widzisz, że z nim walczyła. Ale na udach nie ma śladów walki. Byłyby tam sińce, gdyby siłą rozkładał jej nogi, trzymał przy ziemi. Na jej kobiecych narządach również nie ma ran ani obrażeń, jedynie niewielkie, wewnętrzne otarcie, które prawdopodobnie powstało już po śmierci.

Podszedł do długiego, niskiego stołu pod oknem i podniósł płytką, pokrytą emalią kuwetę.

- Ale to jest najważniejszy dowód - powiedział, a Sebastian wpatrzył się w strzęp satyny, tak poplamiony krwią, że nie sposób było się domyśleć pierwotnego koloru.

- Prawdopodobnie pochodzi z jej sukni. Znalazłem go WEWNĄTRZ ciała. Musiał go tam wepchnąć, gdy w nią wszedł. Drobnie obrażenia, odniesione w wyniku gwałtu, nie mogły być źródłem tej całej krwi. To musi być krew z jej gardła. Co oznacza, że zanim doszło do gwałtu, już ją zabił.

Panujący w pomieszczeniu wilgotny chłód zaczynał przebijać się przez tanią wełnę płaszcza. Sebastian podniósł zziębnięte dłonie do ust i chuchnął, wpatrując się w nieruchome ciało na kamiennym cokole. Pamiętał słowa ojca o krwawych odciskach palców na nagich białych udach. I nawet mu nie zaświtało... Sebastian opuścił ręce.

- Więc jak? Zmaga się z nią, stąd sińce na jej ramionach i nadgarstkach, może bije ją na odlew po twarzy, gdy go drapie. Wyciąga ostrze z laski, wielokrotnie rozcina gardło, powodując śmierć. I POTEM ją gwałci? Gibson kiwnął głową.

- Wyobraź sobie jeszcze jedno: tak poszarpał jej gardło, że musiała być mokra od krwi. On także. Sebastian westchnął ciężko.

- Mój Boże. Jaki człowiek tak postępuje?

- Bardzo niebezpieczny - Gibson odstawił kuwetę z głośnym stukiem, który poniósł się echem po zimnym pomieszczeniu. - Istnieje nazwa na tę akurat formę zwyrodnienia. Nazywamy je nekrofiliją. Sebastian zwrócił spojrzenie na zmasakrowane nagie ciało kobiety. Oczywiście, słyszał o tym. W Londynie były miejsca specjalizujące się w zaspokajaniu wszelkich możliwych perwersji: sodomii, sadomasochizmu, pederastii. I TEGO.

- Więc zabił ją, żeby zgwałcić? - spytał Sebastian. I pomyślał: „A jeżeli Kat ma rację, i Rachel York została zamordowana przez kogoś, kto nawet jej nie znał? A jeśli jej śmierć nie miała nic wspólnego z tym, kim była, z mężczyznami, którzy przewinili się przez jej życie, czy nawet z tajemniczym spotkaniem, wyznaczonym owej nocy hrabiemu Hendonu? Skąd mam czerpać nadzieję, że znajdę jej mordercę?”

- Możliwe - odpowiedział Paul Gibson. - Ale w niektórych mężczyznach zabijanie uwalnia popęd seksualny - jego łagodne szare oczy przesłonił cień dawnych paskudnych

wspomnień, głos przeszedł w bolesny, rwący szept. - O czym obaj wiemy aż nadto dobrze.

Sebastian przytaknął, unikając wzroku przyjaciela. Na wojnie zbyt często widywali brutalną chuć żołnierzy, wciąż splamionych krwią po bitwie, puszczonej wolno na bezbronne kobiety i dzieci w zdobytych miastach czy na mieszkańców farmy, która miała nieszczęście znaleźć się na szlaku przechodzącej armii. Zabijanie wyzwalało w człowieku wszystko, co najgorsze i najbardziej zwierzęce.

„A może”, zastanawiał się Sebastian, „to myślenie było błędem, wyrazem ludzkiej arogancji?”. W końcu ten akurat rodzaj samolubnego okrucieństwa był aż nadto ludzki. Wiele dzikich zwierząt zabijało, żeby zdobyć pożywienie, żeby przetrwać, ale żadne nie robiło tego dla zaspokojenia sadystycznej żądzy.

- Zatem mógł ją zabić z zupełnie innych powodów, i podniecić się tak, że w końcu zaspokoił żądzę na jej martwym ciele. Doktor kiwnął głową.

- Obrażenia wewnętrzne są niewielkie. Musiał być bardzo podniecony, gdy w nią wchodził. - zawahał się, a potem powiedział: - Jest jeszcze jedna rzecz, która może, ale nie musi, mieć znaczenia. Zauważyłeś blizny na jej nadgarstkach?

Sebastian pochylił się, by przyjrzeć się zamazanym, słabo widocznym śladom dawnych blizn, przypominających bransolety wokół nadgarstków. Sam miał podobną pamiątkę z wojny w Portugalii, gdzie spędził dwanaście bolesnych, krwawych godzin, szarpiąc nadgarstki spętane w ciasnym uścisku sznura.

- A popatrz na to - Gibson odwrócił ciało, żeby Sebastian mógł zobaczyć niewyraźne linie białych blizn na szczupłych, pięknych plecach Rachel. - Ktoś ją bił.

- Możesz ocenić kiedy?

- Nie jestem pewien - Gibson ułożył ciało w poprzedniej pozycji. - Wydaje mi się, że przynajmniej kilka lat temu - zaczął się krzątać po pokoju, układając narzędzia chirurgiczne na tacy. - Jutro lub pojutrze będę w stanie powiedzieć coś więcej, po przeprowadzeniu właściwej sekcji.

Sebastian kiwnął głową, nie spuszczać wzroku z nieruchomej, pięknej twarzy kobiety. Nawet za życia jej skóra była blada; teraz w zimnym porannym świetle, miała niemal niebieskawy odcień, a pełne wargi przybrały zaskakująco ciemną barwę fioletu. - Gdy skończysz, chcę ją z powrotem pogrzebać - powiedział.

Gibson stanął obok. Brzęk instrumentów chirurgicznych ustał.

- W porządku.

Sebastian patrzył na ciało Rachel York - wszystko, co z niej zostało. Jeszcze kilka dni temu była dla niego niczym - nazwiskiem na programie, ładną buzią, niczym więcej. Nawet gdy oskarżono go o jej śmierć, jego myśli krążyły wyłącznie wokół przetrwania, a chęć znalezienia zabójcy podyktowana była tylko własnym dobrem.

Ale teraz uświadomił sobie, że w ciągu ostatnich kilku dni - nie wiedział dokładnie kiedy - to się zmieniło. W chwili śmierci Rachel York nie miała jeszcze dziewiętnastu lat, była młodą dziewczyną, samotną i pozbawioną opieki, walczącą o przetrwanie w społeczeństwie, które wykorzystywało i porzucało słabych i nieszczęśliwych. A jednak Rachel uparcie nie godziła się na rolę ofiary. Walczyła z losem, zmagając się odważnie i z determinacją... dopóki ktoś, jakiś mężczyzna, nie dopadł jej w kaplicy mariackiej i nie zrobił z nią TEGO. Świat pełen był brzydoty, o tym Sebastian wiedział, brzydoty i brzydkich ludzi. Ale ludziom, którzy brali co chcieli, bez jednej myśli o tych, którzy cierpieli i umierali w wyniku ich działań, nie można było pozwolić na zwycięstwo. Nigdy nie można zaprzestać walki z nimi, ani dopuścić, by myśleli, że ich czyny są słuszne i w jakiś sposób usprawiedliwione. Nie pozwolić im na triumf bez walki.

- Doczekasz sprawiedliwości - wyszeptał, chociaż leżąca przed nim kobieta nie mogła tego usłyszeć. Sebastian stracił wiarę we wszechwiedzącego, słuchającego chętnie Boga już dawno temu, na polu bitwy w środkowej Hiszpanii. - Ktokolwiek to zrobił, nie uniknie kary.

Przysięgam.

Nagle zdał sobie sprawę, że Paul Gibson stoi obok z dziwnym grymasem czającym się w kątku ust.

- No, proszę, a ja myślałem, że przestałeś wierzyć w sprawiedliwość i słuszne sprawy.

- Bo przestałem - odpowiedział Sebastian, obracając się w stronę drzwi. Ale przyjaciel tylko się uśmiechnął.

ROZDZIAŁ 30

Przed południem zaczął padać śnieg. Sebastian szedł wąskimi ulicami, pamiętającymi jeszcze czasy średniowiecza. Na ziemi, przy otwartych rynsztokach, tworzyła się cieniutka warstwa lodu. Obdarte kobiety mijały go pospiesznie, kuląc owinięte szalem ramiona, a ich oddechy parowały w zimnym, wilgotnym powietrzu. Szedł, dopóki smród znad rzeki nie zgęstniał w nozdrzach, a nad głową nie usłyszał krzyku mew. Bruk pod stopami zrobił się śliski od śniegu padającego wielkimi, mokrymi płatkami z żółtawego nieba.

Przecinając teren między piętrowym magazynem i wysokim kamiennym murem, zszedł po niskich starych schodkach nad brunatne wody Tamizy, płynącej w tym miejscu szerokim korytem. Wiatr był tak silny, że na rzece tworzyły się białe bałwany, a w powietrzu unosił się zapach dalekiego morza. Mimo zimna i śniegu rzeka pełna była łodzi, tratw i lichtug; barki i krypy zdążyły z prądem w stronę Gravesend, i dalej, na otwarte morze. Rzeka była główną arterią miasta, a jednak, choć od dawna spędzał dzień za dniem w pobliżu, nie pamiętał nawet o jej istnieniu.

Wiedział, oczywiście, któredy płynie, ale ponieważ miała tak niewielki wpływ na jego życie, łatwo było ją ignorować, tak jak łkania głodnych dzieci słyszane nocą w oddali czy stłumiony turkot wozów parafialnych. Objeżdżały rankiem ulice, by zebrać niekończące się żniwo owiniętych w biel kształtów, które miały później zapełnić wspólne groby w kwaterach dla ubogich cmentarzy Świętego Szczepana, Świętego Andrzeja, Świętego Pankracego czy Spitalfields. Łatwo było również nie zauważać ciemnych, niczym niewyróżniających się domów na Field Lane i w Covent Garden. Tam za garść monet mężczyzna mógł otworzyć pokój i zrobić co chciał z drżącym, przerażonym dzieckiem czy łkającą kobietą. W tych domach, pełnych świstu batów i ciał wijących się w agonii, nie było Boga ani nadziei, tylko cierpienie i ostateczne wyzwolenie - śmierć. Wszystko, czego mężczyzna zapragnął, każda, nawet najbardziej wyuzdana, żądza mogła tu znaleźć zaspokojenie. Była to tylko kwestia ceny.

Śnieg padał coraz gęstszy. Sebastian spojrzał w górę, wystawiając zmarzniętą twarz na kłujące chłodem płatki. Coraz bardziej dławził go lęk, że nigdy nie zdoła oczyścić swego imienia z okropnej zbrodni, o którą został oskarżony. Zastanawiał się, co mu pozostaje, jeżeli morderstwo Rachel York było jedynie przypadkowym aktem przemocy? Jeżeli nigdy nie zdoła odnaleźć człowieka, który poderżnął jej gardło i nasycił żądzę martwym, skrwawionym ciałem? Co z obietnicą sprawiedliwości złożoną jej i sobie? Powtarzał sobie, że zabójca musiał być kimś z jej bliskiego otoczenia, kto wiedział, że Rachel późnym wieczorem będzie czekała samotnie, bezbronna, w kościele. Zrozumiał jednak, że może się mylić, że zabójca mógł po prostu zauważyć dziewczynę na ulicy i śledzić ją, patrzeć, jak zapala świece na ołtarzu i zaatakować zniecka - obcy, a jednak śmiertelnie bliski.

Sebastian przetarł obolałe z braku snu oczy. Gdy wyszedł z domu ojca na Grosvenor Square, resztę nocy spędził na powolnej wędrówce ulicami miasta bledącymi w porannym brzasku. Wciąż na nowo rozważał słowa rodziciela, starając się odgadnąć, co Rachel York miała na sprzedaż, a on tak bardzo chciał kupić, że zgodził się na spotkanie późną nocą w opuszczonym kościele.

Ojciec przysięgał, że nie chodziło o szantaż, ale Sebastian liczył się z tym, że była to,

być może, wyłącznie kwestia sformułowania. Cokolwiek Hendon chciał kupić, zależało mu na tym tak bardzo, że przemógł lęk i zmusił się do przeszukania zakrwawionego, zmasakrowanego ciała Rachel York. Jednak nie znalazł owej rzeczy. Co oznaczało, że albo miał ją zabójca, albo też Rachel York nie przyniosła jej do Świętego Mateusza.

Sebastian nie mógł także wykluczyć kłamstwa ze strony ojca - Hendon mógł równie dobrze znaleźć tę rzecz i zabrać ją ze sobą.

Wstrząsnął nim niespodziewany dreszcz. Sebastian podniósł kołnierz płaszcza, chroniąc się przed zimnem. Opór hrabiego przed wyznaniem prawdy wytrącił go z równowagi. Po wielogodzinnych rozważaniach, gdy wędrował ulicami Londynu, Sebastian wciąż był daleki od zrozumienia problemu.

Dopiero teraz, gdy patrzył na gęsty śnieg padający z nisko zawieszonych chmur, był w stanie przyznać sam przed sobą, że wspomnienie rozmowy z ojcem budziło, prócz gniewu i konsternacji, poczucie krzywdy i zranienia. Jakkolwiek bowiem próbował, nie potrafił wyobrazić sobie sekretu tak ważnego, by ojciec nie mógł go zdradzić za cenę życia i wolności swojego jedyne go syna.

Tego popołudnia Sebastian złożył interesującą wizytę w małym sklepie złotnika naprzeciwko teatru w Covent Garden. Odchodził już, gdy ujrzał Toma, który rzeźbił coś w małym kawałku drewna niewielkim kozikiem, ukryty pod szerokim daszkiem wejścia do teatru.

- Co tutaj robisz? - spytał Sebastian, podchodząc.

- Czekam na pannę Kat. Zna kogoś, kto mógłby puścić farbę o tej Mary Grant, ale myśli, że będzie lepiej, jak sama mnie przedstawi.

- Ach, tak - powiedział Sebastian, który wiedział jakich to „przyjaciół” miewała Kat w pierwszych latach pobytu w Londynie. Pochylił się i spojrział na czworonożny kształt w zwinnych palcach chłopca. - Co to jest?

- Kuń - odpowiedział Tom, dumnie wyciągając figurkę.

- Lubisz konie, co? Tom kiwnął głową.

- Zawsze myślałem, że byłoby niesamowicie być takim forysiem, który jeździ za dżentelmenem w powozie, i patrzeć, jak powozi parą najlepszych kłusaków.

Sebastian osobiście nie przepadał za obecną modą na zatrudnianie dzieci jako masztalerzy. Ale gdy spojrział w błyszczące oczy chłopca, usłyszał własny głos:

- Gdy wypłacę się z tej całej sytuacji, mógłbym cię przyjąć na forysia. Jeśli zechcesz.

Tom zmrugał oczyma. Jego twarz wyrażała ostrożność i lęk przed rozczarowaniem, ale oddech przyspieszył, a usta otworzyły się w zdumieniu.

- Ma pan powóz?

Sebastian zaśmiał się i wyszedł na ulicę. - A mam.

- A forysia?

- Jeszcze nie.

Chłopiec przytaknął, starając się ukryć uśmiech.

- To gdzie pan teraz idzie? Sebastian postawił kołnierz.

- Na kolejną pogawędkę z Hamletem.

ROZDZIAŁ 31

Tego dnia nad zasypanym śniegiem miastem ciemność zapadła wcześniej. Naprzeciwko domu, w którym Hugh Gordon wynajmował pokoje, Sebastian przytupywał zziębniętymi stopami i patrzył, jak krępa, posiwiata kobieta, która przychodziła codziennie „ogarnąć” mieszkanie aktora, zamyka za sobą drzwi i oddala się w stronę Strandu. Śnieg pokrywał jej głowę i ramiona cienką warstwą bieli, gdy odchodziła w gęstniejący mrok.

Sebastian czekał. Obok przetoczył się wóz węglarza, i jeszcze jeden, należący do

browarnika.

Przechodząc przez ulicę, Sebastian coraz bardziej przypominał postać kuzyna Simona Taylora z Worcestershire. Zanim dotarł do drzwi Gordona, był już przygarbiony i miał nerwowo kapelusze, czekając, aż aktor otworzy.

- Ach, to znowu pan? - powiedział Gordon, zaciskając wargi z irytacją, i rzucił roztargnione spojrzenie w kierunku ozdobnego pozłacanego zegara na gzymsie kominka. Uchylił drzwi za ledwie na stopę. - Nie mam w tej chwili zbyt wiele czasu...

- Zajmę panu tylko chwilkę - powiedział Sebastian, uśmiechając się z nadzieją. Gordon zawahał się, potem westchnął i otworzył drzwi szerzej.

- No, niech już będzie. O co chodzi?

- Tak się zastanawiałem, czy mógłby mi pan coś wyjaśnić - powiedział Sebastian, wchodząc. - Widzi pan, rozmawiałem z bardzo uprzejmym dżentelmenem, właścicielem warsztatu złotniczego naprzeciwko teatru. Zna pan to miejsce, prawda? To z nowymi latarniami gazowymi? No cóż, pan Touro powiedział mi - tak nazywa się właściciel, pan Jacob Touro - jak to Rachel była w jego sklepie po południu w dniu śmierci. Ale zdumiało mnie, że pan twierdził, iż nie widział się z nią od miesiąca, a pan Touro mówi, że przyszedł pan tego samego dnia do jego sklepu i skonfrontował się z Rachel - Sebastian spojrzał niespokojnie na aktora. - Dokładniej mówiąc, wspominał nawet o NAGABYWANIU. Hugh Gordon spojrzał na Sebastiana wzrokiem, który niczego nie wyrażał.

- Oczywiście ten człowiek się myli.

- No, można by tak pomyśleć. Tyle, że pan Touro jest pana oddanym wielbicielem - ciągnął Sebastian, uśmiechając się przyjaźnie i usiadł, nieproszony, na sofie z wysokim oparciem, pokrytej bordowym brokatem. - Utrzymuje, że nie przeoczył ani jednego z pańskich występów w ciągu ostatnich pięciu lat. A, jak rozumiem, kuzynka Rachel była jedną z jego najlepszych klientek, wie pan, co mam na myśli? Tak więc gdy następnego dnia dowiedział się z gazet, co przydarzyło się Rachel, przypomniał sobie o tym incydencie. Chociaż muszę pana zapewnić, że nie ma zamiaru opowiadać władzom ani o kłótni, ani o tym, jak chwycił pan Rachel za ramię i groził, że ją zabije.

Gordon stał na środku swojego wystawnego bordowego salonu o oknach przesłoniętych koronkowymi firankami. Zmrużył oczy w zamyśleniu. Wyglądało na to, że zaczyna zmieniać zdanie o kuzynie Simonie.

- Nic podobnego nie zrobiłem.

- Ma pan rację, przesadzam. Pan Touro twierdzi, że użył pan sformułowania: „ZATŁUKĘ CIĘ NA ŚMIERĆ. „. Aktor milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się, czy powinien dalej zaprzeczać, czy też uraczyć Sebastiana półprawdą w wersji nieco skróconej. Skrócona półprawda zwyciężyła.

- Rachel była mi winna pieniądze - powiedział po chwili, nalewając brandy do ciężkiej szklanki ze złotą obwódką, stojącej na ozdobnej tacy, która wyglądała jak rekwizyt sceniczny z *Nocy arabskich*. - Jeszcze z czasów, kiedy zaczynała pracę w teatrze. Nie zarabiała wtedy zbyt wiele, więc zapewniłem jej wszystko, czego potrzebowała, zaopatrzyłem w suknie i inne drobiazgi. Zawsze wiedziała, że to nie prezenty.

- Jestem pewien, że był pan bardzo hojny - powiedział Sebastian z hardym uśmiechem.

Brwi Gordona zbiegły się w ostentacyjnym grymasie. „Ten człowiek przesadza we wszystkim - ocenił Sebastian - od wystroju salonu, ozdobnych pozłacanych mebli obitych bordowym pluszem, do stentorowej mowy i teatralnych gestów”. Przypuszczał, że owa skłonność do przesady mogła wpływać z nawyku występowania przed sporą, acz oddaloną od aktora widownią.

- Dzięki tym sukniom wbiła swoje małe, chciwe szpony w innego mężczyznę i odeszła ode mnie - powiedział Gordon. Dłoń z brandy zakreśliła w powietrzu szeroki gest. - Co, pana

zdaniem, miałem zrobić? Po prostu zapomnieć?

- Od dwóch lat sprawia pan wrażenie, jakby zapomniał.

- Mężczyzna ma pewne wydatki - wzruszył ramionami Gordon.

Sebastian wpatrzył się w zapadłe policzki i zmartwione, podkrążone oczy aktora. Taki widok często spotykało się w jaskiniach hazardu i nocnych klubach Londynu - udreżony wzrok pogrążonego w długach człowieka.

- Co jest pańską trucizną? Faro?

Twarz Gordona wykrzywił cierpki uśmiech.

- Najogólniej rzecz biorąc, moją drogą zatrąty jest hazard.

Sebastian spojrzał badawczo na aktora. Człowiek pogrążony w długach często wpadał w desperację, a zdesperowani ludzie bywają niebezpieczni.

- Niektórzy twierdzą, że ma pan ciężką rękę - powiedział Sebastian. - Zwłaszcza, gdy idzie o kobiety. Gordon opróżnił szklankę jednym haustem i wycelował w Sebastiana palec nad pustym naczyniem.

- Kobiety lubią silnych mężczyzn, kogoś, kto wskaże im ich miejsce. Niech pan nie wierzy nikomu, kto twierdzi, że jest inaczej.

Sebastian pokiwał głową, jakby się zgadzał.

- Wyobrażam sobie, że mężczyznę o ciężkiej ręce mogą czasem ponieść emocje. Tak bywa. Coś, co miało być tylko nauzką, może niekiedy wymknąć się spod kontroli.

Gordon trzasnął pustą szklanką o stół. Rozdętymi nozdrzami gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Sugeruje pan, że zabiłem Rachel? Czy ma mnie pan za głupca? Rachel była mi winna PIENIĄDZE. Gdy się z nią spotkałem we wtorek po południu przysięgała, że odda mi je do środy w południe - przeczesał palcami ciemne włosy, zniżając głos niemal do szeptu. - Martwa długi nie zwróci.

Sebastian pamiętał słowa Kat o młodym mężczyźnie, którego widziano w pokojach Rachel we środę rano. Hugh Gordon miał około trzydziestu pięciu lat, ale osiemdziesięcioletnia kobieta mogła go uznać za młodzieńca.

- Nie jestem tego taki pewien - odpowiedział Sebastian. - Jeżeli wiadomo, że kobieta ma pieniądze i odmawia spłacenia długu, zawsze można iść do jej mieszkania i zabrać co swoje. Jeżeli kobieta nie żyje. Gordon opuścił rękę.

- Dobry Boże. Więc teraz jestem nie tylko mordercą, ale i złodziejem? Sebastian utkwiał spojrzenie w twarzy aktora.

- Gdzie pan był we wtorek wieczorem?

- Tutaj. W domu. Uczyłem się roli. - Sam?

- Najlepiej pracuje mi się samemu - Gordon ponownie zerknął na pozłacany zegar, stojący na ozdobnym gzymsie. - Proszę posłuchać, o siódmej mam przedstawienie. Wczoraj mieliśmy premierę i muszę...

- Spokojnie - Sebastian uśmiechnął się powoli i złośliwie. - Ma pan mnóstwo czasu. Gordon spojrzał w nieruchome oczy Sebastiana.

- Nie jest pan kuzynem Rachel, prawda? - jego brwi zbiegły się nad czołem. - Kim pan jest? Jakimś tropicielem z Bow Street?

Sebastian uśmiechnął się.

- Mniej więcej. - W zasadzie to był raczej uciekinierem z Bow Street, ale w tym, co powiedział, tkwiło źdźbło prawdy.

Gordon odwrócił się i odsłonił bordowe zasłony, zaciągnięte dla ochrony pokoju przed zimnem.

- Rachel była wyjątkową kobietą - powiedział nagle, nie wypuszczając zasłony z ręki, jakby starał się ująć myśli w słowa. - Niewiele było rzeczy, których się bała. Powiedziała mi kiedyś, że tego, kto się lęka, łatwo ugodzić, a ona już nigdy nie pozwoli się ranić. Ale ostatnio

zauważyłem, że była niespokojna, spięta, jakby znalazła się nagle w sytuacji która ją przerasta, i nie była pewna czy zdoła się z niej wyplątać.

Sebastian patrzył, jak aktor odwraca się od okna.

- Co by to mogło być?

- Szczerze mówiąc, zastanawiałem się czy Rachel nie szpiegowała dla Francuzów.

- Dla Francuzów? - była to ostatnia rzecz, jakiej Sebastian się spodziewał. - Skąd ten pomysł?

- Proszę zwrócić uwagę, z jakimi mężczyznami się wiązała. - Hugh Gordon podniósł ręce w geście Mojżesza przemawiającego do tłumów i Sebastian wiedział, że afektowany, poufały ton był grą. Tę informację, prawdziwą czy nie, Hugh Gordon ujawnił celowo, prawdopodobnie po to, by odwrócić od siebie podejrzenia. - Zwykle kobiety mają ustalone schematy. Jedna będzie szukała mężczyzn z pieniędzmi, inna lubi ładnych chłopców, jeszcze inna ma obsesję na punkcie tytułów. Ale nie Rachel. Ona wybierała mężczyzn, którzy pracowali w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, jak sir Albert. Albo byli blisko króla, jak hrabia Grimes. Raz nawet miała za towarzysza admirała.

Admirał Worth. Sebastian słyszał to nazwisko, razem z nazwiskami Alberta, Grimesa i innych, o których szeptała ulica. Uświadomił sobie, że to prawda, iż wysoko urodzeni kochankowie Rachel mieli jedną wspólną cechę: wszyscy mieli dostęp do informacji, które mogły okazać się bardzo użyteczne, gdyby wpadły w niepowołane ręce.

- Nie robi pan tajemnicy z faktu, że podziela radykalne sympatie Rachel - powiedział Sebastian. - Francuzi nigdy nie próbowali pana zwerbować?

Spodziewał się gwałtownych zaprzeczeń i gorącej patriotycznej retoryki. Zamiast tego Gordon wytrzymał pytający wzrok Sebastiana i odpowiedział tylko:

- Niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym zmian, wciąż jestem Anglikiem. Nigdy nie zdradziłbym swojego kraju.

- Ale myśli pan, że Rachel mogłaby to zrobić? Gordon wzruszył ramionami.

- Rachel miała w sobie wiele gniewu i nienawiści - zarówno z powodu tego, co ją w życiu spotkało, jak i tego, co widziała wokół. Raz w tygodniu pracowała jako ochotniczka w Przytułku Świętego Judy. Wiedział pan o tym? Zwykle mawiała, że Napoleon może i zdradził Rewolucję, ale Francuzi i tak mają lepiej niż większość ludzi tutaj.

Sebastian wpatrzył się w przystojną twarz o gęstych brwiach. Hugh Gordon był aktorem, człowiekiem, który zarabiał na życie kłamiąc tak, by inni ludzie myśleli, że to prawda. Sebastian nie zaufałby mu nawet przez chwilę. Ale mimo wszystkich póż jego słowa brzmiały szczerze i nieznośnie prawdopodobnie, jak prawda, której nie chce się poznać.

Na zewnątrz wiatr wzmagał się. W zapadłej ciszy odgłos płatków śniegu rozbijających się o szyby zabrzmiał nienaturalnie głośno. Sebastian zdał sobie sprawę, że Hugh Gordon badawczo przypatruje mu się zmrużonymi oczami.

- Nie wierzy mi pan, nieprawdaż? Ale na pewno zdążył pan sprawdzić, że wcześniej mówiłem prawdę, iż Leo Pierrepont płacił za pokoje Rachel.

- W co, według pana, powinienem uwierzyć? W to, że Leo Pierrepont jest szpiegiem Napoleona?

- To by było zbyt proste. Leo Pierrepont jest szefem siatki szpiegowskiej. Sebastian wstał.

- Rodzina Pierreponta straciła cały majątek, dwadzieścia lat temu uciekając przed Rewolucją. Gordon uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

- Pierrepont uciekł przed Rewolucją i przed Republiką. Jednak Francja nie jest już Republiką, nieprawdaż?

Spostrzeżenie było trafne. Krwawe, pełne okrucieństwa dni Republiki i Rok II należały do przeszłości. Ostatnio kolejne rody arystokratów na emigracji zawierały ugodę z cesarzem Francji, przysięgając wierność nowemu rządowi, i odzyskiwały utracone włości.

Sebastian zmierzył aktora taksującym spojrzeniem.

- To dość łatwe oskarżenie. Jakie ma pan dowody?

- Tacy zawodowcy jak Pierrepont nie zostawiają dowodów.

- Istotnie. Jednak gdy ostatnio z panem rozmawiałem, usiłował pan mi wmówić, że Leo Pierrepont był kochankiem Rachel.

Na twarzy Gordona zagościł grymas szczerzej pogardy.

- O ile pamiętam, powiedziałem, że władze powinny przyjrzeć się powiązaniom Rachel z tym mężczyzną. Nie przypominam sobie, bym nazwał go jej kochankiem. Ten wniosek wyciągnął pan sam.

ROZDZIAŁ 32

Wizyta hrabiego Hendonu mogła rozwiązać wiele wątpliwości sir Henry'ego Lovejoya co do winy wicehrabiego Dewlinu. Lovejoy był jednak człowiekiem metodycznym, więc część sobotniego popołudnia postanowił poświęcić na zamknięcie wątku kapitanostwa Talbotów.

Lovejoy dowiedział się, że kapitan - wysoki, przystojny, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna - był najmłodszym synem niewielkiego obszarnika z Devonshire. Dzięki przydziałowi do Straży Konnej jego przyszłość zapowiadała się obiecująco, dopóki nie popełnił błędu, uciekając z dziedziczką arystokratycznej rodziny, Melanie Peregrin. Przełożeni Talbota nie odnieśli się życzliwie do tej romantycznej przygody; jego kariera wojskowa, utknęła w martwym punkcie, zaś ojca Melanie tak rozwścieczyła, jak to określił, „perfidia córki”, że zostawił ją bez grosza i zabronił wstępu do domu. Zanim Lovejoy dotarł do wąskiej kamienicy Talbotów na Upper Union Street w dzielnicy Chelsea, znów zaczął padać gęsty śnieg. Dom był niewielki i na pewno wynajęty, ale frontowe drzwi pomalowano na wesoły czerwony kolor, kołatka lśniła, a ktoś uzdolniony artystycznie umieścił przy wejściu dwie doniczki z rozmarynem. Lovejoy zauważył te szczegóły i zachował je w pamięci do przyszłych analiz. Wyraźnie kłóciły się z obrazem łkającej, bitej żony, jaki przedstawił mu sir Christopher.

Podobnie jak spokojna, opanowana młoda kobieta, która przedstawiła się jako Melanie Talbot.

Miał dużo szczęścia, że zastał ją w domu i w dodatku samą. Lovejoy przeprosił za późną wizytę, a pani Talbot przeprosiła za nieład, w jakim ją znajduje.

- Obawiam się, że gdy maluję, robię wokół dużo bałaganu - powiedziała z pełnym słodczy uśmiechem, trąc kciukiem płamę niebieskiej farby na bladym nadgarstku.

Lovejoy mógłby wyciągnąć błędny wniosek, że pani Talbot przejawia umiarkowane, jak przystało damie, zainteresowanie pastelami, gdyby nie to, że wchodząc, zobaczył, jak stoi na drabinie i maluje ściany jadalni.

- Dziękuję, że przyjęła mnie pani bez zapowiedzi - powiedział Lovejoy, siadając na wskazanym krześle w niewielkim przyjemnym saloniku z oknami wychodzącymi na zaśnieżoną ulicę. Zauważył, że meble w pokoju, choć staromodne i zniszczone, są gustowne, o dobrych proporcjach - jak coś, co można znaleźć na strychu w starej wiejskiej posiadłości czy kupić tanio na targowiskach Hatfield Street. Nawet jeżeli małżeństwo okazało się nieszczęśliwe, z całą pewnością Melanie Talbot nie ustawała w wysiłkach, by jej dom był przyjemny i wygodny, mimo ograniczonych możliwości finansowych.

Melanie Talbot zajęła krzesło naprzeciwko. Była gibką, niezwykle atrakcyjną, młodą kobietą o bardzo jasnych włosach, dużych, niebieskich, szeroko rozstawionych oczach i delikatnych rysach twarzy. To był dokładnie ten typ kobiety, który budzi w młodych byczkach - a i w niejednym starszym - chęć odegrania roli rycerza i obrońcy w lśniącej zbroi.

Uśmiechnęła się do Lovejoya szczerym, pięknym uśmiechem.

- Jak mogę panu pomóc?

- Mam kilka pytań. Chciałbym porozmawiać o wicehrabim Dewlinu.

Lovejoy obserwował, zafascynowany, jak przez jej piękną twarz przemknął grymas lęku. Rzuciła szybkie, nerwowe spojrzenie w stronę wąskiego korytarza, jakby chciała się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje. Potem znów się uśmiechnęła szerokim wymuszonym uśmiechem.

- Nie jestem pewna, czy okażę się pomocna. Hrabia Dewlin i ja znamy się tylko przelotnie.

- Czy rzeczywiście, pani Talbot? Wiem z pewnego źródła, że stosunki między panią i jego hrabiowską mością są o wiele bliższe, niż przyjęło się między znajomymi. Proszę pozwolić się zapewnić, że jeżeli boi się pani męża...

- Dlaczego sądzi pan, że mam powody bać się męża? - spytała ostro. Lovejoy wytrzymał jej stanowcze, bezpośrednie spojrzenie.

- Wiem, co się stało na balu u księżnej Devonshire w zeszłym roku.

- Ach - westchnęła krótko i przez chwilę siedziała w milczeniu, jakby pogrążona w myślach. Potem podniosła wzrok, zaciskając zęby. - Znakomicie. Dewlin i ja jesteśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi, ale nikim więcej.

Lovejoy starał się, by jego twarz nie wyrażała niczego.

- Jak rozumiem, mąż pani pojedynkował się w ostatnią środę z hrabią Dewlinu. Tym razem jej uśmiech nie był ani figlarny, ani pełen słodyczy.

- Zdaje pan sobie sprawę, sir Henry, że żonom nigdy nie mówi się o takich sprawach?

- Pani jednak wiedziała.

Poderwała się gwałtownie i podeszła do malowanego gzymsu kominka, w którym płonął niewielki ogień.

- Proszę zrozumieć - powiedziała ze wzrokiem utkwionym w płomieniach. - Obiecałam mężowi, że zerwę wszelkie kontakty z hrabią Dewlinu.

Lovejoy patrzył na jej szczupłe, napięte plecy.

- Kiedy złożyła mu pani obietnicę?

- W zeszły poniedziałek.

- Nie spotkała się pani z Dewlinem we wtorek?

- Nie. Oczywiście, że nie. Jestem dobrą, posłuszną żoną. Tego się oczekuje od kobiety, czyż nie? - powiedziała z szyderstwem w głosie.

- Więc nie może mi pani powiedzieć, gdzie jego hrabiowska mość spędził ów wieczór?

- Nie. - Odwróciła się w jego stronę, a sir Henry doznał szoku, widząc emocje malujące się na twarzy kobiety. - Za to mogę panu powiedzieć, jak nie spędził wtorkowego wieczoru. Nie spędził go, mordując tę biedną kobietę, którą znaleźliście w kościele Świętego Mateusza.

- Skąd ta pewność, pani Talbot?

Westchnęła głośno, marszcząc w zamyśleniu brwi.

- Skąd pan wie o balu u księżny Devonshire?

- Obawiam się, że nie mogę tego pani powiedzieć.

- Ale wie pan co zbliżyło Sebastiana i mnie? Lovejoy kiwnął głową, zauważając, że Melanie Talbot nieświadomie użyła imienia wicehrabiego.

- Właśnie wrócił z wojny - urwała. - Każde z nas prześladowały demony, którym musieliśmy stawić czoło. Lubię myśleć, że zrobiłam dla niego choć połowę tego, co on dla mnie.

- Demony wojny, które mężczyzna zabiera do domu, mogą go czasem pchnąć do strasznych rzeczy. Potrząsnęła głową.

- To, co dręczy hrabiego Dewlinu, nie nakłania go do gwałtu i morderstwa - umilkła,

po czym ciągnęła z podniesioną głową. - Szczerze mówiąc, oddałabym mu się, gdyby mnie zechciał. Czy to wyznanie pana przeraża? Mnie swego czasu na pewno by przerażyło. Tylko... - przelknęła ślinę i potrząsnęła głową, nie skończywszy zdania. - Ale on nie chciał. Proszę mi zatem powiedzieć, sir Henry, czy taki człowiek zgwałciłby kobietę na stopniach ołtarza?

- Nie wiem - odpowiedział Lovejoy, patrząc w jej udręczone oczy. - Nie wiem, jacy mężczyźni postępują w ten sposób. Wiem jednak, że istnieją - kiwnął głową w kierunku zaśniewanej ciemności. - Jeden z nich jest tam teraz, chodzi po ulicach. Może to hrabia Dewlinu. Może ktoś inny: mężczyzna, który kupuje kiełbasę w sąsiednim zajęździe, może właśnie siada do kolacji z żoną i dziećmi. I nikt - nikt! - kto go zna, nie wierzy, że jest zdolny do takich zbrodni. Ale jest. Jest....

Po powrocie do biura Lovejoy zdjął kapelusz i odwiesił go na haczyk przy drzwiach, a potem stał nieruchomo, zatopiony w myślach, ze wzrokiem wbitym w pustkę.

Wątpliwości wróciły; te wszystkie dręczące pytania o rzeczywistą winę hrabiego Dewlinu; poczucie, że w sprawie śmierci Rachel York kryje się coś więcej, niż to, czego udało mu się dowiedzieć. Wiedział, że ten sposób myślenia nie jest naukowy, empiryczny i racjonalny. Jednak w przeszłości na tyle często intuicja go nie zawodziła, że i tym razem postanowił jej zaufać.

Sir Henry wzruszył ramionami i uwolnił umysł od obrazu pożegnanej niedawno kobiety o smutnych oczach. Poluzował węzeł szalika i rozpiął już połowę guzików płaszcza, gdy do pokoju zapukał sekretarz Collins.

- Co się stało? - zapytał Lovejoy, podnosząc wzrok.

- Chodzi o kobietę zamordowaną w kościele, proszę pana, tę Rachel York. Konstabl Maitland myślał, że chciałby pan wiedzieć.

Lovejoy znieruchomiał z w połowie zdjętym paltem.

- O czym?

- Dostaliśmy właśnie wiadomość od kościelnego z parafii Świętego Szczepana. Mieli włamanie do grobu. Zeszłej nocy. I wybrali jej grób.

- Chcecie mi powiedzieć, że ktoś ukradł ciało Rachel York?

- Tak, proszę pana. Konstabl Maitland twierdzi, że to tylko zbieg okoliczności, ale...

Collins urwał, gdyż sir Henry, z paltem w dłoni, wyszedł już, pozostawiając kapelusz i szalik na haczyku przy drzwiach.

ROZDZIAŁ 33

Zanim Sebastian dotarł do Half Moon Street, zapadła kompletna ciemność. Śnieg pokrył miasto ciężkim, brudnobiałym kocem. Za to w eleganckiej kamienicy francuskiego emigranta wszystkie okna rozświetlał ciepły złoty blask. Gęsta słoma pokrywała granitowe kostki ulicy, a czerwony dywan rozciągał się na stopniach wejścia. Dopiero minęła szósta, ale wokół zebrał się już spory tłum obszarpanych mężczyzn, kobiet i dzieci, ściśnięty, by chronić się przed zimnem. Niektórzy mamrotali pod nosem, ale większość śmiała się i żartowała w pełnym ożywieniu oczekiwaniu. Wielcy tego świata byli swego rodzaju spektaklem. Co prawda jako rozrywka nie mogli się równać z wieszaniem, ale byli znacznie atrakcyjniejsi niż lot balonu.

- Monsieur Pierrepont wyprawia dziś bal, prawda? - spytał Sebastian wyrostka w liberii, przepełnionego poczuciem własnej ważności.

- Tak. Maskaradę - odpowiedział chłopiec. Jego oczy błyszczały tak bardzo, jakby sam był jednym z gości.

Sebastian popatrzył za odbiegającym służącym, potem stał przez chwilę w tłumie, błądząc wzrokiem od okna do okna. Wciąż myślał o słowach Hugh Gordona, że Rachel York mogła za pośrednictwem Leo Pierreponta przekazywać Francuzom tajne informacje. Jeżeli to

była prawda, jeżeli Rachel York była zamieszana w jakąś ukrytą grę z Francuzami, to jej zabójstwo należało rozpatrywać w zupełnie innym świetle.

Co w takim razie robił ojciec Sebastiana, spotykając się z nią w tajemnicy w mrocznej, opuszczonej kaplicy mariackiej?

Do rozpoczęcia przedstawienia zostało tylko kilka minut. Kat biegła korytarzem na zapleczu, gdy silna dłoń zamknęła się na jej ramieniu, wciągając kobietę w cień.

- Sebastianie! - Kat rzuciła zaniepokojone spojrzenie na korytarz. - Dlaczego tu przyszedłeś? Ktoś mógłby cię zobaczyć.

- Potrzebne mi przebranie.

W słabym świetle kaganka płonącego na końcu korytarza, widziała zgrzebny krój jego płaszcza i pasma siwizny na ciemnych włosach. - Wydaje mi się, że już jesteś przebrany, i to dość dobrze.

- Myślałem o czymś bardziej eleganckim. Jedwab, może satyna.

- Satyna? Wybierasz się na bal?

- Coś w tym stylu.

Odczekał do północy, gdy przebrany tłum był najgęstszy i nikt nie zwracał uwagi na pirata w masce, czarnym dominie i czarno-złotym dublecie.

Przekradł się przez zasypany śniegiem ogród na tyłach posiadłości, pokręcił przez chwilę na tarasie w towarzystwie par, które nie zlekły się mrozu, a potem przez wysokie francuskie drzwi wślizgnął się do środka.

W sali balowej było duszno; w powietrzu unosił się zapach wosku, delikatnych francuskich perfum i potu wielu ciał stłoczonych w jednym pomieszczeniu. Gwar rozmów i łagodne wybuchy śmiechu niemal całkiem zagłuszały słodkie nuty kadryla, wygrywanego przez niewielką orkiestrę, rezydującą na podwyższeniu w końcu sali. Kilka najodważniejszych par mimo tłoku usiłowało tańczyć. Maskarada Leo Pierrepona z pewnością miała zostać okrzyknięta „sromotną klapą”, co w istocie stanowiło miarę jej sukcesu.

Sebastian przepychał się do holu między walkiriami i Romeami, księżętami z „Nocy arabskich” i renesansowymi damami. Tam zaczął młodą pokojówkę z dołeczkami w policzkach, i dowiedział się, że biblioteka monsieur Pierrepona znajduje się na parterze, przy schodach, na tyłach domu.

Drzwi do biblioteki były zamknięte. Gdy je otworzył, zrozumiał, że większość mebli z całego domu usuniętych na czas przyjęcia zgromadzono właśnie w tym pomieszczeniu. Zamknął drzwi i przecisnął się między sofami, zwiniętymi dywanami i niskimi stolikami. Podeszedł do okna i odsunął ciężkie aksamitne zasłony.

Światło płonących na tarasie lamp odbijało się na śniegu, pograżając bibliotekę w bladym, białym blasku.

Sebastian odwrócił się i okiem eksperta oszacował zawartość pokoju. Niemal połowę ścian zajmowały wysokie aż do sufitu mahoniowe regały na książki, zaś na wolnej przestrzeni Pierrepont rozmieścił kolekcję szabel, rapierów, sztyletów i kordów. Starannie utrzymane ostrza błyszczały w mroku.

Sebastian przeszukał pokój szybko, ale starannie. Starał się znaleźć jakikolwiek ślad powiązań Pierrepona z rządem Napoleona i brudnymi szpiegowskimi rozgrywkami. Szukał za obrazami i w grzbietach książek, dokładnie przejrzał zawartość szuflad. Nie znalazł nic. Był w kropce. Zrezygnowany, przysiadł na krawędzi biurka.

Jego wzrok padł na niewielkie rzeźbione pudełko na pokrytym zieloną skórą blacie i przypomniał sobie powiedzenie: „Jeśli chcesz coś ukryć, pozostaw to na widoku”. Sebastian otworzył pudełko i uśmiechnął się.

Dla niewtajemniczonych było to proste, choć może nieco dziwaczne urządzenie w kształcie walca, długie na sześć cali, złożone z pierścieni z białego drewna nawleczonych na

centralnym żelaznym wrzecionie.

Ale nieliczni wiedzieli, że był to obrotowy szyfrator, wynalazek genialnego Amerykanina, Thomasa Jeffersona. Na każdym z trzydziestu sześciu pierścieni umieszczono w przypadkowej kolejności litery alfabetu. Jeżeli dwie osoby używały identycznych cylindrów, kod był praktycznie niemożliwy do złamania.

Sebastian kręcił pierścieniami w zamyśleniu, próbując wyciągnąć wnioski. Co ciekawe, sami Amerykanie ostatnio zrezygnowali z szyfratora Jeffersona na korzyść mniej bezpiecznego wynalazku, Anglicy natomiast uparcie wierzyli, że „cabinet noir” i jego niewidzialny atrament najlepiej strzegą tajnej korespondencji. Lecz sprytny wynalazek prezydenta Jeffersona wciąż cieszył się uznaniem u dawnego sojusznika Ameryki, Francji.

Sebastian odwrócił głowę. Jego uwagę przyciągnął ledwo słyszalny dźwięk. Cały czas słyszał kroki w holu przed biblioteką, gdy służący przebiegali pod drzwiami tam i z powrotem. Ale to było coś innego, krok mocny i bardziej zdecydowany, który zatrzymał się raptownie przed drzwiami biblioteki.

Sebastian wrzucił cylinder do kieszeni w tej samej chwili, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, zalewając ciemny pokój strumieniem światła.

ROZDZIAŁ 34

W drzwiach stanął smukły muszkieter z lampą naftową w dłoni. Spojrzał na Sebastiana, potem na puste pudełko na biurku, i znów na Sebastiana. Drzwi zatrzasnęły się cicho.

- Oddalił się pan od gości, monsieur - powiedział Leo Pierrepont, odstawiając lampę na pobliski stolik.

- Proszę o wybaczenie - Sebastian odsunął się od biurka. - Natychmiast do nich dołączyć.

- Nie sądzę - Francuz rzucił się w bok, chwytając wiszący na ścianie rapier. Wycelował ostrze w stronę Sebastiana, zatrzymując go w pół kroku o jakieś dziesięć stóp od drzwi. - Wydaje mi się, monsieur - powiedział, kreśląc ostrzem w powietrzu skomplikowany wzór - że pan i ja powinniśmy uciąć sobie małą pogawędkę. Prawda?

- To może być ciekawe - Sebastian odskoczył, zrobił salto w tył, wspierając rękę na blacie, i wylądował lekko za biurkiem. Pierrepont pospieszył w jego stronę. Sebastian zerwał ze ściany przy oknie lśniący hiszpański rapier i sparował cięcie Francuza. Ostrze zadźwięczało.

- Pod warunkiem, że pogadamy jak równy z równym - dodał z uśmiechem. Pierrepont odskoczył, dysząc lekko. Jego blade oczy załśniły dziwną euforią.

- To pan, Dewlin? Chyba się nie mylę? Słyszałem, że jest pan dobrym fechmistrzem, jak na Anglika. Sebastian roześmiał się. Pierrepont ponowił atak. Długie ostrza zwały się, gdy Sebastian bez trudu sparował cios.

- Dlaczego zabił pan Rachel York? - spytał Sebastian tak lekkim tonem, jakby prowadził towarzyską rozmowę, to unikając ostrza Francuza, to odpierając jego ataki. Poruszał się przy tym lekko i z gracją. - Czego pan się obawiał? Że ujawni obciążające pana informacje?

- Obciążające informacje? - uśmiech wykrzywił wargi Pierrepona, ostrza rapierów zwały się ponownie.

- Jakiego rodzaju informacje, jeśli wolno spytać, monsieur?

- O pańskiej szpiegowskiej zabawce. Pierrepont sparował cios Sebastiana.

- Pańskie doświadczenia wojenne najwyraźniej wywarły zbyt wielki wpływ na pańską wyobraźnię, monsieur le vicomte.

- Możliwe. Ale zostało mi dość rozumu, by wiedzieć, że jeżeli to, co słyszałem, jest

prawdą, jeżeli Rachel karmiła pana skrawkami informacji uzyskanymi od wysoko urodzonych kochanków, to jej śmierć może oznaczać, iż ktoś mógł poznać przynajmniej niektóre szczegóły pańskiej działalności.

- A któż to zaszczerpił w panu tę fantazję? He?

- Czyżby lęk pana obleciał, monsieur? - powiedział Sebastian, gdy Pierrepont przypuścił nagły, bezwzględny atak.

Francuz nie zdążył się cofnąć; Sebastian wykorzystał okazję, unikając jego ostrza, i zadał cios z boku. Czubek rapiera przeciął jedwabny rękaw i ciało pod spodem. Pierrepont odskoczył. Cienka strużka krwi przesączyła się przez białą koszulę, usta zacisnęły się w ponurym uśmiechu.

- Musimy się zmierzyć, monsieur, innym razem. Rzecz jasna, jeśli pana nie powieszą - odwrócił głowę w stronę drzwi i krzyknął:

- Arnaud. Robert. Aidezmoi! - jego ludzie najwyraźniej nie byli daleko. Drzwi stanęły otworem, dwóch krzepkich pomocników wbiegło do biblioteki.

Sebastian mocniej zacisnął dłoń na rękojeści rapiera. Jego oddech był krótki, urywany. Ucieczka przez drzwi nie wchodziła w rachubę, jedyna droga do wolności wiodła przez wysokie okno wychodzące na ogród na tyłach. Zawahał się przez krótką chwilę, potem podbiegł do najbliższego okna; osłaniając twarz ramieniem, wyskoczył na zewnątrz w deszczu odłamków szkła i drewna.

Upadł na śnieg z wysokości sześciu, może ośmiu stóp. Uderzył twardo w ziemię, po czym podniósł się chwiejnie wśród zgrzytających szklanych drzazg i uciekł przez zasypany śniegiem ogród. Oddalając się, słyszał przerażony krzyk kobiety, potem głos mężczyzny, wreszcie jęk bólu, gdy jeden z oprychów Pierreponta przełożył nogę przez najeżoną odłamkami ramę okna, jakby miał zamiar pójść w jego ślady.

- Nie. Puść go - powiedział Pierrepont, stając w rozbitym oknie, z kciukiem przyciśniętym do krwawiącej piersi. - Pozwól mu uciec... tym razem.

Hrabia Hendonu siedział w wielkim wygodnym fotelu przy kominku bibliotecznym. Na kolanach miał tom Cycerona w zniszczonej skórzanej oprawie. Tak zastał go Sebastian, gdy wszedł do biblioteki z maską trzymaną niedbale na palcu.

- Wielkie nieba - powiedział hrabia po krótkim wahaniu. - Wyglądasz, jakbyś walczył w bitwie o Morze Hiszpańskie. I przegrał.

Sebastian starł z policzka strużkę krwi i wybuchnął śmiechem. Hendon był mistrzem angielskiej sztuki spokoju i opanowania. Jedyne napięcie w okolicy dolnej szczęki i lekko przyspieszony oddech zdradzały zaskoczenie i niepokój.

Sebastian sięgnął po karafkę z brandy rozgrzewającą się na stoliku przy ogniu, wyjął rżnięty w kryształ korek i zwilżył chustkę alkoholem.

- Miałem właśnie interesującą przeprawę z monsieur Leo Pierrepontem.

- Ach, tak. Słyszałem, że dziś wieczór miał organizować maskaradę.

- Znalazłem to w jego bibliotece. - Sebastian sięgnął lewą dłonią do kieszeni i wyciągnął niewielki walec. Poturlał go w stronę ojca.

Hendon złapał przedmiot bez trudu.

- Co to jest?

Sebastian przesunął mokrą chustką wzdłuż jednej, potem następnej z wielu szram, oddychając przez zaciśnięte zęby.

- Urządzenie szyfrujące Jeffersona. Myślę, że Pierrepont jest francuskim szpiegiem - Sebastian szukał na szerokiej twarzy ojca śladów zdumienia... i nie znalazł ich. - Widzę, że nie jesteś zaskoczony.

Hendon odłożył walec i spokojnie założył ręce na brzuchu.

- Mniej więcej rok temu pewien dżentelmen, którego tożsamość jest dla nas bez znaczenia, pozwolił się przyłapać Pierrepontowi w potencjalnie kompromitującej sytuacji.

- Dokładnie w jakiej sytuacji?

- Romansowej. Ów dżentelmen - nazywajmy go panem Smithem - ma dość szczególne upodobania. Których, dodajmy, wolałby nie ujawniać.

Sebastian przycisnął chusteczkę do rany na policzku i przytrzymał przez chwilę. - No i?

- Zdał sobie sprawę, jakże roztropnie, że musi wyznać prawdę o tej przykrej sprawie, i poprosił o radę. Omówiłem tę kwestię z hrabią Jarvisem i obaj uznaliśmy, że Smitha można wykorzystać.

- Jako podwójnego agenta, przekazującego Francuzom wybrane informacje za pośrednictwem Pierreonta? - Sebastian odrzucił zakrwawioną chusteczkę i nalał brandy do kieliszka.

- Tak - hrabia podniósł się i stanął przed kominkiem. - Francuzi zawsze będą mieli w Londynie szpiegów i skrzynki kontaktowe. Lepiej znać przynajmniej niektórych. Dzięki temu można mieć na nich oko i kontrolować przepływ potencjalnie niebezpiecznych informacji... oczywiście do pewnego stopnia.

- A Rachel York? Też była informatorką Pierreonta?

Twarz Hendona nagle poszarzała.

- Dobry Boże. Skąd o tym wiesz?

- Od tej samej osoby, od której wiem o Pierreoncie. Czy to prawda? Czy Rachel była jego szpiegiem?

- Nie wiem.

Sebastian wbił w ojca twarde spojrzenie.

- Jesteś pewien? Nie szantażowała cię, byś wyjawiał Francuzom tajemnice rządowe? Błękitne oczy Hendona błysnęły niebezpiecznie, dłonie zacisnęły się w pięści.

- Mój Boże. Gdybyś nie był moim synem, wyzwałbym cię za to! Sebastian gwałtownie odstawił drinka.

- Jakie mam wyciągnąć wnioski?

Hrabia stał nieruchomo, w zamyśleniu ruszając szczęką. W końcu odetchnął z napięciem.

- Rankiem w dniu swojej śmierci, Rachel York złożyła mi wizytę. Powiedziała, że posiada pewne dokumenty, które chce sprzedać.

- Jakie dokumenty? Hendon zawahał się.

- Co to, u diabła, było?

Twarz hrabiego znów przybrała barwę popiołu.

- Pisemne oświadczenie, złożone pod przysięgą, szczegółowo opisujące niedyskrecję popełnioną przez twoją matkę.

- MOJA MATKĘ?!

Sebastian poczuł się dziwnie rozbity. Matka zginęła dawno temu w wypadku na żaglówce u wybrzeży Brighton, kiedy miał jedenaście lat. Oderwane fragmenty wspomnień zawirowały wokół niego jak w kalejdoskopie: morze lśniące w promieniach słońca, kobiecy śmiech i głębokie, dotkliwe poczucie straty. Odepchnął przeszłość od siebie.

- Zdobyłeś ten dokument?

- Nie. Już ci mówiłem, że dziewczyna była martwa zanim dotarłem do kaplicy. Szukałem, ale nie miała tego przy sobie.

Węgle na kominku zaskwierczały nienaturalnie głośno w nagłej, pełnej napięcia ciszy.

- Chyba zdajesz sobie sprawę - powiedział Sebastian - że ten dokument był prawdopodobnie przyczyną zabójstwa?

- Nie bądź śmieszny. - Hendon pogrzebał w kieszeniach szlafroka i wyciągnął fajkę i tytoń. - Ujawnienie jego treści skompromitowałoby mnie, ale nikogo więcej.

- Ile byłeś gotów za niego dać?

- Pięć tysięcy funtów. Sebastian gwizdnął bezgłośnie.

- Dla niektórych pięć tysięcy funtów byłoby aż za dobrym powodem do zabójstwa.

Hendon nic nie powiedział, tylko nadal nabijał fajkę. Sebastian patrzył, jak ojciec ubija tytoń z zaciętym wyrazem twarzy. Zrozumiał nagle, jak słabo, w gruncie rzeczy, zna tego człowieka.

- A jeżeli morderca Rachel York ma ten dokument? Co wtedy? Hendon potrząsnął głową.

- Nie sądzę, by przyniosła go ze sobą do kaplicy. Pewnie myślała, że wytarguje wyższą cenę. Sebastian uznał, że to możliwe, ale mało prawdopodobne, zważywszy na strach Rachel i jej chęć opuszczenia Londynu. Ogarnął go głęboki niepokój. Wydarzyło się zbyt wiele rzeczy, których nie rozumiał, a które musiał pojąć, jeżeli chciał mieć choćby nadzieję na schwytanie mordercy Rachel.

- Powiedziała ci w jaki sposób to oświadczenie znalazło się w jej rękach? - Nie.

- Nie pytałeś?

- Oczywiście, że pytałem. Odmówiła odpowiedzi - Hendon przejechał wielką dłonią po twarzy. - Dobry Boże! Jeżeli pracowała dla Pierrepona, prawdopodobnie dostała dokument od niego.

- Ale nie wiesz, czy tak było. - Nie.

- Mogła mieć inny cel. Gdyby ktoś się dowiedział, że kupujesz obciążające dokumenty od francuskiego szpiega, twoja reputacja ległaby w gruzach.

Hendon wetknął fajkę w usta i zagryzł mocno jej koniec.

- Nikt się o tym nie dowie - zapalił świeczkę, przytknął ją do cybucha fajki, wciągając policzki, i wypuścił z ust cienką strużkę dymu. - Prosiłeś, żebym sprawdził co Pierrepont robił we wtorek wieczorem.

- Sprawdziłeś?

- Urządzał proszoną kolację. W pośpiechu, gdyż dopiero rano wrócił ze wsi.

- Zatem nie mógł zabić Rachel.

- Niekoniecznie. Jeden z gości twierdzi, że Pierrepont przeprosił zebranych i nie było go przez dłuższy czas między dziewiątą a dziesiątą wieczorem.

- Na tyle długo, by dotrzeć do Westminsteru i wrócić?

- Być może.

Sebastian zaklął szpetnie pod nosem.

- Dlaczego, u diabła, nie powiedziałeś od razu o tym oświadczeniu?

- Uznałem je za nieistotne. I nadal tak uważam. Jakie znaczenie ma obecność Rachel York w tym kościele? Przyplątał się tam jakiś brutal, zastał ją samą i skorzystał z okazji. Zgwałcił ją, a potem zabił. W dzisiejszych czasach zdarza się to aż za często.

- Tyle, że Rachel została zgwałcona dopiero po śmierci. Usta Hendona zwiotczały wokół fajki.

- Wielkie nieba! Któż mógłby zrobić coś takiego?

- Ktoś, kto lubi zabijać. - odpowiedział Sebastian.

Wracał do „Róży i Korony” krętymi uliczkami. Pod stopami skrzypiał lśniący, biały śnieg. Kilka ostatnich płatków spłynęło leniwie na pogrążoną w mroku ulicę. Zdawało się, że ciemność i śnieg pokryły wszystko co w mieście brzydkie, potworne i niebezpieczne. Sebastian nagle uświadomił sobie piękno rzędów kamiennych łuków przy wejściu do pobliskiego sklepu, i kunsztowne, geometryczne ornamenty na pruskim murze domu z czasów Tudorów, stojącym po drugiej stronie ulicy.

Przez chwilę zastanawiał się, co było bardziej prawdziwe: brzydota czy piękno? Westchnął cicho, a jego oddech parował w zimnym powietrzu. Cały czas rozmyślał o tym, czego dowiedział się tej nocy o ojcu, Leo Pierreponcie i Rachel York. Zastanawiał się, dlaczego kobieta pokroju Rachel York pozwoliła się wciągnąć do mrocznego półświatka,

pełnego ludzi w rodzaju Leo Pierreponta. Co nią powodowało? Poglądy polityczne? Chciwość? Czy może zmuszono ją do współpracy wbrew jej woli?

Niezależnie od pierwotnych motywów, w życiu Rachel York coś musiało pójść niezgodnie z planem.

Sąsiadka twierdziła, że Rachel pakuje manatki, by opuścić Londyn. Pieniądze, o których napomknęła, najwyraźniej miały pochodzić od Hendona, ale kwota, którą zaproponował, nie była wystarczająca dla młodej kobiety na progu obiecującej kariery aktorskiej. W życiu Rachel York musiało być coś ważnego, co uszło jego uwagi.

Gdy był już w pobliżu „Róży i Korony”, Sebastian, podobnie jak wielokroć na wojnie, zatrzymał się na ulicy, wyczuwając wszystkie zmysły, by sprawdzić, czy ktoś namierzył jego kryjówkę. Ale śnieżna pustka była cicha i spokojna.

Wszedł do zajazdu wypełnionego zapachem płonącej na kominku świerczyny i sennym mamrotaniem ostatnich gości, a potem skierował się do swojego pokoju, położonego na piętrze, na tyłach budynku.

Doszedł do wniosku, że musi lepiej zrozumieć życie Rachel York. Rano złoży wizytę w przytułku, w którym pracowała raz w tygodniu. A jeśli Tom znalazł tę pokojówkę, Mary Grant...

Sebastian zatrzymał się w ciemnym, pełnym przeciągów korytarzu. Nie wiedział, co go ostrzegło. Może słaby, ledwo wyczuwalny zapach? Albo po prostu pierwotny instynkt, który alarmuje wracające do swej nory zwierzę, że nie wszystko jest w takim stanie, w jakim je pozostawiło. Cokolwiek to było, powiedziało Sebastianowi, jeszcze zanim włożył klucz do zamka, że ona tam jest.

Zawahał się przez mgnienie oka, a potem pchnął drzwi i wszedł na spotkanie z przeszłością.

ROZDZIAŁ 35

Siedziała w starym, zniszczonym fotelu przy kominku, z głową odchyloną do tyłu. Blask ognia oświetlał szlachetną linię długiej, smukłej szyi, nadając ciemnym włosom rudawą poświatę. Szkarłatny aksamitny płaszcz leżał, porzucony niedbale, na stoliku obok. Wciąż miała na sobie kostium Rozalindy.

- Przypuszczam, że rozpracowałaś zamek - Sebastian oparł się o zamknięte drzwi.

- To bardzo stary zamek - odpowiedziała Kat Boleyn z najłżejszym cieniem uśmiechu, czającym się w kącikach ust.

Podszedł do niej.

- Po co tu przyszłaś?

- Zostawiłam w teatrze ubranie. Przyniosłam je. Nie tracił czasu na pytanie, jak go tu znalazła. Miała swoje sposoby, podobnie jak on. To niebezpieczeństwo przyjął do wiadomości i zaakceptował, gdy po raz pierwszy zdecydował się do niej zbliżyć.

- Jesteś ranny - zauważyła, gdy stanął obok, niemal dotykając jej nóg.

- Wyskoczyłem przez okno.

- Leo cię przyłapał, tak?

- Dlaczego myślisz, że poszedłem spotkać się z Pierrepontem?

- Dziś wieczorem na Mayfair nie było wiele balów maskowych. - Poprawiła się delikatnie w fotelu, jej udo musnęło przelotnie jego nogę.

- Po co tam poszedłeś?

- Hugh Gordon twierdzi, że Pierrepont jest szefem francuskiej siatki szpiegowskiej. Przez chwilę siedziała całkiem nieruchomo, w milczeniu.

- Wierzysz mu?

Sebastian wzruszył ramionami.

- Oczywiście Gordon nie ma żadnych dowodów. Ale w bibliotece Pierreponta znalazłem urządzenie szyfrujące - Sebastian zachował dla siebie to, czego dowiedział się od Hendona.

- Co to ma wspólnego z Rachel?

Sebastian odwrócił się, zdjął płaszcz i powiesił go na haku przy łóżku.

- Myślę, że mogła przekazywać informacje Pierrepontowi. Zdaje się, że obdarzała względami ciekawych mężczyzn, na stanowiskach, dzięki którym wiedzieli o wielu sprawach. Łatwo mogło im się wymknąć nieostrożne słowo o pozycjach oddziałów, zmianie sojuszu czy poglądach ludzi z bliskiego otoczenia króla.

- Ponoć ktoś wykradł z grobu ciało Rachel - powiedziała. - To twoja sprawka? - Tak.

Każda inna kobieta wyraziłaby zdumienie i przerażenie, jak przystało na słabą płeć, ale nie Kat. Patrzyła, jak Sebastian zdejmuje dublet, potem koszulę, i przemywa zimną wodą zakrwawioną twarz i szyję.

- Jak myślisz, czego się dowiesz?

Ręcznik był szorstki i sztywny. Sebastian osuszył delikatnie skórę wokół ran.

- Nie wiem. Ale już wiem, że zabójca Rachel York najpierw poderznął jej gardło. Potem ją wykorzystał.

- To paskudna, mała perwersja. Sebastian odrzucił ręcznik.

- Jaki mężczyzna lubi seks z martwą kobietą?

- Zapewne taki, który nienawidzi kobiet. Sebastian spojrzał na ślady krwi na starym ręczniku.

Nie przyszło mu do głowy, że gwałt na Rachel był aktem nienawiści, a nie żądzy, ale podejrzewał, że Kat miała rację. Morderca Rachel York czuł radość z jej śmierci, podniecił się, przecinając bladą szyję i patrząc, jak życie gaśnie w pięknych brązowych oczach. Większość mężczyzn potrzebowała przynajmniej minimum zaangażowania ze strony kobiety, z którą spółkowali - w końcu to była przyczyna wszystkich jęków i westchnień symulowanej przyjemności u prostytutek. Ale zabójca Rachel York szukał spełnienia w pustej, nieruchomej skorupie, która kiedyś była żyjącą, oddychającą kobietą. Sebastian pomyślał o mężczyznach, którzy odegrali ważną rolę w życiu Rachel, o Hugh Gordonie, Giorgiu Donatellim i Leo Pierrepontcie. Czy któryś z nich był aż tak przepełniony nienawiścią do kobiet? A admirał Worth, hrabia Grimes i inni, od których, być może, uzyskiwała istotne informacje? Nieufność wobec wszystkiego, co wiąże się z kobiecością - można ją określić jako zasadniczą niechęć do kobiet - była tak powszechna, że niemal przysłowiowa wśród angielskich dżentelmenów. Eleganckich mężczyzn z ich elitarnymi męskimi szkołami, skostniałymi klubami tylko dla mężczyzn i uzależnieniem od męskich sportów, takich jak boks, walki kogutów i polowania. Jednak te zainteresowania nie skłaniały większości mężczyzn do mordów i dawania upustu swoim zwyrodniałym skłonnościom.

Który z nich przekroczył granicę? Kiedy niechęć i nieufność przekształciły się w coś bardziej ponurego, niebezpiecznego i złowrogiego?

Sebastian słuchał odgłosu wiatru pod okapem. Znowu poczuł lęk, że nigdy nie znajdzie zabójcy Rachel York, że mężczyzna, który poderznął jej gardło i pofolgował żądzy w jej martwym, skrwawionym ciele, był przypadkową, obcą osobą, jednym z wielu cieni nocy, którego Sebastian nigdy nie wytropi.

Usłyszał ruch i szelest materiału. Kat stanęła obok. Poczuł łagodny dotyk jej dłoni, gdy objęła jego twarz.

- Znajdziesz go - powiedziała miękko.

- Znajdziesz go - i chociaż wiedział, że jej słowa płynęły z chęci pocieszenia, a nie z przekonania, poczuł ulgę. Ulgę i echo dawnego, ale nigdy niezapomnianego pożądania jej dotyku.

Przycisnął ją do siebie, zagłębiając palce w gęstych ciemnych włosach, usta szukały

jej warg, ich oddechy były płytkie, urywane. Całował jej powieki, dotykając gładkiej, ciepłej szyi. Poczul, jak ciało napina się w uczuciu, które było czymś więcej niż tylko fizycznym pożądaniem.

Usta Sebastiana wpiły się gwałtownie w jej wargi. Rozżarzone węgle przesypały się w kominku z cichym pomrukiem, gdy chwycił ją na ręce i rzucił na łóżko. Objęła go za szyję, jej ciało wyprężyło się pod jego dotykiem.

Dłonie gorączkowo zdzierały ubranie, syciły się dotykiem gładkiej skóry. W tej chwili nie obchodził go charakter jej związku z Leo Pierrepontem. Nawet to, co powiedziała przed sześcioma laty, było nieważne.

Pragnął jej.

Zagłębił się w niej z cichym westchnieniem. Poruszali się niczym jedno, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Chłodny lęk rozplątał się w łagodnych rytmach jej ciała i ciepłe przyspieszonego oddechu, który splótł się z jego własnym.

Później leżał na plecach w oświetlonej kominkiem ciemności nocy. Tulił ją do siebie, całował jej włosy, słuchając odgłosów miasta szykującego się do snu, dalekiego turkotu samotnego powozu i, bliżej, zamykanych okiennic. Jego dłoń zsunęła się po jej nagim ciele na biodro. Wdychał jej niezapomniany, ciepły, zmysłowy zapach.

Po jakimś czasie odsunęła się i wsparła na łokciu. Spojrzała na niego.

- Czego bałby się anioł? - spytała.

Zaśmiał się miękko, wodząc dłonią wzdłuż ramienia Kat.

- Co za pytanie?

Nakreśliła na jego piersi niewidzialny wzór.

- Myślałam o tym wierszu Popea - znasz go? „Głupiec spieszy, gdzie anioł stapać się nie waży.” Co trwoży anioły?

- Pewnie utrata łaski... Zresztą nie wiem, nie wierzę w anioły.

- W takim razie nieśmiertelną istotę. Co by ją przeraziło? Zastanowił się przez chwilę.

- Może podjęcie niewłaściwej decyzji, zły wybór? Wyobraź sobie, że musisz z tym żyć przez całą wieczność - odwrócił głowę, by spojrzeć na jej profil, piękny i nieoczekiwanie poważny w blasku ognia. - Dlaczego pytasz? Jak myślisz, co trwoży anioły?

Milczała przez chwilę, potem odpowiedziała:

- Miłość. Myślę, że anioł bałby się zakochać w śmiertelniku - w kimś, kto mógłby z nim być tylko przez krótki czas, a potem odszedłby na zawsze.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Tym razem, gdy się kochali, było w niej pewne napięcie, cicha desperacja, której nie rozumiał.

Na krótko przed wschodem słońca obudził go odgłos cichych kroków na zniszczonej podłodze, szelest tkaniny, gdy się ubierała. Mógł coś powiedzieć, chwycić jej dłoń, zatrzymać.

Pozwolił jej odejść. Drzwi zamknęły się za nią, wpuszczając do pokoju zimny podmuch.

A potem po prostu leżał, wpatrując się w pustkę, i czekał świtu.

Następnego ranka śnieg zmienił się w brudną, szarą breję, spadającą z okapów, by spłynąć szerokim strumieniem w dół niewybrukowanych ulic.

Unikając strumieni brudnej wody z nieszczelnych rynien i przeciekających okapów, Sebastian szedł do Przytułku Świętego Judy, położonego na południowym brzegu Tamizy, nieopodal Lambeth. Był to olbrzymi ponury budynek, wzniesiony przed dwustu laty w podobnym stylu i z podobnej czerwonej cegły, co Hampton Court. Oczywiście był w znacznie gorszym stanie.

- Nie wiem, czy na wiele się przydam - powiedziała przełożona o twarzy pomarszczonej jak suszona śliwka, gdy Sebastian przedstawił się jako kuzyn Simon Taylor z Worcestershire. - Panna York przychodziła w poniedziałki, a ja wtedy mam wychodne.

Grymas zaciśniętych ust, z jakim pani Snyder wymówiła nazwisko panny York, wiele mówił o wzajemnych stosunkach obu kobiet. Przełożona miała twarz o ostrych rysach i obfite łono. Jeżeli kiedykolwiek była młoda i ładna, jej dzisiejszy stan wymazał wszelkie ślady dawnego „upadku”.

- Rzecz jasna, gdyby to zależało ode mnie - powiedziała - osoby jej pokroju nie miałyby prawa przestąpić progów naszej instytucji.

Sebastian zacisnął usta i pokiwał głową, wyrażając pełną współczucia solidarność.

- Przypuszczam, że wielebny Finley będzie bardziej pomocny - powiedziała pani Snyder, poprawiając welon. - Panna York była jego ulubienicą.

- Wielebny Finley? - Sebastian poczuł przypływ zainteresowania. Jak dotąd nie trafił na ślad tajemniczego „F”, które pojawiło się dwukrotnie na stronach notesu Rachel. Ale gdyby Rachel zapałała romantycznym uczuciem do młodego duchownego, opiekuna przytułku, jej częste w nim wizyty zyskałyby wyjaśnienie.

Pani Snyder ponownie zacięła wargi. Najwyraźniej nie aprobowwała także wielebnego Finleya.

- Jeżeli się pan pospieszy, może pan go zastać na dziedzińcu. Często spędza tam z dziećmi niedzielne poranki przed mszą.

Dziedziniec był ponurym, wietrznym miejscem, z popękany brukiem i wydeptaną trawą wyglądającą gdzieniegdzie spod resztek śniegu. Sebastian postawił kołnierz płaszcza i przeszedł przez zaniedbany czworokąt w stronę grupki dzieci o wynędzniałych twarzach, którą dojrzał w odległym kącie dziedzińca oświetlonego skąpym zimowym słońcem. Gdy zbliżył się, dostrzegł, że dzieci otaczają mężczyznę, który opowiada im bajkę o lwie i króliku - chudego, przygarbionego starca z łysiną otoczoną wianuszkiem białych włosów, w grubych okularach zawieszonych na długim, cienkim nosie.

Sebastian zatrzymał się z rękami w kieszeniach taniego płaszcza, i patrzył z uśmiechem, jak stary ksiądz trzyma dzieci w napięciu jedynie magią słów. Jaki by nie był charakter relacji Rachel z tym człowiekiem, romantyczne uczucia raczej nie wchodziły w rachubę.

- Rachel spotkała straszną tragedię - powiedział wielebny Finley, gdy bajka dobiegła końca, a dzieci pospieszyły do kaplicy. - Okropna sprawa.

- Kiedy zaczęła tu pracować? - spytał Sebastian, spacerując z wielebny po dziedzińcu. Stary człowiek zdjął grube szkła i przetarł zaczerwienione powieki.

- Prawie trzy lata temu. To więcej, niż większość kobiet jest w stanie znieść. Zawsze przychodzą pełne determinacji i dobrych chęci, ale po pewnym czasie mają dość. Widzi pan, tak wiele maluchów umiera... Nigdy nie mogłem tego pojąć, ale Rachel miała własną teorię; uważała, że umierają z braku miłości. Przychodziła w każdy poniedziałek po południu i spędzała czas, tuląc po kolei każde z tych biednych niemowląt. Po prostu je przytulała i śpiewała im.

Sebastian spojrzął na drugi koniec zaśnieżonego dziedzińca, gdzie przełożona Snyder uwijała się, ustawiając dzieci w pary przed drzwiami kaplicy.

- To dość niezwykłe zajęcie dla takiej kobiety, prawda?

- Znaczący, dla uznanej aktorki? - wielebny wzruszył ramieniem. - Rachel była niezwykła. Większość ludzi, gdy udaje im się wydostać z trudnej sytuacji, szybko zapomina o tym, co pozostawili za sobą. Rachel nie zapominała.

- Przecież Rachel nigdy nie była podrzutkiem.

- Nie. Za to wiedziała jak to jest być samotnym, pozbawionym przyjaciół dzieckiem - wielebny urwał, a na jego twarzy odbiły się troska i niepokój. - Czasem się zastanawiam...

- Nad czym?

Na końcu dziedzińca samotny dzwon kaplicy zaczął wydzwaniać jednostajnie godzinę. Starzec zmrużył oczy, wpatrując się w niewielką iglicę. - Przez ostatni miesiąc, może

dłużej, Rachel wydawała się być inna niż zwykle. Jakby czymś zmartwiona, a nawet przerażona. Ale nigdy o to nie pytałem. Ostatnio, gdy usłyszałem, co się stało... Nie mogę przestać myśleć, że może popełniłem błąd. Może mógłbym jej jakoś pomóc, gdybym był tylko zapytał.

- Nie domyśla się ojciec, czego mogła się bać? Finley potrząsnął głową.

- Nie. Żałuję, że mi się nie zwierzyła, ale nie zrobiła tego.

- Czy wiedział ojciec, że zamierzała opuścić Londyn? Starzec podniósł wzrok, zaskoczony.

- Nie, nie miałem pojęcia.

- A przychodzi ojcu na myśl, dokąd mogła się udać? Duchowny zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Nie wyobrażam sobie, by miała wrócić do Worcestershire. „Nie”, pomyślał Sebastian, „tam by nie wróciła”.

- Czy w jej życiu był jakiś mężczyzna? Może ktoś, kogo się bała?

Większość dzieci weszła już do kaplicy. Zostało tylko troje, może czworo maruderów, których przełożona Snyder zapędziła do środka, rzuciwszy na obu mężczyzn spojrzenie pełne dezaprobaty. Wielebny odwrócił się w stronę otwartych drzwi.

- Rzecz jasna, nigdy nie rozmawialiśmy o tych sprawach, ale powiedziałbym, że tak, Rachel była w kimś zakochana. Jednak nie sądzę, by się go bała. Wyglądała jak kobieta szczęśliwa w miłości - smutny, niemal tęskny uśmiech przemknął po ustach wielebnego. - Pewnie pan myśli, że jestem za stary, by to dostrzec, ale, widzi pan, każdy był kiedyś młody...

Sebastian przeszedł zimnymi, wietrznymi ulicami Lambeth w stronę Tamizy, przepłynął się skifem przez rzekę i wylądował tuż poniżej Tower Hill. Stąd było już niedaleko do kliniki Paula Gibsona. Zastał przyjaciela siedzącego przy kominku w zniszczonym skórzanym fotelu, owiniętego starym pledem, ze spojrzeniem utkwionym w rozżarzonych węglach.

- Noga ci dokucza. Zgadłem? - spytał Sebastian, siadając w drugim fotelu.

- Trochę - Gibson podniósł błyszczące, szkliste oczy. Uzależnienie od opium było aż nazbyt częste wśród powracających z wojny mężczyzn. Zwykle doktor kontrolował nałóg, ale niekiedy wspomnienia wojenne stawały się nie do zniesienia, a pozostałości szrapnela w nodze krwawiły i sprawiały ból. Wtedy na wiele dni pogrążał się w zamroczeniu narkotykowym. - Ale nie bój się, skończyłem twoją sekcję. - I co?

Gibson potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nic więcej. Gdyby przyniesiono ją do mnie bezpośrednio po zgonie, mógłbym znaleźć jakieś dowody. Ale tak...

Sebastian kiwnął głową, tłumiąc rozczarowanie. Wiedział, że szanse na znalezienie jakichkolwiek dalszych poszlak były nikłe. - Zastanawiam się, czy udałoby ci się skontaktować w moim imieniu ze Skocznym Jackiem.

- Z Cochranem? - Gibson stłumił śmiech. - Chcesz ukraść kolejne zwłoki? Sebastian uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Tym razem szukam informacji. Zastanawiam się, czy zmartwychwstańcy słyszeli o kimś szczególnie zainteresowanym zwłokami kobiet.

Paul Gibson pokiwał głową w zamyśleniu.

- Zacząłeś myśleć o tym swoim mordercy w tych kategoriach, tak?

- Warto spróbować - Sebastian wstał, chwytając przyjaciela za ramię. Odwrócił się do drzwi. - Wpadnę za kilka dni. Sprawdzę, jak się miewasz.

Sięgał już po klamkę, gdy głos Gibsona zatrzymał go od progu.

- Sekcja wykazała coś jeszcze, co może, ale nie musi, wiązać się z twoim śledztwem. Sebastian odwrócił się.

- Co takiego?

- Rachel York była, jak to mówią damy, w DELIKATNEJ SYTUACJI.

Sebastian poczuł nagły skurcz wnętrza. Pomyślał o tym, czego się dowiedział od wiewielbego Finleya, o poniedziałkowych wizytach Rachel York w przytułku Świętego Judy, o przytulaniu niemowląt i śpiewaniu kołysanek, żeby nie umarły z braku miłości. Czy wiedziała? A jeśli tak, to jakie były jej ostatnie myśli, gdy czuła nóż napastnika, wielokrotnie rozcinający gardło?

- Jak zaawansowany był jej stan? - zapytał Sebastian schrypniętym głosem.

- Prawie trzy miesiące, w mojej ocenie. Na tyle zaawansowany, by wiedziała, że nosi dziecko.

ROZDZIAŁ 36

W „Róży i Koronie” Sebastian szedł do stolika z kuflem ciemnego piwa w dłoni, gdy Tom wpadł do gospody, przyniesiony podmuchem lodowatego powietrza, przesyconego zapachem węglowego dymu.

- Znalazłem ją - powiedział wysokim z przejęcia głosem. - Znalazłem Mary Grant. Musiała zrobić niezły interes na majątku swojej pani, bo tera z niej hrabina co niemiara. Mieszka nigdzie indziej, jak w samym Bloomsbury.

Niegdyjsza pokojówka Rachel York wynajęła pokoje w domu przy dobrej ulicy, na południe od Russel Square. Zanim Sebastian tam dotarł, blade chmury zasłoniły niebo, zwiastując więcej śniegu przed zmierzchem.

Sebastian czuł, jak wzbierają w nim nadzieja i oczekiwanie, starał się ich jednak zbyt nie rozbudzać. Wspiął się po schludnych schodach na pierwsze piętro. Po lewej stronie, zgodnie ze wskazówkami Toma, były drzwi, lecz gdy Sebastian zapukał w świeżo pomalowane drewno, uchyliły się same.

- Panno Grant? - zawołał. Głos odbił się echem w pustym mieszkaniu. Pchnął mocniej drzwi i wszedł do środka.

Stał w salonie wypełnionym meblami z wiśni, lustrami w złożonych ramach i drogimi osobliwościami, niegdyś należącymi do Rachel York. Wszystko zostało dokładnie przetrząśnięte.

Strzaskane lustro i obrazy w strzępach, pozrywane ze ścian, przewracane krzesła, rozprute obicia, wyściółka mebli walająca się po dywanie. Ktoś wyrwał szuflady z biurka, a ich zawartość rozrzucił po całym pomieszczeniu, jakby czegoś szukał.

Sebastian zamknął drzwi. Trzasnęły nienaturalnie głośno w ciszy spokojnego popołudnia. Przeszedł do drugiego pokoju. Niepodobna było odgadnąć, czego szukał intruz i czy udało mu się to znaleźć. Jednak gdy wszedł do sypialni, pomyślał, że zna odpowiedź przynajmniej na jedno z pytań. Tutaj bowiem nieład panował tylko w części pokoju, a reszta pozostała nietknięta.

Sebastian podszedł do komody w odległym kącie pokoju. Cztery dolne szuflady wciąż były nienaruszone. Koronkowa damska bielizna wysypała się z górnej szuflady, leżącej teraz w kawałkach na dywanie.

Logika nakazywała zacząć poszukiwania właśnie tutaj; kobiety często ukrywały ważne rzeczy w bieliźnie. Intruz z pewnością był amatorem.

Sebastian kucnął przy połamanej szufladzie. Jego uwagę przyciągnął skrawek błękitnego papieru, który wypadł z mebla lub został wyrzucony w ten sposób, że wleciał pod komodę. Sebastian wyciągnął błękitną kopertę, na której ktoś napisał wyraźnym męskim charakterem pisma nazwisko: „Hrabia Frederick Fairchild”.

Hrabia Frederick był jednym z najbardziej prominentnych wigów w Parlamencie. Był światowy, inteligentny i - w odróżnieniu od większości towarzyszy księcia Walii - wyjątkowo powściągliwy. Powszechnie sądzono, że, gdy za kilka dni książę zostanie regentem, wybierze

Fairchilda do pomocy w sformowaniu nowego rządu wigów.

Sebastian patrzył w zamyśleniu na błękitną kopertę. Z całą pewnością odnalazł tajemniczego „F” z notesu Rachel. Czy hrabia Frederick mógł być ojcem jej nienarodzonego dziecka? A może był jej mordercą?

W pomieszczeniu panował chłód, gdyż ogień na kominku wygasł. W powietrzu unosił się ciężki zapach perfum z bzu, lecz Sebastian wyczuł także nutę czegoś innego - ostrej, metalicznej woni, znanej aż za dobrze każdemu, kto był na wojnie.

Głębokie, straszliwe podejrzenie zakiełkowało w jego umyśle. Wcisnął kopertę do kieszeni i wstał. Drzwi do garderoby były uchylone. Sebastian zacisnął dłoń na kolbie pistoletu i otworzył je szerzej...

Patrzył na zwłoki Mary Grant.

ROZDZIAŁ 37

Leżała na plecach. Szeroko otwarte, szkliste oczy wpatrywały się w pustkę, a podciągnięte, zakrwawione strzępy ubrania ukazywały nagie ciało, połyskujące blade w gasnącym świetle dnia. Gardło przecięto tak głęboko, że głowa niemal odpadła od tułowia.

Sebastian stał w progu, błędząc spojrzeniem po małym, wyłożonym boazerią pomieszczeniu. Nie zobaczył kaplicy mariackiej u Świętego Mateusza po zabójstwie Rachel York, ale wyobraził sobie, że musiała wyglądać bardzo podobnie: ściany zbryzgane krwią spływającą wąskimi strużkami na podłogę, krwawe ślady dłoni zabójcy odbite oskarżycielsko na białych rozłożonych udach kobiety.

Sebastian nie mógł już jej pomóc, ale kucnął i dotknął opuszkami palców zakrwawionego policzka.

Wciąż była jeszcze nieco ciepła.

Przysiadł na piętach, obejmując dłońmi kolana, i wpatrzył się w jej blade, niewidzące oczy. Była młodsza niż się spodziewał; miała nie więcej niż dwadzieścia pięć - trzydzieści lat, włosy w kolorze lnu, ziemistą cerę i wyostrzone, drobne rysy twarzy, jakie często się widuje na ulicach Londynu. Zapewne myślała, że jest bardzo sprytna i da sobie radę w każdej sytuacji. Dostrzegła szansę, by zdobyć wszystko, co przedtem należało do jej pani - wyborowe meble, drogie ubrania i klejnoty - i wykorzystała ją. Myślała zapewne, że nadarzyła się okazja, by dobrze się urządzić na dłużej.

Tyle że tak naprawdę wydała się na łup mordercy.

Sebastian wpatrzył się w krwawe ślady dłoni na udach kobiety. W obu przypadkach napastnik działał podobnie: najpierw morderstwo, potem gwałt. Metoda wskazywała na człowieka, którego szczególna, perwersyjna żądza przywodziła do morderstwa. Powiązanie między ofiarami mogło znaczyć jedynie, że zabójstwa nie były przypadkowe: ten, kto zabił Rachel York, nie trafił na nią przypadkiem w kaplicy mariackiej u Świętego Mateusza. Wybrał ją. A potem wyszedł jej pokojówkę, Mary Grant, i zrobił z nią to samo.

Tylko dlaczego? Dlaczego?

A jeśli wykorzystanie seksualne kobiet nie było powodem morderstwa, lecz jego skutkiem, podnieceniem wywołanym żądzą krwi, następstwem aktu zabójstwa? Mary Grant mogła zginać, bo przyłapała napastnika na gorącym uczynku przeszukiwania jej pokoju albo dlatego, że wiedziała o czymś, co mogło wskazać na niego jako na mordercę Rachel.

A może zabójca wybrał obie kobiety z zupełnie innych powodów?

Sebastian dotknął koperty w kieszeni. Niezależnie od tego, czy została upuszczona przez nieuwagę, czy pozostawiona świadomie, żeby ktoś ją odnalazł, udział Fredericka Fairchilda źle wróżył całej sprawie.

Obie kobiety miały powiązania z francuską siatką szpiegowską, zaś hrabia Frederick był najbardziej prawdopodobnym kandydatem na urząd premiera Anglii, gdy jego drogi

przyjaciół, księżę Walii, zostanie regentem...

Nagły szelest zwrócił uwagę Sebastiana, ale to tylko ciężka satynowa zasłona w oknie poruszyła się w podmuchu powietrza. Wiatr na zewnątrz wzmagał się. Wkrótce zapadnie ciemność.

Sebastian podniósł się. Chciał przykryć skrwawione, wykorzystane ciało Mary Grant, zasłonić je przed wścibskimi, oceniającymi spojrzeniami ludzi, którzy mieli ją odnaleźć, ale zmusił się do wyjścia i pozostawienia pokojów w takim stanie, w jakim je zastał.

Gdy wychodził na ulicę, minął przysadzistą matronę, która zatrzymała się i spojrzała mu prosto w twarz.

W tej krótkiej chwili, zanim odwrócił się, by zejść ze schodów, poznał ją i zobaczył w jej oczach błysk rozpoznania.

- Panie hrabio! - zawołała. - To pan, prawda? Hrabio Dewlinu?

Sebastian szedł przed siebie, z kapeluszem nasuniętym na oczy i ze zgarbionymi plecami. Jednak jego serce biło w szybkim rytmie, a w myślach kłął na czym świat stoi.

Owa matrona była panią Charlesową Lavery, wdową po pułkowniku, który służył z Sebastianem na półwyspie. Na razie pewnie myślała, że się pomyliła, że minęła obcego, który z niewiadomych przyczyn przypominał poznanego ongi młodego wicehrabiego. Ale gdy znajdą ciało Mary Grant, a znajdą na pewno, pani Lavery przypomni sobie to niespodziewane spotkanie.

I zaciśnie pętlę wokół szyi Sebastiana.

- Nie rozumiem - powiedział Tom, a jego drobna twarz zmarszczyła się z wysiłku. Siedzieli we wnętrzu fiakra rozświetlanego blaskiem latarni ulicznych na zużytej skórzanej tapicerce. Skręcili w Pall Mail, kierując się w stronę St. James.

- Hrabia Frederick jest wigiem - odpowiedział Sebastian, próbując wyjaśnić meandry angielskiej polityki dziewiętnastego wieku w sposób zrozumiały dla dziecka ulicy. - Ale przez ostatnich, mniej więcej, dwadzieścia lat przewagę w rządzie mieli torysi.

Tom włożył ręce głęboko do kieszeni otrzymanego od Sebastiana ciepłego płaszcza i prychnął z pogardą przez nos.

- Niewielki wybór, jeżeli o mnie chodzi. Sebastian uśmiechnął się.

- Pod wieloma względami masz rację. Ale, ogólnie rzecz biorąc, torysi widzą siebie jako nieugiętych obrońców tradycji i instytucji państwowych, takich jak monarchia i Kościół anglikański, co oznacza, że są przeciwni jakimkolwiek zmianom, zwłaszcza wprowadzeniu tolerancji religijnej i reformy parlamentarnej...

- Których domagają się wigowie?

- Mniej więcej. I, w odróżnieniu od torysów, wigowie są przeciwni dalszej wojnie z Napoleonem. Tom podniósł wzrok, zaskoczony.

- To znaczy, że lubią Francuzów?

- Bynajmniej. Ale kwestionują zasadność wojny, takiej jak ją widzą torysi. Wojna kosztuje. Podatki rosną, rośnie oprocentowanie pożyczek rządowych, co jest korzystne dla właścicieli dużych majątków ziemskich i kupców, którzy pożyczają rządowi pieniądze, ale godzi w interesy zwykłych ludzi, takich jak farmerzy, drobni kupcy i najemni pracownicy fizyczni. Jeżeli wigowie dojdą do władzy, najpewniej będziemy świadkami traktatu pokojowego z Francją.

Tom kiwnął głową, w jego oczach błysnęło zrozumienie.

- Jak myślicie? Czy ten hrabia Frederick knuł coś z Francuzami i wykończył te dwie kobiety, bo zagroziły, że go wydadzą?

- Możliwe. A może komuś po prostu zależy, żeby tak to wyglądało.

- Komuś, czyli torysom - podsumował Tom. Chłopak był wyjątkowo bystry. Sebastian przytaknął.

- Zgadza się.

- Pana ojciec jest torysem, nie? Kanclerzem czegoś-tam? Sebastian zerknął z ukosa na młodego przyjaciela.

- Kto ci o tym powiedział?

- Panna Kat.

- Ach, tak.

Byli już niedaleko Sal Koncertowych na Ryder Street. Usłyszeli delikatne dźwięki skrzypiec, niknące w hałasie powozów i stuku końskich kopyt. Sebastian pochylił się do przodu, zabębnił w przednią ściankę fiakra, a następnie nasunął kapelusz nisko na oczy i owinał twarz szalikiem. Stangret podjechał do chodnika i zatrzymał się w cieniu, jaki rozciągał się między dwiema latarniami.

Sebastian stanął w cieniu i patrzył, jak uperfumowany, skrzący się od biżuterii tłum schodzi frontowymi schodami Sal Koncertowych Comptona.

Nawet wśród tych wytwornych, drogo ubranych ludzi przystojna, elegancka sylwetka hrabiego Fredericka wyróżniała się nieskazitelną bielą lnianej koszuli i niepowtarzalnym krojem płaszcza.

Roześmiana, zajęta sobą grupka zeszała właśnie ze schodów, kierując się w stronę Mailu, prawdopodobnie z zamiarem zjedzenia kolacji „U Richarda”, gdy Sebastian wystąpił z cienia.

- Hrabia Frederick? Hrabia odwrócił się. - Tak?

- Zastanawiałem się, czy mógłbym zamienić słówko z panem hrabią? Przyjazną twarz hrabiego wykrzywił grymas zniecierpliwienia.

- Nie teraz, mój dobry człowieku. Może pan przyjść jutro, jeżeli pan chce.

- Jak pan hrabia sobie życzy - odpowiedział Sebastian, poprawiając kapelusz. - Myślałem, że będziesz pan wolał bardziej prywatną rozmowę, zważywszy, co mam do powiedzenia. Ale mogę przyjść do pana domu jutro rano, jeżeli nie obchodzi pana, czy rodzina dowie się o pańskich układach z Rachel Y... Hrabia Frederick uczynił szybki krok naprzód.

- Na litość boską, nie tak głośno! - wysyczał ostrzeżenie, zerkając zza ramienia, czy żaden z przyjaciół go nie usłyszał.

Sebastian wpatrywał się w hrabiego wzrokiem pełnym oczekiwania. Frederick wahał się tylko przez chwilę.

- Proszę mi na chwilę wybaczyć.

Odwrócił się do przyjaciół z szerokim uśmiechem.

- Nie czekajcie na mnie. Niebawem do was dołączę. Uśmiech zgasł, gdy tylko hrabia skierował się znów w stronę Sebastiana.

- Kim pan jest? Czego pan chce? Sebastian zakołysał się na piętach.

- Widzi pan hrabia, znaleźliśmy pańskie nazwisko w notesie panny York. Wie pan, Rachel York, tej zamordowanej w zeszły wtorek w Westminsterze. Zastanawialiśmy się, czy mógłby nam pan wyjaśnić, jak się tam znalazło.

Hrabia Frederick potrafił doskonale panować nad mimiką. Jego miłej twarzy nie wykrzywił nawet cień zaskoczenia lub strachu.

- Jest pan z Bow Street, jak mniemam? Przykro mi, ale moja znajomość z Rachel York była całkowicie powierzchowna. Naprawdę nie wiem, w jaki sposób mógłbym służyć pomocą.

Sebastian westchnął.

- Spodziewałem się podobnej odpowiedzi. Widzi pan, tutaj i teraz może pan być ze mną szczerzy. Odbędziemy miłą, przyjazną pogawędkę. Albo możemy porozmawiać na Bow Street.

- Blefuje pan. Nie odważycie się.

Sebastian spojrzał nieustępliwie w oczy hrabiego.

Hrabia pierwszy odwrócił wzrok. Zasznurował wargi, po czym westchnął ciężko i zaśmiał się drżącym głosem.

- Znakomicie. Pannę York i mnie łączyły pewne sprawy. Wie pan, jak to bywa.

- Twierdzi pan, że obcował z nią cieleśnie. Hrabia Frederick zaśmiał się słabo po raz drugi.

- Dość dosadnie pan to ujął, ale zasadniczo tak, ma pan rację. - I to wszystko?

- A cóż więcej wchodzi w grę w takich relacjach?

- No cóż, odpowiedź może być dla pana zaskoczeniem, ale panna, o której mowa, najwyraźniej pracowała dla Francuzów.

Frederick panował nad mimiką, ale nie nad krążeniem. Krew odpłynęła mu z twarzy, zbladł i najwyraźniej stracił rezon.

Sebastian przyjrzał się rozmówcy z zainteresowaniem.

- Rozumiem, że chciałby pan, bym uwierzył, że nic pan o tym nie wiedział?

- Nie wiedziałem. Oczywiście, że nie wiedziałem. Jest pan pewien? - hrabia wyjął z kieszeni jedwabną chustkę i przycisnął do górnej wargi.

- To okropne - rzekł stłumionym głosem. - Po prostu straszne. Musiała zająć jakaś pomyłka... Z całą pewnością był przerażony. Ale także unikał spojrzenia Sebastiana.

- Gdzie dokładnie był pan we wtorek wieczorem?

- Rzecz jasna, cały wieczór spędziłem z księciem. Dlaczego pan pyta? - hrabia zamknął usta, w jego oczach błysnęło zrozumienie. - Dobry Boże! Chyba nie sugeruje pan, że ją zabiłem?

- Ma pan motyw, panie hrabio.

W oczach Fairchilda błysnął niespodziewany gniew.

- ŚMIE pan mówić DO MNIE tym tonem? Jak się pan nazywa, hmm? - postąpił krok naprzód, mrużąc oczy, jakby chciał zajrzeć w ukrytą w cieniu twarz Sebastiana. - Odpowiadaj, człowieku! Kto jest pańskim przełożonym na Bow Street? Klnę się na Boga, zapłacisz mi za to! Sebastian uśmiechnął się.

- Nie powiedziałem, że jestem z Bow Street.

- Co TAKIEGO? Więc dla kogo pan pracuje? - spytał hrabia. Ale odpowiedziała mu tylko ciemność i szelest suchych liści, niesionych przez nocny wiatr.

Sebastian zniknął.

- On coś ukrywa - powiedział Sebastian.

Razem z Tomem patrzyli z ukrycia pod kolumnami portyku, jak hrabia Frederick oddala się szybko, a echo jego kroków odbija się w gęstniejącej mgle. Najwyraźniej zmienił zdanie co do wspólnej kolacji z przyjaciółmi, gdyż poszedł w kierunku Picadilly. Tom wiercił się, zniecierpliwiony.

- Myśli pan, że to nasz człowiek?

- Nie jestem pewien - odpowiedział Sebastian, kładąc dłoń na ramieniu chłopca, jakby chciał go powstrzymać przed ruchem. - Ale warto się dowiedzieć dokąd zmierza - czekali, aż hrabia się oddali tak bardzo, że będzie niemal niewidoczny. Potem Sebastian ścisnął ramię Toma.

- Teraz - powiedział.

Tom wyśliznął się zza kolumny z gracją i bezszelestnie ruszył naprzód, jak cień podążający w nocnej mgle za cieniem.

ROZDZIAŁ 38

Sir Henry Lovejoy zatrzymał się w progu garderoby i spojrział na zwłoki Mary Grant. Nie zakryli jeszcze ciała, a zapach jej krwi wisiał ciężko w powietrzu. Sędzia cieszył się, że nie zdążył zjeść kolacji.

- Tym razem nie ma wątpliwości co do sprawcy - powiedział Maitland. Lovejoy odwrócił głowę i spojrzał na konstabla.

- Czy rzeczywiście?

- Mamy świadka - Maitland otworzył notes i odwrócił się w stronę złotego kręgu światła jednej z naftowych lamp. - Wdowa po Charlesie Laverym. Widziała hrabiego Dewlinu, jak wychodził z budynku po południu.

- Nie ma wątpliwości, że to był Dewlin?

- Twierdzi, że zna wicehrabiego. Jej mąż służył z Dewlinem w Hiszpanii - Maitland zatrzasnął notes. - Nie ma wątpliwości, że to jego szukamy, proszę pana.

Lovejoy przykucnął obok martwej kobiety i przyjrzał się jej twarzy. Była młoda, ale niezbyt atrakcyjna. Nie mogła się równać z Rachel York. - Dlaczego akurat ona? Po co zadawać sobie trud, by ją znaleźć?

- Wiedziała, że Rachel York poszła we wtorek do Świętego Mateusza na spotkanie z Dewlinem - Maitland, ubrany w drogi surdut, wzruszył ramionami - Więc zabił ją, by go nie wydała.

- Przecież już nam o tym powiedziała - spojrzenie Lovejoya błędziło po splądrowanym pokoju. - Ciekawe co jeszcze mogła wiedzieć? I jak się panu wydaje, czego on szukał?

- Pieniędzy - odparł Maitland. - Albo czegoś, co można sprzedać. Może biżuterii?

- Rozmawiamy o spadkobiercy fortuny, nie o jakimś drobnym złodziejaszku.

- Tak czy inaczej, pewnie kończy mu się gotówka. Człowiek musi coś jeść.

- Hmm. Być może... Ale, jak pan pamięta, mieszek Rachel York też był przeszukany. - Lovejoy podniósł się na nogi, stawy kolanowe trzasnęły cicho.

- Zastanawiam się - powiedział bardziej do siebie niż do konstabla. - Tak się zastanawiam... Widok i odgłos palącego się ognia miał w sobie coś szczególnie kojącego. Kat Boleyn siedziała na podwiniętych nogach z głową opartą na obitej jedwabiem sofie. Zapatrzona w tańczące płomienie, słuchała relacji mężczyzny, którego kiedyś kochała, z wizyty w Przytułku Świętego Judy.

Była w niej też mowa o Mary Grant.

- To nie twoja wina - powiedziała, gdy zamilkł. - To nie twoja wina, że dotarł do niej szybciej.

- Nie. Wiem, że nie - odpowiedział ze wzrokiem utkwionym w ogniu.

- Ale i tak czujesz się winny.

Spojrzał jej w oczy. Leciutki, gorzki uśmiech przemknął po jego wargach i znikł. Sebastian odetchnął głęboko.

- To dlatego, że w jakiś sposób, którego nie rozumiem, to wszystko wiąże się ze mną. Wciąż krążę wokół tematu, udaje mi się podchwycić to i owo, ale istota sprawy wciąż mi się wymyka. A w międzyczasie kobiety umierają.

Dotknęła jego ręki, a on odwrócił się w jej stronę, wpijając palce w ramię. Ukrył twarz na jej piersiach. Poczowała, jak wstrząsa nim łkanie. Potem Sebastian znieruchomiał. Kate zaskoczona gwałtownym przyływem uczuć, dotknęła lekko jego włosów, tuż powyżej szyi.

- Nie sądzisz, że to dziwne? - spytała cicho. - Przez te wszystkie lata Rachel co poniedziałek chodziła do Świętego Judy, a ja o tym nie wiedziałam.

Obrócił głowę, dotykając policzkiem ciała dziewczyny nad obcisłym stanem sukni.

- Spodziewała się dziecka. Wiedziałaś o tym? Dłoń Kat znieruchomiała.

- Nie. Nie wiedziałam. To się czasem zdarza, nawet jeżeli jest się ostrożną.

Sebastian nakreślił opuszką palca delikatny wzór na jedwabnej sukni. Poczowała ciepło, które zdawało się płynąć z wnętrza ciała. Była zaskoczona siłą własnej reakcji na dotyk tego mężczyzny. Nawet wbrew sobie. Nawet, gdy próbowała z tym walczyć.

- Wielebny Finley uważa, że Rachel była w kimś zakochana.

Kat chwyciła jego dłoń w swoją, kładąc kres delikatnej, uwodzicielskiej pieszczocie.

- Myślisz, że została zabita z powodu dziecka?

- Może. Ale to nie wyjaśnia gwałtu. Ani tego, co się stało z Mary Grant - podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. - Jak dobrze znasz hrabiego Fredericka?

Jako bliski przyjaciel księcia Walii, Frederick był częstym gościem przyjęć, na których bywały kobiety pokroju Kat. Przypuszczała, że zna go lepiej niż Dewlin, który nie należał do tego kółka i wiele lat spędził za granicą. Splotła dłoń z palcami Sebastiana, mimo że nawet ten prosty kontakt budził skomplikowane, niechciane i niepotrzebne uczucia.

- Chyba nie byłby zdolny do takiego okrucieństwa - powiedziała po chwili namysłu. - W gruncie rzeczy wydaje mi się, że jest jednym z nielicznych mężczyzn, którzy naprawdę lubią kobiety, jeżeli wiesz, co mam na myśli; lubią towarzystwo kobiet, rozmowy o modzie, muzyce i sztuce. Hrabia ma córkę, Elisabeth, która w zeszłym miesiącu poślubiła najstarszego syna księcia Southwicku. Można poznać po jego twarzy, gdy tylko wymienia jej imię, jak bardzo ją kocha.

- To jego jedyne dziecko, prawda? Kat kiwnęła głową.

- Żona Fredericka zmarła prawie piętnaście lat temu, ale nigdy nie wstąpił w inny związek, ani nie wziął kochanki.

- A mimo to nagle nawiązał romans z kobietą, która mogła być francuskim szpiegiem? To bez sensu. Oparł się na łokciu, by wyjąć ciężki papier z wewnętrznej kieszeni płaszcza, i podał go Kat.

- Czy to pismo Rachel York?

Kat spojrzała na błękitną kopertę z nazwiskiem Fairchilda, wypisanym wyraźnym pismem Pierreponta.

- Nie - odpowiedziała, oddając kopertę i spokojnie spojrzała mu w oczy. - Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie znam tego pisma.

Schował kopertę z powrotem do kieszeni.

- Skąd to masz? - spytała.

- Znalazłem w mieszkaniu Mary Grant.

- Pustą? - Tak.

Pochylił głowę i musnął ustami wrażliwą skórę na karku dziewczyny. Jego dłonie odkrywały wszystkie zakamarki jej ciała, których dotyk sprawiał, że serce Kat biło mocniej, a oddech przyspieszył. Odkrył je dawno temu, i najwyraźniej nie zapomniał.

Wierzyła, że może utrzymać serce na wodzy i naprawdę miała taki zamiar. Ale nagle, wbrew sobie, poczuła, jak wzbiera w niej czułość i głębokie, nieświadomione pożądanie, aż łzy napłynęły jej do oczu, zaś ciało napięło się gwałtownie, wychodząc mu na spotkanie.

Następnego ranka Sebastian otrzymał od Paula Gibsona wiadomość, że pewien znajomy dżentelmen gotów był się podzielić pewnymi cennymi informacjami. Dżentelmen ów zgadzał się na spotkanie o dziesiątej rano, w południowo-wschodniej części Green Park.

W obawie przed pułapką Sebastian przyszedł wcześniej, gdy otwarte błonia parku gościły jedynie tuzin mlecznych krów i ich strażników. Wysoki, kościsty mężczyzna pojawił się dopiero o pół do dziesiątej.

Był ubrany w spodnie w prążki, a na szyi miał jaskrawą czerwoną chustę. Zdawało się, że przy każdym kroku emanuje zeń ulotny, nieokreślony odór rozkładu.

„Skoczny Jack” Cochran odkrztusił flegmę, splunął i otarł usta wierzchem dłoni.

- Ponoć szuka pan kogo, nielekarza, zainteresowanego półdlugimi.

- Zgadza się - odparł Sebastian. Odliczył pięć funtów, zwinął je w rulon i podał Jackowi. Skoczny Jack oblizał wargi, włożył pieniądze głęboko do kieszeni i znów wytarł dłonią usta.

- Miałem takie zlecenie gdzieś miesiąc temu, od pana, co twierdził, że jest artystą, chociaż myślał, że trochę dziwnym.

- Zapamiętał pan nazwisko?

Skoczny Jack parsknął śmiechem, który niemal natychmiast przeszedł w kaszel.

- W tym biznesie nie pyta się ludzi o nazwiska. Ale poznałbym go, gdybym go znów spotkał. Młody, ciemne, kręcone włosy, jak u dziewczyny. Moja Sara, jak go zobaczyła, całe dni snuła się jak nawiedzona. Powiedziała, że jest jak te anioły na obrazach przy bocznych ołtarzach w kościele Świętej Trójcy - Cochran splunął raz jeszcze. - Dziewucha wstydu nima za grosz, a przecie jest uczciwą Angielką. A on to jaki cudzoziemski poganin.

Sebastian poczuł, że jego puls przyspiesza w oczekiwaniu.

- Był cudzoziemcem?

- Taa. Z Italii albo czegoś takiego. Przynajmniej tak twierdził. Dla mnie oni wszyscy jednacy.

- Dokąd dostarczył pan towar? Pamięta pan?

- No. Na Almonry Terrace. W Westminsterze.

ROZDZIAŁ 39

Donatelli był w pracowni, gdy Sebastian wszedł do mieszkania. Artysta obrócił się w jego stronę z ustami otwartymi ze zdziwienia. Cios Sebastiana zatrzymał go w pół drogi, pozbawiając tchu w piersi i obalając na ziemię.

- Co pan robi? Czego pan ode mnie chce? - wycharczał, zaliczając kolejne uderzenie, tym razem w szczękę. Znowu zabrakło mu tchu.

- Jak rozumiem, kupowałeś sobie półdługie - powiedział Sebastian przez zaciśnięte zęby. - Lubisz takie kobiety, hmm? Takie, które się nie ruszają, nie mówią, nawet nie oddychają?

Anielskie oczy Donatellego otworzyły się ze zdumienia. Próbował coś powiedzieć, ale wydał tylko nieartykułowany charkot. Sebastian rozluźnił nieznacznie chwyt na gardle malarza, by ten zdołał wycharzczyć:

- Nie. Nic podobnego. Robię ilustracje medyczne. Sebastian zrobił ruch, jakby zamierzał ścisnąć mocniej gardło malarza.

- Kłamca.

- Nie! Przysięgam, mówię prawdę. Ostatnio zlecono mi tułów kobiety. - Chciał wstać, ale znowu znieruchomiał z twarzą wykrzywioną przerażeniem, gdy Sebastian wyjął z zanadru pistolet skałkowy i przyłożył mu lufę do skroni.

Donatelli oblizał wargi, wywracając białkami, by zobaczyć palec Sebastiana na spuście.

- Jeśli mnie pan puści, pokażę panu. Są na zapleczu. Sebastian zawahał się i rozluźnił chwyt. Donatelli rozmasował szyję.

- Matko Boska, mógł mnie pan zabić. Sebastian wycelował broń w pierś malarza.

- Ilustracje. Donatelli kiwnął głową.

- Są tutaj - przeszedł do drugiego pokoju.

- Widzi pan? - była to seria może dwunastu szkiców, skrupulatnie ilustrujących kolejne warstwy tułowia kobiety, pod różnym kątem.

- Pracuję ze studentem medycyny z St. Thomas - powiedział Donatelli, napiętym, ochryplym głosem. - On robi sekcje, a ja rysuję.

- Ale dlaczego malarz, który nagle został okrzyknięty najnowszym odkryciem towarzystwa, musi robić ilustracje anatomii do książek medycznych?

Donatelli wzruszył ramieniem w sposób charakterystyczny dla mieszkańców Południa.

- Zacząłem to robić dla dodatkowego zarobku, kiedy malowałem dekoracje teatralne. Nie przestałem, ponieważ dzięki temu uczyć się oddawać realistycznie ludzkie sylwetki. Nie

jestem jedynym malarzem, który uczy się na zwłokach. Weźmy chociażby Fragonarda...

Sebastian odwrócił się od krwawych wizerunków.

- Gdzie pan był tej nocy, kiedy zabito Rachel York? Ilustracje mogły być powodem kupna zwłok, ale niczego więcej.

Donatelli otworzył szeroko oczy.

- Ja? Ale chyba pan nie sądzi, że zabiłem Rachel? Sebastian nie spuszczał wzroku z twarzy malarza.

- Gdzie pan był?

- Oczywiście, że tutaj. Malowałem.

- Czy miał pan towarzystwo? Włoch zacisnął szczęki.

- Nie.

Sebastian umilkł. Jego uwagę przyciągnęło stojące w pobliżu niewielkie płótno. Wyglądało jak studium do większego dzieła, portretu rodzinnego. Grupa składała się z mężczyzny i trzech kobiet w różnym wieku. Najstarsza siedziała pośrodku. Była chuda, pomarszczona i przygarbiona, ale jej oczy lśniły taką determinacją i dumą, że całkowicie przyćmiewała kobietę po lewej - bladą, o nieobecny wyrazie twarzy, która mogła mieć około trzydziestu lat. Po drugiej stronie stała zapewne córka; ciemnowłosa i niezbyt ładna, jakby dystansując się od reszty patrzyła na coś, czego oko widza nie mogło dostrzec. A nad kobietami stał, z szeroko rozłożonymi rękami, jakby chroniąc je, a zarazem dominując nad nimi, potężny, jowialny mężczyzna o rumianej twarzy i przenikliwych oczach, w którym Sebastian rozpoznał Charlesa, hrabiego Jarvisa.

Sebastian podniósł wzrok i zobaczył, że malarz wpatruje się w niego nerwowo.

- Maluje pan portret rodziny hrabiego Jarvisa?

- To tylko studium. Sam portret ukończyłem w ubiegłym roku.

- Gdy ciągle malował pan dekoracje?

W twarzy Donatellogo drgnął pojedynczy mięsień.

- Hrabia Jarvis jest znany z tego, że darzy młodych artystów życzliwym zainteresowaniem. To dzięki niemu oczy socjety zwróciły się w moją stronę.

Sebastian spojrzał raz jeszcze na portret. Był świadomy cienia myśli błakającej się po obrzeżach umysłu.

Ale gdy próbował ją uchwycić, po prostu odpłynęła, jak blada, szydercza chimera, która to pojawia się, to znowu znika.

Nie wypuszczając pistoletu z dłoni, Sebastian przechadzał się po pokoju, przyglądał się najrozmaitszym płótnom ustawionym wzdłuż ścian. Szukał czegoś, co pomogłoby powiązać dziwne, sprzeczne wątki życia i śmierci Rachel.

Zatrzymał się gwałtownie przed niepokojącym wizerunkiem młodej dziewczyny z nadgarstkami spętanymi nad głową, nagim ciałem wygiętym w agonii i oczami utkwionymi w niebie, jakby proszącej Boga o zmiłowanie. Przyjrząwszy się dokładniej, zdał sobie sprawę, że patrzy na portret Rachel, tylko młodszej. O wiele młodszej.

- To Rachel York, prawda? Jako dziecko.

Giorgio Donatelli nie patrzył na obraz, ale na Sebastiana.

- To pan jest tym kupcem, który był tu w piątek. Wygląda pan inaczej, ale rysy twarzy są te same - zmarszczył brwi, zatroskany. - Wtedy też pytał pan o Rachel. Dlaczego?

Sebastian mógł udzielić wielu innych odpowiedzi, lecz zdecydował się na tę prawdziwą.

- Dlatego, że próbuję się dowiedzieć, kto ją zabił.

- Podobno wiadomo, kto to zrobił. Jakiś wicehrabia nazwiskiem Dewlin.

- Dewlin to ja.

Sebastian nie był pewien, jakiej reakcji oczekiwał. Donatelli zerknął na wciąż wymierzony w niego pistolet, a potem odwrócił wzrok i kiwnął głową, jakby sam również do

tego doszedł.

- Rachel czasami mówiła mi różne rzeczy - powiedział malarz, wskazując brodą płótno. - Gdy ją malowałem. Opowiadała o swoim życiu z czasów, kiedy przyjechała do Londynu, i wcześniej. To jej historia była mi inspiracją.

- Jej życiu w Worcestershire? Oczywiście Donatellego rozпалиły się gniewem.

- Miała zaledwie trzynaście lat, gdy zmarł jej ojciec. Matka już nie żyła. Rachel nie miała krewnych, którzy zechcieliby się nią zaopiekować, więc znalazła się na utrzymaniu parafii. Sprzedali ją na służącą - odetchnął głęboko. - Tak się tu postępuje. Wy, Anglicy, przemawiacie tak uczenie, patrząc z góry na Amerykanów, ganiąc grzech i nieludzkie traktowanie niewolników z Afryki, a własne dzieci sprzedajecie w niewolę. Urwał na chwilę.

- Sprzedali ją tłustemu kupcowi i jego żonie. Ta kobieta była szalona, chora na głowę. Przywiązywała Rachel do ściany w piwnicy i biczowała po nagich plecach.

Sebastian spojrział na nagą przerażoną dziewczynkę na obrazie. Pamiętał cienkie, krzyżujące się linie, które Paul Gibson odkrył na plecach Rachel, i blizny na nadgarstkach.

- Ale to, co robił z nią kupiec, było jeszcze gorsze - głos Donatellego drżał z emocji. - Wykorzystywał ją jako dziwkę. Trzynastoletnie dziecko, które kładł na stole i brał od tyłu, jak psa.

- Kobieta, która przeżyła coś takiego, pewnie nie miała zbyt dobrego mniemania o mężczyznach - powiedział miękko Sebastian.

- Nauczyła się robić to, co trzeba, by przeżyć.

- Wiedział pan, że planowała opuścić Londyn? Donatelli umknął spojrzeniem w bok.

- Nie. Nigdy o tym nie wspominała.

- Ale wiedział pan, że spodziewała się dziecka.

To nie było pytanie. Ku zaskoczeniu Sebastiana Donatelli otworzył szeroko oczy, rozchylając usta, jakby w nagłym przypiływie lęku.

- Skąd pan wie?!

- Wiem. Kto był ojcem? Pan? - Nie!

- Więc kto? Hrabia Frederick?

- Hrabia Frederick? - Donatelli parsknął krótkim, ostrym śmiechem. - Mało prawdopodobne. On jest bulgarusem.

Było to archaiczne słowo oznaczające mężczyznę o pewnych starych jak świat upodobaniach. Sebastian chciał w pierwszym odruchu zaprzeczyć, jednak Donatelli był zbyt spontaniczny, zbyt łatwy do przejrzenia, by dobrze kłamać. Poza tym jego stwierdzenie brzmiało wiarygodnie.

- Jeśli to prawda, to dlaczego związał się z Rachel?

- Nie zrobił tego. To był tylko, jak to się mówi, pozór. Płacił za korzystanie z jej mieszkania i spotykał się tam ze swoim kochankiem, młodym urzędnikiem.

Takie działanie nie było rzadkością, zwłaszcza wśród szpiegów i członków rządu: tajemnicę skrywało się pod przykrywką innej tajemnicy, tak pieprznej i niegrzecznej, że jej odkrywca nigdy by nie pomyślał, iż stoi za nią prawda znacznie bardziej niebezpieczna. Jeżeli zatem ktoś dowiedziałby się o wizytach hrabiego Fredericka w mieszkaniu Rachel York, natychmiast doszedłby do wniosku, że hrabia wziął sobie młodą aktorkę za kochankę. Wstrząsające, bez wątpienia, lecz dość powszechne wśród mężczyzn w jego wieku i warstwie społecznej. Towarzystwo huczałoby od plotek, ale nikomu nawet przez myśl by nie przeszło dociekać prawdy, która mogłaby zrujnować hrabiego, gdyby przedostała się do publicznej wiadomości.

Jedyną wadą tego typu rozwiązań było narażenie się na szantaż, ten zaś często prowadził do morderstwa. Tylko... tylko trudno było sobie wyobrazić, że dzentelmen gustujący w młodych męskich kochankach podnieciłby się aktem zabójstwa do tego stopnia, iż gwałciłby ciała zabitych przez siebie kobiet.

Spojrzenie Sebastiana padło na kolejny obraz Donatellego, przedstawiający Rachel jako przygotowującą się do kąpieli odaliskę. Po raz pierwszy zauważył, że na obrazie jest też mężczyzna, podglądający ją zza pobliskich drzew pomarańczowych.

- Niech mi pan opowie o Bayardzie Wilcoxie - powiedział nagle Sebastian. - Twierdził pan, że wpatrywał się w Rachel, chodził za nią jak cień. Czy nigdy się do niej nie zbliżył?

- Dopiero w ostatnią sobotę. Sebastian spojrzął na niego, zaskoczony.

- W sobotę?

- W „Siódemce” na Bond Street. Poszliśmy tam po przedstawieniu, głównie ludzie z teatru. Koło wpół do dwunastej przyszedł Bayard w towarzystwie kilku znajomych *aristos* - anielska twarz Donatellego wykrzywiła się w odrazie na to wspomnienie. - Byli tak pijani, że ledwo trzymali się na nogach. Opierali się jeden na drugim, śmiali się jak wariaci. Potem Bayard ujrzał Rachel. Nagle ucichł, odszedł od reszty, oparł się o pobliską kolumnę i wpatrzył się w nią, jak to miał w zwyczaju. Przyjaciele próbowali go odciągnąć, ale się nie dał. Więc zaczęli go podpuszczać. Powiedzieli, że pewnie jest jakimś eunuchem, bo tylko stoi i patrzy na kobietę. Powiedzieli, że gdyby miał jaja, podszedłby do niej i powiedział, co do niej czuje.

- I zrobił to? Donatelli kiwnął głową.

- Pomaszerował prosto do Rachel i powiedział, że chce ją zerznąć. Dokładnie w tych słowach. Dała mu pięścią w twarz.

- Co zrobił Bayard?

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. W jednej chwili wychodził z siebie, mówiąc, że Rachel jest jego boginią, że nie może myśleć o niczym, tylko jak by to było mieć ją nagą pod sobą. Potem uderzyła go w głowę, a on jakby stał się inną osobą. To znaczy zmienił się na twarzy - oczy miał zaciśnięte, usta wykrzywione, skórę pociemniałą. Wyglądał jak opętany przez demony.

Sebastian kiwnął głową. Wiedział, o czym mówi Donatelli. Obserwował u Bayarda takie przemiany jeszcze w dzieciństwie.

- Gdyby nas tam nie było - mówił Donatelli - to chyba zabiłby ją na miejscu, gołymi rękami. Musieliśmy go powstrzymać, dopóki przyjaciele w końcu go nie odciągnęli. A i wtedy było go słychać, jak ciska się po ulicy, miotając najgorsze przekleństwa. Groził, że ją zabije.

- Tak powiedział? Powiedział, że chce ją zabić? Donatelli kiwnął głową. Jego napięta twarz przybrała barwę popiołu.

- Powiedział, że urwie jej głowę.

ROZDZIAŁ 40

Niedziela była zwykle jedynym dniem tygodnia, kiedy Charles, hrabia Jarvis, spędzał trochę czasu w domu. Rano prowadził matkę, żonę i córkę do kościoła, a potem zasiadał z nimi do tradycyjnego niedzielnego obiadu. Następnie udawał się do jednego z klubów lub do komnat Carlton House albo St.

James's Palace, oddanych do jego dyspozycji.

Ale stan, który lekarze określali mianem zapalenia serca, a który sam Jarvis uważał za coś poważniejszego, zatrzymał go w łóżku na cały poniedziałek. Znajdował się pod opieką kostycznej, zgryźliwej matki, która prowadziła mu dom, gdy jego żona zamykała się coraz bardziej we własnym wyimaginowanym świecie, zaś córka walczyła gdzieś z wiatrakami, mieszając się do spraw, które nie należały do niej.

Ironią losu Jarvisa był fakt, że w jego życiu było pełno kobiet. Prócz matki, żony i córki, mieszkających pod jednym dachem, znalazły w nim miejsce jeszcze dwie siostry Jarvisa. I to bardziej, niżby sobie tego życzył: płaczliwej Agnes o ptasim mózdzku wciąż

trzeba było pomagać wyciągać z długów męża i syna;

Phyllis, choć wcale nie mądrzejsza od siostry, miała przynajmniej tyle rozumu, by dobrze wyjść za mąż.

Jarvis uważał, że, generalnie rzecz biorąc, kobiety są jeszcze bardziej bezmyślne i głupie niż większość mężczyzn. To prawda, zdarzały się wyjątki - kobiety zaskakująco rozumne, o błyskotliwych, sprawnych umysłach, lecz zazwyczaj skwaszone i pełne goryczy lub sarkastycznie zuchwałe i lekceważące, które irytowały go nawet bardziej niż ich pustogłowe siostry. Niezależnie od głębokiej, niezmiennej nienawiści do Francuzów, Jarvis w tym akurat względzie musiał przyznać rację Napoleonowi: kobiety nadawały się tylko do dwóch rzeczy: rozrywki i reprodukcji.

Ta myśl przywiodła go, jak to się często zdarzało, do żony Annabelle.

Gdy ją poślubił, była afektowaną śliczną istotką, zgrabną, szczupłą dziewczyną o błyszczących niebieskich oczach i wesołym śmiechem, z pięknym posagiem. Ale głęboko go rozczarowała. Dała mu jedynie córkę i chorowitego, słabego syna, po czym nastąpił szereg poronień i martwych urodzeń, które, jak twierdzili lekarze, zniszczyły jej zdrowie i nadwyreżyły równowagę delikatnego umysłu. Ale Jarvis wiedział lepiej. Annabelle nigdy nie była zrównoważona. Niestety, wbrew jego nadziejom, że nadszarpnięte zdrowie stanie się przyczyną przedwczesnej śmierci, Annabelle nadal żyła, rok za rokiem, chroniona lekarskim zakazem przed uleganiem jego żądzy, niezdolna dać życie nowemu synowi, który zastąpiłby Davida, leżącego gdzieś w nieznanym grobie.

Ale ze wszystkich jego kobiet to córka, Hero, przysparzała mu największych trosk. Uparto stworzenie, trwoniące życie na filantropię. Jej reformatorskie zapędy doprowadzały Jarvisa do mdłości; w Hero objawiały się także wszelkie niepokojące efekty lektury dzieł Mary Wollstonecraft i markiza Condorceta. Co gorsza, stawiała nieugięty opór wobec prób zaręczenia jej z jakąś dobrą partią. Miała już prawie dwadzieścia pięć lat i szybko rosły szanse, że zostanie starą panną. Nigdy nie była piękna, nie odziedziczyła urody po matce, zaś to, co było w niej ładne, miało szybko przeminąć wraz z upływającym czasem.

Nie było jej w domu, gdyż przeprowadzała nadzór w fabryce. Na samą tę myśl Jarvis poczuł w piersiach piekący ból, więc humor miał już zwarzony, gdy oznajmiono - w samym środku popołudnia - że ten głupiec, sędzia pokoju Lovejoy, wreszcie raczył się zjawić.

- Wzywał mnie pan, milordzie? - spytał mały sędzia z ukłonem.

- Najwyższy czas - warknął Jarvis z sofy przed kominkiem, gdzie urządził sobie coś w rodzaju tymczasowego biura. - Doniesiono mi, że Dewlin znów zabił.

- Nie wiemy jeszcze...

- Widziano go tam, czy nie? Sędzia zacisnął wargi i westchnął.

- Tak, milordzie.

- Księżę jest bardzo niezadowolony z obrotu sprawy. Ulica zaczyna szemrać. Pojawiają się niepokojące głosy. Mówią, że w tym kraju arystokrata może bezkarnie mordować, że zwyczajne kobiety nie są bezpieczne nawet we własnych domach. To ostatnie, czego trzeba księciu na dwa dni przed zaprzysiężeniem.

- Tak, milordzie.

- Księżę chce mieć Dewlina żywego lub umarłego w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. W przeciwnym razie Queen Square poszuka nowego sędziego pokoju. Czy wyrażam się jasno?

- Tak jest, milordzie - odpowiedział Lovejoy i wycofał się w ukłonach.

ROZDZIAŁ 41

Mijało południe, gdy Sebastian dotarł do domu swojej siostry na St. James Square. Stojący w drzwiach kamerdyner Amandy wytrzeszczył oczy ze zdumienia i niepokoju. -

Milordzie...

- Jak mniemam, Bayard jeszcze nie wyszedł? - powiedział Sebastian, mijając służącego, i skierował się w stronę schodów.

- Zdaje się, że panicz Wilcox jest w garderobie, milordzie. Gdyby zechciał pan poczekać w... Milordzie... - jęknął kamerdyner, ale Sebastian wbiegał już po schodach po dwa stopnie naraz.

Bez pukania otworzył na oścież drzwi do garderoby. Bayard był w środku, w koszuli, ale bez marynarki. Wygiął głowę pod dziwnym kątem, walcząc z wyjątkowo szerokim krawatem. Obrócił się wokół własnej osi, otworzył usta i wytrzeszczył oczy.

- Dewlin...

Sebastian rzucił się na Bayarda, przewracając krzesło. Przemierzili całą szerokość pokoju, nim cisnął siostrzeńcem o ścianę tak mocno, że na krótką bolesną chwilę pozbawił go tchu w piersiach.

- Okłamałeś mnie - powiedział. Odciągnął Bayarda od ściany, po czym z wielką siłą rzucił jeszcze raz. - Mówiłeś, że nigdy nie zbliżałeś się do Rachel York. Tymczasem ja słyszałem, że groziłeś jej śmiercią w „Siódemce” na Bond Street.

Bayard rzeził, walcząc o oddech.

- Byłem zalany! Nie wiedziałem w ogóle, co robię, a nie tylko co mówię.

- W wieczór jej śmierci też byłeś zalany. Skąd wiesz co wtedy robiłeś?

- Nigdy bym jej nie skrzywdził! Kochałem ją.

- Powiedziałeś, że urwiesz jej głowę. Kilka dni później ktoś postąpił z nią bardzo podobnie. Nie zapomniałem twoich żółwi, Bayardzie.

Szczeka siostrzeńca opadła bezwładnie, oczy otworzyły się ze strachu.

- Ktoś jej to zrobił? Skąd wiesz? O Boże, to nie może być prawda?

Sebastian ścisnął mocniej ramiona siostrzeńca i podniósł go w górę tak, że stopy Bayarda ledwo dotykały podłogi. Przytrzymał go w tej pozycji.

- A ta druga kobieta, Mary Grant? Czemu napadłeś i na nią?

Twarz Bayarda wyrażała tak absolutne zaskoczenie, że Sebastian miał złe przeczucie.

- Druga kobieta? Kim, u diabła, jest Mary Grant? W następnym momencie ciszy rozległ się głos kobiety.

- Puść go - powiedziała Amanda. - Puść go albo, klnę się na Boga, Sebastianie, wydam cię konstablom. Sebastian odwrócił głowę i spojrzał na siostrę. Amanda stała w drzwiach. Była wysoką kobietą w średnim wieku, o dumnej postawie, tak charakterystycznej dla hrabiowskiej córki. Po matce wzięła piękną cerę i szczupłą, pełną wdzięku figurę, ale ciężkie, wyraziste rysy twarzy sprawiły, że w wieku lat czterdziestu bardziej przypominała hrabiego niż wiotką, piękną kobietę, zmarłą hrabinę Hendonu.

Sebastian zawahał się, ale rozluźnił uścisk na ramieniu Bayarda. Młodzieniec osunął się na ścianę.

Stał nieruchomo z plecami opartymi o drewnianą boazerię, usta miał otwarte, a oddech krótki i urywany.

- Wiedziałaś o tym, prawda? - powiedział Sebastian. - Wiedziałaś, że zabił tę dziewczynę. Bayard otarł drżącą ręką wilgotne, zwiotczałe usta.

- Nie zabiłem jej! Dlaczego mi nie wierzysz? Sebastian nie spuszczał wzroku z twarzy siostry.

- Wiedziałaś, ale siedziałaś cicho. A on zamordował po raz drugi.

- Mówię ci, że jej nie zabiłem - powiedział Bayard. - Nie zabiłem nikogo.

Spojrzenie Amandy przeniosło się na syna. Jej twarz miała tak twarde, zimny wyraz, że przez chwilę Sebastian poczuł falę współczucia dla siostrzeńca. Zawsze tak na niego patrzyła, nawet gdy był małym chłopcem spragnionym jej miłości.

- Zostaw nas samych.

- Przysięgam ci, nikogo nie zabiłem!

- Wyjdź, Bayardzie.

Bayard z trudem przełknął ślinę. Wahał się przez moment, poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć. Potem spuścił głowę i odszedł od ściany. Minał matkę z dziwnym pośpiechem, całkowicie pozbawionym dystynkcji i wybiegł z pokoju. Amanda patrzyła, jak Bayard wlecze się w stronę schodów, a potem przeniosła wzrok na Sebastiana.

- Incydent na Bond Street nic nie znaczy - powiedziała. - To zwykłe chłopięce przechwałki i nic więcej.

- Jesteś tego pewna? Przecież go znasz, Amando. Zawsze wiedziałaś, jaki jest, nawet jeśli nie chciałaś tego przyznać.

- Wyciągasz zbyt daleko idące wnioski ze zwykłych sztubackich wybryków.

- Sztubackich wybryków?

Amanda podniosła przewrócone krzesło.

- Wiedz jedno, Sebastianie. Nie pozwolę, by mojego syna zniszczyła banalna śmierć pierwszej lepszej dziwki, która dostała to, na co zasłużyła.

- Amando! Mój Boże, rozmawiamy o ludzkim życiu... Wargi Amandy skrzywiły się w wyrazie pogardy.

- Nie każdy żywi tak nieprzepartą słabość do hołoty, jak ty. Można by sądzić, że sprawa podfruwajki, która przed sześcioma laty zrobiła z ciebie głupca, powinna dać ci nauczkę. Jak się nazywała? Anna Boleyn? Nie, to była czyjaś inna kurwa. Twoją zwali...

- Przestań - przerwał Sebastian, zbliżając się o krok do siostry. - Nie mieszaj do tego Kat.

- Wielkie nieba! - Amanda otworzyła szeroko oczy, zaskoczona, i spojrzała bratu w twarz. - Ty nadal ją kochasz.

Sebastian odwzajemnił spojrzenie, ale na jego policzkach wykwitł nieznaczny, zdradliwy rumieniec.

- Znów się z nią spotykasz, prawda? - zaśmiała się ostro. - Nigdy nie zmądrzejesz. Ciekawe jakich korzyści spodziewa się tym razem? Roli pograżonej w żalobie wdowy, gdy będą cię wieszać?

- Nie umrę za twojego syna, Amando. Rozbawienie zniknęło z jej twarzy.

- Mówię ci, że Bayard nie miał nic wspólnego ze śmiercią tej lafiryndy. Był z przyjaciółmi aż do dziewiątej, a wtedy Wilcox natknął się na niego i przywiózł go do domu. Później już nie wychodził.

- To kłamstwo tym razem może przekonać władze. Ale on znów to zrobi, Amando. Co wtedy? Jak myślisz, jak długo uda ci się go chronić?

Policzki Amandy pociemniały od nagłego gniewu, w błyszczących niebieskich źrenicach, tak podobnych do oczu ich ojca, błysnęła utajona wrogość.

- Wynoś się z mojego domu!

Ktoś załomotał do drzwi. Na klatce schodowej zabrzmiały echa rozgorączkowanych głosów i ostrego krzyku. Sebastian odwrócił się w stronę źródła hałasu i wykrzywił wargi w szyderczym uśmiechu.

- Droga siostrzo, może i nie wzywałaś konstabli, ale Bayard najwyraźniej to uczynił.

ROZDZIAŁ 42

Było ich tylko dwóch; obaj powyżej czterdziestki, jeden wysoki i kościsty, drugi krępy i powolny. Pierwszy był już na schodach, gdy Sebastian uderzył go w szczękę, aż zadzwoniło. Uciszony w ten sposób mężczyzna zatoczył się bezwładnie do tyłu.

- Doprawdy... - zaczął drugi, nim pięść Sebastiana trafiła go prosto w splot słoneczny. Wytrzeszczył oczy i zwałił się na podłogę.

Bayard stał u podnóża schodów. Szyderczy, butny uśmiech szybko spęłzył mu z twarzy.

- Ty mały skurwysynu - powiedział Sebastian. Uderzył i jego, podążając do wyjścia. Kolejnych kilka godzin spędził na próbach obalenia alibi Bayarda, ale dowiedział się tylko, że młodzieniec i jego dwaj towarzysze rzeczywiście spędzili wtorkowe popołudnie i wieczór na głośnym, ostentacyjnym pijaństwie w „Skórzanym Bukłaku” w Islington. Ich niespodziewane przybycie do klubu Cribba i nagły odwrót były w równej mierze widowiskowe i zapadające w pamięć. Odźwierny pamiętał, jak pomagał załadować nieprzytomnego młodego dżentelmena do ojcowskiego powozu. Dzwony miejskie zaczęły wybijać dziewiątą właśnie wtedy, gdy powóz odjeżdżał.

Tom znalazł Sebastiana w kawiarni niedaleko „Róży i Korony”, z kuflem piwa w lewej dłoni i zakrwawioną chusteczką owiniętą wokół kłykci prawej.

- Co wam się stało w rękę?

- Uderzyłem w coś.

- Znaczą się, w wór pełen kości? - spytał Tom z uśmiechem i wsunął się na przeciwległą ławę. W rękę ścisnął pasztecik z mięsno-warzywnym nadzieniem. - Znaleźliście co na siostrzeńca?

Sebastian pociągnął długi, wolny łyk.

- Ma żelazne alibi.

Tom spojrział znad pasztecika.

- Żelazne co?

- Alibi. Łatwy do zweryfikowania dowód, że w czasie, gdy popełniono przestępstwo, był gdzie indziej. W tym przypadku, nieprzytomny, w ramionach ojca - Sebastian oparł plecy o ławę. - Moje grono podejrzanych gwałtownie się kurczy. Bayard miał motyw i środki, ale najwyraźniej zabrakło mu sposobności. Giorgio Donatelli miał sposobność, ale już nie powód, przynajmniej nie taki, o którym bym wiedział. Ponadto, o ile nam wiadomo, nie byłby zdolny do tak okrutnej zbrodni. Hrabia Frederick twierdzi, że w czasie obu morderstw był z księciem Walii; nie miałem okazji, by to sprawdzić, ale nie podejrzewałbym mężczyzny o jego skłonnościach o taką akurat formę nekrofilii.

- Nekro... czego?

Sebastian zerknął na zaciekawioną twarz chłopca.

- Mniejsza z tym.

- Jest jeszcze Francuz - przypomniał Tom. Ugryzł kęs pasztecika i przełknął pospiesznie, nim wrócił do rozmowy. - No i ten aktor, Hugh Gordon. Od niego macie tylko zapewnienia, że siedział w domu i uczył się do roli.

- Romans, który zakończył się fiaskiem dwa lata wcześniej, nie wygląda mi na prawdopodobny motyw zbrodni, ale masz rację, nie zaszkodzi sprawdzić, co wtedy robił. Popytaj, może któryś sąsiad pamięta, czy go widział.

Tom kiwnął głową i przełknął ostatni kęs pasztecika.

- Mam cosik ciekawego o waszym hrabim Fredericku. Wczoraj wieczorem spotkał się z przyjacielem. Młodym przyjacielem, co to ma pokoje na Stratton Street, niedaleko Marylebone.

Sebastian opróżnił kufel i odstawił go na bok.

- Kim on jest?

- Sąsiedzi nie wiedzieli, chyba mieszka tam od niedawna. Więc poszedłem za nim dziś rano.

- I co?

- Nazywa się Davis. Wesley Davis. Jest urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

To była pora obowiązkowej przechadzki w Hyde Parku. Czas, gdy każdy, kto chciał się liczyć, starał się, by go tam widziano na spacerze, przejeżdżce wierzchem na paradnym

ogierze czy w odpowiednio szykownym powozie, faetonie albo baroucheu. Tego ranka, mimo chłodu, słabe promienie słońca stopiły resztki śniegu, a silny wiatr wciąż wiał na tyle mocno, by bronić dostępu do parku cuchnącej, żółtawej londyńskiej mgły. Śmietanka towarzyska owinięta po uszy w szale wyległa na promenadę.

Sebastian nasunął kapelusz nisko na oczy i okręcił szalikiem połowę twarzy, ale jego niezgrabna sylwetka i tak budziła większe zainteresowanie, niż sobie życzył. Czekał cierpliwie przy alejce, jakieś dwadzieścia jardów od miejsca, w którym hrabia Frederick przystanął, by zamienić kilka słów z przymilną matroną i jej młodą córką stojącą w pąsach.

Hrabia Frederick miał prawie pięćdziesiąt lat, ale i tak uznawany był za dobrą partię. Niestety, pierwsza żona hrabiego większość okazałej fortuny zainwestowała w interesy, mając na względzie przyszłość córki, wszyscy jednak wiedzieli, że najpewniej już za kilka dni hrabia zostanie nowym premierem. Co prawda przez wszystkie te lata od tragicznej śmierci żony nie wykazywał chęci do ponownego ożenku, ale niedawno zawarty związek ukochanej jedynaczki hrabiego wzbudził nowe nadzieje w sercach matek z londyńskiej socjety - a także co bardziej atrakcyjnych wdów. Z całą pewnością, rozumowały, potrzeba towarzystwa kobiety w końcu sprawi, że hrabia Frederick zacznie rozglądać się za żoną. Zwłaszcza, wzięwszy pod uwagę palącą potrzebę politycznego zaplecza w postaci gościnnej pani domu.

Oczywiście, żadna z nich nie wiedziała o istnieniu pana Wesleya Davisa ze Stratton Street.

Hrabia Frederick uwolnił się z uśmiechem z pazurów obu ambitnych pań, dotknął kapelusza, skłonił się i podjął przerwany spacer. Miał na sobie piaskowe bryczesy z irchy i obszerny płaszcz z peleryną w stylu Garricka. Hebanowa laska z rączką z kości słoniowej wisiała nonszalancko na dłoni, gdy skierował się w stronę Park Lane.

Sebastian poszedł za Frederickiem, równając krok do hrabiego.

- W kieszeni mam pistolet skałkowy, który może zrobić w plecach dziurę wielkości talerza, więc tylko bez krzyku - powiedział.

- I niech nie próbuje mnie dziabnąć tym cackiem, co je ma schowane w lasce - dodał, kiedy hrabia zacisnął dłoń na rączce z kości słoniowej.

Fairchild rozluźnił chwyt. Na jego twarzy wciąż malował się drwiący spokój.

- Z pewnością nie oczekuje pan, że ujdzie mu na sucho napad z bronią w rękę, w biały dzień, w centrum Hyde Parku?

- Nie interesuje mnie pana forsa. Chcę tylko zamienić parę słów. Tutaj - Sebastian kiwnął głową w kierunku drewnianej ławki ukrytej w krzewach. - Pod kasztanem.

Hrabia Frederick wahał się przez chwilę, potem zszedł z alejki na długą, mokrą trawę.

- Niech pan usiądzie naprawdę swobodnie - powiedział Sebastian, gdy Fairchild dotarł do ławki i spojrzał wyczekująco. - I rzuci laskę. Dobrze. A teraz proszę ją do mnie kopnąć.

Sebastian sięgnął po leżącą u stóp laskę, nie spuszczając oczu z hrabiego. Mechanizm oddzielający rączkę z kości słoniowej od hebanowego futerału był dość łatwy do znalezienia. Heban ustąpił z lekkim szcęknięciem dobrze naoliwionego mechanizmu, ukazując lśniące, obosieczne ostrze.

- Paskudne narzędzie, nie ma co - powiedział Sebastian. Hrabia Frederick wysunął do przodu silną kwadratową szczękę.

- Ostatnimi czasy ulice są niebezpieczne. Sebastian zaśmiał się i poluzował węzeł szalika.

- Nawet nie wie pan jak bardzo.

Twarz Fredericka zwiotczała pod wpływem szoku, gdy rozpoznał swojego rozmówcę - O, Boże. Pan jest Dewlinem, czyż nie? - przełknął ślinę, a w jego oczach rozblęła nowa czujność, zastępując pierwotne zaskoczenie. - Czego pan ode mnie chce?

- Byłbym wdzięczny za prawdę. Tak dla odmiany - Sebastian bawił się laską z ukrytym ostrzem, oceniając jej ciężar, sprawdzając wyważenie.

- Myślę, że będzie szybciej, jeżeli powiem o czym już wiem. A wiem na przykład, czego z całą pewnością nie robił pan z Rachel York: nie obcował pan z nią.

Hrabia Frederick zaśmiał się ostro.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Jak pan myśli, co robiłem w jej mieszkaniu dwa razy w tygodniu?

- Zadowalał pan młodego urzędnika z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nazwiskiem Wesley Davis. Fairchild siedział nieruchomo. Udało mu się zapanować nad twarzą, ale strach czaił się, jak cień, w łagodnych szarych oczach.

- Dlatego nie ożenił się pan powtórnie, czyż nie? - powiedział Sebastian.

- Może lubi pan pogawędki w damskim gronie o ogrodach, urządzaniu wnętrz i najnowszej sonacie, ale nigdy nie chciał pan zaciągnąć do łóżka którejkolwiek z tych kobiet.

Przez chwilę Sebastian myślał, że hrabia nadal będzie zaprzeczał. Potem jego ramiona obwisły, a skóra przy oczach napięła się.

- Kto jeszcze wie? - spytał miękko.

- Sam się nad tym zastanawiam - Sebastian spojrział na ostrze. Było obosieczne i wyjątkowo ostre. - Rachel pana szantażowała, prawda? Oferowała milczenie, w zamian za małe tajemnice, jakie mogły akurat interesować Francuzów.

Frederick poderwał głowę.

- Co takiego? Dobry Boże! Nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił - odetchnął gniewnie, rozdymając nozdrza. - Co pan sobie wyobraża? Miałbym być zdrajcą tylko dlatego, że jestem zwolennikiem pokoju z Francją? Jestem przeciwny tej wojnie, bo niszczy nasz kraj, a nie dlatego, że sympatyzuję z Napoleonem - wyciągnął ramię w szerokim geście ujmującym cały wschodni Londyn. Jego głos przybrał głębokie brzmienie, jakby przemawiał przed Parlamentem.

- Proszę się rozejrzeć. Dzieci umierają z głodu na ulicach. Dziesiątki tysięcy mężczyzn tracą ziemię, którą ich przodkowie uprawiali od pokoleń, a kobiety, które kiedyś prowadziły godziwe życie, teraz muszą sprzedawać się na ulicach i pod mostami. Cena bochenka chleba podwoiła się w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a średnie zarobki ludzi pracy spadły prawie o połowę. Po co? Żeby garstka właścicieli fabryk i kupców mogła się wzbogacić na pożyczkach rządowych i wyposażeniu armii, którą wykorzystuje się, by posadzić starych koronowanych tyranów z powrotem na tronach?

To mogła być komedia, gra pozorów, ale Sebastian nie przypuszczał, by tak było. Hrabia drżał z gniewu i determinacji niepoprawnego idealisty.

- Chce mi pan powiedzieć, że Rachel York nigdy nie prosiła, by udzielił jej pan ważnych informacji? Fairchild spojrział na Sebastiana. Jego oczy rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu.

- Dobry Boże! Chyba nie myśli pan, że ją zabiłem? Że groziła mi, więc zamknąłem jej usta?

- Mógłbym pana o to podejrzewać - odpowiedział Sebastian, bawiąc się ostrzem. - Gdyby nie jedna rzecz...

- Co takiego?

- Ten, kto ją zabił, także ją zgwałcił.

- Wielkie nieba! - Fairchild złożył ręce między kolanami i przez chwilę patrzył na nie.

- Nie miałem pojęcia. Biedna Rachel...

Powiedział to tak, jakby była jego przyjaciółką. Sebastian zrozumiał, że, na swój sposób, byli przyjaciółmi - ten łagodny, wewnętrznie rozdarty arystokrata i kobieta, która co poniedziałek przychodziła po południu do Przytułku Świętego Judy śpiewać dzieciom kołysanki. Po chwili Fairchild podniósł wzrok i spytał.

- Jest pan pewien, że pracowała dla Francuzów?

- Nie. Ale wszystko na to wskazuje. Fairchild zasznurował wargi i westchnął ciężko,

zatroskany.

- Kilka tygodni temu ktoś włamał się do mieszkania Wesleya. Miał tam listy, które do niego pisałem, było ich pewnie z pół tuzina - policzki hrabiego zabarwiły się nieznacznie. - Teraz wiem, że to nie było rozsądne.

- Listy zniknęły? - spytał Sebastian, zastanawiając się, czy Wesley Davis odegrał jakąś rolę w narażeniu hrabiego Fredericka na szantaż.

Fairchild kiwnął głową.

- Byłem chory ze zmartwienia. Rozmawiałem o tym z Rachel. Obiecała, że zaprzeczy wszystkiemu, gdyby ktoś próbował zrobić użytek z listów, choć oboje wiedzieliśmy, że nie na wiele by się to zdało. Potem przyszła do mnie w ostatni piątek. Powiedziała, że odkryła, kto ma listy, i że zna kogoś, kto mógłby je dla mnie odzyskać. Ścisłe rzecz biorąc, wykraść.

- Za ile?

- Trzy tysiące funtów.

Kwota była mniejsza od tej, której zażądała od Hendona. Sebastian zrozumiał nagle, że mogła zaproponować coś podobnego innym bogatym, wpływowym mężczyznom, a któryś z nich mógł uznać, że lepiej, ją zabić, niż zapłacić za utrzymanie sekretu. Przyjrzał się hrabiemu zatopionemu we własnych myślach.

- Myśli pan, że to ona zabrała listy z mieszkania Davisa?

- Rachel? - Frederick przez chwilę rozważał tę możliwość, po czym potrząsnął głową.

- Nie sędzę, choć przez ostatnich kilka tygodni sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Nie wiem jednak czym. Mówiła o wyjeździe, że chce zacząć od nowa gdzieś indziej.

Ta informacja zgadzała się z wersją wydarzeń Hugh Gordona i wielebnego Finleya.

- Kiedy mieliście się spotkać? We wtorek? Fairchild westchnął ciężko.

- Chciała we wtorek, ale było mi trudno zebrać taką kwotę. Poprosiłem, by dała mi czas do środy - przesunął dłoń po twarzy, trąc oczy kciukiem i palcem wskazującym. - Nadal zbierałem pieniądze, gdy dowiedziałem się, że ją zamordowano.

- Zatem kto ma teraz listy? Ramię Fredericka opadło bezwładnie. Wyglądał mizernie, jakby się bał.

- Chciałbym to wiedzieć. Gdy tylko usłyszałem, co się stało z Rachel, przeszedłem obok jej mieszkania. Chciałem wejść i poszukać listów, ale konstable już tam byli. Nie miałem odwagi się zatrzymać. Sebastian kiwnął głową. Zatem Fairchild był tego dnia w Dorset Court. Ale jeśli nie on przeszukał pokoje Rachel, to kto?

Fairchild poderwał się z ławki i uczynił krok naprzód. Potem zmienił zdanie i obrócił się szybko w stronę Sebastiana.

- Jeżeli te listy przedostaną się do wiadomości publicznej, będę skończony. Nieodwołalnie skończony. Sebastian przyglądał mu się, nieporuszony.

- Czy Rachel powiedziała panu kto ma listy? Wąty rumieniec zabarwił skórę na wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych hrabiego.

- Tak. Ma je Leo Pierrepont.

- No jasne - zauważył Sebastian. - Mogłem się tego spodziewać.

Na drugim końcu alei młodzieniec uspokajał rozbrykanego wierzchowca - paradnego kasztana. Sebastian podniósł głowę i wpatrzył się w białe końskie skarpetki lśniące w bladym zimowym słońcu. I znów poczuł to przejmujące wrażenie myśli błąkającej się na granicy świadomości, lecz poza jej zasięgiem.

- Kto dokładnie miał wykraść listy Pierrepontowi? Powiedziała to panu? Hrabia potrząsnął głową.

- Wiedziałem tylko, że mieli to zrobić pod nieobecność Pierreponta, gdy miał gościć w wiejskiej posiadłości hrabiego Edgewortha w Hampshire. Rachel miała nadzieję, że uda jej się wyjechać przed czwartkiem, zanim Pierrepont będzie miał szansę wrócić i dowiedzieć się,

że listy zniknęły. Mogę się mylić, ale odniosłem wrażenie...

- Tak?

- Że bała się właśnie jego. Że to przed nim uciekała. Sebastian spojrział na połyskujące w jego dłoniach ostrze. Laska ze sztyletem cieszyła się dość dużą popularnością wśród londyńskiej szlachty. Ojciec Sebastiana nosił podobną, a Leo Pierrepont szczycił się nawet całą ich kolekcją.

Sebastian z cichym szcęknięciem wsunął ostrze z powrotem do pochwy. Wiedział, że tydzień wcześniej hrabia Edgeworth wydawał przyjęcie w wiejskim domu w Hampshire; Leo Pierrepont na pewno otrzymał zaproszenie. Jeśli jednak planował spędzić tam cały tydzień, z jakichś powodów musiał zmienić zdanie, gdyż wrócił na czas, by wydać proszoną kolację we wtorek wieczorem. W dzień śmierci Rachel York.

ROZDZIAŁ 43

Sir Henry Lovejoy zajął miejsce na parterze pustej widowni teatru Stein i patrzył, jak Hugh Gordon w kostiumie Hamleta ćwiczy najważniejszy pojedynek na miecze z przyciężkim Laertesem. Odkrycie zmasakrowanego ciała Mary Grant powinno było rozwiązać wszelkie wątpliwości sędziego odnośnie winy hrabiego Dewlinu. Lovejoy osobiście przesłuchał świadka, wdowę po Charlesie Laverym, która okazała się godną zaufania, rozsądną kobietą. Jeżeli pani Lavery twierdziła, że widziała hrabiego Dewlinu wychodzącego z pensjonatu, Lovejoy był skłonny uwierzyć, iż podejrzany istotnie tam był. ^A jednak...

A jednak lekarz, który oglądał ciało Mary Grant, stwierdził, że została zabita wcześniej, może przed południem. I chociaż większość ludzi nie przywiązywała wagi do takich szczegółów, Lovejoy pokładał zbyt wiele wiary w metodach naukowych, by puścić diagnozę doktora mimo uszu. Ale jeśli Dewlin nie zabił Mary Grant, to co robił w jej mieszkaniu? Dlaczego w ogóle nie opuścił Londynu?

Lovejoy wiercił się niespokojnie na wspomnienie rozmowy z hrabią Jarvisem. Gdyby żona sędziego, Julia, wciąż była wśród żywych, powiedziałaaby, że jest upartym głupcem, który próbuje zrozumieć Sebastiana St. Cyr, zamiast po prostu skupić się na jego schwytaniu. A Henry powiedziałaaby, że robi, co w jego mocy, by złapać wicehrabiego. Po prostu chciał rozwiązać jeden czy dwa poboczne wątki dla własnej satysfakcji.

A potem zdał sobie sprawę z tego, co robi, i westchnął cicho. Jego Julia nie żyła od prawie dziesięciu lat, ale wciąż z nią rozmawiał, wyobrażał sobie, co by powiedziała, i co on by na to odpowiedział.

Odgłos upadku, a następnie ruch i pogawędka przerywana wybuchami śmiechu przyciągnęły uwagę sędziego z powrotem do sceny. Próba dobiegła końca. Hugh Gordon zbiegł lekko na parter, nadal wycierając mokrą twarz ręcznikiem.

- Chciał pan ze mną rozmawiać? - spytał. Uśmiechał się, ale Lovejoy zauważył ostrożny wyraz ciemnych oczu, ową czujność, jaką często można zaobserwować u ludzi rozmawiających z sędzią.

- Zgadza się - Lovejoy, zdrętwiały z zimna, podniósł się na nogi. - Jak rozumiem, swego czasu był pan... związany z Rachel York - przez chwilę wahał się, szukając wyrażenia, które nie obrażałoby jego moralności. Ale jakikolwiek związek pozamałżeński godził w surowe purytańskie zasady Lovejoya. Nozdrza Gordona rozszerzyły się, gdy szybko zaczerpnął powietrza.

- Wszyscy wiedzą, kto ją zabił. Ten wicehrabia Dewlinu. Załatwił Rachel, a wczoraj dorwał następną ofiarę, gdzieś w Bloomsbury. A zatem jaki jest cel tej rozmowy?

Agresja w głosie aktora zaskoczyła sędziego.

- Sprawdziliśmy pańska przeszłość, panie Gordon, i znaleźliśmy kilka niepokojących faktów.

- Na przykład?

- Czy nazwisko Adelaide Hunt coś panu mówi? Gordon zawahał się. Zacisnął szczęki, jakby zastanawiał się, co powiedzieć.

- Na pewno pan wie, że owszem. Nie widziałem jej od lat. Co ona ma z tym wspólnego?

- Jak rozumiem, zranił ją pan kiedyś i to dość poważnie. Ściśle biorąc, niemal ją pan zabił.

- Tak powiedziała?

Lovejoy nie odpowiedział, tylko patrzył wyczekująco na aktora. Mięsień w twarzy Gordona drgnął gwałtownie.

- Działalem w obronie własnej. Ta przeklęta kobieta rzuciła się na mnie z butelką z gorącą wodą, jakich używa się do ogrzewania łóżka. Wspomniała o tym?

- Jak rozumiem, wpadł pan w szal, gdy próbowała zakończyć związek. Chwyliła za butelkę, żeby się bronić.

- Nie wniesiono oskarżenia, prawda?

Lovejoy zaczerpnął głęboko powietrza wypełnionego zapachem szminki aktorskiej i delikatnym aromatem skórki pomarańczowej.

- Niektórzy mężczyźni rzucają się z nożem na kobiety, które z nimi zrywają. Jak rozumiem, był pan wyjątkowo wściekły, gdy Rachel York opuściła pana i związała się z innym mężczyzną. Przystojna twarz aktora zarumieniła się nieco.

- I co z tego? To było prawie dwa lata temu. O co wam chodzi? Już to wyjaśniałem temu drugiemu.

- Jakiemu drugiemu?

- Temu, który przychodził kilkakrotnie, pytając o Rachel. Najpierw twierdził, że jest jej kuzynem, Simonem Taylorem z Worcestershire, a potem powiedział, że jest śledczym z Bow Street.

- Co takiego? Jak wyglądał? Gordon wzruszył ramionami.

- Wysoki, szczupły, o ciemnych włosach. Udawał starszego niż jest. Byle jak ubrany.

Lovejoy poczuł przypływ zainteresowania, graniczący z ożywieniem. „Widzisz, Julio - pomyślał - uparty głupiec jednak na coś trafił.”

Ten opis zgadzał się niemal idealnie z charakterystyką mężczyzny, który wyszedł z mieszkania Mary Grant. Mężczyzny, w którym wdowa po Charlesie Laverym rozpoznała wicehrabiego Dewlinu. Edward Maitland właśnie schodził ze schodów biura, gdy sir Henry Lovejoy dotarł z powrotem na Queen Square.

- Wyślijcie kilku ludzi do pilnowania Hugh Gordona. W teatrze i w domu - powiedział Lovejoy. Konstabl wyprostował się, zaskoczony.

- Co takiego? Chyba nie sądzi pan, że Gordon jest człowiekiem, którego szukamy?

Lovejoy nie wykluczył całkowicie takiej możliwości, ale nie chciał omawiać całej sprawy z Maitlandem.

- Nie, nie sądzę. Ale wydaje się, że Dewlin jest nim zainteresowany. Już dwa razy z nim rozmawiał i może znów tego spróbować. Chcę, byśmy byli gotowi.

ROZDZIAŁ 44

Tego wieczora lady Amanda gościła u księżny Carlyle. Zwiastuny nadchodzącej katastrofy towarzyskiej były subtelne, ale wyczuwalne - czaiły się w ukradkowych spojrzeniach, szeptanych rozmowach, które milkły nagle, gdy tylko podeszła. Amanda czuła jak zimny gniew utwardza jej serce, gdy przechadzała się swobodnie między matronami o stalowych oczach i spowitymi w krepę wdowami. Była lady Amanda, żoną oddanego towarzysza księcia, hrabiego Wilcoxsa, i córką hrabiego Hendonu, kanclerza Ministerstwa

Skarbu. Obrażały ją na własną zgubę. W tłumie gości ujrzała ze zdumieniem swojego męża.

Wilcox, który nie żywił upodobania do spotkań towarzyskich i wizyt w teatrze czy operze, wypełniających czas jego żony, przeważnie udawał się po obiedzie na wieczorne obrady Izby Lordów albo do któregoś z klubów.

- Czy coś się stało, mój drogi? - spytała z uśmiechem, chwytając kieliszek szampana z tacy niesionej przez służącego. - Czyżby ostatnia eskapada Sebastiana sprawiła, że dostałeś czarną gałkę u White'a? A może Dobry Książę wylądował w Dover?

Wilcox uśmiechał się swoim zwykłym spokojnym uśmiechem, ale oczy miał poważne.

- Bayard twierdzi, że jego wuj złożył ci wizytę dziś po południu - nawet gdy mówił te słowa, jego wzrok błędził po wystrojonym tłumie. - Czy to rozsądne, moja droga?

- Doprawdy, Martinie... Naprawdę myślisz, że wysłałam mu zaproszenie? Zasugerowałam, że może się ukryć w powozowni albo przebrać za służącego?

- Nie, nie sądzę - na jedną znaczącą chwilę jego uśmiech zamarł. - Gdzie, u diabła, się ukrył?

- Zapomniał o tym wspomnieć. Ale, o ile się nie mylę, ukrywa się u tej podfruwajki, dla której tak się wygłupił po powrocie z Oksfordu.

Wilcox zwrócił spojrzenie na żonę.

- Nie mówisz poważnie.

- Ależ tak - Amanda odstawiała kieliszek. - Och, oto i lady Bainbridge. Wybacz, mój drogi. I zostawiła go z tą wiedzą, by zrobić z niej użytek lub nie, wedle woli.

Sebastian patrzył, jak Leo Pierrepont zatrzymuje konia przed powozownią. W lutym mrok szybko zapadał na ulicach Londynu, jeszcze przed czwartą. Na dziedzińcu i w ogrodach panowała ciemność.

- Giles! - zawołał Francuz, a jego głos odbił się echem w zimnej pustce. - Giles! *Ou es-tu* - odczekał jeszcze chwilę. - Charles?

Klnąc pod nosem, zsunął się z siodła i wprowadził zmęczonego kasztana do stajni. Zapalił wiszącą na krokwi lampę, rozejrzał się po oświetlonym delikatnie pomieszczeniu, potem znów zaklął półgłosem i rozpiął popręg.

Sebastian czekał ukryty w pustym boksie na końcu korytarza, słuchając stłumionych postękiwań, jakie wydaje mężczyzna nieprzyzwyczajony do rozsiodływania i czyszczenia własnego konia. Zapach ciepłej nafty mieszał się z wonią siana, owsa i końskiego potu. W boksie obok jeden z koni Pierreponta kręcił się niespokojnie.

Sebastian wyjął pistolet z kieszeni i podkrał się do miejsca, w którym Francuz, wciąż burcząc, kucnął, by wytrzeć spocony brzuch wierzchowca. Wyciągnął pistolet tak, by niemal dotykał ucha Pierreponta.

Słyszając dźwięk odbezpieczanego zamka, Francuz zamarł.

- Proszę wystrzegać się gwałtownych ruchów, monsieur Pierrepont.

Pierrepont odwrócił głowę. Zanim spojrzał w twarz Sebastiana, skupił wzrok na broni.

- Gdzie mój masztalerz i stangret?

- Gdzieś, gdzie nam nie przeszkodzą. Francuz wyprostował się powoli.

- Czego pan chce?

- Chciałbym opowiedzieć panu pewną historię. Pierrepont uniósł brwi.

- Historię?

- Tak - Sebastian oparł się o belę siana, z pistoletem trzymany swobodnie w ręce. - Zaczyna się mniej więcej tak: pewnego razu w miejscu zwanym pałacem Windsorów żył sobie stary, szalony król.

- Jakże oryginalnie...

- Nieprawdaż? Mniejsza o to, że nasz król pograża się coraz głębiej we własnym szalonym świecie, a jego Parlament w pobliskim mieście Londynie pilnie pracuje nad szczegółami ustawy, która mianuje najstarszego syna królewskiego regentem, co oznacza, że

będzie rządził zamiast ojca.

- To fascynujące - Pierrepont oparł się o drewnianą barierkę i założył ręce na piersi. - Mam nadzieję, że mogę liczyć na puentę.

- Właśnie do niej docieram. Widzi pan, w tej historii jest też czarny charakter. Mężczyzna zwany Napoleonem.

- Naturalnie. Zły zawsze jest Francuzem. Sebastian uśmiechnął się.

- Kraj Napoleona od dwudziestu lat prowadzi wojnę z naszym starym, szalonym królem, więc, rzecz jasna, Napoleon jest zainteresowany postępami prac. Zdaje sobie sprawę, że regencja może okazać się dobrodziejstwem dla Francji.

- A w jaki sposób?

- Widzi pan, król zawsze sprzyjał grupie ludzi z Parlamentu, których nazywamy torysami. Torysi, podobnie jak stary król, nie lubią zmian. Uważają, że jeśli kraj ma rosnąć w siłę, to instytucje o długiej tradycji, takie jak monarchia i Kościół, muszą mieć silną pozycję. A ponieważ torysi zarabiają krocie na wojnie, to ostatnią rzeczą, jakiej pragną, jest traktat pokojowy z naszym czarnym charakterem, Napoleonem.

- Wojna czasem przynosi spore zyski.

- Niektórym. Ale nasz przyszły regent/książę, otacza się ludźmi z innej partii. Nazwijmy ich wigami, zgoda? Otóż ci wigowie wolą patrzeć w przyszłość, niż grzebać w przeszłości. Uważają, że jeżeli kraj ma prosperować i utrzymać silną pozycję, zmiany są niezbędne. Widzą, że niektórzy ludzie bardzo się na tej długiej, kosztownej wojnie wzbogacili, za to zwykli mieszkańcy od niej ucierpieli, i to nawet bardzo. Więc powiadają:

„Dlaczego prowadzimy tę wojnę? Napoleon jest tam, w swoim kraju, my jesteśmy w swoim. To my wypowiedzieliśmy mu wojnę. Dlaczego by nie zakończyć wreszcie tego szaleństwa i nie zaprowadzić pokoju?”

- Istotnie, czemu by nie? - spytał Pierrepont i uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

- Nasz czarny charakter, Napoleon, też nie pali się szczególnie do dalszej wojny. Zamierza zaprowadzić pokój w porozumieniu z wigami, gdy obejmą władzę. Ale jest mądrym człowiekiem, więc uznaje, że nieźle byłoby wzmocnić swoją pozycję przetargową. Dociera do niego, że można to zrobić, jeżeli będzie się miało haka na dżentelmena, którego wszyscy typują na przyszłego premiera nowego rządu. - Sebastian urwał. - Nazwijmy tego wiga hrabią F., zgoda?

Po twarzy Francuza przemknął niemal niedostrzegalny wyraz zaskoczenia.

- Proszę mówić dalej.

- Napoleon ma w Londynie tajnego sprzymierzeńca, człowieka, którego nazwiemy Lwem. Pierrepont stłumił śmiech.

- Chyba stać pana na więcej, monsieur?

- Przykro mi. Dość powiedzieć, że Napoleon każe Lwu odkryć słabostkę hrabiego F. Każdy człowiek ma jakąś słabostkę i nie mija dużo czasu, a Lew odkrywa, że hrabia F. ma słabość do przystojnych młodzieńców. Zatem Lew tworzy plan. Zwabia hrabiego F. w pułapkę romansu z młodym, przystojnym urzędnikiem, powiedzmy, z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. I doprowadza do tego, że kompromitujące spotkania odbywają się w mieszkaniu jednej ze współpracownic Lwa, młodej, zaangażowanej rewolucjonistki, którą nazwiemy... - Sebastian zawahał się. - Nazwijmy ją Rachel, zgoda?

- To pańska historia.

- W rzeczy samej. Widzę to następująco: przystojny, młody urzędnik przywodzi hrabiego F. do napisania bardzo kompromitujących listów miłosnych, które dostają się w ręce Lwa. Pułapka jest gotowa. Nasi złoczyńcy muszą tylko czekać, aż hrabia F. zostanie premierem.

- Mam nadzieję, że pańskie opowiadanie dokądś zmierza.

- Już prawie skończyłem - odpowiedział Sebastian, zmieniając pozycję. - Widzi pan,

mimo że plan jest sprytny, to nie wszystko się układa niezgodnie z przewidywaniami. Coś przeraża Rachel, która postanawia uciec z Londynu. Wpada na błyskotliwy pomysł, by ukraść obciążające hrabiego Fredericka listy oraz kilka innych cennych dokumentów, zdobytych przez Lwa - i odsprzedać je zainteresowanym stronom, by zebrać w ten sposób okrągłą sumkę i zacząć nowe życie. Czekają, aż Lew wyjedzie z miasta, kradnie dokumenty i aranżuje sprzedaż.

Twarz Pierrepointa pozostała bez wyrazu.

- Niech pan mówi dalej.

- Jednak, niefortunnie dla Rachel, Lew zmienia plany. Wraca do domu z przyjęcia na wsi wcześniej. Widzi że dokumenty zniknęły, i nie mija dużo czasu, a orientuje się, kto je zabrał. Udaje się w ślad za Rachel na spotkanie w kościele Świętego Mateusza i zabija ją tam w bardzo, bardzo paskudny sposób - być może, aby ostrzec resztę współpracowników, na wypadek gdyby chcieli spróbować czegoś podobnego.

Pierrepoint opuścił swobodnie ręce.

- To bardzo zajmująca historia, monsieur le vicomte. Powinien pan rozważyć pisanie dramatów scenicznych. Albo bajek dla dzieci. Ale ma pan tylko historię. Nie ma pan dowodów. Ani najmniejszego pojęcia, w co pan się naprawdę wplątał. Jest pan głupcem. Powinien był pan dawno opuścić Londyn, gdy jeszcze była taka możliwość.

Sebastian wykrzywił usta w hardym uśmiechu.

- Jednego tylko nie rozumiem. Do czego pan potrzebował oświadczenia mojej matki - bo zakładam, że Rachel ukradła je panu? Żeby szantażować mojego ojca?

Pierrepoint udał ostentacyjny namysł.

- *Alors*. Czy przeszłość pańskiego ojca mogłaby go narazić na szantaż?

- Kto teraz jest głupcem? - Sebastian wycelował broń w pierś przeciwnika. - Co to miało znaczyć? Pierrepoint wzruszył ramionami.

- Dowody brudnych sekretów z życia ważnych ludzi zawsze się przydają - zerknął w ciemność za otwartymi drzwiami powozowni. Ale Sebastian usłyszał je dużo wcześniej - szybkie kroki skradające się przez ogród.

Ześliznął się z bali i przekradł za Francuza. Stał z ramieniem na szyi Pierrepointa, przyciskając pistolet do jego skroni.

- Proszę im powiedzieć, żeby się cofnęli - wyszeptał.

- Już! - dodał, gdy Pierrepoint się zawahał.

- *Restez là!* - krzyknął Pierrepoint. Kroki ucichły.

- Może dobrze by było ich uprzedzić, że wychodzimy. Tylko bez sztuczek - dodał Sebastian. Pierrepoint znów wydał polecenie.

- Zdaje pan sobie sprawę, że się myli? - spytał Pierrepoint, oglądając się przez ramię, gdy Sebastian prowadził go w stronę wyjścia.

- Odnosnie czego?

Ku jego zaskoczeniu, Pierrepoint zaśmiał się.

- Co do reszty, nie zamierzam pana informować. Ale myli się pan co do jednego - powiedział, gdy Sebastian puścił go i cofnął się w mrok. - Nie zabiłem Rachel York.

ROZDZIAŁ 45

Po dniu spędzonym na niczym Jarvis był niespokojny. Niecierpliwie czekał na mające nastąpić wydarzenie. Za niecałe trzydzieści sześć godzin książę Walii miał zostać zaprzysiężony jako regent. Następnego dnia zapowiadał się ciekawie. Bardzo ciekawie.

Jakiś czas po północy odłożył raport i wstał. W domu panowały pustka i cisza, wszystkie kłopotliwe kobiety jego życia dawno już udały się na spoczynek do swoich komnat.

Jarvis zszedł na dół, do biblioteki, nalał sobie szklanek brandy, przekręcił klucz w

prawej górnej szufladzie biurka i otworzył ją. Nieczęsto pozwalał sobie na luksus triumfu, ale tym razem uznał, że mu się należy. Wyjął kartkę papieru, i trzymał ją w dłoniach chwilę.

Gdy zamykał szufladę, uśmiechając się lekko do siebie, usłyszał głos córki.

- Czy coś się stało?

Poderwał głowę. Stała w drzwiach, osłaniając przed przeciągiem wąty płomień świecy. Hero była wysoka - Jarvis uważał, że zbyt wysoka - i o wiele za chuda. Miała wąskie biodra i płaską pierś. Jej mysie, brązowe włosy były, wbrew modzie, długie i proste. Ostatnio lubiła je nosić związane z tyłu głowy w ciężki, surowy węzeł, bardziej pasujący do jakiejś protestanckiej misjonarki niż do młodej, eleganckiej damy. Ale tej nocy rozpuściła je, a w złotym blasku świecy Jarvis nagle zdał sobie sprawę, że jego córka mogłaby być całkiem ładna, gdyby tylko spróbowała.

- Coś się stało z twoją ostatnią fryzurą. Powinnaś częściej rozpuszczać włosy. Skróć je wokół twarzy i noś loczki, teraz to modne.

Parsknęła śmiechem, zaskoczona.

- W loczkach wyglądałabym śmiesznie, i dobrze o tym wiesz. Zresztą nie mówiłam o sobie - jej uśmiech ustąpił miejsca zatroskaniu. - Czy na pewno dobrze się czujesz?

Jarvis miał wyjątkowo ujmujący uśmiech. Już dawno nauczył się go używać, by nagradzać, uspokajać i zwodzić. Skorzystał z niego i teraz, by ujrzeć, jak zmartwienie znika z twarzy córki. Uśmiechnęła się do niego.

- Wszystko w porządku, moje dziecko - powiedział i zamknął szufladę na klucz.

ROZDZIAŁ 46

Kat zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Powoli bladły wspomnienia lat udawania i chłodnej kalkulacji, żelaznej determinacji w trzymaniu uczuć na wodzy. Czowała ciepłą wewnętrzną radość palców na śliskiej od potu skórze ukochanego. Przypominała sobie, jak to jest czuć ściskające w dołku uniesienie, gdy w ciemności widzi się nad sobą znajome ramiona, czuje zapierającą dech w piersi rozkosz, silne dłonie wokół nadgarstków, trzymające ją w chętniej niewoli, delikatne wargi błędzące po jej ciele, i że prócz zwykłej, fizycznej przyjemności istnieje niemal mistyczny zachwyt duchowego zjednoczenia.

Noc była ciemna i cicha, wypełniały ją jedynie przyspieszone oddechy i trzask bierwion płonących na kominku sypialni. Wpiła się drżącymi palcami w sztywniejące ciało Sebastiana, zacisnęła nogi wokół jego talii, usłyszała swoje imię w udreżonym krzyku i poczuła, jak wstrząsa nim spazm. Jego ciało pulsowało głęboko w jej wnętrzu.

Potem odgarnął włosy z wilgotnego czoła Kat, przytulił ją i położył się obok, całując delikatnie skroń dziewczyny. Jego uśmiech był pełen czułości, ale oczy same się zamykały. Poczuła, że opuszczają go napięcia i troski długiego dnia. Jego uścisk zelżał. Wiedziała, że śpi.

Czasem dręczyły go koszmary, wspomnienia wojny. Budził się zlany potem, z szeroko otwartymi oczami. Teraz jednak spał spokojnie. Leżąc cicho obok, słuchała jak oddycha, obserwowała grę cieni na jego silnych rysach. Ale gdy poczuła, że napływ uczuć staje się nie do zniesienia, wstała delikatnie, żeby go nie zbudzić. Chwyciła kaszmirowy szal z oparcia krzesła i stanęła przy oknie, spoglądając na pogrążony we śnie ogród.

Nigdy nie przestała go kochać. Przypuszczała, że w głębi serca zawsze o tym wiedziała. Teraz wiedziała także, że mimo gniewu i rozgoryczenia ostatnich sześciu lat miłość Sebastiana wciąż płonęła ciepłym, pięknym blaskiem. Ale najtrudniejsza była świadomość, że nigdy nie przestanie go kochać, że ból, jaki towarzyszy tej miłości, będzie trwał i trwał przez wszystkie puste, samotne lata, które nadejdą.

Zasłona opadła. Kat odwróciła się do mężczyzny, wciąż śpiącego spokojnie w jej łóżku. Błądziła wzrokiem po jego ciele, po dumnych, arystokratycznych liniach nosa i szczęk.

Przez chwilę słabości pozwoliła sobie na szalone, niebezpieczne marzenie, kuszącą fantazję wspólnej przyszłości, gdyby Sebastian nie zdołał oczyścić się z ciężących na nim zarzutów; gdyby, zamiast z czasem zastąpić ojca jako hrabia Hendonu, miał zostać na zawsze uciekinierem.

Niemal życzyła sobie, by tak się stało, jednak nie do końca; mimo że z piersi wyrwało się westchnienie, a w oczach stanęły łzy. Bo właśnie dlatego, że Kat kochała Sebastiana tak mocno, odepchnęła go przed sześcioma laty. I dobrze wiedziała, kim był ten, którego obdarzyła miłością. Wiedziała, że do ostatniego tchu Sebastian będzie walczył, by oczyścić swoje imię. Albo zginie w trakcie tej próby.

Następnego ranka, gdy Sebastian wrócił do „Róży i Korony”, słońce było ledwo widoczne nad horyzontem. Tom znalazł go w pokoju, przy śniadaniu. Chłopak wpadł do środka, przynosząc zapach miasta, śniegu, dymu węglowego i pieczonego mięsa sprzedawanego przez ulicznych kiełbaśników.

- Niech mnie! Zimno jak diabli - powiedział strząsając śnieg z butów i chuchając na sztywne, zaczerwienione dłonie, które następnie ogrzał nad ogniem.

Sebastian spojrzał znad grzanki, którą właśnie smarował masłem.

- Gdzie masz rękawiczki?

- Oddałem Paddy'emu.

- Komu?

- Paddy'emu O'Nealowi. To sąsiad tego aktora, Hugh Gordona. I niech pan tylko słucha: Paddy mówi, że Gordon buchnął mu dryndę, po którą Paddy wysłał jednego z chłopaków z okolicy, we wtorek wieczorem. Nawet groził, że pobije Paddy'ego, jak ten pacan zaczął mu wymyślać.

Sebastian odsunął krzesło i wstał.

- Jesteś pewny, że to było we wtorek? Stary dureń mógł pomylić dni...

- Nie ten cwaniak. Co wtorek od piętnastu lat bierze udział w Nieustającej Modlitwie na Lower Weymouth Street. Jego działka trwa od dziewiątej do dziesiątej, i tam się wybierał, gdy Gordon gwizdnał powóz.

Zaskoczony Sebastian spojrzał na chłopca.

- A skąd ty wiesz o takich rzeczach jak Nieustające Modlitwy? Tom zarumienił się nieznacznie.

- Się wie...

Sebastian nie ciągnął tego tematu.

- Zatem Gordon wyszedł przed dziewiątą? Tom kiwnął głową.

- Zgadza się. I jeszcze jedno: nasz Paddy wie nawet dokąd Gordon wybył - słyszał, jak dawał rozkaz stangretowi.

- I...?

- Kazał mu jechać do Westminsteru.

ROZDZIAŁ 47

Gdy kilka godzin po wyjściu Sebastiana Kat siedziała w garderobie, odpisując na listy, jej zmieszana pokojówka wprowadziła do pokoju Pierreponta. Kat zerknęła znad biurka, zaskoczona.

- Leo, czy to rozsądne?

Pierrepont rzucił kapelusz na pobliski stolik i stanął przy oknie wychodzącym na ulicę.

- Był tu dziś w nocy, tak?

- Pytasz o Sebastiana? Drogi Leo, co ty wyprawiasz? Czyżbyś zaglądał przez szparę w zasłonach? Nie odwracał oczu od okna.

- A hrabia Stoneleigh?

Kat odłożyła pióro i swobodnie rozparła się na krześle.

- Jego hrabiowska mość mnie znudził. Nie mam wątpliwości, że zdoła przeboleć ten straszny cios powiedzmy... - cyniczny uśmiech wykrzywił jej wargi - w ciągu dwóch tygodni?

Leo nie odpowiedział. Taką mieli umowę. Kat od początku postawiła sprawę jasno: kochanków, albo ofiary, jak ich nazywał Leo, wybierała sobie sama. O ile bowiem Kat często współpracowała z Leo, nigdy dla niego nie pracowała w ścisłym tego słowa znaczeniu. Mógł prosić o przysługę, ale nie był na tyle głupi, by jej rozkazywać.

Odwrócił się nagle od okna. W świetle poranka jego twarz była dziwnie zmęczona.

- Twój związek z Dewlinem jest niebezpieczny. Zdajesz sobie z tego sprawę? On podejrzewa, że moje kontakty z Paryżem nie są dokładnie takie, jakimi je przedstawiam.

Kat wstała od biurka.

- Tak długo, jak kończy się na podejrzeniach...

- Wie także o skradzionych dokumentach. Kat stała nieruchomo.

- Jakich dokumentach, Leo?

Cienkie nozdrza Pierrepona rozszerzyły się w gwałtownym oddechu.

- W zeszłym tygodniu, gdy byłem w Hampshire, ktoś ukradł papiery z mojej skrytki bibliotecznej. Mężczyzna i kobieta, działali razem.

- Kogo podejrzewasz? Mnie? Leo potrząsnął głową.

- To byli amatorzy. Zawahał się, po czym rzekł:

- Myślę, że mogła to być Rachel.

Kat poczuła dreszcz lęku wzdłuż kręgosłupa.

- O jakich dokumentach mowa, Leo?

Wzruszył ramieniem, jak to Francuzi mają w zwyczaju.

- Listy miłosne od hrabiego Fredericka do młodego urzędnika z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Akt urodzenia dziecka księżniczki Karoliny, które przyszło na świat na kontynencie przed kilkoma laty. Tego typu rzeczy.

- Co jeszcze?

Przenikliwe szare oczy zabłyśły rozbawieniem.

- Chyba nie myślisz, że ci powiem, *mon amiel* Kat nie uśmiechnęła się.

- Czy jest coś na mnie? Potrząsnął głową.

- Nie. Powinnaś być dość bezpieczna, chyba że zrobisz coś głupiego. Ja wręcz przeciwnie: może się okazać, że będę musiał dość nagle opuścić Londyn. Jeśli tak będzie, wyślę ci wiadomość. Wiesz dokąd jechać?

- Tak - wszystko zostało załatwione wcześniej, włącznie z ustaleniem punktu kontaktowego. Był to leżący na uboczu zajazd, na południe od miasta, w którym miała się z nim spotkać, gdyby musiał opuścić Anglię.

Kat patrzyła, jak sięga po kapelusz. Kradzież prawdopodobnie cennych dokumentów stawiała śmierć Rachel w nowym, ponurym świetle.

- Powiedz mi jedną rzecz, Leo. Dlaczego wróciłeś wcześniej z przyjęcia u hrabiego Edgewortha w zeszły wtorek?

Odwrócił się do niej.

- Dostałem wiadomość, że spotka się ze mną emisariusz z Paryża. Dlaczego pytasz?

- Więc to z nim spotkałeś się w ciągu godziny, gdy zaniedbywałeś gości?

- Tak. Przyjechał wcześniej, niż oczekiwałem. - Leo przekrzywił głowę i zmierzył Kat oceniającym spojrzeniem. - Znów myślisz, że to ja zabiłem Rachel, hmm?

- Zdaje się, że miałeś powód. Pierrepont nałożył kapelusz.

- Twój wicehrabia też go miał.

- Doprawdy? Jak to możliwe?

Francuz uśmiechnął się.

- Zapytaj go o to.

Gdy Sebastian wychodził z „Róży i Korony” w stronę Covent Garden, drogę zastąpił mu obdarty chłopiec w wieku około ośmiu lat. W rękę trzymał wiadomość od Paula Gibsona.

„Jeżeli możesz, spotkaj się ze mną - nabazgrał pospiesznie Irlandczyk. - Będę do południa w przytułku dla ubogich przy Chalks Street.”

Sebastian rzucił chłopcu pensa, wahał się przez chwilę, i w końcu skierował kroki w stronę East Endu. Przytułek mieścił się w poczerniałych od sadzy starych kamiennych budynkach byłego opactwa franciszkanów na obrzeżach Spitalfields, niedaleko Shepherd's Place. Prowadzony był przez prywatne stowarzyszenie dobroczynne jako humanitarna alternatywa dla publicznych przytułków i domów dla ubogich, zapewniając biedakom z dzielnicy ubrania, żywność, a w miarę możliwości - także schronienie. Paula Gibsona można było tam często spotkać o najdziwniejszych porach przy bandażowaniu ran robotników, badaniu dzieci, które nie rozwijały się, tak jak powinny, czy rozdawaniu zabezpieczeń rosnącej populacji okolicznych prostytutek.

- Z każdym rokiem młodsze - westchnął Gibson, prowadząc Sebastiana do małej nieogrzewanej alkowy oddanej mu do użytkowania przez władze przytułku. - Nie sądzę, by choć jedna z dzisiejszych miała szesnaście lat.

Sebastian patrzył przez zakurzone, oprawione w ołów okno, jak ostatnia z pacjentek doktora przebiega na drugą stronę ulicy. Wyglądała najwyżej na dwanaście lat.

- W tym zawodzie nie ma co liczyć na długie życie.

- Niestety, nie - odpowiedział Gibson. Na szczęście tego ranka jego oczy były czyste i błyszczące. - Pomyślałem, że tutejsze *filles de joie* mogą być cennym źródłem informacji odnośnie dżentelmenów o pewnych paskudnych upodobaniach, ale, póki co, niczego się nie dowiedziałem - Gibson wytarł ręce i zamknął szafkę, w której trzymał skromne zapasy lekarstw. - Jest jednak coś, o czym powinienes wiedzieć. Po zakończeniu autopsji Rachel miałem dziwne dręczące uczucie, że coś uszło mojej uwagi. Bardzo długo nie mogłem dociec, co to było, ale wczoraj wieczorem, w czasie wykładu o mięśniach u Świętego Tomasza, wreszcie mnie oświeciło.

Sebastian odwrócił się od okna, szukając spojrzeniem twarzy przyjaciela. - Co takiego?

- Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zauważyłem obmywając ciało Rachel York, była złamana dłoń. Charakter urazu nie pozostawiał wątpliwości, że nastąpił już po śmierci, i dlatego na początku nie przywiązywałem do niego wagi. Po prostu założyłem, że zrobiła to kobieta, którą zatrudniono do przygotowania ciała do pogrzebu - wiesz, że często nie da się tego uniknąć. Ale wczoraj wieczorem zacząłem się zastanawiać...

- Tak?

- Jeżeli trzeba było złamać dłoń Rachel, żeby ją otworzyć, to znaczy, że musiała być zaciśnięta. W ten sposób - Gibson podniósł dłoń zwinętą w pięść. - Wiemy jednak, że Rachel podrapała napastnika - rozczapierzył palce, o tak - rozluźnił dłoń. - Gdyby zgwałcono ją przed śmiercią, może, pod koniec życia, zaciśnęłaby pięść, tak, jak się zazwyczaj robi, gdy człowiek stara się znieść ból. Ale wiemy, że tak się nie stało.

- Co chcesz powiedzieć? Że umierała, trzymając coś w dłoni? Gibson kiwnął głową.

- Tak podejrzewam. Oczywiście, to mogło być coś przypadkowego, na przykład kępka włosów wyrwanych napastnikowi.

- Albo, równie dobrze, coś o wiele ważniejszego. Teraz już się nie dowiemy.

- Może i nie. Staram się znaleźć kobietę, która wykonywała ostatnią posługę. Jeżeli uda mi się ją przekonać, że nie chcę jej ścigać za kradzież, może powie prawdę.

Sebastian stanął przy oknie wychodzącym na wąską, zaśmieconą uliczkę. Nad miastem wisały nisko ciemnoszare chmury zwiastujące deszcz.

Po chwili Irlandczyk podszedł do niego i także wpatrzył się w niebo.

- Zastanawiałaś się nad krótkim odpoczynkiem w Ameryce? Sebastian zaśmiał się cicho.

- Mam niewielkie szanse na znalezienie mordercy Rachel gdzieś w Baltimore czy Filadelfii, prawda?

- Mniejsza o Rachel York. Ona nie żyje. Martwię się o Sebastiana St. Cyr. Sebastian potrząsnął głową.

- Nie mogę wyjechać, Paul. Sprawa jest poważniejsza, niż myślałem. Znacznie poważniejsza.

Paul Gibson przysiadł na stołku obok i słuchał, jak Sebastian opowiada o powiązaniach Rachel z Leo Pierrepontem.

- Jak myślisz? - spytał, gdy Sebastian skończył. - Sądysz, że Pierrepont domyślił się, iż ukradła papiery i zabił ją?

- On albo któryś z mężczyzn, o których Francuzi zbierali obciążające informacje. Wątpię, czy Rachel próbowała dobić targu jedynie z hrabią Frederickiem i moim ojcem. Każdy z nich mógł ją zabić.

Doktor kiwnął głową.

- Ta dziewczyna wplątała się w ciemne sprawy z niebezpiecznymi ludźmi.

- Przypuszczam, że wyrwane kartki z jej notesu dotyczą hrabiego Fredericka i Pierreponta, ale zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek się tego dowiem - odetchnął gwałtownie.

- Możliwe nawet, że dokumenty Pierreponta nie mają nic wspólnego z jej śmiercią, poza tym, że tłumacza jej obecność w kościele o tak późnej porze.

Gibson obserwował go zmrużonymi oczami.

- Jest jeszcze coś, prawda?

Sebastian spojrzał w oczy przyjaciela i kiwnął głową.

- Mój siostrzeniec, Bayard. Wydaje się, że miał obsesję na punkcie Rachel. Wszędzie za nią łaził.

- To dość powszechne zjawisko, zwłaszcza w przypadku pięknych aktorek i tancerek oraz młodych mężczyzn od niedawna kosztujących uroków miasta.

- Możliwe. Tyle, że w sobotę przed śmiercią Rachel Bayard wpadł w szal w „Siódemce” i groził, że ją zabije, że urwie jej głowę.

- Ach, to już nie tak częste. Jak myślisz, jest do tego zdolny?

- Nigdy go nie lubiłem, gdy był dzieckiem. Bywał okrutny. Nawet podły... - Sebastian urwał. - Ale wydaje się niemożliwością, by to zrobił, tym bardziej że spędził wieczór w sposób dość hałaśliwy i rzucający się w oczy, a potem zwałił się nieprzytomny przed klubem Cribba. Ojciec odwiózł go do domu. Gibson przez chwilę siedział w milczeniu, zagubiony w myślach.

- Nie, to raczej niemożliwe, prawda? Jest jeszcze ta druga kobieta, Mary Grant. Dlaczego Bayard miałby ją wytropić i zabić?

Sebastian potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Chociaż, na dobrą sprawę, to samo można powiedzieć o Gordonie. Rachel była mu winna pieniądze, a Gordon jest pogrążony w długach do tego stopnia, że mógłby ją zabić w afekcie, gdyby odmówiła zapłaty. Ale pokojówka? To nie ma sensu. Chyba, żeby... - Sebastian urwał.

- Co takiego?

Sebastian pochylił się na krześle.

- Chyba, że Gordon ścigał Mary Grant, bo szukał dokumentów, które zabrała Rachel. Pomyśl: Gordon wiedział, że Rachel miała kontakty z Pierrepontem i Francuzami. A jeżeli wiedział też, że ukradła dokumenty i chce je sprzedać? Mógł zdecydować, że je przechwyci, i że to on je sprzeda.

- A co pan Gordon mówi o swoich wtorkowych zajęciach? Sebastian podniósł się ze

stołka.

- Twierdzi, że był w domu i uczył się roli. Ale pewien znikomy stary Irlandczyk, niejaki Paddy O'Neal donosi, że Gordon wyjechał powozem tuż przed dziewiątą.

- Masz pojęcie dokąd się mógł udać? Sebastian uśmiechnął się.

- Do Westminsteru.

Sebastian znalazł Hugh Gordona w sklepie z materiałami na Haymarket. Aktor oglądał delikatną wełnę z Bath, leżącą na półce przy ścianie.

- O, Boże... To znowu pan - powiedział na widok Sebastiana. - Czego, u diabła, chce pan tym razem?

- Może, tak dla odmiany, prawdy? - Sebastian oparł się z uśmiechem o ciemną boazerię. - Poszedł pan za Rachel do Świętego Mateusza w zeszły wtorek. Zgadza się?

- Co takiego? - Gordon zerknął nerwowo przez ramię. - Oczywiście, że nie. Jak już mówiłem, w zeszły wtorek wieczorem byłem w domu, uczyłem się roli.

- Paddy O'Neal twierdzi co innego.

- Paddy? Co, u diabła, ten stary wariat ma z tym wspólnego?

- Mówi, że gwizdnął pan powóz, który wezwał wieczorem, i pojechał do Westminsteru.

- On kłamie.

- Doprawdy? Potrzebował pan pieniędzy, i to o wiele więcej, niż Rachel była panu winna. Myślę, że dowiedział się pan o dokumentach, które zabrała Pierrepontowi, i postanowił skłonić Rachel do ich oddania. Rachel jednak odmówiła - Sebastian pochylił się i zniżył głos. - Wtedy chwycił ją pan, zgadza się? Może nawet potrząsnął, jak to pan ma w zwyczaju. Ale tym razem walczyła.

Próbowała wydrapać panu oczy. Więc uderzył ją pan na odlew...

- To jakieś szaleństwo... - zaczął Gordon.

- W twarz - ciągnął Sebastian. - A gdy znów się na pana rzuciła, wyciągnął pan ostrze z laski i przeciął jej gardło. A potem, ponieważ walka z kobietą zawsze pana podnieca, zgwałcił ją pan...

- CO? - w głosie Gordona zabrzmiało autentyczne zdumienie. - Co pan mówi? Rachel została zgwałcona PO ŚMIERCI?

- Tak jest - odpowiedział Sebastian. - Przypuszczam, że gdy mężczyzna daje upust tak gwałtownej namiętności, przeżywa skrajne wyczerpanie. Może dlatego udał się pan do mieszkania Rachel dopiero następnego dnia, w nadziei, że znajdzie dokumenty. Tylko że jej pokojówka zdążyła do tego czasu splądrować mieszkanie, prawda? Więc musiał pan znaleźć i ją. A gdy tak się stało, ją też pan zabił. Zastanawiam się, dlaczego. Nie chciała oddać dokumentów? Czy może zdał pan sobie sprawę, że gustuje w martwych kobietach?

Gordon przełknął ślinę tak gwałtownie, że grdyka poruszyła się w górę i w dół.

- Klnę się na Boga, że nie jest tak, jak pan myśli. Sebastian odepchnął się od ściany i opuścił ręce. Gordon cofnął się szybko i oblizal nerwowo zeschnięte wargi.

- Ma pan rację. Pojechałem tej nocy do Westminsteru. Ale nie byłem w pobliżu Świętego Mateusza - zawahał się, potem powiedział pospiesznie: - Chodzi o kobietę.

Jej... rodzina nie zaakceptowałaby związku ze mną, więc spotykamy się w oberży niedaleko Opactwa.

Nazywa się „Pod Trzema Piórami”. Spędziliśmy tam pół nocy. Może pan spytać oberżystę, jeżeli pan zechce.

Sebastian kiwnął głową. To powinno być łatwe. Jego uwagę przyciągnął ruch na ulicy, za ozdobionym pasmanterią oknem sklepu. Zaczęło padać, bruk powoli ciemniał od wilgotnej, rzadkiej mżawki.

Sebastian zerknął na aktora. Gordon też patrzył na ulicę.

Sebastian przyjrzał się poczerwieniałej nagle twarzy aktora. Zdał sobie sprawę, że

Gordon był zaskoczony faktem, że Rachel została zgwałcona po śmierci, ale nie okazał zdziwienia na wzmiankę o dokumentach zabranych Pierrepontowi.

- A jednak wiedział pan o papierach Pierreponta. Gordon drgnął.

- No, dobrze. Wiedziałem. Rachel wspomniała o tym, gdy naciskałem na nią w sprawie pieniędzy. Ale, przysięgam na Boga, nie zabiłem jej.

Sebastian odsunął się tak, że aktor znalazł się między nim a drzwiami.

- Kto jeszcze wiedział, że Rachel ma te dokumenty?

- Nie wiem. Skąd miałbym wiedzieć? Dlaczego nie spyta pan jej kochanka? - dolna warga aktora wygięła się w pogardzie. - On powinien wiedzieć. W końcu pomagał je ukraść.

Przed drzwiami sklepu przebiegł mężczyzna. Miał odwróconą głowę, tak że Sebastian dostrzegł tylko część twarzy. Było jednak coś znajomego w zarysie ramion, linii szczęki.

- Kochanek? - spytał ostro Sebastian. - Kto? Jak się nazywa?

- Donatelli. Giorgio Donatelli - odpowiedział aktor. W tej samej chwili do sklepu wpadł Edward Maitland, w towarzystwie drugiego konstabla.

ROZDZIAŁ 48

Sebastian pobiegł na zaplecze. Skórzane podeszwy wysokich butów ślizgały się na gładkiej drewnianej podłodze.

- Stać! - krzyknął za nim Edward Maitland. - W imię króla żądam, byś się zatrzymał!

Sebastian wyminął zręcznie stół wyładowany wysoko belami jedwabiu i satyny, a następnie przewrócił go tak, że tkaniny spadły wprost na konstabla, zbijając ich z nóg.

- Zatrzymajcie go! - wrzasnął Maitland, gramoląc się na czworakach spod zwałów lśniących materii. Ktoś chwycił Sebastiana za płaszcz. Mężczyzna obrócił się, ciskając niewielką szufladę z pasmanterią wprost w pokaźny brzuch jakiegoś próbującego go chwycić napastnika. Natręt zaczerpnął tchu i puścił Sebastianowy płaszcz.

Sebastian zauważył tylne wyjście od strony pracowni krawieckiej. Błagając w duchu, by były otwarte, runął w ich kierunku, i uśmiechnął się, czując, że klamka ustępuje pod naciskiem dłoni. Jednym susem przesadził niewielki ganek i wybiegł na wąską uliczkę. Minął sterty połamanych drewnianych skrzyń i beczek o pordzewiałych okuciach. Znikł za rogiem Panton Street w chwili, gdy Maitland wyskoczył z tylnego wyjścia sklepu. Gwałtowny deszcz zagłuszył jego krzyki.

Sebastian uciekał na zachód, w stronę Leicester Square, klucząc między wysokim faetonem a szkarłatnym barouchem. Tuż nad uchem usłyszał trzask bicia, drewno zatrzęszczało, konie spłoszyły się, parskając, i stanęły dęba. Usłyszał krzyk kobiety.

Nie zatrzymał się. Wiatr targał jego płaszczem, deszcz siekł po twarzy. Potrząsnął głową, by lepiej widzieć i obejrzał się przez ramię. Zobaczył Edwarda Maitlanda jakiegoś sto jardów za sobą. Drugi konstabl odpadł z pościgu.

Byli w tej części miasta, w której modne ulice, takie jak Picadilly czy Pall Mail, przechodzą niepostrzeżenie w wąskie zaułki i ciemne uliczki Covent Garden. Bruk pod stopami stał się bardziej nierówny, na ulicach panował większy tłok. Banda obdartych uliczników zaczęła wiwatować, gdy Maitland pośliznął się na kupie gnoju i omal nie przewrócił, a stara kobieta w zniszczonym szalu krzyknęła za Sebastianem: „Młodzieńcze, oby Bóg ci sprzyjał!”.

Potem usłyszał głos Maitlanda: „Zatrzymać go! To morderca!” Podniósł wzrok i zobaczył, że wylot ulicy blokuje patrol konny z Bow Street, wracający z objazdu rogatek miejskich: trzech mężczyzn w błękitno-czerwonych mundurach, na roślących bułanych chabetach.

Guardziści spięli konie, podkowy zagrzmiały w wąskiej przestrzeni między dwoma rzędami starych, krytych łupkiem domów. Przed Sebastianem był wylot wąskiej uliczki.

Skręcił w nią i znalazł się w tłumie obdartych żebraków, wychudzonych, zgarbionych mężczyzn i kobiet o brudnych twarzach, w zniszczonych ubraniach.

W ramionach trzymały zawinięte w podarte szale popłakujące niemowlęta. Były też starsze, kilkuletnie dzieci o matowych rozczochranych włosach i wyrostki w łachmanach, z ramionami i nogami we wrzodach. Tu zebrali się zdesperowani miejscy biedacy odprawieni z kwitkiem z przytułku Świętego Marcina.

Sebastian przedzierał się przez tłum wokół przytułku. A potem, na końcu ulicy, jakiś mężczyzna rzucił beczką sprzedawcy jabłek w okno pobliskiej piekarni. Szyba pękła z głośnym trzaskiem. Przez tłum ludzi o wychudłych twarzach i podkrążonych oczach przebiegł stłumiony pomruk: „Chleb! Chleb za darmo!”

Tłum postąpił naprzód, falując wokół Sebastiana, ciągnąc go za sobą w kierunku Flemming's Row. Stał tam Edward Maitland w towarzystwie trzech znajomych gwardzistów z Bow Street. Konie trzęsły niespokojnie łbami, chrapy falowały. Konstable wstrzymywali konie u wylotu ulicy, odsiewając tłum przez sito końskich ciał, tłum, który wciągał Sebastiana w ich pułapkę.

Sebastian podjął próbę odwrotu, ale napór tłumu był zbyt wielki. Zobaczył błysk triumfu na przystojnej twarzy Maitlanda, dziką radość w jego oczach, gdy czekał wraz z patrolem z Bow Street, aż tłum po prostu przywlecze Sebastiana prosto pod jego nogi. Sebastian przypomniał sobie prąd w zatoczce, w której często pływał, jako chłopiec. Ten zimny nurt mógł być śmiertelnie niebezpieczny i wynieść nieostrożnych daleko na morze. On i jego bracia nauczyli się szybko, że z prądem wygra tylko ten, kto pozwoli mu się ponieść. Dlatego Sebastian zaprzestał walki i po prostu pozwolił się ponieść tłumowi, jedynie balansując ciałem, by dać się zepchnąć na jedną stronę, najpierw do krawężnika, potem na wąski, brukowany chodnik przed domami naprzeciwko przytułku Świętego Marcina.

Kiedyś tutejsze domy były wysokie, miały nawet po trzy piętra, czasem więcej. Jednak od tego czasu podupadły i zmieniły się w kwatery dla ubogich. Przez nieszczelne dachy przeciekała woda, wybite okna pozatykano szmatami, drzwi na ulicę wisiały na zawiasach, albo w ogóle ich brakowało. Sebastian nie spuszczał oczu z konstabli u wylotu ulicy, żeby nieostrożne spojrzenie nie zdradziło przedwcześnie jego zamiarów. Dlatego zauważył, kiedy Maitland odgadł jego zamiary.

Maitland krzyknął ostrzegawczo do konstabli i runął naprzód, w tej samej chwili, gdy Sebastian wskoczył w ciemną sień.

Znalazł się w źle oświetlonym korytarzu, śmierdzącym uryną, wilgocią i zgnilizną. Kiedyś ściany pokryte były wzorzystym purpurowym jedwabiem, lecz teraz z poplamionych gipsowych ścian zwisały tylko wypłowiałe strzępy. Gdzieś gips odpadł, odsłaniając szkielet budynku. W otwartych drzwiach po lewej stronie stała ciemnowłosa dziewczynka, najwyżej pięcioletnia. W ramionach trzymała coś, co wyglądało jak nowo narodzone dziecko. Pokój za nią był pusty.

Stała nieruchomo, w milczeniu, otwierając szeroko oczy, i patrzyła, jak Sebastian biegnie korytarzem, obok połamanych balustrad i gołych, chybotliwych stopni - wszystkiego, co zostało z niegdyś imponującej klatki schodowej. Tylne drzwi były uchylone. Sebastian wybiegł przez nie, zeskoczył z połamanych stopni i pokonał niewielki dziedziniec zamknięty z dwóch stron przez gnijące góry odpadków. Stara powozownia ograniczała teren z trzeciej strony, ale jej dębowe wrota były zamknięte.

- Do kroćset - zaklął, waląc pięścią w twarde drewno. Zza domu dobiegły krzyki i nagły, alarmujący dźwięk dzwonka. - Do kroćset - powtórzył, przyciskając plecy do drzwi.

Obok strome schody prowadziły na piętro budynku. Rzucił się w ich kierunku. Drzwi na szczycie też były zamknięte. Sebastian kopnął w nie raz, potem drugi. Drewno ustąpiło, drzwi uchyliły się na skrzypiących zawiasach.

Przestrzeń piętra była podzielona. Resztki zeschniętego siana kruszyły się pod stopami,

wzbijając tumany pyłu, wirujące w słabym świetle z pokrytego kurzem okna w przeciwległej ścianie. Sebastian otworzył okno, przerzucił nogi przez parapet i przecisnął się przez wąski otwór. Rozpadało się jeszcze bardziej, zimne krople chłostały go dokuczliwie po twarzy. Mężczyzna opuścił się na rękach i zwolnił chwyt.

Spadł na śliski bruk, przewrócił się i poderwał do ucieczki, ślizgając się na zgniłych liściach kapusty i starej słomie. Przed sobą miał zrujnowane stajnie wychodzące na boczną uliczkę. W tym miejscu tłok był o wiele mniejszy i bez trudu mógł się przecisnąć, oddalając się od magazynu i Maitlanda oraz patrolu z Bow Street. Za sobą usłyszał krzyk, potem dźwięki dzwonka. Zgarbił się i podjął wędrówkę. Był już tylko jednym z wielu obdartych, mokrych, brudnych mężczyzn. Nikt by go nie rozpoznał, chyba że po wzroście i zdrowym wyglądzie.

ROZDZIAŁ 49

Po południu Giorgio Donatelli biegł do domu w strugach deszczu, z bochenkiem chleba pod pachą.

Schował się pod niewielkim daszkiem nad drzwiami i szukał kluczy, gdy Sebastian poruszył się za nim.

- Pan pozwoli, że pomogę - powiedział, sięgając zza przerażonego Włocha do drzwi.

- Matko Boska - szepnął Donatelli, blednąc. Chleb wysunął się z bezwładnych palców.

- Tylko nie pan, znowu... Sebastian złapał chleb, zanim ten spadł na ziemię, i uśmiechnął się szeroko.

- Może utniemy sobie małą pogawędkę?

- Nie mówił pan, że byliście z Rachel kochankami - powiedział Sebastian.

Donatelli siedział przy płonącym kominku w zniszczonym fotelu pokrytym żakardowym obiciem. Trzymał łokcie na kolanach, a głowę w dłoniach. Wolno podniósł głowę i zacisnął szczęki.

- Znam wasze zwyczaje, wiem, co Anglicy myślą o cudzoziemcach.

Sebastian stanął w przeciwległym kącie pokoju, z plecami opartymi o ścianę i rękami na piersiach. On też znał swoich pobratymców, ich arogancję i lęki oraz skłonność do pochopnego obwiniania obcych, bez rozważenia racji czy nawet jednej rozsądnej myśli. Donatelli miał rację; jeżeli władze wiedziałyby, że był kochankiem Rachel, aresztowałyby właśnie jego, niezależnie od dowodów obciążających Sebastiana.

- Słyszałem, że Rachel zamierzała opuścić Londyn - powiedział Sebastian. - Wiedział pan o tym? Donatelli zerwał się na nogi. Jego oczy płonęły gniewem.

- Co pan sugeruje? Miałbym paść w szal na wieść o tym zamiarze i zabić ją? Matko Boska, oczywiście, że wiedziałem. Nosila moje dziecko! Sebastian stał nieruchomo.

- Planowaliście wspólną ucieczkę, tak? Dlaczego? Po latach zmagania wreszcie ma pan więcej zleceń, niż może wykonać, a Rachel kontynuuje obiecującą karierę na scenach londyńskich. Dlaczego którekolwiek z was miałyby z tego rezygnować?

Donatelli stanął przy palenisku, oparł rękę o gzyms i wpatrzył się w ogień. Po chwili westchnął ciężko; zdawało się, że wraz z powietrzem uszła z niego cała wściekłość.

- Chcieliśmy jechać do Rzymu. Rachel... bała się czegoś. Nie wiem czego. Nie powiedziała mi, co ją przerażało. Mówiła, że lepiej, abym nie wiedział.

- Za to wiedział pan, że za pośrednictwem Pierrepointa przekazywała Francuzom informacje, które udało jej się uzyskać od kochanków.

Donatelli kiwnął głową i pogardliwie wydał wargi.

- To niezwykle, ile potrafi zdradzić mężczyzna, gdy chce zrobić wrażenie na pięknej kobiecie.

Sebastian obserwował wyraźny profil malarza. Zastanawiała go otwartość, z jaką

Donatelli omawiał związki ukochanej kobiety z innymi mężczyznami.

- Wiedział pan, że ukradła zbiór dokumentów Pierrepontowi? Donatelli kiwnął głową, nie odrywając wzroku od płomieni.

- Niech mi Bóg wybaczy, nawet jej pomagałem. W ostatnią niedzielę, pod nieobecność Pierrepona, odwróciłem uwagę lokaja, żeby mogła wślizgnąć się do biblioteki. Wiedziała, że trzymał je w skrytce przy kominku. Widzi pan, kazał zainstalować podobną skrytkę w jej mieszkaniu w Dorset Court.

- Ile dokładnie zabrała dokumentów? Donatelli wzruszył ramionami.

- Wiem, że była wśród nich koperta, a w niej z pół tuzina listów hrabiego Fredericka, ale to nie wszystko. Myślę, że chciała nawiązać kontakt z trzema-czterema różnymi osobami. Nie jestem pewien. Nie chciałem w tym brać udziału. Powiedziałem jej, że to równie niebezpieczne jak szantaż. Twierdziła, że tajanie było, że ludzie, którym chciała sprzedać dokumenty, będą zadowoleni, iż je odzyskali - jego głos przeszedł w udręczony szept. - Bałem się, że może się stać to, co się stało.

- A jednak udał się pan po papiery, gdy dowiedział się o jej śmierci - odpowiedział Sebastian. Pamiętał relację Kat o młodym człowieku, który przeszukiwał pokoje Rachel rankiem po jej śmierci i miał do nich własny klucz.

Donatelli rozejrzał się dookoła. Ciemny rumieniec pokrył jego policzki.

- Bałem się, że ten, kto zabił Rachel, dopadnie i mnie. Pomyślałem, że gdybym miał dokumenty, może mógłbym mu je oddać...

- Komu? - spytał ostro Sebastian. - Pierrepontowi? Sądzi pan, że wiedział, iż to Rachel zabrała dokumenty?

- Możliwe. Nie byłbym zaskoczony, gdyby zauważył, że coś z nią nie tak. Nie była sobą.

- Z powodu tego, co robiła dla Pierrepona?

- Nie sądzę. Była z siebie dumna, z roli, jaką odegrała w walce o przeniesienie do Anglii ideałów republikańskich i sprawiedliwości społecznej. Ale później...

- Co się stało?

- Nie wiem. Zachowywała się, jakby ktoś zmuszał ją do czegoś, czego robić nie chciała, czegoś, co ją przerażało. Gdy dowiedziała się o dziecku... - głos odmówił mu posłuszeństwa i musiał przełknąć ślinę.

- Uznała, że musimy uciekać. Wtedy wpadła na pomysł, by ukraść dokumenty Pierrepontowi i sprzedać je, byśmy mieli za co zacząć od nowa w Rzymie.

- Myśli pan, że ktoś odkrył, iż Rachel jest szpiegiem? Donatelli odszedł od kominka, z rękami przyciśniętymi do ust.

- Nie jestem pewien, możliwe. To mogło mieć coś wspólnego z wigiem - tym, o którym mówiono, że obejmie urząd premiera, gdy książe zostanie regentem.

- Ma pan na myśli hrabiego Fredericka?

- Tak, właśnie jego - odparł Donatelli. - Hrabia Frederick Fairchild. Pierrepont wykorzystywał Rachel, by go kontrolować - opuścił ręce wzdłuż ciała. - Słyszał pan o Pierreponcie?

Sebastian potrząsnął głową, świadom nagłego, wewnętrznego niepokoju. - Co z nim?

- Rząd podjął kroki przeciw niemu. Pierrepont został zdemaskowany jako szpieg, a jego dom przeszukano.

Sebastian odszedł od ściany.

- A sam Pierrepont? Czy został aresztowany?

- Nie. Albo miał szczęście, albo ktoś go ostrzegł, bo uciekł. Mówią, że jest już poza Londynem - usta Donatellogo wykrzywił pełen goryczy uśmiech. - Ironia losu, nieprawdaż? Tyle zachodu, by zastawić pułapkę na człowieka, który nawet nie będzie premierem.

- Co? Co pan przez to rozumie?

- Chyba jest pan trochę niedoinformowany? Dziś rano książkę ogłosił, że nie poprosi wigów o sformowanie rządu. Torysi pozostaną przy władzy.

Deszcz przeszedł w rzadką mżawkę, zanim Sebastian dotarł do miejskiej rezydencji hrabiego Fredericka. „Pojawił się wzór”, pomyślał, „sieć powiązań i zależności, dwa przeciwstawne wątki”. Główne czynniki wciąż ginęły w mroku, ale stawały się coraz bardziej wyraźne. Sebastian podniósł dłoń i mocno zapukał do drzwi.

- Pan Simon Taylor - powiedział, gdy w drzwiach pojawił się ponury kamerdyner o rumianych policzkach, okazałym brzuchu i obowiązkowym grymasie pełnej wyższości pogardy - pragnie widzieć hrabiego Fredericka.

Wyraz twarzy służącego nie zmienił się, gdy zdał sobie sprawę z obrazy, jaką były Sebastianowe bryczesy i płaszcz z Rosemary Lane, mokre od deszczu i umazane gdzieś cuchnącym błotem - pamiątką z ucieczki zaułkami szemranych dzielnic miasta.

W pierwszym odruchu chciałby oczywiście skierować takiego gościa do wejścia dla służby. Ale coś w sposobie bycia Sebastiana, spokojna pewność siebie, zastanowiło kamerdynera. Zawahał się, po czym rzekł:

- Czyjego hrabiowska mość oczekuje pana?

- Powinien. Jestem kuzynem Rachel York. Służący powoli wciągnął nosem powietrze.

- Proszę tu zaczekać - powiedział i odwrócił się w stronę holu... Wtedy właśnie zza drzwi biblioteki dobiegł głośny huk wystrzału.

ROZDZIAŁ 50

Sir Henry Lovejoy drzemał przy biurku po smacznym posiłku w tawernie na rogu, złożonym z placka z wołowiną i cynaderkami, gdy zbudził go przepaszający szept urzędnika.

- Sir Henry? - powiedział Collins, wystawiając łusą głowę zza drzwi. - Pewna dama pragnie pana widzieć. Nie chce podać nazwiska.

Lovejoy ujrzał młodą kobietę o subtelnej figurze, modnie ubraną w jasnoniebieski redingot i pasujący do niego okrągły kapelusz z woalką. Zaczekała, aż pomocnik niechętnie wyjdzie i odsłoniła bladą, zatroskaną twarz. Lovejoy rozpoznał Melanie Talbot.

- Pani Talbot - wstał. - Niepotrzebnie zadała sobie pani trud, by tu przyjść. Gdyby przysłała pani gońca...

- Nie - odpowiedziała z większą stanowczością, niżby się po niej spodziewał. Dzięki delikatnej sylwetce i smutnym oczom Melanie Talbot sprawiała wrażenie kruchej, ale w rzeczywistości taka nie była. - I tak za długo zwlekałam. Powinam była od razu wyznać prawdę - wzięła głęboki oddech. - Dewlin był ze mną tej nocy, kiedy zabito dziewczynę - wyrzuciła pośpiesznie.

Lovejoy wyszedł zza biurka i wskazał gościowi krzesło.

- Szanowna pani, rozumiem, że chce pani pomóc wicehrabiemu, ale proszę mi uwierzyć, gdy mówię, że to niepotrzebne...

- Niepotrzebne? - odskoczyła od sędziego, błękitne oczy rozbłysły ogniem. - Czy uważa pan, że to wymyśliłam? John przysiągł, że mnie zabije, jeżeli kiedykolwiek dowie się, że znów spotkałam się z Sebastianem. Myśli pan, że podjęłabym takie ryzyko? Dla kłamstwa?

Lovejoy zatrzymał się, jego dłoń opadła bezwładnie u boku. Wszystkie dawne wątpliwości odżyły w nim na nowo.

- Twierdzi pani, że spotkała się z Dewlinem we wtorek wieczorem mimo zakazu męża? Stanała przy oknie wychodzącym na plac.

- John powiedział mi o pojedynku. Chwalił się, że zabije Sebastiana.

- Więc... co pani zrobiła? Pomyślała pani, że ostrzeże jego hrabiowską mość, iż mąż będzie strzelał, by zabić? Z całą pewnością pan hrabia był tego świadom.

Potrząsnęła głową. Na jej wargach pojawił się nieoczekiwanie cierpki uśmiech.

- John nie miałby szans z Sebastianem. Spotkałam się z nim, żeby obiecał, że nie zabije mojego męża. Odeszła od okna.

- Jest pan zaskoczony, prawda? - Lovejoy patrzył na nią w milczeniu. - Myśli pan, że gdyby moje małżeństwo było naprawdę nieszczęśliwe, chętnie pozbyłabym się męża, i to w jakikolwiek sposób? Nie zdaje pan sobie sprawy, co to oznacza dla kobiety. Moje życie może i jest trudne, ale John jest wszystkim, co mam. Ojciec nigdy nie przyjąłby mnie z powrotem. Jeżeli mojemu mężowi coś się stanie, zostanę bez środków do życia. Na ulicy. Nie zniosłabym tego.

- Gdzie spotkała się pani z hrabią Dewlinu?

- W ustronnym zakątku parku. Nie sądzę, by ktoś nas widział. Przysięgam, że tylko rozmawialiśmy. Ale nawet gdyby John w to uwierzył, to nie miałoby znaczenia. On by... - jej głos załamał się i umilkła. Lovejoy patrzył, jak z wysiłkiem przelknęła ślinę. Zauważył sińce, prawie niewidoczne pod koronkowym wykończeniem sukni. Cztery sińce w kształcie męskich palców.

- Kiedy to było?

- Między piątą trzydzieści a ósmą. Przekonanie hrabiego, by nie zabijał jej okrutnego męża, musiało zająć pięknej pani Talbot sporo czasu, pomyślał Lovejoy. Lecz jeśli mówiła prawdę, Dewlin w żaden sposób nie zdołałby dotrzeć do kaplicy mariackiej u Świętego Mateusza w Westminsterze na czas, by zabić Rachel York - albo przed, albo po spotkaniu z Melanie Talbot. Jeżeli mówiła prawdę, Lovejoy wbił w kobietę przenikliwe spojrzenie.

- Dlaczego akurat teraz postanowiła pani o tym powiedzieć? Na blade policzki kobiety wypłynął słaby rumieniec.

- Powinna była zrobić to wcześniej. Ale Sebastian przesłał mi przez siostrę wiadomość - otworzyła miszkę i wyjęła naddarty, zmięty świstek papieru. Podała go sędziemu. - Ostrzegł mnie, bym milczała. Miałam nadzieję, że zrozumie pan, iż zamieszanie Sebastiana w śmierć tej kobiety było pomyłką, i że nie będę musiała nic mówić. Że John się o niczym nie dowie...

Lovejoy wpatrzył się w pospiesznie napisane słowa na skrawku papieru. Atrament był rozmazany, jakby od łez.

- Nie musi pani nic mówić.

- Co takiego? - potrząsnęła głową, otwierając szeroko oczy. Nie rozumiała. - Co pan mówi?

- Mówię, że nie ma powodu, by narażała się pani na ryzyko ujawniania tej informacji. Ze względu na pojedynk pani powiązania z hrabią Dewlinu są powszechnie znane i wyciągnięto najgorsze w tej sytuacji wnioski. Sędziowie uznają, że wymyśliła pani tę historię, by chronić ukochanego mężczyznę.

- Ale to jest prawda - wpatrzyła się w niego zmrużonymi oczami. - Pan mi wierzy, prawda?

- Jako człowiek, tu i teraz, prawdopodobnie tak. Ale jako sędzia, oceniający pani zeznania w świetle innych dowodów w sądzie? - wzruszył ramionami. - Nie sądzę.

- Ależ to absurdalne.

Lovejoy włożył wiadomość wicehrabiego do kieszeni.

- Takie jest prawo.

ROZDZIAŁ 51

Kamerdyner hrabiego Fredericka chwycił za mosiężną klamkę drzwi do biblioteki i otworzył szeroko oczy. - Zamknięte.

Sebastian odsunął go i z całej siły kopnął w drzwi. Drewno ustąpiło pod obcasem i drzwi otworzyły się, uderzając z trzaskiem o ścianę.

W pomieszczeniu panował półmrok. Na kominku tlił się ogień, ktoś zaciągnął ciężkie brokatowe zasłony. Jedyne źródłem światła była mosiężna lampa na biurku. Migoczący płomień oświetlał ciepłym blaskiem ciało Fredericka Fairchilda.

Hrabia leżał wygięty pod dziwnym kątem, na fotelu przy biurku, z dłonią zwieszoną bezwładnie nad dywanem. Krew była wszędzie - na lśniącej blacie biurka, wypchanym skórzanym fotelu, szafach bibliotecznych i na drewnianej boazerii. Sebastian w pierwszej chwili pomyślał, że morderca Rachel York oraz Mary Grant musiał w jakiś sposób dotrzeć i tutaj. Potem jego wzrok padł na niewielki, zgrabny pistolet w zaciśniętej dłoni hrabiego, i zrozumiał co się stało.

Sebastian podszedł do okna, stąpając po perskim dywanie, a potem wytarł twarz moką od deszczu i potu. Szarpnął zasłony, odsłaniając widok na ogród na tyłach domu. Białe światło deszczowego popołudnia zalało pokój. Fairchild przyłożył lufę do skroni. Strzał zamienił prawą stronę jego twarzy w krwawą miazgę. Gdy Sebastian odwracał się od okna, pierś hrabiego drgnęła konwulsyjnie, usta otworzyły się i wciągnęły powietrze. Hrabia odstrzelił sobie część czaszki, tak że Sebastian widział pod białą kością drgający mózg i poszarpane krwawe tkanki. Hrabia jednak jeszcze nie umarł.

- Boże miłosierny - jęknął lokaj, przyciskając pięść do ust i wybiegł z pokoju. Z holu dobiegł odgłos gwałtownych wymiotów.

Hrabia Frederick odetchnął z wysiłkiem po raz drugi.

- Było włożyć przeklętą lufę do ust - wyszeptał. Sebastian przykleknął obok.

- Poznaje mnie pan?

W oczach hrabiego błysnął wyraz zrozumienia.

- Miał jeden z moich listów. Jeden z listów do Wesleya. - Kto? Kto je ma?

- Jarvis - zmasakrowana głowa hrabiego drgnęła niespokojnie na zakrwawionym oparciu krzesła. - Pokazał księciu. Powiedział, że znalazł go w papierach Pierrepointa... Że pracowałem z Pierrepointem, żeby zaprowadzić pokój z Francją za plecami księcia - oddech Fredericka przeszedł w rżenie. - To nieprawda. Nigdy nie zdradziłem ojczyzny. Nie mógłbym...

- Ale księżę uwierzył?

Oczy hrabiego zacisnęły się jakby w paroksyzmie bólu, jego głos zamierał.

- Jarvis... Jarvis powiedział, że jeśli sam się nie wycofam, to poda listy do publicznej wiadomości. Nie mogę pozwolić... Elisabeth... moja córka... zrujnowało.

Sebastian pochylił się nad Fairchildem, zaciskając dłoń na pokrytej skórą poręczu.

- List. Skąd Jarvis go miał?

Oczy Fredericka wpatrywały się w niego, szkliste i nieruchome. Sebastian odchylił się na piętach, nie puszczając fotela. Nagle dobiegł go przenikliwy gwizd konstabla i głos lokaja.

- Jest tam, w bibliotece.

Zerwał się na nogi i otworzył okno. Wtedy właśnie usłyszał odgłos pogoni w wyłożonym marmurem holu. Przerzucił nogę przez parapet.

- Hej, ty! Zatrzymaj się! Zatrzymaj się natychmiast! Wyśliznął się przez okno i wylądował miękko na grządce pokrytej mokrymi zbutwiałymi liśćmi i ciemną przemokniętą ziemią, po czym rzucił się do ucieczki.

Charles, hrabia Jarvis, zaskoczył służącego, wracając na Berkeley Square krótko przed czwartą po południu. Jarvis nie był próżny, lecz tego wieczora w Carlton House miały miejsce przełomowe wydarzenia. W społeczeństwie, które przywiązywało wagę do pozorów, mądry człowiek dbał o wygląd. Jarvis założył bryczesy, jedwabne pończochy i frak „jaskółkę”, po czym stawiał czoło służącemu, który chciał mu rozjaśnić zaczerwioną twarz odrobiną pudru. Potem wszedł do biblioteki. Miał, co prawda, biura w St. James's Palace i Carlton House, ale najważniejsze dokumenty trzymał tutaj, na Berkeley Square.

Musiał przyznać, że jedna rzecz przysparzała mu nieco zmartwień - bał się, że głośne

morderstwo aktorki może nastąpić niespodziewanych trudności. Jednak w końcu wszystko poszło zgodnie z planem. Udało się oddalić niebezpieczeństwo rządu wigów; Perceval i torysi mieli pozostać u władzy, a wojna z ateizmem, republikanizmem i siłami zła - nadal trwać.

Jarvis zatrzymał się u podnóża schodów i zażył szczyptę tabaki. Zdawał sobie sprawę, że niektórzy ludzie nie mogą się nadziwić jego oporom wobec upartych wysiłków księcia, który chciał go mianować premierem. Jarvis jednak wiedział o czymś, o czym inni nie mieli pojęcia: jawni poplecznicy partii sprzyjający określonej polityce tracili pozory bezstronności. Ci, którzy szukali władzy w ramach urzędu zbyt często mogli stracić jedno i drugie. Jarvis był lojalny wobec Imperium Brytyjskiego i jego króla, nie wobec partii czy ideologii, i nie potrzebował drobnych splendorów i pompy urzędu premiera. Jego władza opierała się nie na niepewnym rządowym stanowisku, ale na sile intelektu i osobowości oraz na bezinteresownej mądrości i niezachwianym oddaniu krajowi i monarchii.

Jarvis schował tabakierę do kieszeni fraka, otworzył drzwi biblioteki, zaskoczony, że ciężkie zasłony w oknie wciąż odsłaniają widok na zimne, ciemniejące popołudnie. Szelest zwrócił jego uwagę na biurko, przy którym stał młody, źle ubrany człowiek w powalonym, przemoczonym płaszczu, z niewielkim cassaignardem w dłoni.

- Gość w dom, Bóg w dom - powiedział wicehrabia Dewlinu. Niesamowite żółte oczy zaśniły, gdy wycelował broń w pierś Jarvisa. - Proszę do środka.

ROZDZIAŁ 52

Powróciła żółta mgła. Sir Henry Lovejoy jeszcze jej nie widział, ale wyczuwał zapach w zimnym, wilgotnym powietrzu, gdy zapłacił stangretowi za jazdę i pospiesznie przeszedł przez cmentarz. Surowa gorycz wdarła się w nozdrza, paliła gardło i drażniła płuca. Wkrótce miała zamknąć miasto w dławiącym śmiertelnym uścisku.

Zatrzymał się i spojrzął na masywne zachodnie wieże i surową fasadę kościoła Świętego Mateusza.

Piaskowiec był poczerniały od dymu węglowego i osadu, jaki zostawiają stulecia. Żółta mgła wisiała nad kościołem w zeszły wtorek, przypomniał sobie sędzia.

Wciąż rozmyślał o słowach hrabiego Hendonu, który powiedział mu, że przyszedł tu o dziesiątej na spotkanie z Rachel York i zastał północne drzwi otwarte - tak jak zapowiedziała. Wówczas nie uwierzył hrabiemu, uznając, że jego zeznania są desperacką próbą ocalenia od stryczka jedyne syna i następcy.

Teraz nie był już tego pewien.

Skierował się na tyły kościoła, skąd dobiegał rytmiczny zgrzyt szpadla o ziemię, i znalazł kościelny, Jema Cummingsa, kopiącego grób.

- Pan Cummings? - upewnił się, nie podchodząc zbyt blisko błotnistej krawędzi. - Chciałem pana zapytać, czy w ubiegły wtorek Rachel York mogła w jakiś sposób wejść do kościoła po ósmej wieczorem.

Kościelny zgubił rytm pracy, ziemia zsunęła się z powrotem do dołu, ręce opadły. Zawahał się, potem nagle wbił szpadel w ziemię.

- Zamykam drzwi od północy co wieczór, od dziewięćdziesiątego drugiego - powiedział, rozrzucając ziemię gdzie popadnie. - Odkąd pierwszy z tych pogańskich jakobinów postawił nogę na tej ziemi i...

- Tak, tak, wiem - powiedział pospiesznie Lovejoy. - Ale nie o to mi chodzi. Pytam, czy jest jakiś sposób, by Rachel York albo ktokolwiek inny mógł otworzyć drzwi po pańskim odejściu. Musi pan zrozumieć, że odpowiedź ma zasadnicze znaczenie w tej sprawie. Od niej może zależeć życie niewinnego człowieka - i niech Bóg ma pańską duszę w opiece, jeżeli nie wyzna pan prawdy.

Jem Cummings wyprostował się powoli, wypuszczając szpadel z rąk. Bezzębne

dziąsła przygryzły w zamyśleniu dolną wargę. Zawahał się i nagle odwrócił w stronę sterty śmieci przy grobie. Gdy po chwili spojrzął na sędziego, trzymał coś w zaciśniętej dłoni. Zawahał się znowu, potem wyciągnął rękę. Lovejoy chwycił ją pospiesznie i poczuł w dłoni ciężar żelaznego klucza.

- Znalazłem go w kaplicy mariackiej - powiedział Jem, unikając wzroku Lovejoya. - W zeszłym tygodniu, kiedy razem z kobietą od sprzątanía zmywaliśmy krew, i w ogóle. Był pod jedną z tych tam frymuśnych małych ławek, pewnie dlatego pańscy ludzie go nie znaleźli. Pasuje do drzwi od północy.

Lovejoy wciągnął gwałtownie powietrze przez zęby.

- Dlaczego nie zawiadomił pan nas o tym od razu?

Kościelny przesunął otwartą dłonią po nieogolonej twarzy.

- Nie byłem do końca szczery, jak żem mówił, jak było w środę rano. Widzi pan, mógłbym przysiąc, żem zamknął północne wejście poprzedniego wieczora. Ale jakem wrócił rano, były otwarte, i zobaczyłem ślady mężczyzn w transepcie, i tą dziewczynę tak nieprzyzwoicie leżącą w kaplicy Najświętszej Paniienki. Pomyślałem, żem źle zapamiętał, że chyba ich nie zamykałem... Że to, co się stało w kościele, to tylko moja wina. Tyle krwi...

Stary człowiek sięgnął po szpadel, lecz zatrzymał się w pół ruchu, z dłońmi zaciśniętymi na ręczce i wzrokiem utkwionym w ziemię.

- Widzi pan, jak znalazłem klucz, to wiedziałem, że miałem rację, żem je jednak zamknął. Musiała je sama otworzyć, jak przyszła. Tyle że było już za późno, żeby cokolwiek powiedzieć, bo jużem zeznał, że rano drzwi były zamknięte.

Lovejoy zacisnął dłoń na kluczu tak mocno, że zęby wbiły mu się w ciało.

- Zdaje pan sobie sprawę, co to oznacza? Że to całkowicie zmienia nasze szacunki co do czasu śmierci panny York?

Jem Cummings kiwnął głową, wbijając szpadel w ziemię. Lovejoy cofnął się.

- Ile osób ma klucze do kościoła?

- Nie wiem dokładnie. Trza panu pogadać z wielebnym McDermottem, on będzie wiedział. Teraz jest na plebanii.

Lovejoy kiwnął głową i odwracał się, gdy kolejna myśl zatrzymała go w pół drogi.

- Chwileczkę. Powiedział pan, że tego ranka widział w transepcie ślady MĘŻCZYZN?

- Tak jest.

- Jest pan pewny?

- Oczywiście. Mieszkam w Londynie od czterdziestu lat z okładem, ale dorastałem w Chester. Mój tata był gajowym u hrabiego Brokstonu i nauczył nas, dzieciaków, rozpoznawać ślady zwierzyny. Z ludźmi jest tak samo. Z kaplicy wychodziły dwa rodzaje męskich śladów. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

ROZDZIAŁ 53

Sebastian oparł biodro o krawędź bogato rzeźbionego jakobińskiego biurka Jarvisa, wymachując nogą.

Wciąż mierzył w potężną pierś hrabiego.

- Tylko proszę nie robić nic głupiego.

- Nigdy nie robię nic głupiego - odpowiedział Jarvis i przeniósł spojrzenie z Sebastiana na wysokie okna wychodzące na ogród na tyłach domu, potem z powrotem na Sebastiana. - Naniósł mi pan błota na dywan.

- W rzeczy samej. To pozostałości po mojej ostatniej rozmowie z hrabią Frederickiem Fairchildem. Jarvis oparł plecy o zamknięte drzwi i założył ramiona na okazałym brzuchu.

- Doprawdy? To stwierdzenie miało być znaczące?

- Hrabia Frederick powiedział mi, że pokazał pan księciu Walii jeden z

kompromitujących listów od niego do młodego dżentelmena z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jak rozumiem, wmówił pan księciu, że list ów został znaleziony w rzeczach francuskiego agenta, monsieur Leo Pierreponta. To ciekawe, chyba się pan zgodzi, wzięwszy pod uwagę, że Rachel York wykradła te listy z miejskiej rezydencji - Pierreponta tuż przed swoją śmiercią w ubiegły wtorek.

Pełne usta Jarvisa wygięły się w uśmiechu.

- Doprawdy?

- Proszę nie wystawiać na próbę mojej cierpliwości - powiedział Sebastian, odchodząc od biurka. - Miałem długi i bardzo męczący dzień.

Jarvis niespiesznie lustrował jego przemoczone brudne ubranie z Rosemary Lane.

- Najwyraźniej.

Sebastian strząsnął źdźbło siana z płaszcza na podłogę.

- Skąd pan wiedział, że Rachel York pracowała dla Francuzów?

- W tym mieście dzieje się niewiele rzeczy, o których nie wiem.

- A zatem co pan zrobił? Zaproponował jej ochronę przed aresztowaniem, jeżeli zgodzi się pomóc zdyskredytować hrabiego Fredericka?

- Śmierci zdajców są tak trudne i bolesne... Zdumiewające, na co zgodzą się ludzie, by uniknąć tego rodzaju nieprzyjemności - Jarvis kiwnął głową w kierunku kryształowej karafki ogrzewającej się na stole przy kominku. - Ufam, że nie zastrzeli mnie pan, jeśli naleję sobie szklankę brandy?

Ozdobna taśma dzwonka wisiała tuż przy rzeźbionym gzymsie. Sebastian uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie. Tak długo, jak pamięta pan co mówiłem o zrobieniu czegoś głupiego.

Patrzył, jak Jarvis przechodzi przez pokój. Jeżeli odkrył powiązania Rachel York z Francuzami i zmusił ją do współpracy, przerażenie dziewczyny z ostatnich tygodni przed śmiercią zyskiwało wyjaśnienie.

Jarvis sięgnął po karafkę i podniósł ją z tacy przesadnie wolnym ruchem.

- A zatem Rachel ukradła Pierrepontowi listy, żeby dostarczyć je panu - powiedział Sebastian.

- List - poprawił go Jarvis. - Nadobna Rachel pozyskała dla mnie tylko jeden list.

- A inne dokumenty? Zabrała je również na pańskie zlecenie? Czy z własnej inicjatywy? Dlatego ją pan zabił? Ponieważ odkryła coś, o czym nie powinna była wiedzieć? Jarvis stłumił śmiech.

- Naprawdę uważa pan, że zniżyłbym się do zabicia jakiejś nic nieznaczącej, małej szmaty?

- Szczerze powiedziawszy, właśnie tak myślę.

- Dlaczego miałbym to zrobić? Dostarczyła list, którego potrzebowałem. Przyznaję, nie był aż tak kompromitujący, jak bym sobie życzył, ale koniec końców spełnił swoją rolę.

- Widzi pan, właśnie to, między innymi, mnie dziwi. Rachel York wykradła z rezydencji Pierreponta z pół tuzina listów hrabiego Fredericka, pan jednak twierdzi, że oddała mu tylko jeden. Co się stało z resztą?

Rumiane, pewne siebie oblicze Janasa było nieruchome niczym kamień, jednak Sebastian zauważył w oczach hrabiego cień zaskoczenia.

- Nie wiem, i nic mnie to nie obchodzi.

- A ja myślałem, że w mieście dzieje się niewiele rzeczy, o których pan nie wie - Sebastian patrzył, jak Janas szczerze nalewa sobie brandy. - Oczywiście świadomie skłamał pan księciu. Hrabia Frederick może i zachował się wyjątkowo głupio i lekkomyślnie, ale nie współpracował z Francuzami.

Jarvis zatkał karafkę rzuniętym w kryształ korkiem i odstawił ją na bok.

- Prawda jest zbyt przecenianym dobrem. Ten kraj nie może trwać z szalonym królem na tronie, wszyscy o tym wiedzą. Potrzebujemy regencji, ale wiązała się ona z ryzykiem przejścia władzy przez wigów. Co wtedy? Ich rządy doprowadziłyby największy, najszczerzej obdarzony przez fortunę naród w historii - obiekt podziwu całego świata - do ruiny. A wszystko w imię płytkich, aroganckich idei z Francji rodem, jakichś „demokracji” czy „wolności”. Takie szaleństwo prowadzi jedynie do niepewności i zburzenia porządku społecznego. Oto jedyna prawda, która mnie interesuje. Jedyna, która ma znaczenie.

- Słyszałem, że Księżniuniu ogłosił skład rządu. Zdecydował, że Spencer Perceval i torysi pozostaną przy władzy.

- Zgadza się. Nie będzie rządu wigów, negocjacji pokojowych z Francją, reformy parlamentarnej czy emancypacji katolików.

- Nie pomyślałbym nigdy, nawet o Księżniuniu, że można tak łatwo odwrócić się od przyjaciół. Jarvis zaśmiał się ostro.

- Przyjaźń księcia z wigami zawsze była raczej wyrazem chęci przejścia schedy po ojcu przez żadnego władcy syna, niż rzeczywistego oddania ideałom wigów.

Sebastian wiedział, że to prawda. Pod powłoką otwartości i nowoczesności księżę Walii był w istocie nienawidzącym katolików autokratycznym monarchistą, podobnie jak jego ojciec, Jerzy III.

Jarvis przesunął się w stronę kominka, jakby chciał się ogrzać. Nad, gzymsem wisiało sporych rozmiarów płótno w ciężkich złożonych ramach - portret rodzinny hrabiego z żoną, matką i córką.

Sebastian widział go już wcześniej, jako nieduże studium, w atelier Giorgia Donatellego.

- Twierdzi pan, że nie miał powodu życzyć sobie śmierci Rachel York - powiedział Sebastian. - Ale ona wiedziała dość, by ujawnić pańskie intrygi.

- Nie mogłaby, nie ujawniając zarazem siebie.

Sebastian pozornie skupił uwagę na głębokich, wibrujących barwach obrazu Donatellego. Rozsypane kawałki układanki powoli ustawiały się na właściwych miejscach. Leo Pierrepont, cierpliwie zastawiający się na człowieka, którego wszyscy typowali na przyszłego premiera rządu wigów, hrabia Jarvis i jego zamiar powstrzymania wigów przed przejściem kontroli w parlamencie. I Rachel York - bez reszty oddana sprawie, śmiertelnie przerażona - w pułapce między nimi.

- Z mojego punktu widzenia - powiedział Sebastian - nie ma znaczenia, czy zabił ją pan sam, czy też kazał ją zabić, czy może po prostu stworzył okoliczności, które doprowadziły do jej śmierci. Odpowiada pan całkowicie za to, co się stało.

- Czy mam zadrezczać się wyrzutami sumienia? - Jarvis podniósł kieliszek do ust. - Jaką różnicę stanowi życie czy śmierć jednej głupiej, małej dziwki, gdy ważą się losy imperium?

Sebastian poczuł uderzenie silnego, pełnego mocy gniewu.

- Stanowi różnicę dla mnie.

- Tylko dlatego, że był pan na tyle głupi, by dać się obarczyć winą za ten przykry incydent. Sebastian uczynił ruch głową w stronę rodzinnego portretu nad kominkiem.

- A zlecenie dla Giorgia Donatellego stanowiło część zapłaty?

W holu dały się słyszeć kroki, delikatny szelest kobiecych pantofli na marmurowej podłodze. Dłoń Jarvisa drgnęła przy sznurze. Sebastian odbezpieczył kurek ze szcęknięciem, które odbiło się echem po pokoju.

- To by było głupie, milordzie.

Jarvis znieruchomiał. W tej samej chwili drzwi otworzyły się.

- Papo, powóz zajechał - powiedziała młoda kobieta, wchodząc do biblioteki. - Czy mam powiedzieć stangretowi, żeby...

Była wysoka, prawie tak wysoka, jak ojciec, miała brązowe proste włosy zwinięte w węzeł na karku. Z ręką na klamce wyprostowała się i wydała cichy okrzyk zdumienia, który na jeden zgubny moment odwrócił uwagę Sebastiana od mężczyzny przy kominku. Właśnie wtedy Jarvis szarpnął z całej siły za sznur dzwonka.

ROZDZIAŁ 54

Sebastian rzucił się w kierunku kobiety. Złapał ją za ramię i przytrzymał przed sobą w chwili, gdy pierwszy z wezwanych przez Jarvisa ludzi pojawił się w drzwiach. Wbijając palce w ramię córki hrabiego, przycisnął lufę pistoletu do jej głowy.

- Każ im się wycofać - rozkazał Janasowi.

Konsternacja, furia i cień lęku przemknęły po zwykle beznamietnej twarzy Janasa. Zacisnął szczęki i tylko poruszał ustami, patrząc na stłoczonych w drzwiach przerażonych mężczyzn.

- Cofnijcie się, głupcy - rzucił gniewnie.

Dowódca grupy ze wzrokiem utkwionym w Sebastianie rozłożył ramiona i zrobił krok w tył, potem jeszcze jeden. Jego ludzie tłoczyli się za nim.

- Panna Jarvis - Sebastian spojrzał pytająco na kobietę. - Zakładam, że pani nią jest? Nadzwyczaj opanowana dziewczyna powoli kiwnęła głową.

- Tak myślałem - Sebastian przeszedł przez próg, do holu, ciągnąc kobietę ze sobą. - Panna Jarvis zapewni mi eskortę, póki nie będę bezpieczny. Ufam, że będzie pan dość rozsądny, by nie próbować niczego bohaterkiego.

Hol zdał się być nagle pełen służby, mężczyzn i kobiet o pobladłych twarzach, którzy wycofywali się pospiesznie, gdy Sebastian prowadził córkę Jarvisa w stronę frontowych drzwi. Stojący w drzwiach biblioteki Janas kiwnął na kamerdynera, który pospieszył do wejścia.

Na zewnątrz zapadał już zmierzch. Mgła kłębiła się w otwartych drzwiach. Wraz z nią napłynął do holu kwaśny, duszący smród, który kręcił w nosie i drażnił gardło.

Sebastian zerknął na kobietę, wyprostowaną i spokojną w jego uścisku.

- Twierdziła pani, że powóz czeka przed domem?

- Czy rzeczywiście? - odpowiedziała mu pytaniem z godnym podziwu spokojem.

- Tak mi się wydaje - zerknął na jedną z pokojówek, grubokościstą kobietę o rumianej twarzy, która stała tuż przy drzwiach z głową schowaną w ramionach. Zacisnęła powieki, jej twarz wykrzywiał grymas strachu.

- Hej, ty tam!

Pokojówka otworzyła ze zdumienia oczy i usta.

- Tak, ty - powtórzył, gdy wytrzeszczyła na niego oczy. Jej gorset podnosił się i opadał w krótkim, płytkim oddechu. - Wskakuj do powozu. Natychmiast!

- Z pewnością jeden zakładnik wystarczy, by zagwarantować bezpieczeństwo - powiedziała pospiesznie panna Jarvis. - Nie potrzebuje pan Alice.

- Nie chodzi mi o własne bezpieczeństwo - Sebastian skierował pistolet w stronę pokojówki. - Alice, wskakuj do powozu.

Alice wspięła się do wnętrza pojazdu, bełkocząc ze strachu. Sebastian oparł się o stopnie powozu, ciągnąc za sobą pannę Janas.

- Gdyby ktokolwiek za nami jechał, odbiłoby się to niekorzystnie na zdrowiu pań - powiedział ponurym mężczyznom stłoczonym w drzwiach rezydencji.

- Jedź w stronę Tothill Fields - krzyknął do stangreta - Już!

Świst bata poderwał konie do galopu, powóz skoczył do przodu, kołysząc się tak gwałtownie, że latarnie o mały włos nie wypadły z uchwytów. Pokojówka wcisnęła się w kąt na przednim siedzeniu; przyciskając fartuch do twarzy piszczała i krzyczała ze strachu.

- Uspokój się - powiedział Sebastian mniej więcej po dwudziestym krzyku.
- Ona się boi - powiedziała panna Jarvis. Sebastian przeniósł uwagę na siedzącą obok niego kobietę.

- Pani się nie boi?

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. W chybottliwym świetle latarni zewnętrznych zobaczył w jej oczach strach.

- Oczywiście, że tak.

- Muszę przyznać, że pani opanowanie jest godne podziwu.

- Nie widzę sensu w uleganiu hysterii - przesunęła dłonią wzdłuż ramienia, jakby chciała się ogrzać. Piecyk węglowy powoli rozgrzewał wnętrze powozu, ale przy szybach gromadziła się chłodna wilgoć, a skromna, muślinowa suknia panny Jarvis nie była wymarzonym strojem na tę pogodę.

Sebastian sięgnął po zwinięty podbity futrem pled i Dodał go kobiecie.

- Nie zrobię pani krzywdy.

Zawahała się przez moment, po czym wzięła pled, mruknęła „dziękuję” i otuliła ramiona.

- Wie pani kim jestem? - spytał.

Przenikliwy wrzask przypomniał mu o obecności Alice.

- Maryjo, Matko Boża! - krzyknęła służąca i opuściła fartuch, ukazując dziką, przerażoną twarz. - Zniwoli nas obie i zostawi bez głowy, porżnięte jak te pogańskie ofiary - jej ciało zeszytniało nagle, wbiła pięści w pluszowe obicia siedzenia i wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Panna Jarvis pochyliła się do przodu i spokojnie wymierzyła służącej policzek. Alice gwałtownie zaczerpnęła powietrza, otworzyła oczy i znów je zamknęła, opadła na fotel i zaczęła płakać. Panna Jarvis wzięła ją za rękę i powiedziała łagodnie:

- No, już, Alice, uspokój się, wszystko będzie dobrze. Jesteśmy całkiem bezpieczne.

- Wiem, kim pan jest - odpowiedziała Sebastianowi. Sebastian wskazał głową cicho pochlipującą pokojówkę.

- Ona najwyraźniej też wie.

Panna Janas wypuściła drżącą dłoń Alice.

- Widzę, że jest pan dowcipny. Tego nie oczekiwałam.

- A czego właściwie pani oczekiwała? Pohańbienia i krwawej śmierci, niczym w obrządku ofiarnym na ołtarzu Zeusa?

Alice znów wrzasnęła ze strachu.

Panna Jarvis rzuciła Sebastianowi karcące spojrzenie.

- Pssst. Znów pan ją przerazi....

Sebastian przyjrzał się uważniej pannie Jarvis. Przypuszczał, że miała najwyżej dwadzieścia kilka lat. Jej włosy były brązowe, a z wyglądu nie wyróżniała się niczym szczególnym, jeżeli nie liczyć błysku inteligencji i poczucia humoru w spokojnych szarych oczach. Próbował sobie przypomnieć, co słyszał o Jandsowej córce, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- Dlaczego koniecznie chciał pan zabrać Alice? - spytała po chwili.

Wyjrzał przez okno. Jechali teraz Whitehall, zawiasy poskrzypywały, a echo końskich podków odbijało się głucho w wilgotnej, ciężkiej mgłę. Wkrótce mieli się znaleźć na wąskich ulicach starego Westminsteru. Wtedy łatwo będzie zgubić ewentualną odsiecz i dotrzeć do zajazdu „Pod Trzema Piórami”, gdzie zamierzał uciąć sobie małą pogawędkę z jego właścicielem.

- Wielkie nieba - powiedziała panna Jarvis, otwierając szeroko oczy ze zdumienia, gdy powóz zwolnił przed zakrętem. - To dlatego Alice jest z nami? Żeby chronić moją reputację przed językami, gotowymi we wszystkim dopatrywać się ukrytych nieprawości? Naprawdę

sądzi pan, że to pomoże? Sebastian otworzył drzwiczki powozu.

- Trzeba mieć nadzieję - powiedział i wślizgnął się w wilgotną noc.

ROZDZIAŁ 55

Dotarcie do zaskakująco eleganckiego małego zajazdu położonego w ślepej uliczce tuż przy Barton Street, nie zajęło mu dużo czasu. Odrobina perswazji - niezbyt uprzejmej, bo Sebastian był zmęczony - wystarczyła, by właściciel wyznał, że Hugh Gordon i tajemnicza dama z zasłoniętą welonem twarzą w istocie spędzili noc z wtorku na środę w najlepszej sypialni zajazdu.

Ale „Pod Trzema Piórami” było miejscem, przez które przewijało się wiele osób, i właściciel nie mógł wiedzieć, czy aktor został u boku kochanki przez całą noc. A Barton Street była tuż za rogiem Great Peter Street i starego kościoła Świętego Mateusza.

Sebastian złapał fiakra z Westminsteru do Tower Hill.

- A, jesteś - powiedział pół godziny później Paul Gibson. - To znaczy, że Tom cię odnalazł?

- Nie - odpowiedział Sebastian, zamykając pospiesznie drzwi przed przenikliwym nocnym chłodem. - Nie widziałem go od rana. Dlaczego pytasz? Czy coś odkryłeś?

- Nie aż tyle, ile bym sobie życzył - doktor poprowadził Sebastiana wąskim korytarzem do salonu, gdzie poczęstował go grzonym winem z naczynia stojącego przy ogniu. - Wyglądasz o wiele gorzej, widać, że jesteś wyczerpany.

Sebastian rzucił się na fotel i chwycił kubek oburącz.

- Wszyscy tak mówią - pociągnął łyk ciepłego wina, potem oparł potylicę o zagłówek i przymknął oczy. - Czuję się tak, jakbym uciekał po całym Londynie od stu lat z okładem.

Gibson uśmiechnął się.

- To prawdopodobnie wyjaśnia, czemu Tom cię nie znalazł - nalał sobie trochę wina i usiadł w drugim fotelu. - Odszukałem kobietę, która szykowała ciało Rachel do pogrzebu. Stara sekutnica o końskiej twarzy, niejaka Molly O'Hara.

Sebastian podniósł głowę i otworzył oczy. - I co?

- Rachel York trzymała w dłoni brelok od zegarka. Niestety, nim do niej dotarłem, Molly O'Hara zdążyła już sprzedać błyskotkę. Nie zapamiętała jej dokładnie, tyle tylko, że zamek był ułamany.

- Rachel musiała zerwać ją z kamizelki napastnika w chwili, gdy rozciął jej gardło.

- Tak, tak mi się wydaje. Kował, któremu Molly sprzedała błyskotkę, znacznie obniżył cenę ze względu na uszkodzenie - doktor wyjął z kieszeni skrawek papieru. - Pan Sal Levitz, Grace Church Street.

- Widziałeś się z nim?

- Tak, ale obawiam się, że nie rozegrałem tego jak trzeba.

- Niech zgadnę. Twierdzi, że sprzedał błyskotkę dosłownie piętnaście minut przed twoim przyjściem.

Gibson uśmiechnął się kwaśno.

- Obawiam się, że tak. Zdołałem z niego wydobyć tylko odręczny rysunek breloka - rozwinął papier i wygładził go na poręczu fotela. - Zamiast pieczęci był na nim wisiorek, kolumna koryncka z osiemnastokaratowego czystego złota. Zabójca Rachel York z całą pewnością był dzentelmenem. A przynajmniej człowiekiem bardzo zamożnym.

Sebastian sięgnął po papier.

- Zdajesz sobie sprawę, oczywiście, że twój pan Levitz prawdopodobnie przetopił ten przeklęty brelok, gdy tylko opuściłeś jego warsztat - Sebastian zerknął na szkic. - Mania breloków. Sam Księciunio rozpętał modę na te kolumny kilka miesięcy temu. Bez właściwego przedmiotu nic nam to nie daje.

- Obawiam się, że masz rację.

Sebastian wstał i zaczął się przechadzać po niewielkim pokoju.

- Tam do kata - powiedział nagle, zgniatając papier w ciasną kulkę. - Byłem tak nieprawdopodobnie zarozumiały, sądząc, że jeśli zdołam odtworzyć ostatnie dni życia Rachel York, gdy zrozumie, dlaczego poszła do tego kościoła, w jaką niebezpieczną grę się wplątała - to dowiem się, kto ją zabił. Mało tego, myślałem, że zdołam to UDOWODNIĆ - zaśmiał się ochryple i rzucił zmięty papier na stół. - Co za pycha!

- Wiesz już w co była zamieszana?

- Tak, tak mi się wydaje. - Sebastian znów podszedł do ognia i streścił rozmowy z Gordonem i Donatellim, opowiedział o śmierci hrabiego Fredericka i konfrontacji z Jarvisem.

- Wciąż stawiam na Francuza - powiedział Gibson, gdy Sebastian skończył. - Łatwo mógł się dowiedzieć, że Rachel współpracowała z Janasem, i że stała za kradzieżą dokumentów. Więcej, miałby powód, by wytropić pokojówkę Mary Grant - żeby odzyskać resztę papierów.

- Podobnie jak Hugh Gordon - odpowiedział Sebastian. - Wiemy, że był w Westminsterze w ostatni wtorek. Co prawda właściciel zajazdu potwierdza obecność Gordona, ale wieczorem mógł łatwo się wysliznąć na jakiś czas.

Doktor wstał i zamieszał w naczyniu z winem.

- Wciąż nie rozumiem roli Janasa. Sebastian uśmiechnął się i opróżnił kubek.

- Bo nie masz jego makiawelicznej osobowości. Hrabia Jarvis wiedział, że Pierrepont był szefem siatki szpiegowskiej w Londynie - mój ojciec twierdzi, że od przeszło roku. Janas musiał zrozumieć, że Frederick wpadł w jedną ze starannie zastawionych sieci Francuza. Tyle, że zamiast go ostrzec, wymyślił własny plan kompromitacji wigów i powstrzymania ich przed przejęciem władzy po ustanowieniu regencji.

- Zatem co zrobił? Skontaktował się z Rachel i zagroził, że skończy marnie, jak zdrajcom przysłało, jeśli nie dostarczy mu jednego z listów Fredericka do jego młodego kochanka? Rozumiem, że mógł w ten sposób skompromitować Fairchilda. Nie rozumiem natomiast w jaki sposób wiąże to z Francuzami jego i wigów.

- Ach! Ale pamiętasz, że Janas nie zaniósł od razu listu do księcia? Czekał do dziś, gdy książę jest bez wątplenia niespokojny z powodu jutrzejszej uroczystości. Potem, jakby dopiero co odkrył działalność Pierreponta, nakazał przeszukanie jego rezydencji. Dopiero wtedy pokazał księciu list i powiedział, że znaleziono go wśród rzeczy Pierreponta. A ponieważ, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, Pierrepont zniknął, nie ma niebezpieczeństwa, że ujawni prawdę.

Gibson ostrożnie dolał parującego wina do kubka Sebastiana.

- Ale jeżeli Janas i tak planował zdemaskowanie Pierreponta, a następnie przeszukanie jego domu, to po co zmuszać Rachel York, żeby zawczasu dostarczyła list? Dlaczego nie przechwycić go podczas rewizji?

- Bo zawsze istnieje możliwość, że listy się nie odnajdą, a człowiek pokroju Jarvisa nie zostawia takich spraw przypadkowi - Sebastian chwycił kubek w obie ręce. - I pamiętaj, że list nie był jedynym dowodem obciążającym hrabiego Fredericka. Głupiec spotykał się z kochankiem w mieszkaniu kobiety, która była szpiegiem Francuzów.

- Biedna dziewczyna - powiedział Gibson, napełniając własny kubek. - Zatem Janas zamierzał ją zdradzić, tak czy inaczej?

- Na to wygląda. Tyle że Rachel miała dość sprytu, by dostrzec niebezpieczeństwo. Uznała, że musi uciec, i stworzyła własny plan - zabrać resztę listów Fairchilda, dokument mojej matki i Bóg wie co jeszcze, a potem sprzedać je zainteresowanym stronom.

- Huh - powiedział doktor, wyciągając się na krześle. - Ja tam myślę, że każdy z nich mógł być zabójcą - Pierrepont, Gordon, Donatelli, a nawet sam przeklęty Janas.

- Zapominasz o Bayardzie - powiedział Sebastian, stając przy ogniu. - Może i upił się

do nieprzytomności, gdy ojciec odwiózł go do domu, o dziewiątej. Ale możemy tylko wierzyć na słowo Amandzie, czy tam został. Można sobie wyobrazić, że wyszedł znowu, żeby szukać Rachel. Mógł pójść za nią do kościoła i zabić.

- Ale po co miałby szukać pokojówki, Mary Grant? Pierrepont i Gordon mieli dobre powody, by dobrać się do reszty papierów. Nawet Donatelli przyznaje, że ich szukał. Bayard jednak nic o nich nie wiedział.

- To prawda - przyznał Sebastian, zapatrzony w płonące węgle. - Ale spośród nich wszystkich Bayard jest najbardziej nieźrównoważony, na tyle, by nasycić żądzą ciałem martwej kobiety.

- Jak dobrze znasz pozostałych, jeżeli już o tym mówimy? Hmm? Wiemy, że Hugh Gordon jest agresywny wobec kobiet, a Pierrepont był pewnie świadkiem tylu okropności w Paryżu, że na jego miejscu niejedyn by oszalał. W gruncie rzeczy jedynym, którego NIE widzę w roli mordercy, jest właśnie hrabia Jarvis. On jest zbyt chłodny i opanowany.

- Zupełnie jak jego córka - cierpko zauważył Sebastian. Cień rozbawienia wygładził zatroskane czoło doktora.

- Wiesz, jak to mówią: niedaleko pada jabłko od jabłoni. Sebastian odwrócił się gwałtownie.

- Powtórz to jeszcze raz.

- Co? Co mam powtórzyć?

- „Jabłka i jabłonie” - powiedział Sebastian, przechodząc przez pokój, by chwycić zmięty szkic złotnika. - Dobry Boże! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem?

ROZDZIAŁ 56

Zajazd „Pod Czarnym Psem” znajdował się na obrzeżach Walworth, na południe od Londynu. Na wpół zapomniany budynek z czerwonej cegły, niemal całkiem ginący w brzoźowym zagajniku i oparach gęstej mgły, służył z dyskrecji właściciela i zacnych francuskich win, które docierały do jego piwnic bez uiszczania opłat celnych.

Kat, ubrana w ciepłą aksamitną pelerynę i kapelusz z gęstą woalką, skierowała klacz na oświetlony pochodniami dziedziniec. Niedaleko wejścia stał gotowy do drogi, zaprzężony w cztery konie powóz.

- Odprowadź konie - powiedziała do stajennego. - Nie zabawię długo.

Znalazła Leo w prywatnym saloniku umieszczonym na niskim piętrze. Pisał pośpiesznie przy niewielkim stoliku, na czubku nosa miał oprawne w srebro okulary.

- Jakim cudem udało ci się uciec? - powiedziała, odsłaniając twarz, i zamknęła drzwi z głośnym stukiem. Spojrzał na nią znad okularów.

- A jak ci się wydaje?

- Zostałeś ostrzeżony - to nie było pytanie. - Dlaczego? Wstał i zaczął porządkować papiery.

- Słyszałaś pogłoski, jak mniemam? O samobójstwie hrabiego Fredericka i wszelkiego rodzaju mrocznych spiskach z udziałem wigów?

- Żadna nie jest prawdziwa.

- Oczywiście, że nie. Dlatego moja ucieczka leży w najlepszym interesie ludzi z otoczenia księcia. Stąd ostrzeżenie - zdjął okulary i schował je do kieszeni. Zdała sobie sprawę, że nie zauważyła, iż je nosił. Patrzyła, jak wrzuca dokumenty do małej skórzanej walizki i zatrzaskuje wieko.

- Od jak dawna o tobie wiedzą?

W jej głosie zabrzmiała dziwna nuta. Leo podniósł głowę i uśmiechnął się. - Martwisz się, że wiedzą i o tobie, *ma petite*. - potrząsnął głową. - Nie sądzę. Wciąż możesz oddać Francji cenne usługi.

- Nie dbam o Francję. Roześmiał się.

- Wiem o tym. Ale nienawidzisz Anglii z godną podziwu - i użyteczną - pasją. Wiem z doświadczenia, że najlepsi ludzie w tej branży mają motywacje emocjonalne. Człowiek, który zdradza własny kraj dla pieniędzy czy dlatego, że został przyłapany na drobnej niedyskrecji, zbyt często może się zwrócić przeciw tobie - Leo wydał policzki i wypuścił powietrze w długim bolesnym oddechu. - Powiniennem być wcześniej zdać sobie z tego sprawę.

Kat potrząsnęła głową.

- Ale z czego?

- W ostatnią niedzielę przed śmiercią Rachel skradziono mi cztery rodzaje dokumentów - powiedział, zakładając płaszcz. - Oprócz listów hrabiego Fredericka i królewskiego świadectwa urodzenia było wśród nich oświadczenie dotyczące niedyskrecji popełnionej przez matkę twojego wicehrabiego, a także rachunek sprzedaży statku wraz z załadunkiem, o którym właściciel twierdził, że zatonął na morzu.

- Nie rozumiem.

Leo poprawił klapy płaszcza.

- Ostatni z nich okazał się najbardziej użytecznym nabytkiem, gdyż tak się składa, że autor owego małego oszustwa jest bliskim kompanem księcia. Sam nie miał możliwości ujawnić zbyt wielu tajemnic państwowych, ale był bezcennym źródłem informacji o słabostkach i grzeszkach innych - niefortunne skłonności hrabiego Fredericka były tylko jedną z wielu.

- O czym ty mówisz?

- Mówię, że o ile książę Walii nie zagustował ostatnimi czasy w gwałtach i innych bezbożnych czynach, mordercą Rachel najprawdopodobniej jest nikt inny, jak szwagier twojego wicehrabiego, Martin, hrabia Wilcox.

Kat z pośpiechem wypuściła powietrze.

- Jesteś pewien?

- Nie. Ale na miejscu Dewlina miałbym na niego oko - Pierrepont sięgnął po kapelusz, ale urwał nagle. - Rozumiem, że Dewlin nie wie, iż stoisz po stronie Francji w tej małej wojnie, której poświęcił - ile? Pięć lat życia?

- Robię to dla Irlandii. Nie dla Francji. To różnica.

- W rzeczy samej, istotnie - zgodził się Leo, podchodząc do niej. - Przypuszczam jednak, że Dewlin by jej nie pojął - dotyk jego dłoni na policzku kobiety był niespodziewanie łagodny. - Nie zakochaj się w nim ponownie, *ma petite*. On złamie ci serce.

Kat stała nieporuszona.

- Potrafię panować nad własnym sercem.

Oczy Leo błysnęły w uśmiechu, który zgasł nagle, gdy się odwrócił.

- Paryż przyśle kogoś na moje miejsce - rzucił przez ramię. - Bądź czujna. Skontaktuj się z tobą. Znasz hasło.

Kat bez słowa poszła za nim na dziedziniec. Patrzyła, jak powóz zniknął w ciemnościach nocy. Potem zasłoniła twarz welonem, wsiadła na konia i odjechała.

Mgła wisiała ciężko nad ulicami Londynu, jak gęsta paląca w gardle trucizna, zmieniając gazowe latarnie w widmowe nikiące w mroku płomyki.

Przed domem Kat ściągnęła wodze i podała je stajennemu.

- Odprowadź konie do stajni - powiedziała, zsuwając się z siodła. Przez chwilę stała nieruchomo, słuchając stłumionego echa końskich podków milknących w nocnej mgle. Potem przerzuciła tren amazonki przez ramię i odwróciła się. Wtedy właśnie z mgły wyłoniła się czarna sylwetka. Kat głośno wciągnęła oddech.

- Nie widziała pani szefa? - spytał Tom.

Kat wydała ciche westchnienie ulgi. Poczowała się nieco zawstydzona.

- O ile mi wiadomo, otrzymał wiadomość od przyjaciela, doktora Gibsona. Może on

będzie mógł ci pomóc.

Tom potrząsnął głową.

- To Gibson chce go widzieć. Coś o świecidełku, co je znaleźli w ręce umarłaczki.

Kat przystanąła u podnóża schodów. Ktoś szedł w ich stronę; mężczyzna w rozwianej pelerynie. Zbliżał się niespiesznie, jak przystało na dżentelmena.

- Panna Boleyn? - spytał mężczyzna w średnim wieku, zatrzymując się przed Kat, i dotknął rónda kapelusza.

- Słucham? - poczuła dreszcz strachu, kielkujące zrozumienie na widok jego twarzy, na której igrał ostrożny uśmiech. - W czym mogę panu pomóc?

- Jestem hrabia Wilcox - przedstawił się i opuścił dłoń, którą następnie wsunął do kieszeni płaszcza. - Muszę panią prosić, by udała się ze mną do powozu - kiwnął głową w stronę pograżonej we mgle ciemności. - Stoi tuż za rogiem.

Kat poczuła, że Tom zastygł w napięciu, wpatrując się w stojącego przed nimi dżentelmena szeroko otwartymi oczami.

- A jeżeli odmówię? - spytała zduszonym szeptem. Dłoń Wilcoxsa zacisnęła się na jakimś przedmiocie w kieszeni i Kat zrozumiała, że miał broń. Broń, którą wycelował w jej kierunku. Zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się.

- Jak pani widzi, taka możliwość nie wchodzi w grę.

ROZDZIAŁ 57

Amanda miała jedenaście lat, gdy brat Richard powiedział jej prawdę o matce. Wrócił do domu z Eton na letnie wakacje. Miał dziesięć lat i był bardzo zarozumiały. Amanda, chociaż starsza o rok, była w końcu tylko dziewczynką, a jej mały światek kręcił się wokół lekcji i spacerów z piastunką w parku. W pełnym grozy milczeniu słuchała opowieści Richarda, wygłaszanej podekscytowanym szeptem, o strasznej rzeczy, którą mężczyźni robili kobietom, o wstydliwym, nagim zespoleniu ciał. A potem, gdy wciąż mdliło ją na myśl, że pewnego dnia może ktoś wtargnie w podobny sposób w jej własne ciało, Richard powiedział jej o pogłoskach, jakie krążyły o ich matce. O tym, że hrabina Hendonu robiła tę rzecz z innymi mężczyznami niż jej mąż, ojciec Amandy.

Amanda oczywiście nie uwierzyła bratu. O, widziała wystarczająco wiele zachowań zwierząt na farmie, żeby zdać sobie sprawę, że przynajmniej TA część opowieści Richarda jest prawdziwa. Ale nie chciała uwierzyć w to, co powiedział o matce, że piękna, roześmiana hrabina robiła TO ze wszystkimi, od książąt do pospolitych służących. Nie uwierzyła w ani jedno słowo brata. Ani jedno.

Ale sugestie w przedziwny sposób zajmują trwałe miejsce w duszy i zżerają ją od środka. Gdy lato ustąpiło miejsca jesieni, Amanda zaczęła obserwować matkę. Widziała, jak w błyszczących oczach hrabiny pojawiało się zainteresowanie, gdy tylko do pokoju wszedł przystojny mężczyzna. Patrzyła, jak matka przechylała śliczną głowę i śmiała się zalotnie, gdy mężczyzna zwracał się w jej stronę. Jak jej usta rozchylały się, a oddech przyspieszał, gdy ujmował jej dłoń.

A potem w jeden z rzadkich słonecznych dni września, gdy hrabina wraz z dziećmi bawiła w Kornwalii, a hrabia, jak zwykle, towarzyszył królowi, Amanda uciekła z pokoju do nauki i wybrała się na spacer.

Powietrze było rześkie, przesycone słodyczą świeżo zaoranej ziemi i nagrzanym słońcem sosnowych igieł. Amanda zapuściła się dalej niż zamierzała, dalej, niż było jej wolno. Ostatnio zbudził się w niej niepokój, który kazał zbaczać ze znanych ścieżek ogrodów i oddzielonych żywopłotami pól rodzinnej farmy i biec w głąb dzikich lasów rozciągających się aż do morza.

Tam ich znalazła, na zalanej słońcem polanie osłoniętej skałami od ostrych wiatrów

znad morza. Mężczyzna leżał na plecach, nagi, śliski od potu, z szyją wygiętą jakby w agonii. Kobieta dosiadła go okrakiem, delikatne dłonie damy przyciskały jego większe, ciemniejsze dłonie do piersi. Przygryzła dolną wargę, zaciskając oczy w ekstazie i jeździła na nim. JEŹDZIŁA na nim.

W ciągu miesięcy, które upłynęły od wizyty brata, Amanda próbowała sobie imaginować tę niegodziwą rzecz, o której opowiadał. Ale nigdy nie wyobrażała sobie nic podobnego.

Podeszła bliżej, gnana zarazem strachem i mdlącą fascynacją. Jej serce biło boleśnie w piersi, żołądek zaciskał się, w gardle wzbierała żrąca gorycz. Ale dopiero gdy fascynacja przyciągnęła ją bliżej, Amanda odkryła prawdę. Kobieta, której oddech rwał się w gwałtownych, ochrypłych jękach, była jej własną matką, Sophią Hendon. A mężczyzna, którego nagie biodra podnosiły się i opadały w dzikim, tętniącym rytmie, zagłębiając ciało raz po raz w jej ciele, był stangretem jaśnie pani.

Amanda nigdy nie powiedziała Richardowi, co zobaczyła tego dnia, choć wiedziała z gorzkich wygłaszanych przezeń uwag, że obwiniął ojca o czyny matki, miał żal, że hrabia poświęcał wszystkie siły królowi i państwu, zaniedbując samotną, uroczą żonę. Amanda jednak знаła prawdę, gdyż ujrzała w ślicznej, zalanej słońcem twarzy matki głód. Wstydlivy, nienasycony głód.

Ciemność zapadła dziś wcześniej, mgła zdusiła ostatnie przebłyski dnia. Pokojówka Emily przysłała zaciągnąć zasłony i dołożyć brykietów do ognia, ale Amanda odesłała ją.

Otrząsnęła się z dawnych wspomnień i podkręciła płomień lampy naftowej, pograżając buduar w słodkawym zapachu, i zasunęła ciężkie brokatowe zasłony, by nie wpuszczać zimna przed wąskie okno wychodzące na plac.

Podeszła do biurka i stanęła nieruchomo, nasłuchując. Ale w domu panowała cisza. Po chwili Amanda otworzyła ukrytą szufladę i wyciągnęła pojedynczą pergaminową kartę.

Czytała ją już już ze sto razy, ale teraz znowu przebiegła wzrokiem rzędy pisma. Coś, czego nie potrafiła nazwać, ciągnęło ją do tego dawno zapomnianego grzechu, opisanego własną dłonią Sophii Hendon.

Amanda nie mogła dociec, co skłoniło matkę do skreślenia tak prostych, bezpośrednich zdań, a potem do złożenia przysięgi w obecności świadków. Nie wiedziała również, jakim cudem ta dziwka, Rachel York, weszła w posiadanie tak niezwykłego dokumentu, ani do jakich celów miał posłużyć. Jednak nie miała wątpliwości, że przeszedł przez ręce aktorki.

Jej krew wciąż plamiła róg pergaminu.

Stangret Ned pierwszy ujawnił prawdę o wtorkowej nocy - a przynajmniej to, o czym wiedział. Trzeba było nieco czasu - i kilku starannie ujętych w słowa grózb - ale w końcu Amanda wydusiła z niego intrygującą opowieść, jak to jego hrabiowska mość w drodze do Westminsteru natknął się na panicza Bayarda, nieprzytomnego z przepicia, na chodniku przed klubem Cribba. Oczywiście, zabrali chłopca do powozu. Tyle, że nie przywieźli go prosto do domu. Na rozkaz pana hrabiego stangret pojechał na Great Peter Street, w Westminsterze, gdzie pan hrabia zostawił chłopca pod opieką służącego.

Oczywiście, krytyka pańskich poczynań nie leży w gestii służącego, ale stangret Ned przyznał, że był zmartwiony, widząc jak pan znika samotnie w cuchnącej mgłę. A jego najgorsze obawy spełniły się, gdy jakieś pół godziny później hrabia Wilcox został napadnięty przez złodziei. Wrócił do powozu, utykając, w płaszczu zbryzganym krwią napastników, wciąż kapiącą z ostrza laski, którym odparł atak. Dał stangretowi Nedowi wyraźny rozkaz, by pod żadnym pozorem nie niepokoić jaśnie pani wypadkiem, w obawie o jej nerwy. Tę samą strategię zastosował, by zamknąć usta swojemu służącemu, Downingowi.

Bayard przespał, nieprzytomny, wszystkie te wydarzenia. Ale Amandę zdumiała reakcja obu służących, którzy z pewnością wiedzieli, że ich pani jest odporna na wstrząsy

nerwowe trapiące tak wiele szlachetnie urodzonych dam. Zastanawiała się także, jak mogli nadal bezkrytycznie wierzyć w opowieść hrabiego, gdy krwawe szczegóły wtorkowej tragedii przedostały się do publicznej wiadomości. Ale, ostatecznie, może ani stangret Ned, ani też Downing nie zauważyli, jak twarz jego hrabiowskiej mości tężeje z podniecenia na widok chłostanej publicznie prostytutki. Mogli nie wiedzieć o długiej liście pokojówek, które krzywdził latami, albo o tej, którą poranił, gdy próbowała mu odmówić. Amanda jednak wiedziała, przemyślała sprawę i w końcu odgadła prawdę.

Zwinęła pergamin i starannie odłożyła na miejsce. Zastanawiała się, co pomyślał Wilcox, gdy odkrył zniknięcie dokumentu. Amanda znalazła go przypadkiem, gdy szukała czegoś - czegokolwiek - co mogłoby potwierdzić prawdę, którą w głębi serca знаła. Inne papiery, znalezione razem z oświadczeniem - listy miłosne hrabiego Fredericka do kogoś nazwiskiem Wesley, i ciekawe świadectwo urodzenia członka rodziny królewskiej - zostawiła tam, gdzie leżały, bo nie miały dla niej znaczenia. Ale wyznanie matki Amanda zabrała bez wahania. Dokument tej wagi był zbyt ulotny, potencjalnie zbyt cenny, by zostawić go w rękach kogoś takiego, jak Martin.

Była tak zatopiona w myślach, że nie usłyszała, jak drzwi otwierają się cicho. Dopiero ulotna zmiana zapachu powietrza uświadomiła jej, że nie jest sama. Odwróciła głowę i ujrzała Sebastiana opartego o framugę.

Przez chwilę poczuła przerażenie na myśl, że widział oświadczenie matki. Potem zdała sobie sprawę, że patrzy na nią, nie na biurko, i wiedziała, że tak się nie stało.

- Gdzie on jest? - spytał głosem, w którym czaiła się groźba. - Gdzie Wilcox?

- Najwyraźniej wizyty w cudzych domach bez zaproszenia powoli stają się twoim nawykiem - powiedziała, ignorując pytanie.

Odepchnął się od futryny i podszedł bliżej, utkwivszy w jej twarzy niesamowite żółte oczy.

- Wiesz, prawda? Od jak dawna wiesz? Mimo woli uczyniła krok w tył.

- O czym?

- Myślałem, że to Bayard - ciągnął, jakby nie słysząc jej pytania. - Pamiętałem wszystkie podłogi, których się dopuszczał jako mały chłopiec. Jak podpalił kurnik w Hendon Hall, tylko po to, by patrzeć, jak płonie. Wszystkie przemilczane okrucieństwa wobec zwierząt, które miały nieszczęście wpaść w jego łapy.

Był tak blisko, że czuła kwaśną wilgoć mgły w jego szorstkich ubraniach robotnika.

- Zastanawiałem się, skąd brał się ten całkowity brak empatii wobec cudzego cierpienia, ten graniczący z szaleństwem rys okrucieństwa. Nawet się zastanawiałem, czy i we mnie nie ma czegoś podobnego. A potem, pewnego dnia, zobaczyłem, jak Wilcox wybuchnął śmiechem na widok dziecka nędzarza rozszarpanego przez ogary, i wiedziałem. Wiedziałem, skąd to się wzięło.

- To ty jesteś szalony.

- Doprawdy? - odchylił się. - Przypuszczam, że słyszałaś wiadomości o Leo Pierreponcie?

- Pierrepoint? Co on ma z tym wspólnego? - Amanda potrząsnęła głową.

- Droga Amando... Czyżbyś naprawdę nie wiedziała? Hendon powiedział mi o czymś kilka dni temu, o czymś, co powinno było obudzić moją ciekawość, tyle że umknęło mojej uwagi. Powiedział, że rząd od ponad roku wiedział o powiązaniach Pierrepointa z Napoleonem, odkąd pewien dżentelmen, którego nazwał panem Smithem, został zmuszony przez Pierrepointa do ujawnienia cennych informacji rządowi francuskiemu. Wygląda na to, że Hendon i hrabia Jarvis wspólnie postanowili, iż zachowają dla siebie rewelacje o Pierreponcie, zmuszając naszego skompromitowanego dżentelmena do przyjęcia roli podwójnego agenta.

- I co z tego? - spytała Amanda.

- Co ciekawe, mimo że i ojciec, i hrabia służą królowi, to osobiście ledwo się znoszą. To oznacza, że jedynym powodem, dla którego Hendon omawiał sytuację z Jarvisem jest fakt, że ów dżentelmen zwrócił się o pomoc do Hendona. A jedyną osobą, którą znam, a która mogłaby to zrobić, jest twój mąż. Wilcox. Amanda stała nieporuszona, patrząc, jak jej brat chodzi niespokojnie po buduarze. Nie wiedziała, że Wilcox był na tyle głupi, by wpaść w pułapkę zastawioną przez Francuzów. Zacisnęła dłonie, wstrząsana zimnym gniewem nie tylko na Martina, ale też na tego człowieka, jej brata, którzy przyszedł tu naigrawać się z głupoty jej męża.

- Ciekawe, co na niego mieli? - zapytał Sebastian, zatrzymując się przy biurku, by pobawić się piórem pozostawionym tam przez Amandę. - Przypuszczam, że coś więcej niż zwykłą niedyskrecję seksualną. Co by to nie było, Rachel musiała trafić na dowody, gdy dobrała się do ważnych papierów Pierreponta. Biedna dziewczyna popełniła fatalny błąd, bo najwyraźniej zaproponowała Wilcoxowi odsprzedaż obciążających go dokumentów. Nie wiedziała, z kim ma do czynienia. - Obrócił się nagle w stronę siostry. - Ty jednak wiedziałaś.

- Jesteś szalony - powtórzyła Amanda, zaciskając ręce coraz mocniej i mocniej.

- Doprawdy? Gdy przyszedłem skonfrontować się z Bayardem, już wtedy wiedziałaś. Dlatego powiedziałaś mi z tak dużą dokładnością, o której Wilcox spotkał Bayarda. Tyle, że nie przywiózł go prosto do domu, prawda?

- Ta kobieta była dziwką - powiedziała nagle Amanda przez zaciśnięte gardło, ochryplym z wściekłości głosem. - Dziwką i zdrajczynią.

W niezwykłych, obcych oczach brata błysnęło dziwne światło.

- Zatem to, co zrobił z nią Wilcox, jest usprawiedliwione? A co z pokojówką, Mary Grant? Czy może sprawa jest również zamknięta, bo była tylko zwykłą służącą, w dodatku niezbyt uczciwą?

Po ostatnich słowach zapadła cisza, której Amanda nie miała zamiaru przerywać. Z dworu dobiegał stłumiony mgłą odgłos podków na bruku, bliżej dał się słyszeć szcęk wiadra i chichot jednej z pokojówek.

Sebastian przerwał w końcu milczenie, a jego głos nie był już gniewny, a dziwnie nagłący.

- Wilcox zasmakował w tym, Amando. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Nadal będzie to robił. A pewnego dnia zostanie schwytany.

- Mam nadzieję, że nie wcześniej, niż cię powieszą. Na jego twarzy zagościł nieodgadniony wyraz.

- Zawsze wiedziałem, że nie darzysz mnie sympatią - powiedział po chwili. - Ale aż do teraz nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo mnie nienawidzisz.

- Oczywiście, że cię nienawidzę - odpowiedziała, niemal dławiąc się z wściekłości. - Dlaczego miałoby być inaczej? Ty, wicehrabia Dewlinu, cenny, rozwydrzony dziedzic wszystkiego. Wszystkiego, co powinno być moje - uderzyła zwiniętą dłonią w pierś. - Moje! Byłam pierwotnym dzieckiem mojego ojca. Ty zaś... - urwała w ostatniej chwili, zaciskając zęby.

- Nie stworzyłem prawa męskiej primogenitury - odpowiedział cicho, marszcząc brwi jakby w zdumieniu. - Nawet, jeśli działa na moją korzyść.

Patrzyła, zmieszana, na dziwny uśmiech, który na chwilę wykwitł na jego wargach.

- Zabawne, ale pierwszą rzeczą, o której pomyślałem, gdy odkryłem wreszcie prawdę, było pospieszyć tutaj i uprzedzić ciebie. Ostrzec jak niebezpieczny stał się mężczyzna, którego poślubiłaś. Dopiero gdy zacząłem myśleć o tym, co powiedziałaś, że Bayard zasnął przed dziewiątą, gdy wszyscy myśleli, iż morderstwo zostało popełnione między piątą po południu a ósmą, zdałem sobie sprawę, że znasz prawdę - odetchnął ochryple. - Nie zamierzam zawisnąć przez ciebie, Amando. Nie pozwolę temu choremu draniowi, twojemu mężowi, na dalszą jatkę z kolejnych kobiet.

- Nie masz dowodów - odpowiedziała, gdy podszedł do drzwi. Zatrzymał się i spojrzął przez ramię.

- Dowody się znajdują - wykrzywił wargi w twardym i okrutnym uśmiechu. - Nawet jeśli będę je musiał spreparować.

Ulice Westminsteru opustoszały. Sir Henry Lovejoy wpatrywał się z nadzieją w ponurą ciemność, nastawiwszy kołnierz, by chronić się przed dokuczliwym wilgotnym chłodem, i pożałował, że nie kazał stangretowi zaczekać.

Myślał o Rachel York, która przysłała tu sama w podobną noc. Zastanawiał się, jakiej to wymagało odwagi - odwagi lub silnego przekonania o słuszności swych racji, a może po trosze obydwu. Jednak nic, co odkrył do tej pory, nie wskazywało na motywy tej decyzji.

Wielebny Mc Dermott zdumiał się na wieść, że kobieta tego pokroju miała klucz do jego kościoła, i zastanawiał się, gdzie mogła go zdobyć. Jednak klucz znalazł się w jej posiadaniu i zrobiła z niego użytek - jak twierdził hrabia Hendonu, przyszła spotkać się z nim o dziesiątej. Dlatego Jem Cummings widział krwawe ślady dwóch mężczyzn - wcześniejsze należały do mordercy Rachel York, późniejsze zostawił Hendon.

Lovejoy wiedział, że założenie, iż coś jest prawdą tylko dlatego, że wydaje się oczywiste, niesie ze sobą niebezpieczeństwo pomyłki. Jednak aż nazbyt często ludziom zdarzało się popełnić ten błąd - on sam również wpadł w tę pułapkę. I z tego powodu przez miniony tydzień ścigali niewinnego człowieka.

Lovejoy odwrócił się, słysząc turkot powozu na ulicznym bruku. Z mroku wyłonił się ciemny, chudy koń zaprzężony do fiakra. Ktoś krzyknął i woźnica zatrzymał konia.

Drzwiczki powozu otworzyły się.

- Sir Henry! Tu pan jest - w drzwiach pojawił się Edward Maitland. - Miałem nadzieję, że pana złapię zanim opuści pan kościół. Otrzymaliśmy raport, że wicehrabia Dewlinu zatrzymał się w zajeździe niedaleko Tothill Fields, w „Róży i Koronie”. Wysłałem kilku chłopców, by obserwowali budynek, ale pomyślałem, że chciałby pan być obecny przy aresztowaniu.

Lovejoy wdrapał się do przesiąkniętego stęchlizną wnętrza.

- Pojawiły się nowe okoliczności dochodzenia - powiedział sędzia, gdy powóz ruszył. Szybko streścił przebieg spotkania z kościelnym i wielebnym McDermottem. - To oczywiście oznacza - powiedział, owijając się płaszczem - że Rachel York została zabita najprawdopodobniej dopiero po ósmej. Możliwe, że około dziesiątej wieczorem. A skoro wiemy, że wicehrabia Dewlinu przybył do klubu krótko przed dziewiątą, najpewniej nie miałby dość czasu, by zabić dziewczynę tu, w Westminsterze, dotrzeć do domu na Brook Street, przebrać się i pojawić się na St James's Street wtedy, gdy się tam znalazł. Rozkołysana lampa powozu rzuciła rozedrgane cienie na nieruchomą twarz konstabla.

- To, że nie wiemy, jak to zrobił, nie oznacza, iż jest niewinny - powiedział Maitland. - Ponadto zapomina pan, co zrobił Simplotowi.

Lovejoy przygryzł wargę i nie powiedział tego, co pchało mu się na usta. To prawda, zapomniał o Simplicie. Westchnął.

- Co z nim?

- Wciąż ma gorączkę. Lekarze sądzą, że nie przeżyje nocy. To cud, że jeszcze nie umarł.

Lovejoy kiwnął głową, wracając myślą do środowego popołudnia na Brook Street. To był kolejny aspekt sprawy, który domagał się rozważenia. Dlaczego uprzywilejowany, młody dzentelmen z wpływowej, bogatej rodziny miałby celowo atakować i próbować zabić konstabla, by uciec przed aresztowaniem za przestępstwo, którego nie popełnił? To nie miało sensu.

A jednak w aresztowaniu młodego wicehrabiego sprawa Simplota była bez znaczenia, podobnie, jak odkrycie kościelnego. Bowiem Lovejoy zapomniał też o Jarvisie. Jeżeli

chodziło o hrabiego Jarvisa, nie liczyła się niewinność czy wina Sebastiana St. Cyra. Wicehrabia został osądzony i uznany winnym przez ulicę i prasę, a poruszona opinia publiczna domagała się, by został ukarany.

Syn arystokraty, któremu uszłoby na sucho morderstwo, zawsze byłby punktem zapalnym. Teraz, gdy ogłoszono szaleństwo władcy, a księżę lada moment miał objąć urząd regenta, sytuacja stawała się naprawdę niebezpieczna. A Jarvis wyraził się jasno, o co toczy się gra: Dewlin miał zostać schwytyany przed jutrzejszą ceremonią albo posterunek na Queen Square dostanie nowego sędziego pokoju.

ROZDZIAŁ 58

Ojciec Kat mawiał: „Życie jest pełne niebezpieczeństw”. Takich jak zbliżający się powoli oddział żołnierzy, zarys sznura na tle zamglonego porannego nieba. Lub ciemna lufa pistoletu w dłoni uśmiechniętego człowieka.

- Dlaczego? - spytała, utkwivszy oczy w siedzącym naprzeciwko mężczyźnie. Może życie było pełne niebezpieczeństw, ale już dawno nauczyła się ukrywać lęk za beznamiętną twarzą i spokojnym głosem. - Czego pan ode mnie chce?

Należał do tych mężczyzn, którzy stale zdają się lekko uśmiechać. Ale jej słowa sprawiły, że uśmiech znikł, jakby mężczyzna przewidywał potulną uległość, czy wybuch histerycznego strachu. Spokojne, bezpośrednie pytania zdawały się zbijać go z tropu.

- Moja droga, oczekuję od ciebie jedynie współpracy - uśmiech powrócił na swoje miejsce, spokojny i pewny siebie. Mężczyzna kiwnął głową w stronę Toma. - Znasz tego chłopca, prawda? Spojrzenia Kat i znieruchomiałego obok Toma spotkały się. Oczy chłopca były napięte i czujne.

- Owszem - odpowiedziała.

- Znakomicie. Zatem można mu powierzyć wiadomość - Wilcox sięgnął wolną ręką do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął zwinięty skrawek papieru. Podał go Tomowi. - Zanieś to wicehrabiemu Dewlinu. Znajdzie tam wszystkie szczegóły, których będzie potrzebował, ale ufam, że uświadomisz jego hrabiowskiej mości powagę sytuacji. Wyrażam się jasno, mam nadzieję?

Kat w ostatniej chwili zdusiła przerażone westchnienie. Zrozumiała bowiem aż nadto wyraźnie zamiary Wilcoxsa. Zastawił pułapkę na Sebastiana, a ona miała być przynętą.

Poczuła jak wzbiera w niej gorąca fala strachu, ale powstrzymała to uczucie. Lęk mącił myśli, a ona musiała mieć jasny umysł. Doszła do wniosku, że może zniszczyć najbardziej nawet przemyślny plan w jednej chwili, po prostu odmawiając pójścia z Wilcoxem. Tyle że w jego oczach czaiło się coś, co kazało jej się zastanowić nad takim rozwiązaniem. Taki człowiek mógłby zabić bez zastanowienia czy wyrzutów sumienia. Kat wiedziała co czułby Sebastian, gdyby uznał, że odpowiada za jej śmierć.

Człowiek gnany tego rodzaju gniewem i poczuciem winy popełnia błędy. Nieraz fatalne w skutkach.

Wzięła spokojny głęboki oddech. Poczuła chłód przesyconego dymem powietrza, kwaśny, drapiący w gardle odór. Wilcox uśmiechnął się szerzej, jakby wyczuł jej lęk.

Właśnie ów uśmiech sprawił, że podjęła decyzję - uśmiech i przepelnione pewnością samozadowolenie mężczyzny, przekonanie o sukcesie strategii, dzięki której miał dopaść Sebastiana St. Cyra. Najwyraźniej sądził, że jego plan jest doskonały. Kat jednak знаła Sebastiana, wiedziała o jego osobliwie wyostrzonych, niemal zwierzęcych zmysłach i szybkich odruchach. Sebastian miał wpaść w pułapkę, ale przynajmniej będzie o niej wiedział. Dlatego też po raz drugi tego wieczora spojrziała w oczy Toma i powoli kiwnęła głową. Miała nadzieję, że zrozumiał.

Tom zawahał się przez moment. Potem sięgnął po wiadomość i ruszył przed siebie,

potrącając Wilcoxsa.

Ale już na ulicy zatrzymał się nagle, odwrócił i wcisnął kapelusz mocniej na głowę.

- A jeśli szef nie przyjdzie? - spytał.

- Przypomnij mi co się stało z Rachel York i Mary Grant - odpowiedział Wilcox, chwytając Kat za ramię, i przyciągnął dziewczynę do siebie. - Przyjdzie na pewno.

Sebastian zmieniał ubranie w pokoju w „Róży i Koronie”, gdy Tom wbiegł do środka, przynosząc ze sobą chłodny, stęchły zapach mglistej nocy.

- Boże, dopomóż! Szefie, zabrał ją - wydyszał chłopiec, wytrzeszczając oczy i walcząc o oddech. - Porwał pannę Kat!

Sebastian przyskoczył do niego jak podcięty biczem.

- Co? Co mówisz?!

- Papa waszego bratanka. Hrabia Wilcox. Wziął i zgarnął ją sprzed domu. I dał dla was wiadomość. Powiedział, żebym wam powiedział...

Sebastian wziął wiadomość z wyciągniętej ręki chłopca i rozerwał pieczęć. Szybko przeczytał liścik: *W moim posiadaniu znajduje się przedmiot, który, jak mniemam, może cię zainteresować. Możesz odebrać go osobiście w składzie celnym Kompanii Handlowej „Prosperity”, niedaleko Doku Pustelników. Szybka reakcja z twojej strony zapobiegnie zniszczeniu przedmiotu.*

Naturalnie zjawisz się sam i nieuzbrojony. Gdyby tak się nie stało, konsekwencje będą szybkie i niefortunne.

Sebastian poczuł falę wściekłości i lęku, mdlącą mieszankę gorąca i chłodu, od której brakło tchu i ścisnęło w żołądku. Wiedział, że Tom coś mówi, ale nie słyszał słów - uszy wypełniał mu nieznośny szum. Podniósł głowę i spojrzał na chłopca.

- Co takiego? Powtórz to jeszcze raz.

Coś w jego wyglądzie sprawiło, że chłopiec cofnął się o krok, wziął głęboki oddech i z trudem przelknął ślinę.

- To on, tak? To jego szukaliście, to on pozabijał te kobiety. Powiedział, że mam wam przypomnieć, co się stało z tymi dwiema zabitymi, Rachel York i Mary Grant.

- O Jezu - Sebastian odrzucił papier i sięgnął po buty.

Za jego plecami Tom podniósł wiadomość. Jego wargi poruszały się bezgłośnie, gdy usiłował odszyfrować słowa. Podniósł głowę, zmarszczywszy brwi. Jego oddech wciąż był płytki i nierówny.

- Chyba nie chcecie tam pójść? Na nabrzeże? Sebastian wcisnął na nogę wysoki but. Nie zdawał sobie sprawy, że chłopiec umie czytać.

- Masz jakiś inny pomysł?

- Ale to pułapka!

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Co chce pan zrobić? Tak po prostu w nią wpaść?

- Nie, jeżeli zdołam temu zapobiec - przerwał i chwycił chłopca za ramiona. - Jeżeli jednak coś mi się stanie, chcę, żebyś poszedł do mojego ojca, hrabiego Hendonu. Opowiedz mu wszystko, o czym wiesz. Nozdrza Toma drgnęły, gdy zaczerpnął powietrza.

- Żaden hrabia mi nie uwierzy. Nie jakiemuś ulicznemu złodziejaskowi.

- Pokaż mu list. Szkoda, że nie ma podpisu, ale Wilcox nie jest głupcem. W oczach chłopca zatańczył niespodziewany błysk radości.

- Gwizdnąłem... - przerwał, gdy Sebastian podniósł ostrzegawczo dłoń. - Co się stało? Co pan usłyszał? Sebastian z płaszczem w dłoni podszedł cicho do drzwi.

- Czy ktoś za tobą szedł? - dalekie dźwięki nie budziły wątpliwości: pośpieszny szept i ostrożne, skradające się kroki na schodach.

- Nie - Tom otworzył oczy. - Ale w barze widziałem jakiegoś gościa. Wyglądał, jakby na kogo czekał. Teraz chłopiec usłyszał kroki na korytarzu. Sebastian narzucił płaszcz i

przeszedł przez pokój.

- Myślę, że wyjdziemy oknem - powiedział i w tej samej chwili trzasnęły szyby, a framuga okna wpadła do środka w zimnym, przesyconym dymem podmuchu.

Do wszystkich diabłów - zaklął Sebastian. Podniósł krzesło z twardym oparciem i roztrzaskał je o pierś czarnobrodego mężczyzny, który ukazał się we framudze.

Intruz jęknął i zniknął. Sebastian zamierzył się pozostałością krzesła na drugiego mężczyznę, kiedy usłyszał szcęk przekręcanego w zamku klucza.

„Przeklęty oberżysta”, pomyślał.

Nie wypuszczając krzesła z ręki Sebastian odwrócił się do drzwi i stanął twarzą w twarz z wysokim konstabłem o blond włosach, którego pamiętał z owej fatalnej nocy na Brook Street.

- Tom, uciekaj! - krzyknął przez ramię, gdy zaczęli z Maitlandem zataczać wokół siebie kręgi, napięci i czujni. - Znajdź mojego ojca. Na litość boską! - krzyknął widząc, że chłopiec po prostu stoi w miejscu, nieruchomy, z otwartymi ustami. - Uciekaj, mówię!

Chłopiec runął do drzwi.

Sebastian poczuł uderzenie w bok głowy czymś twardym. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, były chude ramiona Toma w uścisku dłoni sir Henry'ego Lovejoya.

ROZDZIAŁ 59

Sebastian oprzytomniał. Poczuł ruch. Słyszał stukot końskich kopyt i pobrzękiwanie powozu na nierównym bruku.

Mimo mdlącego bólu pomyślał o Kat. Strach przed tym, co może z nią zrobić Wilcox, był tak silny, że Sebastian z trudem powstrzymywał się przed popadnięciem w panikę. Zmusił się, by zamknąć oczy, i leżał nieruchomo walcząc z nudnościami, wzbierającymi w gardle kwaśną falą. Skoncentrował wszystkie siły na zorientowaniu się w sytuacji.

Leżał na przednim siedzeniu powozu. Nadgarstki miał skrępowane grubymi linami, podobnie jak kostki. Ale w powozie słyszał oddech tylko jednej osoby, siedzącej cicho na siedzeniu naprzeciwko. Jeden człowiek.

Sebastian otworzył oczy i ujrzał sir Henry'ego Lovejoya, który obserwował go czujnymi zmrużonymi oczami.

- No proszę - powiedział Sebastian przyjaznym tonem. - Nie sądziłem, że Beau Brummeil z Queen Square dobrowolnie zrzeknie się tej przyjemności.

- Jeżeli mówi pan o starszym konstablu Maitlandzie, to ma on obecnie inne zajęcia. Ściśle rzecz biorąc, pojechał z dwoma innymi ludźmi po chirurga.

Walcząc z kolejną falą mdłości, Sebastian przesunął się nieznacznie i odkrył, że jego nadgarstki zostały przywiązane do pierścienia w podłodze powozu. Zacisnął szczęki w ataku wściekłości i zauważył, że sędzia wcisnął się głębiej w kąt siedzenia, napięty i czujny.

Sebastian odsłonił zęby w uśmiechu.

- Nie boi się pan, że go zamorduję, nim dojedziemy na posterunek? Że urwę panu głowę, wykąpię się w pańskiej krwi i uczynię z pańskim ciałem jeszcze inne niegodne rzeczy? Lovejoy nie był rozbawiony.

- Chyba nie.

Sebastian wyjrzał przez okno, gdy powóz skręcał. Mglista nocna pustka zawirowała wokół nich.

- Co się stało z chłopcem? - zapytał jak gdyby nigdy nic.

- Jeżeli pyta pan o tego ulicznika o niewyparzonej gębie, to wysliznął mi się z rąk i uciekł, gdy wychodziliśmy z zajazdu.

To była drobna iskierka nadziei. Zbyt wiele rzeczy mogło się nie udać. Hendon mógł odmówić spotkania z chłopcem, albo po prostu mu nie uwierzyć. A nawet gdyby uwierzył, to

co z tego? Wszystko jedno, czy Hendon wysłałby do portu oddział konstabli, czy udał się tam osobiście - następstwa byłyby tragiczne. Martin Wilcox był co prawda mordercą, ale nie głupcem, i wiedział, co jest stawką w tej grze. Pułapka na Sebastiana musiała zostać starannie, mądrze zaplanowana i zatrzęsnięta tak, że niezależnie od wyniku Kat miała zginąć. Wilcox nie mógł pozwolić, by przeżyła i ujawniła prawdę.

Sebastian wbił w sir Henry'ego przenikliwe spojrzenie.

- Musi pan mnie wypuścić.

Niski sędzia włożył ręce do kieszeni i wcisnął się głębiej w płaszcz, jakby broniąc się przed chłodem wiejącym od wysłanej słomą podłogi i nieszczelnych okien.

- Myślę, że ucieszy się pan na wieść, że mam powody wierzyć, iż w istocie nie jest pan winny śmierci tych dwóch kobiet, Rachel York i Mary Grant. Jednakże po załatwieniu formalności...

- Pan nie rozumie - przerwał Sebastian, zniżając głos. - Musi pan mnie wypuścić już teraz. Człowiek, który zabił te kobiety, porwał kolejną ofiarę, Kat Boleyn. Jeżeli nie dotrę do niego na czas, zabije i ją. Powóz zakołysał się nagle, zwalniając, gdy wokół zaroił się gęsty tłum. W pierwszej chwili Sebastian pomyślał, że to znowu zamieszki. Potem usłyszał krzyk: „Niech żyje Floritzel”, zobaczył roześmiane, pełne nadziei twarze w blasku powozowych latarni i zrozumiał. To nie były zamieszki, tylko tłum świętujący jutrzejsze zaprzysiężenie księcia jako regenta. Oni naprawdę wierzyli, że ciężkie, pełne desperacji życie wreszcie się odmieni na lepsze. Nie rozumieli, że wszystko zostanie po staremu, że po prostu uczciwego, lecz szalonego króla zastąpi próżny, kochający przyjemności, pobłażający własnym słabościom książę, który więcej wagi przykładął do kroju płaszcza niż do rosnących cen chleba; który nigdy nie słyszał płaczu zziębniętego, zagłodzonego dziecka, nie widział stosów żałośnie małych, wychudzonych ciał, czekających w kolejce do wspólnego grobu dla ubogich.

Pozostaje jeszcze sprawa konstabla Simplota - powiedział sir Henry. - O ile mogę zrozumieć...

- Niech to diabli - zaklął Sebastian, zrywając się i opadając z powrotem, szarpnięty przez więzy. - Nie zaatakowałem waszego przekłętego konstabla. Po co miałbym to robić? Nie słyszy pan, co mówię? Ta kobieta umrze, i to dziś w nocy! Obok powozu wybuchły fajerwerki, płosząc konie. Podniecony tłum zawył.

- Jeżeli to prawda - odpowiedział Lovejoy, rzucając nerwowe spojrzenie w stronę okna - to proszę mi powiedzieć, dokąd ją zabrał. Wyślę za nim konstabli. Sebastian zaśmiał się ochryple.

- Ona jest przynętą w pułapce zastawionej na mnie. Jeżeli wejdą tam pańscy konstable, umrze.

- Myślę, że nie docenia pan moich konstabli.

- Doprawdy?

- Kto, pańskim zdaniem, jest mordercą tych kobiet?

- Mój szwagier. Hrabia Wilcox.

Wargi sędziego rozchyliły się, ale poza tym starannie kontrolował wyraz twarzy. Chwilę jednak trwało, zanim przemówił.

- A jakie ma pan dowody? Sebastian musiał stłumić niespodziewaną frustrację i rozpacz. Dowody? Nie miał żadnych.

- Tylko to, że porwał Kat Boleyn.

- A dowód na to? Nagła eksplozja fajerwerków skąpała ulicę w deszczu iskier lśniących widmowo w ciężkiej mgle.

- Nie mam dowodów.

Lovejoy kiwnął głową, światło kolejnego wybuchu zatańczyło w szklach okularów.

- A jeżeli wpadnie pan w pułapkę, którą hrabia Wilcox miał na pana zastawić? W jaki

sposób uratuje pan dziewczynę?

- Nie mam zamiaru po prostu w nią wpaść.

- Ale może pan. Jeżeli po prostu powie mi pan....

- Niech cię diabli! - krzyknął Sebastian, szarpiąc się boleśnie i bezsilnie w krępujących go więzach. - Ty głupi, skrupulatny, pyszałkowaty draniu! Z każdą chwilą, w której mnie tu trzymasz, zabijasz ją. Sebastian znieruchomiał nagle, a jego pierś drgnęła, gdy wciągnął w nozdrza zimne, przepełnione smogiem powietrze, i ostrożnie odwrócił wzrok od okna. Przez chwilę mignęło w nim chude ramię chłopca, wspinającego się na powóz.

- Rozumiem pańską frustrację - powiedział sir Henry z miażdżącym spokojem, który sprawiał, że Sebastian chciał krzyczeć. - Prawo jednak... - urwał, gdy drzwi fiakra otworzyły się i pojawiła się w nich niewielka, obszarpana postać.

- Doprawdy... - zaczął sędzia, a potem gwałtownie urwał, gdy Tom wskoczył do wnętrza. Blask fajerwerków odbił się niebezpiecznie w lśniącym ostrzu, trzymanym w zaciśniętej dłoni chłopca.

- Jeden ruch albo krzyk - powiedział gwałtownie chłopiec - a poderżnę wam gardło.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece - odpowiedział sir Henry, łapiąc za uchwyt, gdy powóz zatrząśnięty się nagle.

- Wiem, że nie zrobiłem, jak pan kazał - powiedział Tom i rozciął więzy na nadgarstkach Sebastiana.

- Dzięki Bogu, że tak się stało. - Sebastian odrzucił resztki sznura, gdy chłopiec kucnął i uwolnił mu nogi. Nie spuszczać czujnego wzroku z sędziego, Sebastian ścisnął ramię Toma w pełnym wdzięczności milczeniu. Chłopiec wstał. - Ale teraz zrób, co kazałem, chłopcze. Szybko. I tym razem nie oglądaj się za siebie.

Tom podniósł głowę, a na jego twarzy odbił się upór.

- Idę z wami.

Sebastian popchnął go w stronę drzwi.

- Nie. Otrzymałeś polecenie. Oczekuję, byś je wykonał.

- Ale...

Niecierpliwość wezbrała w Sebastianie gwałtownym, palącym płomieniem. Z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć na chłopca.

- Coś może się nie udać - powiedział głosem tak spokojnym i opanowanym, jak tylko zdołał, choć cały drżał z desperacji i zniecierpliwienia. - Gdyby tak się stało, liczę, że dopilnujesz, by ten drań dostał się w ręce sprawiedliwości - świadomy krępującej obecności sędziego, starannie dobierał słowa. - Wiesz, czego się po tobie spodziewam. Czy będziesz w stanie to zrobić? Czy ZDOŁASZ to zrobić?

Chłopiec zawahał się, z trudem przełknął ślinę. Potem pochylił głowę i przytaknął.

- Dobra, szefie. Zrobię co trzeba - wcisnął nóż w dłoń Sebastiana. - Proszę. Może się panu przydać - powiedział Tom i, nie oglądając się za siebie, wyskoczył z powozu.

Sebastian patrzył, jak mała figurka znika w rozradowanej gawiedzi. Potem włożył nóż do cholewy i przygotował się, by pójść w ślady chłopca.

- Ta kobieta - powiedział ni stąd, ni zowąd sir Henry. - Proszę mi powiedzieć, dokąd ją zabrano.

Sebastian zatrzymał się w otwartych drzwiach powozu i odwrócił głowę. - Wolałbym nie - odpowiedział, zeskoczył ze stopnia i znikł w ciemnościach nocy.

ROZDZIAŁ 60

Skład celny Kompanii Handlowej „Prosperity” mieścił się tuż przy jednym z basenów portowych, obok Parsons Stairs i Hermitage Dock. Sebastian dojechał fiakrem aż do Burr Street, potem pieszo dotarł do rzeki.

Nadbrzeże, za dnia pełne żeglarzy i dokerów, po zmroku zmieniało się w niebezpieczny labirynt patrolowany przez straż rzeczną i prywatnych strażników. Zatrudniali ich właściciele statków i kompanii handlowych, ze wszystkich sił próbujący kontrolować złodziejskie szajki, które potrafiły opróżnić skład czy ukradnąć ładunek w ciągu jednej nocy, podryzując człowiekowi gardło dla płaszcza, który miał na grzbiecie.

Jednak tej nocy Sebastian zdawał się mieć nabrzeże tylko dla siebie, gdy przedzierał się przez zamglone zaułki wypełnione zapachem soli i brudnej rzeki, przemierzonym z woniami dochodzącymi z pobliskich garbarni i fabryki mydła. Słyszał fale nadchodzącego przyływu, a niekiedy stłumiony wybuch dalekich fajerwerków nad Tower Hill i Tower Bridge, ale gęsta mgła pogrążyła świat w ciszy, dlatego coraz wyraźniej słyszał własny oddech. Brzmiał ostro i ochryple.

Skład znajdował się w środku rzędu, który wyłonił się z mgły przed oczami Sebastiana. Dwupiętrowy kamienny budynek dzielił południową ścianę z innym magazynem. Z lewej strony było przejście szerokie na wóz. Dzieliło ono skład od kolejnego rzędu starych magazynów z poczerńiałej cegły.

Gdy zbliżył się do budynków, zobaczył słaby odbłask światła w niewielkich oknach budynku Kompanii Handlowej „Prosperity”; nie mógł jednak zajrzeć do wnętrza, gdyż okna były za wysoko. Na środku ściany, prostopadle do wąskiej alejki, dwuskrzydłowe drzwi z grubych desek wiodły na parter. Ciężka kłódka wisiała nienaruszona na ciemnym pociągniętym bejcą drewnie.

Kłódka była zarazem potwierdzeniem i kpiącym ostrzeżeniem, pomyślał Sebastian; na swój sposób Wilcox mówił w ten sposób: *Wiem, że nie masz zamiaru wejść na ślepo w moją pułapkę. Ale nie miej wątpliwości, czekam na ciebie. A w odróżnieniu od ciebie bardzo dobrze znam ten skład.*

Sebastian znał cenę arogancji. To w końcu jego własna pycha - przekonanie o swoich umiejętnościach, dzięki którym zdołał schwytać zabójcę Rachel - zaprowadziła Kat do opuszczonego budynku. To przez niego dziewczyna musiała zmierzyć się ze strachem, pełniąc rolę żywej przynęty w pułapce potwora. Ale powtarzał sobie, że jakkolwiek arogancki, Wilcox nie był głupcem. Wiedział, że potrzebna mu jest żywa, jeśli chce mieć choć odrobinę nadziei na przeżycie nadchodzącej konfrontacji.

Sebastian podniósł głowę, przyglądając się oknom na piętrze. Były okratowane, podobnie jak te na parterze. Wiedział jednak, że od strony rzeki są drugie drzwi.

Na miękkich nogach, starając się kontrolować oddech, prześlizgnął się boczną alejką w stronę wody. Gdy mijał stertę pustych opakowań i połamanych beczek, coś zapiszczało i drogę przebiegł mu szczur.

Sebastian zatrzymał się, wyęzając słuch, by złowić choćby najmniejszą sugestię dźwięku, jakikolwiek znak, że Wilcox, czający się w kamiennej bryle składu, usłyszał go. Słaby podmuch powietrza przesyconego zapachem morskiej wody przepłynął nad basenem portowym wypełnionym ciężką, czarną wodą, której nie zdołała przesłonić marznąca gęsta mgła. Ciemne, wysokie burty i rozkołysane maszty statków były tylko nocnymi, widmowymi cieniami.

Sebastian przekradł się do drzwi od strony doku, stąpając ostrożnie po surowych, śliskich płytach nabrzeża. Na tych drzwiach nie było kłódki, ale przeważnie i tak ryglowało się je od środka. Wyciągnął rękę i pchnął skrzydło tylko na tyle, by potwierdzić przypuszczenie: drzwi były zamknięte.

Pod sobą słyszał uderzenia fal - tutejsze składy zostały wzniesione nad wodą. W podłodze składu była zapadnia pozwalająca na bezpośredni dostęp do lichtug i barek. Mogła posłużyć jako wejście, ale dawała zbyt wiele przewagi czekającemu w środku mężczyźnie. Sebastian chciał znaleźć drogę, która dałaby jemu przewagę. Musiał wejść od góry.

Drugie drzwi do załadunku otwierały się z doku na górne piętro, gdzie potężne ramie

dźwigu, wystające nad wodą, używane było do podnoszenia ładunków. Ale teraz ramię pozbawiono zarówno wciągarki, jak i bloku, a Sebastian nie miał nawet liny, by się tam wspiąć. Pobliska sterta gratów blokowała dostęp do nabrzeża, nie była jednak ani tak blisko drzwi, ani na tyle wysoka, by podjąć próbę wdrapania się po niej. Musiał znaleźć inny sposób.

Wrócił do frontowych drzwi i przyjrzał się uważnie płaskiej linii dachu. Skład obok był starszy i większy, ale miał podobną wysokość. Jego drzwi, podobnie jak drzwi budynku Kompanii Handlowej „Prosperity”, były zamknięte na kłódkę.

Sebastian przyniósł z przejścia jedną z połamanych beczek. Nawet pusta ważyła ponad czterdzieści funtów. Podniósł ją nad głowę, spuścił żelazne okucie na kłódkę raz, potem drugi, i uśmiechnął się, czując, że kłódka ustępuje.

W cichej zamglonej nocy ten niewielki hałas zabrzmiał nienaturalnie głośno. Sebastian znieruchomiał, oddychając pospiesznie i nasłuchując łomotu przyboju na nabrzeżu.

Drzwi w końcu ustąpiły. Sebastian wśliznął się do magazynu i znów przystanął, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. To prawda, widział w mroku lepiej niż większość ludzi, ale i tak potrzebował nieco światła, tymczasem gęsta mgła przesłoniła księżyc i gwiazdy, a nawet światła miasta.

Cał po calu przesuwiał się po podłodze zastawionej skrzyniami i baryłkami. Powietrze wypełniały ciężkie, zmieszane zapachy ich zawartości: herbaty z Indii, skór soboli z Rosji, bel bawełny z Karoliny Północnej i Południowej. Słaby blask ukazał mu umieszczoną na środku zapadnię o wymiarach mniej więcej osiem stóp na dziesięć, oświetlaną z góry przez niewielki świetlik. Z jednej strony zapadnia przylegała do prostych, stromych schodów.

Sebastian wbiegł lekko po schodach. Piętro, podobnie jak parter, zastawione było skrzyniami i belami bawełny. Świetlik nad głową odcinał się szarym kwadratem od czerni sufitu. Wiedział, że tu, na piętrze, znajdują się narzędzia pozostawione przez pracowników składu. Cenne minuty mijały, gdy szukał ich najpierw przy schodach, potem w kolejnych częściach piętra.

Znalazł je w końcu w drewnianej skrzyni, nieopodal frontowej ściany. Odrzucił młotki, długie łańcuchy i zwój liny, sięgnął po niewielki pręt do podważania i wsunął go za pasek spodni. Potem, przesunawszy kilka skrzyń, wspiął się do świetlika na odległość ramienia.

Okienko składało się z sześciu części, połączonych tak, że można je było otwierać, żeby wietrzyć pomieszczenie. Sebastian wymacał krawędź, chwycił klapę i powoli ją otworzył.

Do wnętrza wpadło nocne powietrze przesycone zapachem siarki, dymu i morskiej wody. Sebastian chwycił za krawędź ramy i podciągnął się na dach.

Przez chwilę leżał nieruchomo, a jego oddech parował w chłodzie nocy, gdy nasłuchiwał dalekich wybuchów fajerwerków. Powoli wstał i miękko zeskoczył na sąsiedni skład.

Tu świetlik jaśniał słabym złotawym blaskiem. Ale gdy Sebastian zbliżył się, zobaczył, że szyby były zbyt brudne i zakopcone, by móc przez nie dojrzeć coś więcej, niż niewyraźne kontury wnętrza. Wiedział, że zawsze jest możliwość, iż Wilcox czeka na niego tu, na piętrze. Ale większość ludzi bała się ciemności, a źródło światła w budynku najwyraźniej pochodziło z parteru, na wysokości dwóch głównych wejść i zapadni.

Sebastian wsunął pręt między ramę świetlika a okno i delikatnie nacisnął. Poczuł, jak okno ustępuje, gdy wewnętrzny haczyk zaczął się luzować. Spróbował znowu, zwiększając nacisk i usłyszał poskrzypywanie napiętych zawiasów.

Natychmiast zmniejszył nacisk. Nocne powietrze chłodziło zroszoną potem twarz. Przysiadł na piętach i rozważył możliwości. Wyważenie okna czy stłuczenie szyby bez zwracania uwagi na swoją obecność było niemożliwe. Jeśli pominąć zapadnię w podłodze, do wnętrza składu mógł dostać się tylko w jeden sposób: przez wychodzące na port drzwi na

piętrze.

Skoncentrował wzrok na rozlatującym się kominie piecyka ogrzewającego niewielkie biuro rachunkowe.

Gapił się na niego przez chwilę, potem podszedł do sąsiedniego dachu. Wsunął się lekko do środka przez otwarte okno świetlika, a potem chwycił zauważony wcześniej zwój liny i długi żelazny pręt.

Znów uświadomił sobie nieubłagany upływ czasu. Zarzucił koniec liny na komin, owinał drugi koniec wokół talii i opuścił się ostrożnie nad tylną ścianę składu. Kamienne płyty doku były jakieś dwadzieścia stóp niżej, niewidoczne w skłębionej mgłę unoszącej się znad wody. Znalazł oparcie dla wyprostowanych nóg, odepchnął się od ściany i zszedł, jak krab, po kamiennym murze, aż dotarł do dwuskrzydłowych drzwi prowadzących na piętro. Tuż za drzwiami było mocne nadproże, na którym mógł stanąć i delikatnie pchnąć drzwi. Uchyliły się może na cal, po czym znieruchomiały. Również i te drzwi zostały zaryglowane od wewnątrz.

Sebastian przeniósł ciężar ciała na drugą stopę i wyjął pręt zza paska. Włożył jego koniec między drzwi, uchylając je na tyle szeroko, by wsunąć narzędzie głębiej i podnieść sztabę. Przez chwilę stawiała opór, potem odskoczyła ze stukiem. Sebastian zaklął w myślach.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Sebastian wsunął się do środka i zamknął drzwi, żeby żadne światło czy nagły podmuch zimnego powietrza nie zdradziły jego obecności... o ile nie uczynił tego brzęk sztaby.

Powietrze przesycone było ciepłym, egzotycznym zapachem kawy. Otoczony przez sterty wypełnionych po brzegi worków, Sebastian przekradł się w stronę złotego blasku światła, bijącego z otworu pośrodku podłogi. Miał on wymiary zbliżone do tego w sąsiednim składzie. Z boku znajdował się identyczny ciąg schodów. Sebastian widział ramię dźwigu, do którego przywiązano masywny blok. Jeden koniec liny biegł w dół, pod kątem, poza zasięg wzroku Sebastiana, ale drugi wisiał prosto i był obciążony. Dźwig zachybotał się, jakby przywiązany do liny ciężar się poruszył.

Z mdlącym przeczuciem grozy Sebastian podkradł się do krawędzi otworu, skąd mógł obejrzeć scenę przygotowaną dla niego przez Martina Wilcoxsa.

Trzy stojące obok siebie lampy zostały przysłonięte, tak by rzucały jedynie wąski promień światła na przestrzeń tuż przed nimi, pogrążając w cieniu resztę składu. W strumieniu światła Sebastian zobaczył Kat.

Wisiała przywiązana za nadgarstki do bloku zamocowanego nad jej głową, wykręcając palce w daremnej próbie uchwycenia liny, by odciążyć napięte barki i ramiona.

Okręciła się powoli wokół osi, jej oczy przepełniał lęk i ból. Usta miała zatkanie szmatą. Kostki także zostały spętane, a wokół nóg zawiązano kolejną linę, przyciskającą do ciała poszarpaną aksamitną amazonkę.

Wisiała jakieś trzy-cztery stopy nad poziomem podłogi, ale Wilcox umieścił ją dokładnie nad otwartą zapadnię. Sebastian widział lśniąca czern fal, gdy poziom wody podnosił się z przyplływem.

Była to iście diabelska, starannie przemyślana pułapka. Niezależnie od tego, czy Sebastian wszedłby do składu przez którekolwiek z drzwi na parterze, czy przez zapadnię, czy też zszedłby ze schodów, nie mógł uwolnić Kat, nie wchodząc w strumień światła. Lampy zostały tak ustawione, że Wilcox mógł się schronić pod osłoną ciemności. Kontrolował także linę, na której wisiała Kat Boleyn. Jedynym sposobem jej uwolnienia byłoby przecięcie liny. Jednak kobietę spętano w ten sposób, że nawet gdyby wskoczył razem z nią do ciemnej lodowatej wody, to najpewniej utonąłaby, nim zdołałby wyciągnąć ją na brzeg.

Pozostała mu tylko jedna możliwość. Starannie ocenił ustawienie lamp i odległość dzielącą go od liny.

Bezszelestnie podniósł worek z kawą i przeniósł go na krawędź otworu. Uczynił krok

w tył, gdy podłoga zaskrzypiała zdradziecko pod stopą.

Zamarł, lecz było już za późno.

- Możesz wyjść, Dewlin. Wiem, że tam jesteś - rozbawiony głos Martina Wilcoxa dobiegł z ciemności niżej.

W ciszy, która nastąpiła po tych słowach, Sebastian zrzucił płaszcz i chwycił w zęby nóż Toma.

Wilcox znów przemówił.

- Ujmę to inaczej. Jeżeli nie zejdziesz, twoja dziwka wyląduje w rzece. Słyszałeś, Dewlin? Muszę tylko przeciąć linę, żeby nakarmić nią ryby.

Sebastian zepchnął ciężki worek prosto na stojące w trójkącie lampy.

Skład pograżył się w ciemności i w tej samej chwili Sebastian zeskokczył z krawędzi otworu.

Lewa dłoń złowiła tylko powietrze, zimną pustkę, ale prawą dłonią zdołał chwycić linę. Poczul szarpnięcie w ramieniu, dźwigającym teraz ciężar całego ciała. Ruch rozbijał linę, ale słabo. Za słabo.

Kopnął powietrze, by rozhuścić ją bardziej; włókna liny parzyły dłoń przez skórzaną rękawicę, gdy zsunął się do Kat.

Słyszał jej przestraszony, napięty oddech. Nie puszczać liny zacisnął wolną rękę wokół dziewczyny, przycisnął do piersi jej drżące ciało i kopnął znowu, huśtając linę jak wahadło. Potem oplótł nogę wokół jej bioder, wyjął nóż z zębów i gdy lina wychyliła się najdalej poza krawędź zapadni, przeciął ją.

Ciął grube włókna, zaciskając zęby, i modlił się, by właściwie ocenić odległość, żeby lina nie puściła, gdy byli jeszcze nad zapadnią, co mogło pograżyć ich w lodowatej wodzie.

Ostatnie włókna puściły, lina rozwinęła się i pękła. W tej samej chwili padł strzał z garłacza, wypełniając pomieszczenie ogłuszającym rykiem ognia i kłębami dymu.

ROZDZIAŁ 61

Tuż przed upadkiem na podłogę Sebastian poczul ból rozdzieranego strzałem uda. W ostatniej chwili zdołał się przekreślić, przejmując cały impet upadku, a Kat wylądowała na nim.

Przeturlał się, chroniąc dziewczynę własnym ciałem. Słyszał jej urywany oddech, łapany w zatkanie szmatą usta, ale nie miał czasu się zorientować czy i ona została ranna. Przynął usta do jej ucha i wyszeptał cicho: - Leż spokojnie.

Poczul jej odpowiedź, kiwnięcie głową. Skład pograżony był w ciemności, pogłębionej jeszcze spiętrzonymi stosami skrzyń i bel bawełny.

Przeciął sznur krępujący jej kostki i sploty liny wokół nóg. Ostrożnie przesunął dłońmi po ciele Kat. Tuż pod żebrami wyczul ciepłą, lepłą wilgoć krwi.

Z sercem bijącym boleśnie w piersi zerwał z szyi fular i przycisnął do jej boku. Nie umiał ocenić w ciemnościach jak rozległa jest rana. Nie wypuszczając fularu z ręki, przeciął resztę więzów i wyjął knebel z jej ust.

Chwycił ją za rękę i ścisnął w milczącym, drżącym porozumieniu, a potem odsunął się i przeczołgał wzdłuż jej zakrwawionego boku.

Przyciskając policzek do włosów Kat, Sebastian uspokoił oddech i starał się przeniknąć wzrokiem ciemność nocy. Wiedział, że Wilcox nim wystrzelił, ukrył się między skrzyniami przy schodach. Nie był jednak pewien, czy od tego czasu nie zmienił położenia. Wątpił, by Wilcox zdołał przeładować garłacz w ciemnościach, ale nie był w stanie odgadnąć, ile pistoletów ma ze sobą. Nawet Kat nie wiedziała, czy przeciwnik nie ukrył w magazynie kilkunastu sztuk broni, zanim ją tu przywiózł.

Gdyby Sebastian był sam, przeszedłby do ofensywy, licząc że mimo braku uzbrojenia

i nieznajomości terenu jego umiejętności i nadnaturalna szybkość odruchów wyrównają szanse w trakcie starcia. Nie mógł jednak zostawić Kat samej, bezbronnej i rannej.

Gdy jednak cisza w składzie przedłużała się, zdał sobie sprawę, że nie może pozwolić Wilcoxowi na kolejny ruch. Nie wiedział, czy obrażenia Kat były poważne, ale czuł, jak życiodajna krew spływa gorącym, wilgotnym strumieniem przez zwinięte fałdy fularu; czuł jej metaliczny zapach zmieszany z ciężkimi woniami soli i lanoliny unoszącymi się w nocnym powietrzu.

Chwycił jej dłoń w swoją i przycisnął do tkaniny przy boku, a potem cofnął rękę. Pochylił głowę i musnął ustami jej policzek. Twarz dziewczyny była zimna i nienaturalnie lepka. „Nie opuszczę cię” mówił do niej w myślach, choć nie mógł się dowiedzieć, czy rozumiała jego przesłanie.

Czuł wilgotny chłód ciągnący od otworu w podłodze, gdyż upadli niebezpiecznie blisko zapadni. Wątki zarys sterty worków z kawą majaczył w pobliżu krawędzi otworu. Poruszając się powoli, zdołał dotrzeć do worków.

Zaciskając zęby, ostrożnie podniósł jeden z nich nad otwór i szybko odtoczył się, zagarniając ze sobą Kat, gdy ciężki pakunek spadł w dół z wysokości ponad ośmiu stóp, tonąc z ciężkim, głośnym pluskiem.

Przyciskając drżące ciało dziewczyny, Sebastian czekał na kolejny strzał. Ale odpowiedziała mu tylko cisza, wypełniona drobnymi falami przyboju, rozbijającymi się cicho o nabrzeże, by rozplynać się w nicości.

Z cienia po lewej rozległ się nagle niski i kpiący głos Wilcoxsa.

- Żałowana próba, Dewlin. Czego się spodziewałeś? Że rzucę się nieostrożnie do przodu, zakładając, że się wymknąłeś?

Sebastian uśmiechnął się ponuro w ciemności. Najwidoczniej drań przemieścił się za bale australijskiej wełny, pomiędzy Sebastiana a drzwi prowadzące do doku, gdzie odbywał się załadunek.

- Martwy punkt, ale dość ciekawy - ciągnął Wilcox. - Chciałoby się rzec, że straciłem przewagę. Ale czuję krew, Dewlin. Zastanawiam się czy twoją? Czy może jej? Mogę sobie pozwolić na to, by przeczekać tu noc. A ty?

Dłoń Kat powędrowała nagle do ramienia Sebastiana.

- Sebastianie - szepnęła.

Ale on już to zauważył: wątki pomarańczowy blask rosnący z wolna za stosem beli wełny, u podstawy schodów. Iskra z garłacza musiała wylądować na przesyconych lanoliną belach. Podmuch powietrza od strony zapadni przyniósł ze sobą duszący zapach płonącej wełny. Po chwili cała stanęła w płomieniach. Usłyszał, jak Kat wciągnęła gwałtownie powietrze, i wiedział, że dziewczyna pojęła groźbę sytuacji. Wilcox znajdował się między nimi a prowadzącymi nad wodę podwójnymi drzwiami. Schody na piętro stały w ogniu, a główne wyjście było zamknięte od zewnątrz.

Jedyna droga na zewnątrz prowadziła przez zapadnię. Wiązała się jednak z upadkiem z ośmiu stóp wprost do lodowatej wody; omdlewająca z upływu krwi, obciążona ciężkim, aksamitnym trenem amazonki, Kat utonąłaby niechybnie.

Skład i jego zawartość płonęły już w najlepsze. Na podłodze, niedaleko otworu, powietrze było wciąż dość czyste, jednak nie na długo. Musieli stąd wyjść, i to natychmiast.

Sebastian usłyszał zduszony kaszel i wiedział, że Wilcox znów się przemieścił. Potem szczerknął odsuwany rygiel w drzwiach od strony doku. Na chwilę zasłona dymu rozdarła się, ukazując otwarte drzwi i ciemną sylwetkę mężczyzny na tle zamglonego nieba. Potem znikła.

Palce Kat wbiły się w ramię Sebastiana. W blasku ognia widział ją dość wyraźnie. Cały bok amazonki skąpany był we krwi.

- Chryste - uwolniony od groźby strzału Wilcoxsa Sebastian pracował jak szalony, oddzierając długie pasma trenu i związując je ciasno wokół rany. - Będziemy musieli wyjść za

nim, przez te drzwi. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Kat potrząsnęła przecząco głową. Jej oczy były szeroko otwarte, a twarz bardzo blada.

- Nie. On nadal ma broń. Jeżeli wyjdziemy drzwiami, będzie na nas czekał. Sebastian chwycił ją w ramiona.

- Nie mamy wyboru - musiał przekrzykiwać ryk ognia. - Drzwi na ulicę są zaryglowane od zewnątrz.

- To wyłam zamek.

Sebastian zerknął w stronę frontu. Dym był już tak gęsty, że każdy oddech parzył gardło i dusił w płucach.

- Mogę spróbować.

Kaszłąc gwałtownie, położył ją w miejscu, w którym mogła swobodniej oddychać, przy szparze frontowych drzwi. Rozejrzał się w gęstniejącym dymie i znalazł ciężką skrzynkę z mosiężnymi okuciami, na tyle niewielką, że zdołał ją unieść oburącz. Posługując się jej krawędzią jak taranem, uderzył w zamek ciężkich drewnianych drzwi. Zamierzał wyłamać zamek albo przynajmniej oderwać skobel. Czuł jak gorące płomienie liżą mu kark, wysysają powietrze z płuc. Zaciskając zęby uderzył po raz drugi i usłyszał trzask. Z całą siłą ponowił uderzenie. Skrzynka rozpadła się w dłoniach.

- Nie da rady - krzyknął, odrzucając szczątki. - Musimy wyjść tyłem.

Pochylił się, by podnieść Kat, ale chwyciła go za koszulę na piersi i potrząsnęła głową.

- Zostaw mnie. Sam możesz wydostać się dołem. Spojrzał jej w oczy i zaczerpnął powietrza pod dłońmi, które go odpychały.

- Nie zostawię cię, więc możesz równie dobrze zaprzestać tych cholernie szlachetnych porywów i po prostu pogodzić się z faktem, że teraz moja kolej.

Na chwilę zapadła cisza, potem usłyszał jej cichy, szczery śmiech.

W ryku płomieni, wzbijając deszcz iskier, runął zwisający u powały dźwig.

- Do stu diabłów - zaklął Sebastian.

Przycisnął dziewczynę do siebie i pobiegł do drzwi, omijając płonące stosy wełny i spadające szczątki.

Przez jedną straszną chwilę myślał, że stracił orientację w gęstniejącym dymie. Potem ujrzał jednak otwarte drzwi i szarą mgłę za nimi, i wybiegł w chłodne życiodajne powietrze nocy.

Spodziewał się znaleźć tam Wilcoxa, ale dok był pusty.

- Pewnie usłyszał, jak próbujesz wyłamać drzwi od frontu i przeszedł na drugą stronę składu - powiedziała Kat, kaszłąc.

- Może - głos Sebastiana był schrypnięty i obolały. A może Wilcox po prostu czekał na nich przy końcu długiej ciemnej ulicy biegnącej wzdłuż północnej ściany składu?

- Postaw mnie, mogę iść - powiedziała.

- Jesteś pewna?

- Tak - odsunęła się od niego, stawiając stopy na ziemi.

- Wybacz. Przeliczyłam się z siłami - powiedziała sekundę później i zemdląła.

Sebastian podniósł ją i odwrócił się tyłem do ulicy i niebezpieczeństw, które mogły się tam czaić. Wydawało mu się, że stos skrzyń między dwoma budynkami tylko częściowo odcinał dostęp do doku, ale spostrzegł, że się pomylił - droga była zablokowana. Nie było wyjścia, musiał iść od północy. Płomienie zdążyły już objąć piętro składu. Okna pękały jedno za drugim, a powietrze wypełniło się brzękiem stłuczonego szkła i deszczem spadających odłamków.

Chroniąc Kat własnym ciałem i miażdżąc szklane drzazgi pod stopami, Sebastian biegł. U wylotu uliczki zobaczył dym i płomienie wydobywające się z budynku obok. Jeżeli Wilcox czekał tu na nich, to gorąco i odłamki szkła zapewne zmusiły go, by się cofnął.

Za plecami słyszał ryk ognia. Trzymał się wąskiej krawędzi doku, tuż przywodzić Minał rząd starych składów z cegły, kierując się cały czas na północ. Ogień odbijał się w czarnych wodach basenu portowego, mgła zabarwiła się na pomarańczowo. Zdawało się, że cały świat stanął w płomieniach.

Widział przed sobą kolejne przejście prowadzące na lewo. Miał nadzieję, że zdoła przedostać się tamtędy do miasta. Potem jego obcas wpadł w szczelinę na nierównym bruku i Sebastian potknął się, a zraniona noga załamała się pod nim w paroksyzmie bólu, który niemal go oślepił.

Upadł na kolana, nie wypuszczając z ramion nieprzytomnej Kat. Czuł dalekie ciepło ognia i ból w podrażnionych płucach, gdy walczył o oddech. Zebrał wszystkie siły i już miał się podnieść, gdy usłyszał szcęk odciąganego kurka i głos Wilcoxsa.

- To był zły wybór, Dewlin.

ROZDZIAŁ 62

Martin Wilcox wyłonił się z zamglonej ciemności z pistoletem skałkowym w wyciągniętej dłoni. Nie miał na sobie peleryny podróźnej; wykrochmalony biały fular z lnu i fantazyjnie skrojony płaszcz z wytwornej wełny z Bath były pokryte sadzą. Ale głos miał wciąż podejrzenie rozbawiony, jakby prowadził towarzyską pogawędkę.

- Wszystko sprowadza się do wyborów. Prawda, Dewlin? - powiedział. - Wybór, którego dokonałeś, pozostając w Londynie i siejąc zamęt, gdy każdy rozsądny, ostrożny człowiek uciekłby za granicę. Wybór, którego dokonałeś, by przyjść tu dziś i wpaść w moją małą pułapkę. I wybór, przed którym zostałeś postawiony przed chwilą. Poświęcając dziewczynę, mógłbyś mi uciec. Ale to nie jest decyzja, z jaką człowiek twojego pokroju mógłby żyć, prawda? Dlatego jesteś tak fatalnie przewidywalny. Sebastian czuł pod kolanami ostre kamienie doku, a zimny podmuch znad wody chłodził pokrytą potem twarz, gdy patrzył na zbliżającego się Wilcoxsa.

- A twoje wybory, Wilcox? Wybór, by zabić Rachel York, zamiast zapłacić za dokument, który chciała ci sprzedać. Czy to było mądre?

Wilcox stanął oddalony zaledwie o stopę, z pistoletem w wyciągniętej dłoni.

- Ach, widzisz, uznałem, że nasza droga Rachel sama dokonała niewłaściwego wyboru. Gdy dowiedziałem się, że miała spotkać się owej nocy z Hendonem, doszedłem do wniosku, że znalazła lepszego klienta na swój towar. Więc poszedłem tam, spodziewając się odzyskać mój mały kwit na ubezpieczenie. Zamiast tego, jak myślisz, co znalazłem? Nic innego, jak bardzo ciekawe oświadczenie twojej matki. Uwierz, to była nie lada niespodzianka.

- Kwit ubezpieczenia? - zaczął Sebastian i nagle zrozumiał. - Oczywiście. Historyjka, którą sprzedałaś Hendonowi w zeszłym roku, o kompromitujących romansowych grzeszkach, była zmyślona, by wyplatać się z niezręcznej sytuacji. Jak długo byłeś schwytyany w sieć Leo Pierreonta? Uśmieszek Wilcoxsa nie przygasł nawet na chwilę.

- Trzy lata. To ja poinformowałem go o ruchach naszych wojsk w Hiszpanii - powiedział to z dumą.

- Więc dlatego wysledziłaś pokojówkę Rachel, Mary Grant? Żeby odzyskać dowody, które Rachel mogła zdobyć od Pierreonta, a które wskazywałyby, że twoja współpraca z Francuzami trwała o wiele dłużej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać?

- Zgadza się. Wątpię, czy ta głupia geś w ogóle zdawała sobie sprawę z wartości tego, co zdobyła.

- Ale to nie powstrzymało cię przed jej zamordowaniem.

- Nigdy nie wiadomo - odpowiedział, odsłaniając zęby w uśmiechu. - Oczywiście, dowody przeciwko sobie zniszczyłem natychmiast. Ale inne dokumenty zatrzymałem. Nigdy

nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

Popeliłeś błąd, zabierając oświadczenie matki z mojej biblioteki. Dopóki nie odkryłem, że go brakuje, nie miałem pojęcia, że wpadłeś na mój trop.

Sebastian spojrział w twarz szwagra i wybuchnął śmiechem.

- Nie zabrałem tego oświadczenia. Chcesz mi powiedzieć, że je zgubiłeś? To bardzo... nieostrożnie z twojej strony. Dłoń Wilcoxsa zacisnęła się konwulsyjnie na ręczce pistoletu, potem hrabia rozluźnił uchwyt.

- Interesująca taktyka. Mniemam, że chcesz mnie zdenerwować? - potrząsnął głową. - Nie uda ci się - jego twarz nagle stężała, zwykły uśmiech ustąpił miejsca grymasowi, który przypomniał Sebastianowi Bayarda. - Połóż dziewczynę na ziemi, ale nie wstawaj. Odsuń się od niej na kolanach.

Nie spuszczać wzroku z twarzy Wilcoxsa, Sebastian położył Kat na portowym bruku. Westchnęła cicho i znieruchomiała, gdy wycofał się, powoli zmieniając pozycję, dzięki czemu udało mu się przykucnąć na ugiętych nogach. Wilcox uśmiechnął się.

- Tak jest. Strzał musi być precyzyjny. Nie chcę wprowadzić władz w błąd, gdy dostarczę im twoje ciało. I zmasakrowane zwłoki twojej ostatniej ofiary, rzecz jasna - dodał zerkając znacząco na Kat. - Będą bardzo zadowoleni.

Sebastian przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę i napiął mięśnie, gotów do skoku. Wciąż patrzył w oczy Wilcoxsa.

- Nikogo tak naprawdę nie obchodzi, kto zabił te kobiety. Chyba to rozumiesz? W łonie wspólnoty nie ma palącej potrzeby sprawiedliwości. Ludzie po prostu chcą się czuć bezpiecznie, a twoja śmierć im to zapewni. Ja zaś zostanę bohaterem. Ironia losu, nieprawdaż?

Sebastian ujrzał błysk w oczach Wilcoxsa chwilę przed tym, nim ten nacisnął spust.

St. Cyr skoczył, przekręcając ciało w locie, i wyrzucił przed siebie lewe ramię. Otwarta dłoń uderzyła w wyciągnięty nadgarstek Wilcoxsa, podrywając ramię szwagra w chwili, gdy pistolet wystrzelił.

Sebastian poczuł ciepło w lewym ramieniu i uderzył prawą ręką w podudzie Wilcoxsa. Zacisnął ją wokół kolan przeciwnika i szarpnął, choć sam impet skoku wystarczyłby, by zwalić go z nóg.

Wilcox upadł ciężko na plecy, uderzając o bruk z siłą, która wypompowała powietrze z jego płuc.

Sebastian spadł na niego. Walcząc o oddech, Wilcox machnął pustym pistoletem, uderzając Sebastiana w plecy.

Sebastian zaklął szpetnie, chwycił uzbrojone ramię szwagra w brutalny uchwyt i przeniósł nad głowę, zaciskając dźwignię, aż Wilcox rozluźnił dłoń w spazmie bólu. Potem nagle znieruchomiał.

- A więc pokonałeś mnie - powiedział, dysząc, a w dalekim blasku ognia widać było, że się uśmiecha. - Co teraz, hmm? Zdajesz sobie sprawę, że nie masz dowodów na to, co zrobiłem z tymi kobietami. Żadnych. Nawet zadrapania na szyi od pazurów tej suki zagoiły się. Twoje słowo przeciwko mojemu. Kto ci uwierzy?

- Zapominasz o Kat Boleyn.

- Co?! Słowo dziwki? Przeciw słowu przyjaciela samego panującego księcia? - Wilcox uśmiechnął się. - Nie sądzę - nie przestając się uśmiechać, przekreślił dolną połowę ciała i podniósł kolano, kierując je wprost w zranione udo Sebastiana.

Ból eksplodował ogniem, który wyrwał z piersi Sebastiana głuchy jęk. Przez chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami i rozluźnił chwyt na tyle, by Wilcox zdołał wyśliznąć się z uścisku. Wilcox przetoczył się na plecy i podniósł na kolana, wspierając ręce przed sobą, nim Sebastian przyskoczył do niego. Przez chwilę szarpali się na krawędzi doku, po czym spadli razem do wody. W trakcie tego krótkiego lotu Sebastian puścił Wilcoxsa. Hrabia upadł

do wody ciężko i niezgrabnie, jednak Sebastian zdołał wyprostować ciało na tyle, że jego stopy pierwsze zetknęły się z wodą. Pograżył się głęboko w zimnych, czarnych odmętach i wypłynął na powierzchnię, mimo ciężaru butów i grubych bryczesów. Rany w nodze i ramieniu piekły żywym ogniem.

Usłyszał, jak szwagier kaszle i zachłystuje się, zobaczył w ciemności biały fular i kamizelkę. Podpłynął do niego. Na moment tłusta głowa Wilcoxa znikła pod czarną wodą, oświetloną na pomarańczowo blaskiem dalekiego ognia. Potem szwagier znów się wynurzył, spazmatycznie bijąc rękami o powierzchnię wody. Jego przerażone oczy otworzyły się szeroko na widok Sebastiana.

- Pomóż mi! Na litość boską, ratuj mnie! Nie umiem pływać! - zacisnął rękę na szyi Sebastiana w spazmatycznym, duszącym uścisku.

- Puść mnie, ty głupcze. Utopisz nas obu. Ale Wilcox był głuchy na głos rozsądku.

- Nie pozwól mi utonąć - wycharczał, trzymając kurczowo Sebastiana.

Sebastian nabrał powietrza i zanurkował, wyslizgując się z uścisku Wilcoxa. Tym razem uważał, by wynurzyć się za plecami tonącego człowieka. Wyprostowaną ręką chwycił od tyłu kołnierz szwagra. Była to standardowa technika ratunkowa; Sebastian musiał tylko przyciągnąć go do siebie, chwycić ugiętym ramieniem pod brodą, a potem dopłynąć do brzegu.

W oddali słyszał ryk płomieni trawiących magazyn, a jeszcze dalej, gorączkowy dzwon straży ogniowej. „Wszystko sprowadza się do wyborów”, powiedział Wilcox. A teraz Sebastian stał przed kolejnym, mrocznym i niełatwym wyborem. Bo Wilcox miał rację: nie było dowodów na to, co zrobił, nic nie wiązało go z bestialskim morderstwem dwóch kobiet, i nic nie mogło go powstrzymać przed tym, by zrobił to znowu. I znowu.

Inne względy przemawiały do jego sumienia: uratowany Wilcox mógłby podejść Sebastiana i zaatakować Kat. Sebastian wiedział jednak, że nie o to naprawdę chodziło. Już dawno temu nauczył się, że granica między dobrem i złem, między tym co słuszne, a tym, co błędne, nie zawsze daje się łatwo wyznaczyć. Mimo to wciąż wierzył w jej istnienie. Zaledwie tydzień wcześniej postanowił oczyścić się z niesprawiedliwego zarzutu popełnienia okrutnej zbrodni. Jego cele zmieniały się stopniowo. I wiedział, że choć może nigdy nie zdoła dowieść swojej niewinności, to przynajmniej spróbuje dotrzymać obietnicy danej kobiecie zmarłej zbyt wcześnie, by ją usłyszeć.

Ktoś krzyknął nieopodal, ale to nie miało już znaczenia.

Sebastian dokonał wyboru.

Otworzył dłoń i pozwolił, by płaszcz z wytwornej wełny z Bath wyslizgnął mu się z palców.

ROZDZIAŁ 63

Z nabrzeża przy doku sir Henry Lovejoy patrzył, jak wicehrabia wspina się po żardzewiałej drabince.

Gdy był na górze, podniósł wzrok. Niesamowite oczy błysnęły żółto w blasku ognia.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Oddech Dewlina był tak wysiłony i szybki, że szorstka tkanina przemoczonej, poplamionej krwią koszuli falowała przy każdym ruchu piersi. Dewlin przemówił pierwszy.

- Co z chłopcem, Tomem? Gdzie on?

- Jest całkiem bezpieczny. Przechwyciłem go tuż przed domem pańskiego ojca na Grosvenor Square. Tak jest - dodał, gdy Dewlin zmarszczył brwi. - Podśluchałem pańskie instrukcje jeszcze w „Róży i Koronie”. - No i?

Lovejoy odchrząknął.

- W kieszeni miał wiadomość Wilcoxa.

- Nie była podpisana.

- To prawda. Przyznaję, z początku trudno mi było uwierzyć w dość długą i zawiłą opowieść chłopaka. Ale był na tyle przewidujący, że ukradł papier z kieszeni jego hrabiowskiej mości, co w znacznym stopniu przydało wiarygodności tej historii.

Wicehrabia przyklęknął przy nieprzytomnej, zakrwawionej kobiecie. Przemoczone ubranie lepiło mu się do ciała. Lovejoy nie zmienił pozycji.

- Czy ona...

- Nie - krew kobiety zabarwiła czerwienią dłonie Dewlina, gdy podniósł ją delikatnie w ramionach. Wiatr rozwiewał jej długie ciemne włosy, niesforne pukle opadały na twarz. Drgnęła i wymamrotała coś ochryple, a on zbliżył usta do jej ucha, szepcząc słowa otuchy.

Potem przeniósł wzrok z powrotem na Lovejoya.

- Ile jeszcze pan podsłuchał? Właśnie teraz?

Sir Henry Lovejoy, ten twardogłowy sędzia, uparcie obstający przy procedurach prawa, który zjawiał się na nabrzeżu w samą porę, by ujrzeć, jak głowa Wilcoxsa znika w czarnej wodzie, uśmiechnął się zaciśniętymi wargami.

- Dosyć.

ROZDZIAŁ 64

Sebastian patrzył, jak Kat oddycha, jak jej pierś podnosi się i opada łagodnie pod obrębionym koronką prześcieradłem, jak złoty płomień świecy igra na bladej skórze powiek, zamkniętych w spokojnym śnie. Stał obok łóżka w szlafroku zarzuconym niedbale na ramiona. Naokoło nich dom na Brook Street pograżył się w nocnej ciszy. Dziwnie było znów znaleźć się we własnym domu, założyć czystą bieliznę i jedwabny szlafrok. Był tu bezpieczny, a jednak czujność i pewien niepokój pozostały na dnie umysłu.

- Ona wydobrzeje, Sebastianie - powiedział Paul Gibson, stając obok. - Zostanę przy niej. Ty za to potrzebujesz odpoczynku. Sam straciłeś sporo krwi.

Sebastian kiwnął głową. Ramię i noga pulsowały pod bandażami palącym bólem, który zdawał się promieniować na każde zadrapanie i siniaka, jakie zdobył w minionym tygodniu. Czuł się tak, jakby nie spał nigdy w życiu.

- Zawołaj mnie, kiedy się obudzi.

- Oczywiście.

Odwracając się w kierunku swojej sypialni Sebastian zdał sobie sprawę, że słyszy donośny gniewny głos jakiegoś mężczyzny, dobiegający z holu na parterze.

- Bierz diabli twoją zuchwałość! - zaklął hrabia Hendonu. - I niech piekło pochłonie instrukcje! Chcę się widzieć z synem!

Sebastian zatrzymał się u szczytu schodów.

- Ojciec...

Hendon podniósł wzrok. Na jego białej, udręczonej twarzy odbiły się różnorodne emocje, gdy patrzył, jak Sebastian schodzi, kulejąc, w jego kierunku. Ale powiedział tylko:

- Słyszałem, że jesteś ranny.

- To drobiazg - odpowiedział Sebastian i poprowadził ojca do salonu. Hendon ostrożnie zamknął drzwi.

- Miałem spotkanie z hrabią Janasem i sir Henrym Lovejoyem, odnośnie ostatnich rewelacji dotyczących Wilcoxsa. Sytuacja jest delikatna, zwłaszcza, że zaprzysiężenie księcia ma odbyć się już jutro. Żeby członek najściślejszego grona przyjaciół księcia był zamieszany w tak odrażającą zbrodnię...

- Diabelnie niewygodne. Co proponuje Jarvis? Jestem pewien, że znalazł jakieś rozwiązanie. Słyszając kpinę w głosie Sebastiana, hrabia zmarszczył brwi.

- Ściśle rzecz biorąc, to ja uczyniłem tę sugestię. Winą za morderstwa Rachel York i

Mary Grant zostanie obarczony Francuz, Leo Pierrepont.

- Oczywiście. To bardzo uprzejmie z jego strony, że uciekł za granicę - Sebastian stanął przy kominku ze wzrokiem utkwionym w płomieniach. - A śmierć Wilcoxa?

- Robota rzeźmieszków i złodziei, którzy podłożyli ogień pod skład. Nocą nabrzeże może być bardzo niebezpieczne.

- Amanda się ucieszy. Żadna plama na honorze rodziny nie zaszkodzi debiutowi Stephanie w przyszłym roku - Sebastian rozejrzał się po pokoju. - Zdajesz sobie sprawę, że Amanda wiedziała?

- Co?! Wiedziała, że Wilcox zaszlachtował te dwie kobiety? Nie mogę w to uwierzyć. Nawet gdy mowa o Amandzie.

Sebastian uśmiechnął się ponuro.

- W odróżnieniu od ciebie nie wiedziała jednak o francuskich powiązaniach męża. Sebastian nie spodziewał się przeprosin ze strony ojca i nie otrzymał ich. Czekał zamiast tego na nieuchronne pytanie. Hendon chrząknął.

- Zakładam, że to Wilcox zabrał oświadczenie hrabiny Hendonu, które miała przy sobie Rachel York?

- Owszem. Ale, o ile zrozumiałem z tego, co napomknął, dokument znów zaginął. Wilcox myślał, że to ja je zabrałem.

Hendon stał nieruchomo, a na jego skroniach pojawiły się kropelki potu, jakby miał gorączkę.

- Nie masz go? - Nie.

Hrabia odwrócił się, pocierając dłonią twarz, jakby chciał zrozumieć to, co właśnie usłyszał. Chwilę trwało, nim spytał szorstko:

- A kobieta? Jak rozumiem, jej obrażenia są poważne.

- Straciła dużo krwi, ale doktor mówi, że żaden ważny organ nie został uszkodzony. O ile nie wda się infekcja, powinna wyzdrowieć.

Hendon ruszał szczęką w przód i w tył, jak to miał w zwyczaju.

- Zakładam, że powiedziała ci, co zaszło między nami przed sześcioma laty. Sebastian wpatrzył się w ojca.

- Zrobiłem, co uważałem wtedy za słuszne - powiedział szorstko Hendon. - Nadal uważam, że miałem rację. Takie małżeństwo zrujnowałoby ci życie. Dzięki Bogu, sama to w końcu zrozumiała.

- Ile dokładnie jej zaproponowałeś? - spytał cicho i groźnie Sebastian.

- Dwadzieścia tysięcy funtów. Niewiele kobiet odrzuciłoby szansę takich pieniędzy.

- ODMÓWIŁA?

- Ależ tak. Chcesz powiedzieć, że ci NIE POWIEDZIAŁA?

- Nie. Nie powiedziała.

Kat powoli przytomniała. Pałący ból z poprzedniej nocy zniknął, pozostawiając jedynie tępy, pulsujący ból w boku.

Pokój o jedwabnych zasłonach w odcieniu gołębiego błękitu i połączanych meblach był jej nieznany, rozpoznała za to mężczyznę w bryczesach z kozłej skóry i wysokich butach, siedzącego przy łóżku ze skrzyżowanymi ramionami. Musiał wyczuć jej spojrzenie, bo odwrócił się i chwycił ją za rękę spoczywającą na przykryciu.

- Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz - powiedziała przez wyschnięte gardło głosem ochryplym od ognia.

Dłoń Dewlina zacisnęła się na jej ręce.

- Mój Boże, Kat. Tak mi przykro... Uśmiechnęła się, bo to było bardzo do niego podobne, to obwinianie się o to, co się jej przydarzyło, oskarżanie się, że wpłatał ją w walkę, by dociec przyczyn śmierci Rachel. A potem jej uśmiech znikł, bo Sebastian nie wiedział - miała nadzieję, że nigdy się nie dowie - jak głęboko była zaangażowana w wydarzenia

rozgrywające się wokół śmierci Rachel, i to nawet przed tym, nim przyszedł do niej po pomoc.

- W nocy odbyłem z Hendonem długą rozmowę - powiedział, marszcząc brwi i niespodziewanie mocno zaciskając szczęki. - Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy?

- Którą prawdę masz na myśli? - jej głos był opanowany, choć serce tłukło się niespokojnie w piersi. - Jest wiele prawd, z których większości lepiej nie ujawniać.

- Prawdę o tym, co wydarzyło się przed sześcioma laty.

- Ach, tę - zaśmiała się cicho, w nadziei, że uniknie dalszych pytań. Ale on nadal na nią patrzył tym swoim spojrzeniem i wiedziała, że będzie domagał się odpowiedzi. Starła się ją ująć jak najlżej. - Wyznanie prawdy mijałoby się z celem. Tego rodzaju szlachetne poświęcenie odnosi skutek tylko wtedy, gdy nie wyjdzie na jaw.

Kącik ust Sebastiana podniósł się w cieniu uśmiechu.

- Będziesz musiała wziąć w karby tę swoją nieszczęsną predylekcję do umartwień.

Kat przykryła dłonią rękę Sebastiana i przytrzymała ją mocno.

- Wiesz, twój ojciec miał rację. Powiedział, że jeśli naprawdę cię kocham, to nigdy cię nie poślubię. Jego oczy zawsze budziły w niej fascynację. Dzikie, przenikliwie inteligentne, teraz rozbłyły gniewem i urazą.

- I dlatego oszukałaś mnie?! Dla mojego własnego dobra. - Tak.

- Niech cię diabli - zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoju, z rozdętymi nozdrzami i piersią falującą gwałtownie w zapamiętaniu. - Zostałabyś moją ŻONA. Nie miałaś prawa podejmować za mnie takiej decyzji.

Chciała przemóc słabość i usiąść, lecz drżąca dłoń zatonała w puchowym materacu.

- Och, Sebastianie. Czy nie rozumiesz? Tylko ja mogłam ją podjąć.

Zapadła między nimi cisza, napięta i brzemienna smutkiem. Kat usłyszała zza okna krzyk sprzedawcy ulicznego i, bliżej, przesypujący się na kominku popiół. Wzrok ślizgał się po stojącym przed nią mężczyźnie, po doskonale jej znanych dumnych rysach twarzy, po smukłym, pięknym ciele. I ponieważ kochała go tak bardzo, ponieważ zawsze miała go kochać, zmusiła się, by powiedzieć to, co musiało zostać powiedziane, choć słowa otwierały na nowo wszystkie dawne, tak głęboko skrywane rany.

- I zrobiłabym to ponownie - wyszeptwała. - Bo ty jesteś tym, kim jesteś, gdy tymczasem ja jestem... czym jestem.

Poderwał głowę, zaciskając wargi w cienką, ostrą linię.

- Mogę zmienić to, czym jesteś.

- Robiąc ze mnie przyszlą hrabinę Hendonu? - Kat potrząsnęła głową. - To by co najwyżej zmieniło moje nazwisko, ale nie to, czym jestem - co widzieliby ludzie za każdym razem, kiedy by na mnie patrzyli.

- Myślisz, że zależy mi na ich opinii?

- Nie. Ale mnie zależy. Obchodzi mnie, co inni o tobie myślą. Nic, co mógłbyś zrobić, nie podniesie mnie do twojego poziomu, Sebastianie, mogłabym co najwyżej ściągnąć cię do mojego. A na to się nie zgadzam.

Patrzył na nią nieustępliwym, żarliwym spojrzeniem żółtych oczu. Potem szybko wciągnął powietrze i przez chwilę ujrzała przeblysł jego duszy, cień wrażliwości, którą, wiedziała, głęboko ukrywał, i ten widok trafił ją prosto w serce.

- Powinnaś była to powiedzieć sześć lat temu, zamiast odpychać mnie kłamstwem.

- Och, Sebastianie. Czy nie rozumiesz? Musiałam cię odepchnąć. Wiedziałam, że gdybym wyznała prawdę, przekonywałbyś mnie, abym zmieniła zdanie. Nie pogodziłbyś się z tym. Wiedziałam też, że nie miałabym dość siły, by ci się oprzeć.

Stanął obok. Dopiero gdy łagodnie dotknął jej policzka i zobaczyła ślady wilgoci na opuszkach palców, zdała sobie sprawę, że płakała.

- Teraz się na to nie godzę - powiedział. Potrząsnęła głową, choć nie mogła się

powstrzymać, by nie przytrzymać jego dłoni przy swoim policzku.

- Nie zmienię zdania.

Wtedy się uśmiechnął. Uśmiechem, który kochała, tym, z którym wyglądał zarazem chłopięco i trochę psotnie.

- Potrafię czekać.

- Płaszcz zrobimy z lekkiej wełny, obszytej jedwabiem, jak sądzę - powiedziała Amanda, trzymając próbki tkanin przy oknie w ten sposób, by widzieć wzory w słabym świetle poranka. Oddała próbki krawcowej i sięgnęła po kolejny wzór. - Ale w tej stan będzie wykończony krepeą, a kołnierzyk i mankiety z batystu.

- Tak, milady.

Amanda westchnęła. Komplectowanie garderoby na ciężką żałobę zawsze było tak uciążliwe. Czarne halki i pończochy, obrzeżone na czarno chusteczki z batystu i jedwabiu...

Lista zdawała się nie mieć końca. Służba, rzecz jasna, także powinna przywdziać żałobę, ale Amanda miała zamiar kazać przefarbować na czarno część ubrań. Słyszała, że wyciąg z drzewa kampszewego sprawdza się tu całkiem dobrze. Dzięki Bogu, Stephanie zakończy żałobę przed datą prezentacji u dworu w nadchodzącym sezonie. Sama Amanda, oczywiście, będzie musiała nosić lekką żałobę jeszcze przez rok lub dwa.

Zamieszanie w holu na parterze zaskoczyło ją. Potem usłyszała głos ojca i zrozumiała, co się święci.

- Odeślij ją - powiedział Hendon, stając w drzwiach pokoju porannego.

Amanda kiwnęła głową w stronę kobiety, która zebrała próbki tkanin i wzory sukni, a potem czmychnęła za drzwi.

- Gdzie ono jest? - zapytał Hendon, gdy tylko drzwi zamknęły się za krawcową.

Amanda oparła się o adamaszkowe poduszki fotela i spojrzała na ojca. Jej twarz była opanowana i spokojna.

- Co masz na myśli?

- Nie rób ze mnie głupca. Oświadczenie twojej matki. Wilcox myślał, że zabrał je Sebastian. A skoro nie przypominam sobie żadnych doniesień o włamaniu do twojego domu, to wniosek jest oczywisty. Amanda trzymała się prosto.

- Czy rzeczywiście?

Hendon wpatrzył się w nią przez pokój. Jego twarz pociemniała, pierś unosiła się w spazmatycznym oddechu. Chwilę trwało, zanim przemówił. Głos miał ochryply, ale zaskakująco równy i spokojny.

- A więc tak to rozegramy? Bardzo dobrze. Ale zapamiętaj sobie moje słowa - podniósł dłoń i wycelował gruby palec w powietrze między nimi. - Jeżeli mogę zatuszować grzeszki twojego drogiego męża, mogę je również światu objawić. A nie sądzę, by konsekwencje były przyjemne, tak dla ciebie, jak i dla twoich dzieci.

Amanda zerwała się na nogi, drżąc od pulsującego gniewu.

- Zrobiłbyś to?! Zrobiłbyś to własnym wnukom? Hendon zrewanżował się jej twardym spojrzeniem, wysuwając szczękę.

- Zrobiłbym wszystko, by zapewnić sukcesję. Rozumiesz? Wszystko!

- Tak. Cóż - roześmiała się z wysiłkiem. - Mieliśmy już tego dowody, prawda?

ROZDZIAŁ 65

W godzinie wyznaczonej na ceremonię objęcia regencji słońce przedarło się przez wiszące nad miastem chmury, a lekki wiatr rozpedził resztki mgły.

Niespokojny Sebastian przepychał się przez zatłoczone ulice. Formalnie wciąż oskarżano go o atak na konstabla Simplota. Był na Picadilly, gdy sir Henry Lovejoy zatrzymał go z okna przejeżdżającego fiakra.

- Panie hrabio, mógłbym z panem zamienić słówko?

Sebastian kiwnął głową i czekał, aż mały sędzia zapłaci stangretowi. Razem weszli do parku i skierowali się w stronę stawu. Spacerowali w milczeniu, dopóki alejka nie opustoszała. Lovejoy w końcu wyłuszczył sprawę.

- Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, iż konstabl Simplot odzyskał ubiegłej nocy świadomość. Gorączka spadła, a doktorzy mówią, że rozpoznanie jest obiecujące.

- Ten człowiek musi mieć kondycję wołu. Nieoczekiwany uśmiech zaigrał na cienkich wargach sędziego.

- Tak, z grubsza biorąc, twierdzą doktorzy - uśmiech zgasł. - Powiedział nam co wydarzyło się tego dnia na Brook Street. Nie trzeba dodawać, że starszy konstabl Maitland został zwolniony ze służby.

Sebastian kiwnął głową. Wydawało się, że kamień powinien spaść mu z serca na wieść, że młody konstabl przeżył, by dać świadectwo prawdzie. „Może za jakiś czas”, pomyślał, „będę odczuwał ulgę”.

Ale teraz popadł w odrętwienie, jakby to wydarzyło się dawno temu, w życiu innej osoby.

- Jestem pod wrażeniem - mówił sir Henry - sposobu, w jaki rozszyfrował pan prawdziwą tożsamość zabójcy. Pańskie umiejętności śledcze są niezwykle, panie hrabio. Gdyby nie był pan szlachcicem, zostałby pan znakomitym detektywem.

Sebastian zaśmiał się.

- Oczywiście, niektóre sprawy są dla naszego biura trudniejsze od innych - powiedział Lovejoy. - Zwłaszcza te, w które zamieszani są członkowie rodziny królewskiej czy arystokracji - odchrząknął, zakłopotany i spojrzał w dal. - Zastanawiałem się, czy... Biorąc pod uwagę pańskie talenty i umiejętności, może byłby pan zainteresowany współpracą z naszą komórką w tak wyjątkowych przypadkach? Oczywiście, jak najbardziej nieoficjalnie.

- Nie - odpowiedział wprost Sebastian. Lovejoy kiwnął głową i przycisnął brodę do piersi.

- Tak, oczywiście. Rozumiem. Nie każdy czuje potrzebę zaprowadzania sprawiedliwości na świecie. Potrzebę, by opowiedzieć się po stronie słabych i bezbronnych przeciwko wpływowym i silnym, a potem walczyć w celu naprawienia okrutnych krzywd. niesprawiedliwość jest beznadziejnie wszechobecna. I, niestety, zdarza się aż za często. Przypuszczam, że większość ludzi po prostu wzrusza ramionami i ignoruje ją. W ten sposób łatwiej ją znieść, żyć własnym życiem. Chyba, że niesprawiedliwość dotyka ich samych albo ludzi, których kochają.

- Wiem, do czego pan zmierza - powiedział Sebastian. - Ale myli się pan. To, co zrobiłem, było podyktowane własnym interesem. Niczym więcej.

- Oczywiście - dotarli już do stawu. Lovejoy zatrzymał się i zmrużył oczy, wpatrując się w marszczoną wiatrem wodę. - Przejrzałem raporty z pańskiej działalności w Portugalii - powiedział po chwili. - Wiem, dlaczego pan się sprzedał.

Obok nich kaczor wynurzył się ze stawu i poderwał do lotu. Sebastian zmrużył oczy, obserwując, jak leci, jak rozpostarte skrzydła pracują na tle niebieskiego zimowego nieba.

- Wyciąga pan zbyt daleko idące wnioski.

- Doprawdy?

Sebastian odwrócił głowę w stronę stojącego obok mężczyzny.

- Zabiłem go. Wie pan o tym, prawda? - obaj rozumieli, że mowa o Wilcoxie.

- Pozwolił mu pan umrzeć. To różnica. Uczy się nas, że odebranie komuś życia jest złem, ale państwo to robi, i nazywa sprawiedliwością. Żołnierze na polu bitwy zabijają, i nazywa się ich bohaterami - mały sędzia postawił kołnierz, chroniąc się przed zimnym podmuchem od oświetlonej słońcem wody. - To, co pan zrobił, było złe. Ale to grzech, który dzielimy obaj i wybór, z którego ja osobiście jestem zadowolony. „Wybory”, mówił Wilcox.

Wszystko sprowadza się do wyborów...

W oddali zagrziała armata, potem druga. Po chwili usłyszeli ryk, jakby dziesiątki tysięcy gardel wydało jednocześnie okrzyk radości.

- A zatem - powiedział sir Henry Lovejoy. - Zaczynamy regencję.

- Nie, czekajcie! - George, książę Walii, a niedługo również regent, zaczerpnął desperacki oddech i oparł tłustą upierścienioną dłoń na pokrytym czerwoną laką oparciu najbliższego krzesła. - Nie mogę tam jeszcze wyjść. Nie mogę oddychać. O Boże! Myślicie, że to serce? Czuję palpacje. Gdzie doktor Heberden?

Charles, hrabia Jarvis, wyjął korek z karafki soli trzeźwiących i machnął nim kilkukrotnie przed książęcym nosem.

- Już, już, wasza książęca wysokość. Wszystko będzie dobrze. To tylko zdenerwowanie, absolutnie zrozumiałe w tych okolicznościach - powiedział krzepiąco, potem wyszeptał nagle tonem do jednego ze służących księcia: - Poluzujcie mu gorset...

Stojący przy drzwiach hrabia Hendonu wyjął z kieszonki zegarek i zmarszczył brwi. Tajna Rada Królewska czekała już przeszło godzinę. Ale w końcu cały dwór przyzwyczajony był do czekania na księcia. Nie było powodu przypuszczać, że uroczystość objęcia regencji miałyby być wyjątkiem. Księżę oddychał teraz lżej, ale Jarvis potrząsnął głową w kierunku hrabiego Hendonu i wcisnął kielich wina w drżące dłonie regenta.

Nie było łatwo prowadzić księcia w kierunku nowej funkcji, jednocześnie manewrując w ten sposób, by nie dopuścić wigów do rządu. Morderstwo dziewczyny w połączeniu z pozornym zamieszanym wokół syna hrabiego Hendonu sprowadziły niebezpieczeństwo zrujnowania całego planu. Ale w końcu wszystko odbyło się pomyślnie. Wigowie zostali zdyskredytowani, Perceval i torysi mieli pozostać przy władzy, a wojna trwać do ostatecznej, miażdżącej klęski Francuzów. Wkrótce nikt nie miał zagrozić supremacji brytyjskiej. Niezwyciężona i wszechpotężna Brytania miała zająć nadaną jej przez Boga pozycję Nowego i Ostatecznego Rzymu. Jarvis i Anglicy z jego pokolenia mieli szczęście być świadkami końcowej inauguracji imperium, które miało przetrwać ponad tysiąc lat.

- Jarvis? - głos księcia był irytująco płaczliwy. - Gdzie jest Jarvis?

- Tutaj - odpowiedział Jarvis, wyjmując kielich z pulchnych książęcych dłoni. - Czy możemy zaczynać, Wasza Wysokość? Anglia i przeznaczenie czekają.

OD AUTORKI

Choć nierozpoznane na początku dziewiętnastego wieku, niezwykle umiejętności Sebastiana St. Cyra są charakterystyczne dla tzw. zespołu Bithila - mało znanej, ale jak najprawdziwszej mutacji genetycznej spotykanej wśród niektórych rodzin pochodzenia walijskiego.

Ludzie cierpiący na tę przypadłość charakteryzują się niezwykle ostrym wzrokiem i słuchem oraz podwyższoną wrażliwością na światło, która pozwala im wyraźnie widzieć w ciemnościach. Inne charakterystyczne cechy tej mutacji to niezwykle szybki refleks, zniekształcenie kręgow w dolnej części kręgosłupa i żółta barwa tęczówek, recesywna zarówno wobec niebieskich, jak i brązowych oczu. Zespół Bithila - choć rzadki - jest obecny na Wyspach Brytyjskich od dość dawna, odkryto go bowiem po przebadaniu szczątków osoby, o której wiadomo, że umarła w Walii około dziesięciu tysięcy lat temu. Przypadłość tę w XVIII i XIX wieku imigranci walijscy przywieźli do Ameryki Północnej, gdzie zdarza się do dzisiaj, zwłaszcza w południowo-wschodnich stanach pośród rodzin o mieszanym czirokezko-walijskim pochodzeniu.

Z OKŁADKI

Rok 1811. Król Jerzy III pogrąża się w szaleństwie, a nad moźnymi tego świata wisi groźba zamieszek i rewolucji. Wtedy właśnie ktoś odkrywa ciało pięknej, młodej kobiety, która została zgwałcona i okrutnie zmasakrowana na stopniach ołtarza w kościele niedaleko Opactwa Westminsterskiego. Pistolet do pojedynków z wygrawerowanym herbem, zaplątany w zakrwawioną suknię Rachel York i zeznania świadków obciążają winą jedną i tę samą osobę - Sebastiana St. Cyr, wicehrabiego Dewlinu, niezwyklego, młodego arystokratę po ciężkich przeżyciach w czasie wojny z Napoleonem.

Gdy w trakcie aresztowania jeden z konstabli zostaje śmiertelnie ranny, Sebastian musi ratować się ucieczką. Jako uciekinier, Sebastian wykorzystuje doświadczenia zdobyte na wojnie, by rozwikłać zagadkę tajemniczej zbrodni i schwytać prawdziwego mordercę.